

Wybuchowa mieszanka  
kryminału i thrillera  
z przewrotnym zakończeniem



**ROBERT  
CRAIS**

Świat Książki

**W POGONI  
ZA CIEMNOŚCIĄ**

Przed trzema laty, dzięki dowodom zebranych przez Elvise Cole'a, oskarżony o wielokrotne morderstwa Lionel Byrd w ostatniej chwili uniknął kary. Wtedy Elvis był przekonany, że ocalił przed krzesłem elektrycznym niewinnego człowieka, ale teraz, kiedy policja znalazła zwłoki Byrda z przerażającym albumem na kolanach, ogarniają go wątpliwości. Album zawiera fotografie kobiet, o których zabójstwo był oskarżony Byrd, a także dwóch, które zginęły już po jego uwolnieniu. Cole czuje się winny ich śmierci, więc rozpoczyna własne śledztwo. Szybko przekona się, że okrutne morderstwa to zaledwie wierzchołek góry lodowej, i że stawka w grze jest teraz także jego życie.

**Robert Crais**, laureat kilku literackich nagród, jest autorem wielu bestsellerów z listy „New York Timesa”. W wydawnictwie Świat Książki ukazały się jego powieści: *Anioł zniszczenia*, *Requiem dla Miasta Aniołów*, *Ostatnie dochodzenie*, *Zakładnik*, *Zapomniany człowiek*, *Zasada dwóch minut*, *Opiekun*.

978-83-245-1111-0  
www.swiatksiazki.pl

www.swiatksiazki.pl



Cena 29,90 zł Nr 6915

# ROBERT CRAIS

## W POGONI ZA CIEMNOŚCIĄ

Z angielskiego przełożył

*Andrzej Leszczyński*

  
Świat Książki

Tytuł oryginału CHASING DARKNESS

Redaktor prowadzący

Ewa Niepokólczycka

Redakcja

Hanna Smolińska

Redakcja techniczna

Agnieszka Gąsior

Korekta

Maciej Korbański Elżbieta Jaroszek

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żyjących czy zmarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © 2008 by Robert Crais All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Leszczyński, 2010

Świat Książki

Warszawa 2010

Świat Książki Sp, z o.o.

ul. Rosoła 10,

02-786 Warszawa

Skład i łamanie

Ewa Mikołajczyk, Studio Rhodo

Druk i oprawa

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp, z o.o.

ISBN 978-83-247-1534-3

Nr 6815

*dla Shelby Rotolo,  
ponieważ sznurowe drabinki i gwiazdkowe  
śnieżne fortece są wieczne*

## PROLOG

Beakman i Trenchard już czuli zbliżający się pożar. Był jeszcze odległy o dwa kilometry, ale odrażający wiatr znad pustyni zdawał się nieść ze sobą zaproszenie do piekła. Wozy strażackie z całego miasta tłoczyły się w Laurel Canyon jak czerwone anioły, między nimi były też czarno-białe wozy patrolowe, pojazdy służb technicznych oraz śmigłowce pożarnicze z Van Nuys i Burbank. Te latały tak nisko, że Beakman i Trenchard nie słyszeli nawet poleceń wydawanych przez przełożoną. Beakman osłonił ucho skuloną dłonią i krzyknął:

- Co mówiłaś?!

Sierżant służby patrolowej Karen Philips pochyliła się bliżej opuszczonej szyby auta i zawołała:

- Zaczynajcie od szczytu Góry Widokowej! Służby ratownicze już tam są, ale wy musicie się upewnić, że wszyscy mieszkańcy wyjeżdżają! Nie dajcie sobie mydlić oczu! Jasne?!

Trenchard, który był dowódcą patrolu oraz kierowcą, odkrzyknął:

- Jasne! Jedziemy!

Włączyli się do szeregu wozów strażackich jadących w górę Laurel Canyon, po czym skręcili w Lookout Mountain Avenue prowadzącą stromo pod górę. Tenże kanion, gdzie kiedyś mieszkało wiele sław rock and rolla, począwszy od Mamy Cassa Elliotta przez Franka Zappę do Jima Morrisona, w latach sześćdziesiątych stał się miejscem narodzin gwiazd muzyki country,

stąd wywodzili się wszyscy członkowie zespołu Crosby, Stills and Nash, jak również Eric Burdon, Keith Richards, a z najnowszych sław Marilyn Manson i co najmniej jeden z członków grupy Red Hot Chili Peppers. Beakman także próbował swych sił w grze na Fenderze Telecasterze w policyjnym zespole o nazwie Nightstix, uważając, że owa dzielnica wywiera jakiś magiczny wpływ na powstającą tu muzykę. Teraz wskazał na mijany niewielki dom.

- Zdaje się, że kiedyś mieszkała tu Joni Mitchell.
- A kogo to obchodzi? Lepiej spójrz na niebo, chłopie.

Widzisz? Mogłoby się wydawać, że nawet powietrze zajęło się już ogniem!

Rzeczywiście niebo rozcinała wielka popielata blizna, którą dym płynął w kierunku Sunset Boulevard. Zaczęło się od niezbyt groźnego pożaru na skraju Hollywood Hills, od którego płomień błyskawicznie przeniosły się po suchych zaroślach do Laurel Canyon Park, skąd wiatr rozniósł je dalej. Ogień pochłonął już trzy posiadłości, wiele dalszych było poważnie zagrożonych. Beakmanowi przemknęło przez myśl, że tym razem będzie miał o czym opowiadać dzieciakom w poniedziałek, kiedy wreszcie zakończy tę przedłużającą się służbę.

Jonathan Beakman był oficerem rezerwy drugiego stopnia podlegającym Miejskiej Komendzie Policji w Los Angeles, a co stąd wynikało, został w pełni zaprzysiężony, służył więc z bronią i pełnił zastępczo funkcję etatowego oficera, z tą tylko różnicą, że jedynie przez dwa dni w miesiącu. W cywilu uczył algebry w szkole średniej. Dzieciaki z jego klasy nie były nazbyt zainteresowane teorematem Pitagorasa, ale z zapalem rozpytywały o wydarzenia z minionego weekendu w służbie patrolowej.

Trenchard, który miał za sobą dwadzieścia trzy lata służby w policji i nie lubił muzyki, zaproponował:

- Zrobimy tak. Zatrzymamy się na samym szczycie, wysiadziemy z auta, sprawdzimy na piechotę pięć albo sześć domów, ty po jednej stronie, ja po drugiej, a potem wrócimy do radiowozu, przejedziemy kawałek i dalej zrobimy tak samo. W ten sposób powinno pójść szybko i sprawnie.

Strażacy już objechali ten teren, nadając przez megafony rozkaz ewakuacji. Kilkoro mieszkańców upychało w swoich samochodach pod sufit ciuchy, kije golfowe, pościel i pieski. Inni stali jeszcze przed drzwiami, uważnie obserwując krzątanicę sąsiadów. Jeszcze inni siedzieli na dachach i wodą z węży ogrodowych polewali domy. Beakman pomyślał, że te rozciągnięte węże mogą im przysporzyć kłopotów.

- A jeśli ktoś nie będzie chciał wyjechać?

- Nie jesteśmy tu po to, żeby kogoś aresztować. Musimy objechać dość rozległy obszar.

- A jeśli ktoś nie będzie mógł się ewakuować, na przykład inwalida?

- Na razie musimy zadbać tylko o to, żeby rozkaz ewakuacji do wszystkich dotarł. Jeśli ktoś będzie potrzebował pomocy, zgłosimy to przez radio albo pojedziemy na miejsce, gdy sprawdzimy cały rejon.

Trenchard, wyjątkowo bystry jak na kogoś, kto w ogóle nie lubi muzyki, znowu popatrzył w niebo.

- Nic ci nie jest?

- Nie, tylko trochę się denerwuję. W którymś z tych podległych nam domów możemy się natknąć na starszą panią mającą piętnaście pudełków. Co zrobimy z piętnastoma pudełkami?

Trenchard zaśmiał się krótko, Beakman także się uśmiechnął, choć nie było mu do śmiechu. Przejechali obok dziewczynki wlokącej się za matką w kierunku stojącego przy krawężniku dużego auta terenowego. Mała ciągnęła za sobą tak ciężki transporter dla kota, że nie była w stanie go podnieść. Jej matka zalewała się łzami.



To koszmar, pomyślał Beakman.

Dotarli na szczyt Góry Widokowej, wysiedli i ruszyli od domu do domu. Jeśli mieszkańcy nie szykowali się jeszcze do wyjazdu, Beakman dzwonił, pukał, wreszcie łomotał w drzwi obudową ciężkiej latarki. Do którychś z kolei drzwi dobijał się tak długo, że aż Trenchard zawołał z drugiej strony ulicy:

- Przestań, bo w końcu wyważysz te przeklęte drzwi. Skoro nikt nie odpowiada, to znaczy, że nikogo nie ma w domu.

Po dotarciu do pierwszej przecznicy Trenchard zawrócił i przeszedł na drugą stronę. Boczna uliczka wrzynała się ciasnym krętym wąwozem w zbocze, stały przy niej skromne zaniedbane domki o gipsowo-kartonowych ścianach na kruszących się kamiennych podmurówkach, pochodzące zapewne jeszcze z lat trzydziestych. Działki były tak wąskie, że wpuszczone w ziemię garaże znajdowały się pod pomieszczeniami mieszkalnymi.

- Tam jest nie więcej niż osiem czy dziesięć domów. Chodźmy na piechotę.

Znów ruszyli po przeciwnych stronach uliczki, lecz nie mieli tu nic do roboty. Większość mieszkańców już się szykowała do wyjazdu. Trzy pierwsze posiadłości Beakman minął, wszedł dopiero na teren czwartej i wbiegł po schodkach na ganek rozsypującego się domku ze stiukami. Zapukał do drzwi, nacisnął dzwonek, wreszcie załomotał latarką.

- Policja. Jest tu ktoś?

Uznał, że nikogo nie ma, i już się odwrócił, żeby zejść z ganeku, kiedy kobieta stojąca przy wyladowanym pod dach mini cooperze naprzeciwko zawołała:

- Powinien być w domu. Prawie wcale nie wychodzi.

Beakman obejrzał się na drzwi. Tak mocno walił we framugę latarką, że aż odłupał od niej kilka drzazg.

- Jest inwalidą?

- Pan Jones? Ma coś z nogą, ale nie jestem pewna. Nie widziałam go od jakiegoś czasu. Być może wyjechał, nie wiem.

W każdym razie porusza się nie najlepiej, dlatego się odezwałam.

Od razu przybrała poirytowaną minę kogoś, kto żałuje, że wmiszał się w nie swoje sprawy.

Beakman odwrócił się z powrotem do drzwi.

- Jak on się nazywa?

- Jones. Nic więcej nie wiem. Znam tylko jego nazwisko. I widziałam, że nie najlepiej chodzi.

Beakman ponownie odpiął latarkę od pasa i donośnie załomotał w drzwi.

- Panie Jones! Tu policja. Jest pan tam?

Trenchard, który obszedł wszystkie domy po swojej stronie, wszedł na teren i stanął za nim przed schodkami.

- Napotkałeś otwarty sprzeciw?

- Ta pani mówi, że mieszkający tu człowiek ma kłopoty z poruszaniem się i prawdopodobnie jest w domu.

Trenchard także załomotał w drzwi swoją latarką.

- Policja! Mamy rozkaz ewakuacji tego terenu! Proszę otworzyć!

Obaj pochylili się w stronę drzwi, nadstawiając uszu, i wtedy Beakman wyczuł dolatujący zza nich fetor. Trenchard także go poczuł, odwrócił się szybko i zawołał do kobiety:

- Ten człowiek jest stary, schorowany, inwalida?

- Nie taki stary, ale ma coś z nogą.

Na ulicy nie mogła czuć tego smrodu. Zapytał więc półgłosem:

- Ty też to czujesz, prawda?

- Owszem. Sprawdźmy, co tam się stało.

Trenchard umocował z powrotem latarkę przy pasie. Beakman pomyślał, że będzie próbował wyważyć drzwi, toteż cofnął się o krok, ale jego partner tylko przekręcił gałkę i otworzył drzwi. Na zewnątrz wyleciał cały rój wielkich czarnych much, zakręcił się nad ich głowami, po czym szybko wleciał z

powrotem. Wraz z muchami ze środka wydostał się nieznośny, odrażający smród. Beakman pomachał ręką przed twarzą, brzydził się much. Tym bardziej, że domyślał się już, na czym ostatnio żerowały.

Kobieta zawołała:

- I co?

Ujrzeni mężczyznę siedzącego w powycieranym fotelu, ubranego w workowate kraciaste spodnie i granatowy T-shirt. Był boso, przez co Beakman od razu spostrzegł, że brakuje mu połowy prawej stopy. Jej wygląd świadczył wyraźnie, że człowiek stracił ją dawno temu, za to najświeższa rana miała zupełnie inny charakter.

Ostrożnie wszedł za Trenchardem do środka, żeby lepiej się przyjrzeć. To, co zostało z głowy mężczyzny, było odchylone do tyłu i spoczywało pośrodku olbrzymiej plamy z krwi i resztek szarej tkanki mózgowej na oparciu fotela. W jego prawej ręce spoczywającej na udzie tkwił czarny pistolet. Niewielki poczerniały otwór po kuli widniał pod brodą. Wszędzie na twarzy, szyi, ramionach i na fotelu widać było krople zakrzepłej krwi przypominające drobniutkie szerniałe wisienki.

- Ma coś nie tylko z nogą - mruknął Trenchard.

- To samobójstwo?

- Pewnie tak. Trzeba zameldować. Nie zostawimy tak trupa, dopóki nie zjawi się ktoś z dochodzeniówki i nie zabezpieczy miejsca.

- A co z pożarem?

- Pieprzyć pożar. Ktoś przecież musi tu zostać do czasu przyjazdu ekipy śledczej. Tyle że nie chciałbym do reszty przesiąknąć tym fetorem.

Jeszcze raz machnął energicznie ręką, opędzając się od much, po czym, jak zawodowy bokser, zrobił głęboki unik, zawrócił na pięcie i ruszył do wyjścia. Beakman, zafascynowany, zaczął obchodzić fotel dookoła.

- Tylko niczego nie dotykaj - przestrzegł Trenchard. - Powinniśmy to traktować jak miejsce zbrodni.

- Tylko się przyglądam.

Między stopami mężczyzny leżał na podłodze otwarty album ze zdjęciami, który chyba zsunął mu się z kolan. Ostrożnie, żeby nie wdepnąć w zakrzepłą krew, Beakman przesunął się i spojrzał w dół. Na widocznej karcie znajdowało się tylko jedno umieszczone centralnie zdjęcie, samowyołujące się z polaroida. Zakrywający je arkusz celuloidu także był zabryzganym krwią.

Beakman odniósł wrażenie, jakby brzęczenie much nagle przybrało na sile, idąc w zawody z łoskotem strażackich helikopterów kołujących nad pożarem.

- Trench, podejdź tutaj...

Trenchard zawrócił, stanął obok niego i spojrzał na zdjęcie.

- Matko przenajświętsza...

Fotografia przedstawiała młodą białą kobietę z zaciśniętym na szyi grubym czarnym sznurem, chyba przedłużaczem elektrycznym. Zdjęcie zrobiono w nocy, w świetle lampy błyskowej, które wyłowiło z ciemności kobietę leżącą na wznak przy dużym pojemniku na śmieci. Napuchnięty język wystawał jej z ust, wytrzeszczone oczy wychodziły z orbit, były jednak zmętniałe i puste.

- Myślisz, że to prawdziwe zdjęcie? - zapytał Beakman szeptem. - Przedstawia prawdziwą kobietę? Prawdziwego trupa?

- A skąd mam wiedzieć?

- Może to kadr z jakiegoś filmu. No, wiesz, upozowana scena.

Trenchard wyjął z kieszeni scyzoryk, otworzył go i czubkiem delikatnie przerzucił kartkę albumu. Beakmana przeszył dreszcz grozy. Był tylko oficerem rezerwy, ale dobrze wiedział, że nie powinni tego robić.

- Mieliśmy tu niczego nie dotykać.

- I nie dotykamy. Zamknij się.

Trenchard obrócił następną kartkę, potem jeszcze jedną. Beakman spoglądał na zdjęcia w odrętwieniu, ale i z ekscytacją. Przemknęło mu przez myśl, że oto zetknął się z ciemnością tak przerażającą, iż mało kto był sobie w stanie to wyobrazić, a co dopiero wytrzymać jej presję. Wszystkie zdjęcia przedstawiały niepojęte zło. Człowiek, który dopuścił się ukazanych zbrodni, uwiecznił je na fotografiach, a te zebrał w pamiątkowym albumie, musiał żyć w świecie najgorszych koszmarów, daleko poza granicami tego, co się określa mianem człowieczeństwa. Skojarzył, że mimo wszystko nie będzie jednak miał o czym opowiadać swoim uczniom po powrocie do szkoły, bo nie mógł przecież zrelejonować im tego makabrycznego odkrycia.

- To jednak prawdziwe kobiety, co nie? Naprawdę zostały zamordowane.

- Mówiłem już, że nie wiem.

- Ale wyglądają jak prawdziwe. To on musiał je zabić.

- Daj spokój.

Trenchard odchylił ku górze okładkę albumu, żeby dało się zobaczyć stronę tytułową. Był na niej widoczek przedstawiający piękny zachód słońca i oddalającą się zakochaną parę, zostawiającą ślady bosych stóp na pustej plaży. Ozdobnym krojem czcionki był pod nim wytłoczony napis: *Moje cudowne wspomnienia*.

Trenchard opuścił okładkę.

- Chodźmy gdzieś dalej od tych przeklętych much.

Wyszli przed dom, zostawiwszy album w takiej pozycji, w jakiej go znaleźli, szukając wytchnienia w przesiąkniętym dymem powietrzu.

Część pierwsza

# GÓRA WIDOKOWA

## 1.

Nasze biuro tego ranka wydawało się nadzwyczaj przytulne. Ciszę zakłócało jedynie tykanie zegara z cyferblatem przedstawiającym Pinokia, delikatny szmer mojego pióra po papierze oraz pomruk klimatyzatora toczącego nierówną walkę z dokuczliwym upałem. Zaczął się sezon pożarów, zarzewia ognia pojawiały się na całym Southland niczym pryszcze na skórze dojrzewającego nastolatka.

Joe Pike czekał, aż skończę papierkową robotę. Stał w otwartych drzwiach balkonowych i spoglądał ponad miastem w stronę oceanu. Nie odezwał się ani jednym słowem i nie poruszył od dobrych dwudziestu minut, co jak na niego było jeszcze dalekie od rekordu. Potrafił całymi dniami nie wydawać z siebie żadnego dźwięku. Po zakończeniu mojej nieprzyjemnej mitręgi mieliśmy pojechać razem do sali gimnastycznej Raya Depente'ego w południowo-zachodnim Los Angeles.

Pierwszy telefon odebrałem o dziewiątej czterdzieści dwie.

Męski głos zapytał:

- Pan Elvis Cole?
- Zgadza się. Czym mogę służyć?
- Już nie żyjesz.

Przerwałem połączenie i wróciłem do pracy. W tym fachu na porządku dziennym są telefony od schizofreników, uciekinierów ze Strefy 51 czy też ludzi przysięgających, że wiedzą, kto zabił Czarną Dalię albo Księżną Dianę.

- Kto to był? - zaciekał się Pike.
- Ktoś mi zakomunikował, że już nie żyję.
- Dym - mruknął Joe.

Spojrzałem ponad jego ramieniem.

- Gdzie?
- Chyba w Malibu. Może w Topandze.

Pike odwrócił się z powrotem w stronę balkonu. Chwilę później cały urok tego spokojnego uroczego poranka prysł jak bańka mydlana.

- Posłuchaj... - zaczął.

Obciążony na jeża barczysty osilek w marszczącej beżowej wiatrówce wparował przez drzwi, jakby się wychowywał tam, gdzie domy ich nie mają. Machnął w powietrzu odznaką tak szybko, jak gdyby podejrzewał, że natychmiast dam nura pod biurko.

- Witaj w piekle, gównojadzie.

Za nim wkroczyła do środka kobieta w granatowej garsonce z plecakiem na ramieniu. Miała włosy spalone słońcem prawie do białości, i z miernym powodem powtórzyła gest kolegi, bo jednak zdążyłem rozpoznać srebrzysto-złotą odznakę wydziału dochodzeniowego.

- Connie Bastilla z komendy policji w Los Angeles. A to Charlie Crimmens. Pan Elvis Cole?

Obejrzałem się na Pike'a.

- Dobrze słyszałem, że on nazwał mnie gównojadem?

Crimmens obrzucił mnie hardym spojrzeniem, po czym przeniósł wzrok na Joego, ale odezwał się do policjantki:

- Zgadza się, to Cole. A tamten to pewnie jego przydupas Pike.

Joe odwrócił się do niego. Ma sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i waży ponad dziewięćdziesiąt kilo, a wtedy był ubrany jak zwykle w szarą koszulkę bez rękawów, no i miał na nosie swoje „rządowe” ciemne okulary. Kiedy skrzyżował ręce na piersi, jaskrawoczerwone strzały wytatuowane na jego bicepsach zaślniły w słońcu.

Zapytałem powoli:

- Byli państwo umówieni?



- Lepiej odpowiadaj na pytania, gównojadzie - warknął Crimmens.

Jestem zawodowym prywatnym detektywem. Mam licencję wydaną przez władze stanu Kalifornia i prowadzę całkowicie legalny interes. Policjanci rzadko wpadają do mojego biura, wymachując odznakami. Jeszcze rzadziej nazywają mnie gównojadem. Wstałem i zaszczyliłem Crimmensa moim najlepszym profesjonalnym uśmiechem.

- Powtórz to jeszcze raz, a będziesz musiał wyciągać sobie tę swoją odznakę z dupy.

Bastilla bez pośpiechu usiadła na jednym z dwóch płóciennych składanych krzeseł stojących przed moim biurkiem.

- Tylko spokojnie. Mamy parę pytań związanych ze sprawą, nad którą pan kiedyś pracował.

Wciąż gapiłem się na Crimmensa.

- Jak chcesz mnie aresztować, to się nie krępuj. Bo jeśli chcesz tylko porozmawiać, to cofnij się, zapukaj do drzwi i zapytaj, czy możesz wejść. Gdybyś podejrzewał, że tylko żartowałem co do odznaki w twoim dupsku, to spróbuj się jeszcze raz odezwać.

- No, śmiało, Crimmens. Spróbuj - dodał Pike.

Tamtę skrzywił się, prychnął pogardliwie i zajął pozycję, oparty ramieniem o brzeg szafki na akta. Jeszcze przez chwilę mierzył Joego wyzywającym spojrzeniem, lecz zdobył się tylko na drugie prychnięcie.

- Przypominasz sobie niejakiego Lionela Byrda? - zapytała Bastilla.

- Nie przypominam sobie, bym zaproponował, żeby ktoś tu usiadł.

- Przestań wreszcie. Więc jak? Pamiętasz Lionela Byrda czy nie?

- Jezu. Musi go pamiętać - wtrącił Charlie.

Coś w zachowaniu i wyglądzie Crimmensa wydawało mi się znajome, ale nie mogłem go sobie przypomnieć. Większość detektywów z wydziału dochodzeniowego w Hollywood była moimi przyjaciółmi, ale tej pary w ogóle nie kojarzyłem.

- Nie jesteście z Hollywood, prawda?

Bastilla położyła wizytówkę na brzegu biurka.

- Specjalny wydział zabójstw. Charlie został oddelegowany z Rampart. Należymy do zespołu prowadzącego dochodzenie w sprawie całej serii zabójstw. Więc co z tym Lionelem Byrdem?

- Mówimy o sprawie kryminalnej?

- Trzy lata temu Byrd został oskarżony o zabójstwo dwudziestoosmioletniej prostytutki, niejkiej Yvonne Bennett, i stanął przed sądem. To ty odnalazłeś wtedy świadka i przedstawiłeś zapis z kamery systemu bezpieczeństwa, który pozwolił mu uniknąć kary. Jego adwokatem był Alan Levy z kancelarii Barshop, Barshop & Alter. Zaczynasz wreszcie kojarzyć?

Szczegóły tamtej sprawy wypływały z mej pamięci powoli, jak ryba schwytana na wędkę. Lionel Byrd był bezrobotnym mechanikiem samochodowym z problemem alkoholowym i w relacjach z prostytutkami popadał w skrajności, od miłości do nienawiści. Nie należał do ludzi, z którymi ktokolwiek z was chciałby mieć do czynienia, ale nie był mordercą.

- Owszem, przypominam sobie. Może jeszcze nie wszystko, ale trochę. Podobno kłamał podczas pierwszych przesłuchań, potem zmienił zeznania.

Crimmens przestąpił z nogi na nogę.

- Właśnie że nie kłamał.

Usiadłem z powrotem, odchyliłem się na oparcie i zarzuciłem nogę na skraj biurka.

- Załóżmy. Według zapisu wideo był tutaj, w Hollywood, w tym samym czasie, kiedy Bennett została zamordowana w Silver Lake.

Pike wymownie postukał palcem w zegarek, dając do zrozumienia, że robi się późno.

Spuściłem nogę z biurka i pochyliłem się na krześle.

- Trzeba było wcześniej zadzwonić. Jesteśmy z moim współnikiem umówieni.

Bastilla ostentacyjnie wyciągnęła z plecaka notatnik, co miało znaczyć, że tak szybko stąd nie wyjdą.

- Często spotykałeś się z panem Byrdem po jego uwolnieniu?

- Nigdy się z nim nie spotkałem.

- Gówno prawda - warknął Crimmens. - Był twoim klientem. Nie masz zwyczaju spotykać się z klientami?

- Moim klientem był Levy. Za zlecenie zapłaciła kancelaria Barshop i Barshop. Zazwyczaj tak to się odbywa.

- Więc to Levy zlecił wam robotę? - zapytała Bastilla.

- Tak. Większość moich klientów stanowią adwokaci.

Bo adwokaci nie mogą mieć i nie mają zaufania do swoich klientów. Poza tym ich klienci często nie znają całej prawdy, nie są obiektywni, a czasami po prostu kłamią. A ponieważ prawnicy są bardzo zajęci swoim prawem, do ustalania faktów najczęściej angażują detektywów.

Bastilla przekręciła się na krześle i popatrzyła na Pike'a.

- A ty? Także pracowałeś nad sprawą Byrda?

- Nie zajmuję się takimi rzeczami.

Przekręciła się jeszcze bardziej, jakby chciała mu się lepiej przyjrzeć.

- Nie mógłbyś zdjąć tych ciemnych okularów na czas naszej rozmowy?

- Nie.

- Chcesz coś za nimi ukryć, Pike? - wtrącił Crimmens. - Boisz się, że moglibyśmy coś zobaczyć?

Pike powoli obrócił głowę ku niemu. Poza tym nawet nie drgnął. Tylko obrócił głowę.

- Gdybym pokazał ci swoje oczy, musiałbym cię zabić.

Wstałem szybko, póki jeszcze sytuacja nie wymknęła mi się spod kontroli.

- Joe nie pomagał mi w tamtym dochodzeniu. To była czysto policyjna robota. We własnym zakresie muszę realizować po trzydzieści takich zleceń rocznie.

- Super - bąknął Crimmens. - I pewnie nawet jesteś z tego dumny, że pomagasz gównojadom wykipić się od kary za morderstwo.

Znowu mnie prowokował.

- O co wam tak naprawdę chodzi, Bastilla? Ta sprawa została zakończona trzy lata temu w sądzie.

Bastilla otworzyła notatnik i popatrzyła na swoje zapiski.

- Twierdzisz zatem, że nigdy nie spotkałeś Lionela Byrda?

- Nie, nigdy nie miałem okazji go poznać.

- A może znasz niejakiego Lonniego Jonesa?

- Nie. To wasz kolejny podejrzany?

- Czy podczas swego dochodzenia w sprawie zabójstwa Yvonne Bennett natknąłeś się na jakieś dowody, które pozwalałyby łączyć Byrda z innymi zbrodniami bądź jakąkolwiek działalnością przestępczą?

- Co to za pytanie? Czyżbyście aresztowali go po raz drugi?

Bastilla zapisała coś w notatniku. Kiedy podniosła na mnie wzrok, zwróciłem uwagę na jej mocno zaczerwienione oczy i zmarszczki w kącikach ust. Sprawiała wrażenie tak cholernie zmęczonej, jak tylko może być człowiek, który jeszcze żyje.

- Nie, panie Cole. Nie możemy go już aresztować. Osiem dni temu został odnaleziony podczas ewakuacji mieszkańców Laurel Canyon. Z głową przestrzeloną spod brody. Był martwy już od pięciu dni.

- Ja go nie zabiłem.

Crimmens zachichotał.

- To by dopiero było, co nie, koleś? Idealne rozwiązanie. Mnie by tam bardzo pasowało.

Bastilla uśmiechnęła się krzywo, ale nie dlatego, że uznała to za dowcip.

- Popelnił samobójstwo. Mieszkał pod przybranym nazwiskiem, jako Lonnie Jones. Nie wiesz, dlaczego ukrywał prawdziwą tożsamość?

- Nie mam pojęcia. Może dlatego, że nie bardzo mu się podobało, że został oskarżony o morderstwo, którego nie popełnił.

Bastilla pochyliła się w moją stronę i splótła dłonie na kolanach.

- On już nie żyje, Cole. Przyjechaliśmy tu, żeby zapoznać się z raportami i całą twoją dokumentacją ze sprawy Bennett. Chcielibyśmy zobaczyć twoje notatki, dowiedzieć się, z kim rozmawiałeś. Krótko mówiąc, zobaczyć wszystko, co masz w teczce tej sprawy.

Wpatrywała się we mnie bez mrugnięcia powieką, takim wzrokiem, jakby już się domyślała, co odpowiem, chociaż miała jeszcze nadzieję, że usłyszy coś innego. Pokręciłem głową.

- Pracowałem na zlecenie jego obrońcy. Wszystkie akta są więc własnością Alana Levy'ego.

- Rozmawialiśmy już z nim.

- Ten kutas nie żyje, Cole - wtrącił Crimmens. - Możesz o nim zapomnieć. O co ci jeszcze chodzi?

- Jak Levy się zgodzi, dostaniecie te akta, ale sporządzałem je dla niego, a nie dla ciebie, Crimmens. To taka drobna różnica w tym, co się nazywa tajemnicą zawodową.

Popatrzyłem znowu na Bastille.

- Jeśli facet nie żyje, a nie podejrzewacie mnie o to, że go zabiłem, to po co chcecie przeglądać moje akta ze sprawy Yvonne Bennett?

Bastilla westchnęła i wyprostowała się.

- Bo nie chodzi tu tylko o Bennett. Lionel Byrd zamordował siedem kobiet. Wszystko wskazuje na to, że dokonywał jednego zabójstwa rocznie przez ostatnie siedem lat. Yvonne Bennett była jego piątą ofiarą.

Powiedziała to tak rzeczowym i obojętnym tonem jak bankier odczytujący sumę wypisaną słownie na czeku, ale zarazem z dziwną miękkością w głosie, od której ciarki przeszły mi po grzbiecie.

- On nie zabił Yvonne Bennett. Udowodniłem to.

Bastilla schowała notatnik, wstała i poprawiła plecak na ramieniu, jakby szykowała się do wyjścia.

- Niepodważalne dowody jego związku z tym zabójstwem znaleźliśmy w jego domu. Szóstą kobietę zamordował latem, zaraz po uniewinnieniu przez sąd. Jego ostatnia ofiara zginęła trzydzieści sześć dni temu, a teraz on sam odebrał sobie życie.

Crimmens oblizal wargi, jakby miał ochotę pożreć mnie żywcem.

- I jak się teraz czujesz, panie... „Trzydzieści-spraw-rocznie”?

Pokręciłem głową, patrząc na Bastille.

- Co mam rozumieć pod pojęciem niepodważalnych dowodów?

- Liczyliśmy na to, że w twoich aktach może znajdziemy wyjaśnienie, jakim cudem udało mu się uniknąć kary, Cole. Porozmawiaj z Levym. Jeśli będziemy zmuszeni wystąpić o nakaz sądowy, zrobimy to, ale byłoby łatwiej i szybciej, gdybyście obaj poszli nam na rękę.

Także wstałem.

- Chwileczkę... Pytałem, jak mam rozumieć, że znaleźliście niepodważalne dowody? Co takiego znaleźliście?

- Dziś po południu odbędzie się konferencja prasowa. Do jej rozpoczęcia skontaktuj się z Levym. Im szybciej, tym lepiej.

Odwróciła się i wyszła, ale Crimmens nie ruszył za nią. Wciąż stał oparty ramieniem o szafę na akta i gapił się na mnie.

- O co chodzi? - zapytałem.
- Escondido i Repko.
- Co cię tu jeszcze trzyma, Crimmens?
- Nie poznajesz mnie, prawda?
- A powinienem?
- Rusz mózgownicą. Musiałeś czytać moje raporty.

Nagle uświadomiłem sobie, z czym mi się kojarzył.

- To ty go aresztowałeś.

Odkleił się wreszcie od szafki.

- Zgadza się. To ja zapuszkowałem Byrda. To ja próbowałem wsadzić za kratki mordercę. A ty, gównojadzie, wypuściłeś go na wolność.

Obejrzał się jeszcze na Pike'a, po czym ruszył do wyjścia.

- Lupe Escondido i Debra Repko to te dwie kobiety, które zamordował po odzyskaniu wolności. Powinieneś wysłać obu rodzinom kartki z pozdrowieniami.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

## 2.

Pewnej bezksiężycowej nocy, trzy lata przed tym, jak Bastilla i Crimmens zjawili się w moim biurze, ktoś roztrzaskał czaszkę Yvonne Bennett na parkingu w Silver Lake, zaledwie kilkaset metrów na północ od Sunset Boulevard. Noc była ciepła, choć niezbyt upalna, przesycona zapachem kwitnącej ismeny. Za narzędzie zbrodni posłużyła łyżka do opon.

Yvonne Bennett w chwili śmierci miała dwadzieścia osiem lat, jednakże wszyscy, z którymi rozmawiałem - w tym także dwie były współlokatorki z akademika i trzech byłych chłopaków - twierdzili, że miała tylko dziewiętnaście. Jak to często bywa w

Los Angeles, jej życie stanowiło jedną wielką maskaradę. Kłamała nie tylko co do swego wieku, ale także przeszłości oraz zawodu. Z dwudziestu trzech osób, z którymi rozmawiałem, próbując odtworzyć jej trasę po mieście tamtego wieczoru, trzy były przekonane, że studiowała na Uniwersytecie Stanowym w Los Angeles, dwie brały ją za studentkę Uniwersytetu Południowej Kalifornii, zdaniem jednej ukończyła właśnie studia i przymierzała się do doktoratu z psychologii, natomiast reszta sądziła, że jest albo asystentką producenta filmowego, albo wizażystką bądź kosmetyczką, ale też kwiaciarką, projektantką strojów, rysowniczką, barmanką, kelnerką czy wreszcie ekspedientką w salonie Barneya przy Wilshire Boulevard bądź prawą ręką znanego restauratora Wolfganga Pucka. Mimo że dwukrotnie aresztowano ją pod zarzutem uprawiania prostytutki, nigdy otwarcie nie przyznała się do tej profesji. Była „dziewczyną z baru”. W różnych lokalach dobierała sobie klientów i kazała płacić za swe usługi z góry. Nawet po aresztowaniach nie przyznawała się policji, że jest prostytutką, raz tylko wyznała jednej ze współlokatorek z akademika, że owszem, umawia się z facetami dla pieniędzy, ale nigdy nie bierze pieniędzy za seks. To również było kłamstwem.

W moich aktach niewiele można było znaleźć na temat Yvonne Bennett czy Lionela Byrda, ponieważ nie poświęciłem tej sprawie zbyt wiele czasu, wszystkiego osiem dni. Każdy dużej by ją rozwiązał. Nie padły strzały, nie było żadnej przemocy fizycznej. Nie musiałem się wcielać w rolę Batmana.

Czytałem kolejne zapiski z teczki i podawałem je Pike'owi.

W chwili aresztowania Lionel Byrd był głównym podejrzanym o zamordowanie dziewczyny. Widziano, jak tamtego wieczoru rozmawiał z Yvonne Bennett, a do tego był już znany policji z zaczepiania prostitutek. Półtora roku wcześniej został skazany za nagabywanie do nierządu oraz pobicie kobiety, jak utrzymywał, prostytutki nierzetelnie zachwalającej swoje



usługi. Był na zwolnieniu warunkowym, kiedy Crimmens przy-  
mknął go ponownie.

Jako ostatni żywą Yvonne Bennett widział dwudziestodwu-  
letni Angel Tomaso, barman z kawiarni i niedoszły aktor, który  
zeznał, że dziewczyna o jedenastej czterdzieści wieczorem skrę-  
ciła w mroczny zaułek za jego kawiarnią. Jej zwłoki odnaleziono  
szesnaście minut po północy. Między tymi dwoma zdarzeniami  
istniała trzydziestosześciodwuminutowa luka, w czasie której Ben-  
nett została zamordowana, a która miała później stanowić klu-  
czowy argument za obaleniem zarzutów stawianych Byrdowi.

Zarzuty te były oparte głównie na przypadkowych zezna-  
niach, jakie Lionel Byrd złożył śledczemu Crimmensowi w obec-  
ności jego ówczesnego partnera, niejakiego Nicky'ego Munoz.  
Tenże fakt świadczył sam za siebie. Wobec groźby oskarżenia o  
brutalne zabójstwo oraz zeznań świadków, którzy widzieli go w  
towarzystwie ofiary, Crimmensowi udało się przekonać Byrda,  
że grozi mu dożywocie i może liczyć na złagodzenie kary tylko w  
wypadku przyznania się do winy. Kiedy Levy przesłuchał taśmę  
z nagraniem tego przesłuchania, stało się jasne, że Byrd nie znał  
żadnych szczegółów dotyczących zbrodni; to Crimmens przed-  
stawił mu informacje, które później miały stać się podstawą  
oskarżenia, co Byrd ostatecznie zdemaskował, chociaż nie mógł  
już powstrzymać biegu zdarzeń. Jego zeznania oraz przedsta-  
wione przez policję dowody były wystarczające, żeby oskarżyć go  
o popełnienie morderstwa.

Levy przekonał mnie, że Byrd został sprowokowany przez  
policję do złożenia tych zeznań. Przekonał także sędziego, który  
zagroził wyeliminowaniem zeznań z materiału dowodowego.  
Osiem dni później dotarłem do zapisu wideo przedstawiającego  
Byrda w lokalu Two Worlds Lounge w Hollywood dokładnie w  
tym czasie, kiedy Yvonne Bennett została zamordowana dwa-  
dzieścia sześć kilometrów dalej. Levy, barman z kawiarni będący  
głównym świadkiem oskarżenia oraz prokurator i ja

spotkaliśmy się trzy dni później w gabinecie sędziego, gdzie, pod wyraźnym naciskiem sędziego pragnącego uniknąć jawnego skandalu, zastępca prokuratora okręgowego zgodził się ostatecznie wycofać oskarżenie.

W moich aktach nie było niczego, co by podsyciło moje własne wątpliwości. Nie było też niczego, co by obudziło wyrzuty sumienia. Naprawdę nie trzeba było Sherlocka Holmesa, żeby rozwikłać tę sprawę.

Pike złożył przeczytane notatki, wyrównał kartki i zapytał:

- Jak to się stało, że to ty odkryłeś demaskujący zapis wideo, a nie Crimmens z Munozem? Dysponowali przecież tymi samymi informacjami.

- Crimmens dysponował obciążającymi zeznaniami, więc nie chciało mu się szukać dalej. Zebraliśmy listę lokali, w których Byrd, jak sam przysięgał, był tamtego wieczoru, lecz nie wszystkie nazwy mógł sobie przypomnieć. Musieliśmy sami identyfikować te lokale na podstawie jego opisów.

- Jasne.

- I we wszystkich udało się znaleźć świadków jego pobytu, poza tym ostatnim. Twierdził, że wpadł jeszcze na jednego do małego barku azjatyckiego wykończonego w bambusie. Wszyscy, w tym także ja, zakładaliśmy więc, że chodziło o bar w Silver Lake.

- Ale było inaczej?

- Owszem. Znaleźliśmy bar odpowiadający jego opisowi, ale jednak niepewny. Był to bowiem barek lesbijski. Mały, azjatycki, zastawiony bambusowymi mebelkami i chyba jedyny odpowiadający jego opisowi, ale tamtejsza obsługa nie potwierdziła jego obecności owego wieczoru. Pozornie był to argument przemawiający za oskarżeniami Crimmensa, lecz wyszła na jaw pewna luka. Otóż Byrd powiedział Crimmensowi, że pokłócił się z barmanem, który nie chciał nalać mu szklaneczki. W utrwalonych na taśmie zeznaniach nazwał tego barmana kutasem.

- Aha.

- Tymczasem barmanem była tam kobieta. Wszystkie inne lokale udało się wyeliminować, stąd też pomyłka co do płci barmana dała mi sporo do myślenia. Byrd w tamtym czasie mieszkał w Hollywood, zacząłem się więc rozglądać w pobliżu jego mieszkania. I wtedy właśnie natknąłem się na ten bar przy skrzyżowaniu Santa Monica i Sunset. Właściciel chciał mu nadać alaskijski charakter, za barem stały sztuczne drążki tote-mowe, które mogły uchodzić za azjatyckie posążki tiki.

Kaseta z zapisem wideo z kamery bezpieczeństwa nie została skasowana, szybko odnalazłem więc w nagraniu Byrda, który wpadł tu na ostatniego drinka. Zatem był w Hollywood w tym czasie, kiedy zamordowano Yvonne Bennett. Sędzia sam to przyznał. Podobnie prokurator. Wszyscy. Właśnie z tego powodu oskarżenie zostało wycofane.

Możliwe, że wciąż próbowałem przekonać sam siebie, lecz nadal nie widziałem luki w tym rozumowaniu. Nie wyobrażałem sobie, żeby to Lionel Byrd mógł popełnić tamtą zbrodnię. I nie rozumiałem, z jakiego powodu Bastilla była aż tak pewna, że jednak to zrobił.

- A co z pozostałymi zabójstwami?

- Przeświewałem życie tego faceta przez osiem dni. Znałem całą jego kartotekę. Wiedziałem o nim wszystko. Nic nie wskazywało na to, żeby mógł być zabójcą czy też miał coś wspólnego z mordercą.

Pike odłożył moje akta.

- Więc dlaczego policja teraz utrzymuje, że był?

Wstałem, żeby nalać sobie wody mineralnej, i wyjrzałem przez balkon w poszukiwaniu pożaru, o którym Joe wcześniej Wspomniał, ale nigdzie go już nie było widać. Najwyraźniej strażacy ostro przystąpili do akcji i zdążyli go ugasić. To najlepszy sposób walki z ogniem. Trzeba go zdusić w zarodku. Wróciłem do biurka.

- Nie pojechałbyś do Raya beze mnie? Chciałbym się skontaktować z Levym.

- Mogę poczekać.

Odnalazłem w palmtopie numer adwokata i wybrałem go szybko. Nie rozmawiałem z Alanem Levym prawie od trzech lat, lecz jego asystent od razu rozpoznał moje nazwisko.

- Alan jest w sądzie, ale kazał mi zachować czujność w tej sprawie. Nie jestem pewien, czy będzie mógł rozmawiać, wie jednak, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Zechciałby pan zacząć, aż się z nim połączę?

- Zaczekam.

Pike stał jak wmurowany, toteż zakryłem mikrofon słuchawki.

- Na nic nie trzeba czekać. Niedługo będę na miejscu i zostanę tam przez jakiś czas.

Pike nadal stał bez ruchu. Niespodziewanie z głośnika popłynął głos Levy'ego.

- Słyszałeś już o Lionelu Byrdzie?

- Właśnie para detektywów poinformowała mnie, że Byrd prawdopodobnie zamordował siedem kobiet, w tym także Yvonne Bennett. Czy to prawda?

- Do mnie dzwoniła dziś rano Leslie Pinckert z sekcji przestępczości rozbójniczej. Rozmawiałaś z nią?

- Nie. U mnie była detektyw Bastilla. A towarzyszył jej Crimmens. Powiedzieli, że znaleźli jakiś niezbity dowód pozwalający obciążać Byrda tymi siedmioma zabójstwami, ale nie chcieli zdradzić, co to jest.

- Zaczekaj chwilę...

Doleciały mnie stłumione głosy rozmowy prowadzonej na drugim końcu linii. Wkrótce Levy odezwał się ponownie.

- Byrd zbierał zdjęcia swoich ofiar w czymś w rodzaju pamiątkowego albumu. Nic więcej na razie nie wiem. Policja nie chce ujawniać żadnych szczegółów do czasu przedstawienia sprawy opinii publicznej.

- Ten pieprzony Crimmens powiedział, że mam na sumieniu dwie ostatnie ofiary. I nie ukrywał, że nie zamierza się ze mną patyczkować. Dlatego muszę znać całą prawdę o tym albumie, Alan.

- Na razie spokojnie czekaj.  
- Zażądali dostępu do moich akt.  
- Tak, wiem. Dałeś im coś?  
- Nie, musiałem najpierw porozmawiać z tobą. Uznałem, że przysługuje ci ten przywilej.

- Czy jesteś w posiadaniu czegokolwiek, czego nie skopiowałeś i mi nie przekazałeś?

- Pewnie jest kilka notatek bez znaczenia, którymi nie chciałem ci zaśmiecać dokumentów.

- W porządku. Zbierz to wszystko, spotkamy się jutro. Chcę iść na pełną współpracę z zespołem dochodzeniowym, ale wcześniej wolałbym jeszcze przejrzeć te papiery.

- Czy w albumie Byrda było także zdjęcie Bennett? Pincert wspominała coś o tym?

Levy się zawahał, w zapadłej ciszy słychać było w tle tubalny głos sędziego.

- Pincert obiecała zadzwonić jeszcze raz dzisiaj wieczorem, kiedy będzie miała już swobodę rozmawiania o szczegółach. A my porozmawiamy jutro.

Przerwał połączenie.

Pike wciąż wpatrywał się we mnie.

- I co powiedział?  
- Jego zdaniem policja będzie trzymać wszystko w tajemnicy, dopóki nie znajdzie sposobu na rozwikłanie tej sprawy.

- Patrowanie kanionu jest w gestii komendy z Hollywood. Jeśli trup faceta został odnaleziony w Laurel Canyon, Poitras musi coś o tym wiedzieć.

Lou Poitras był porucznikiem pełniącym obowiązki dowódcy wydziału dochodzeniowego komendy w Hollywood. A ponadto

naszym przyjacielem. Rzeczywiście, jeśli pojawiły się jakieś wątpliwości co do przyczyny śmierci denata znalezionej w Laurel Canyon, podlegli mu detektywi powinni przynajmniej obejrzeć miejsce zdarzenia, zanim na scenę wkroczyła Bastilla ze swoimi ludźmi ze specjalnego zespołu dochodzeniowego.

Od razu zadzwoniłem do jego biura. Odebrał sierżant o nazwisku Griggs, z którym się znaliśmy prawie tak samo długo jak i z jego szefem.

- Wydział zabójstw, biuro porucznika Poitrasa.
- To ja. Zastałem go?
- Tak, jest u siebie. Niektórzy z nas muszą zarabiać na życie.
- Masz rację, Griggs. A cała reszta może sobie służyć w policji.
- Wal się.

Odłożył słuchawkę.

Wybrałem drugi raz ten sam numer i teraz odebrał już Poitras.

- Znowu znęcasz się nad moim sierżantem?
- Czy twoi ludzie oglądali miejsce domniemanego samobójstwa niejakiego Lionela Byrda w Laurel Canyon?

Jego swobodny ton w jednej chwili zniknął, jakby ktoś go przestawił na inną falę.

- A ty skąd o tym wiesz?
- Właśnie wyszła z mojego biura niejaka Connie Bastilla. Powiedziała tylko, że znaleźliście przy zwłokach Byrda coś, co pozwala go łączyć z siedmioma zabójstwami.

Poitras się zawahał.

- Niby dlaczego Bastilla miałaby ci o tym mówić?
- Byrd stawał przed sądem pod zarzutem zabójstwa niejakiej Yvonne Bennett. Dostałem wtedy zlecenie jego obrony. To ja odszukałem dowody, dzięki którym wyszedł na wolność.

Tym razem Poitras milczał jeszcze dłużej. Wreszcie bąknął:

- A niech to...

- Co tam znaleźliście?
- Nie wiem, co mógłbym ci powiedzieć.
- Mam rozumieć, że nic nie powiesz?
- Masz rozumieć, że nie mam pojęcia, co tam znaleźli.

Znasz Bobby'ego McQue'a?

Bobby McQue był starszym detektywem w jego wydziale.

- Tak.
- Bobby wziął tę sprawę, ale komenda śródmiejska wkroczyła do akcji, jak tylko się okazało, że może to być przypadek seryjnego zabójcy. Całkiem nas wyeliminowali.

- Więc co takiego znalazł McQue, zanim was wyeliminowali? Zrozum, Lou, muszę wiedzieć, czy to naprawdę są niezbite dowody winy tego człowieka. Na razie czuję się jak w gęstej mgle.

Poitras nie odpowiedział.

- Jesteś tam, Lou?

Nad moim ramieniem Pike odezwał się na tyle głośno, żeby porucznik go słyszał:

- Powiedz Poitrasowi, żeby wziął się w garść.
- Czy to Pike?
- Tak. Był u mnie, kiedy zjawiała się Bastilla.

Poitras nie znosił Pike'a. Chyba nikt z policji Los Angeles go nie lubił. Bo kiedyś był jednym z nich.

Porucznik westchnął głośno.

- Dobra, słuchaj. Dowódca zespołu specjalnego organizuje wizję lokalną przed wieczorną konferencją prasową, więc po południu będę z nim. Jeśli chcesz pogadać, przyjedź teraz na miejsce zdarzenia. Wspólnie je obejdzimy.

Podyktował mi adres.

- Nie będziemy mieli zbyt dużo czasu, więc lepiej się pośpiesz.

- Jasne.

Odłożył słuchawkę.

- Pozwoli mi obejrzeć dom Byrda.

- Ale na pewno nie będzie chciał mnie tam widzieć - powiedział Joe.

- Chcę się tylko przekonać, co tam znaleźli. Nie będziesz mi potrzebny.

Poruszył się pierwszy raz od czasu wyjścia Crimmens i Bastilli. Może wstałem zza biurka odrobinę za szybko, a może mówiłem trochę zanadto podniesionym głosem. W każdym razie położył mi dłoń na ramieniu.

- Na pewno nie pomyliłeś się trzy lata temu?

- Na pewno.

- Zatem nadal masz rację. Nie musisz czuć się winny śmierci tych dwóch kobiet. Na pewno nie ty je zabiłeś. Nawet jeśli policja odnalazła niezbite dowody, nie jesteś winien ich śmierci.

Próbowałem odpowiedzieć zawadiackim uśmiechem.

- Pozdrów ode mnie Raya. Jeśli sytuacja będzie kiepska, powiadomię cię telefonicznie.

Pike wyszedł, ale ja nie ruszyłem od razu za nim. Wyszedłem na balkon i zaczerpnąłem kilka głębszych oddechów wysuszonego na pieprz skwarne powietrza. Musiałem zmrużyć oczy od blasku słońca, którego atomowy żar zwałił mi się na odsłonięte części ciała.

Wyobraziłem sobie śledczych zmuszonych do pracy w swoim wydziale na trzecim piętrze komendy w Hollywood, kiedy ten „diabelski wiatr” zaczyna przysyłać swoje transporty znad pustyni. Chociaż przybywa nimi powietrze niewiarygodnie suche i ostre, to jednak czyste, które spycha smog na południe, w stronę morza, i przeciera niebo do barwy krystalicznego błękitu. Rozedrgane od słonecznego żaru zalega grubymi warstwami niczym algi nad dnem oceanu, aż widziane przez nie miasto sprawia wrażenie połyskliwego. A wszystko jest najpiękniejsze dopiero wtedy, kiedy staje w ogniu.

*Puk, puk, przyszło mi do głowy, że powinieneś wiedzieć, że po tym, jak uwolniłeś faceta od zarzutów, zamordował jeszcze*



*dwie kobiety; ta wiadomość właśnie powinna trafić na pierwsze strony gazet, więc rodziny zabitych mogą już zalewać się łzami.*

Zamknąłem biuro i wyruszyłem na miejsce zdarzenia.

Telefon zadzwonił jeszcze, gdy byłem już w drzwiach, ale nie cofnąłem się, żeby odebrać.

### 3.

## *Starkey*

Detektyw sierżant Carol Starkey wsypała czwartą porcję cukru do swojej kawy. Pociągnęła łyk, ale kawa nadal była cierpka. Używała dużego czarnego kubka zamówionego specjalnie dla wydziału zabójstw komendy w Hollywood, dostała go przed trzema tygodniami od Charliego Griggsa jako prezent powitalny w zespole. Miał z boku wymalowany numer 187, będący w policy Los Angeles kodowym oznaczeniem zabójstwa, a poniżej motto: NASZ DZIEŃ SIĘ ZACZYNA, KIEDY TWÓJ SIĘ KOŃCZY. Dosypała piątą torebkę cukru. Od czasu, gdy przestała pić, jej organizm odznaczał się niezaspokojonym apetytem na cukier, toteż wszystko mocno słodziła. Pociągnęła kolejny łyk. Kawa nadal była cierpka.

Clare Olney, który także nie wyobrażał sobie życia bez kawy, popatrzył na nią z troską w oczach i powiedział:

- Lepiej uważaj, Carol, bo się nabawisz cukrzycy. Starkey wzruszyła ramionami.

- Żyje się raz.

Clare również nalał sobie kawy, ale pił gorzką, bez mleczka. Był tęgawym mężczyzną o błyszczącej łysinie i serdelkowatych palcach. Używał małego białego kubeczka z dziecięcym

rysunkiem przedstawiającym tatusia z dziewczynką. Napis na nim, wykonany radośnie różowymi literami, głosił: NAJWSPANIALSZY TATA ŚWIATA.

- Podoba ci się w wydziale zabójstw, Carol? Zaznajomiłaś się już z naszą robotą.

- Owszem. Podoba mi się.

Ale w rzeczywistości po trzech tygodniach służby wcale nie była pewna, czy jej się tu podoba. Często zmieniała sekcje i wydziały w swej dotychczasowej karierze. Wcześniej pracowała w sekcji do spraw nieletnich, sekcji spisków przestępczych i w oddziale saperkim. Tam czuła się najlepiej, tyle że nie było już dla niej drogi powrotu do saperów.

Clare pociągnął łyk kawy, spoglądając na nią w zamyśleniu znad krawędzi kubka. Najwyraźniej przymierzał się do zasadniczego pytania. W końcu wcześniej czy później wszyscy ją o to pytali.

- To zupełnie coś innego niż służba w oddziale saperów. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, jak mogłaś się zajmować rozbieraniem bomb.

- To nic wielkiego, Clare. Statystycznie służba patrolowa jest o wiele bardziej niebezpieczna.

Zachichotał teatralnie. Był sympatycznym, przyjaźnie nastawionym gliniarzem, lecz Carol zawsze potrafiła wyczuć nienaturalność w czymś śmiechu. Ludzie śmiali się w ten sposób, kiedy nie czuli się zbyt pewnie.

- No cóż, ty masz prawo mówić, że to nic wielkiego, ale ja nie miałbym odwagi nawet zbliżyć się do jakiejś bomby, a co dopiero podejść do niej na spokojnie i próbować ją rozbroić. Pewnie zwiewałbym, gdzie pieprz rośnie.

Kiedy Starkey była techniczką w policyjnej brygadzie saperów, wielokrotnie podchodziła spokojnie do różnych bomb. W sumie rozbroiła ponad sto różnych ładunków takiego czy innego rodzaju, zawsze do końca zachowując panowanie nad sobą i

swoimi czynami. Właśnie to jej się najbardziej podobało w tamtej służbie. Była zależna wyłącznie od siebie i konstruktora bomby. A już na pewno do samego końca kontrolowała swoje działania, więc tylko od niej zależało, kiedy ładunek eksploduje. Tylko jedna bomba wymknęła jej się spod kontroli.

- Coś mi się zdaje, Clare, że chcesz mnie o coś zapytać - odezwała się.

Poczuł się nieswojo i zrobił zboląłą minę.

- Nie, ja tylko...

- Nie krępuj się. Mogę o tym swobodnie rozmawiać.

Nieprawda, nadal nie mogła, tylko zawsze robiła dobrą minę do złej gry.

Clare odezwał się niepewnie:

- Chciałem tylko...

- Zdrowo mi się dostało. Na miłość boską, akurat w takiej chwili musiało dojść do trzęsienia ziemi. Możesz to sobie w ogóle wyobrazić? Wystarczył drobny wstrząs i to cholerstwo eksplodowało. Nawet jeśli o wszystkim pomyślisz i z każdej strony się zabezpieczysz, zawsze może zdarzyć się coś nieprzewidywalnego.

Uśmiechnęła się. Naprawdę lubiła Clarea Olneya, podobały jej się rodzinne zdjęcia, które trzymał na biurku.

- Wtedy zginęłam. Ta bomba na parkingu mnie po prostu wyzerowała. Uśmierciła na dobre.

Clare Olney odprowadził ją uważnym spojrzeniem, gdy poszła do ekspresu, żeby dolać sobie kawy. Żałowała, że nie może w takiej chwili zapalić. Wypalała dwie paczki papierosów dziennie, a i tak się ograniczała, bo kiedyś były to cztery paczki.

- Sanitariusze poskładali mnie do kupy. Niewiele brakowało, co nie?

- Rety... Strasznie mi przykro, Carol. Cholera... Bo niby co innego miałbym teraz powiedzieć, jak nie cholera...

- Niczego więcej nie pamiętam poza tym, że się ocknęłam, gdy sanitariusze pochyłali się nade mną. Pamiętam też późniejszy pobyt w szpitalu. I to wszystko.

- Cholera...

- Ale za nic nie wsiadłabym do wozu patrolowego. Odpada. Tak dzień po dniu... Już mówiłam, że to bardziej niebezpieczne niż służba w brygadzie saperów.

- Cóż, chciałbym, żebyś podobnie myślała o służbie w wydziale zabójstw. Gdybym mógł ci w czymś pomóc...

- Dzięki. To bardzo miłe z twojej strony.

Uśmiechnęła się przyjaźnie, po czym wróciła do biurka, zadowolona, że kwestię wybuchu tamtej bomby ma wreszcie z głowy. Co prawda była nowicjuską w tutejszym wydziale, lecz przecież nie po raz pierwszy przypadała jej w udziale ta rola. A o wybuchu wszyscy i tak mówili za jej plecami, choć zwykle musiało minąć parę tygodni, zanim ktoś odważył się ją o to zapytać. *To ty jesteś tą techniczką z brygady saperów, która wyleciała z bombą w powietrze? Naprawdę wtedy zginęłaś? Jak to jest, kiedy człowiek przenosi się na tamten świat?* Po prostu tak, jakby się było trupem, do diabła.

Wiedziała, że Clare podzieli się z kolegami tym, co od niej usłyszał, miała więc nadzieję, że cała reszta prędzej nabierze śmiałości.

Usiadła przy biurku i wróciła do przeglądania podręczników na temat pracy śledczej; odebrała ich całkiem pokaźny stosik. Wkrótce miała dostać swoją pierwszą sprawę. Do tej pory tylko asystowała takim weteranom, jak Linda Brown czy Bobby McQue. Brown była od niej niewiele starsza, ale przewyższała ją stopniem i mogła się pochwalić dziewięcioletnim stażem. McQue miał za sobą dwadzieścia osiem lat służby, w tym dwadzieścia trzy w wydziale zabójstw, i w kółko mówił o przejściu na emeryturę, jak tylko zaliczy trzydzieści lat w policji. W tutejszej

komendzie pary śledczych zmieniały się rotacyjnie według rozkazów Poitrasa.

Brown i McQue podrzucili jej po kilka teczek z aktami z prowadzonych przez siebie spraw, jakby na uzupełnienie lektury podręczników. Miała obowiązek zapoznać się ze szczegółami prowadzonych dochodzeń i przejąć w ich ramach takie zadania jak dołączanie napływających raportów i notatek oraz klasyfikowanie informacji. Dostała więc tyle do czytania, że oczy ją już bolały, a im dłużej ślęczała nad papierami, tym bardziej chciało jej się palić. Wymykała się na parking od piętnastu do dwudziestu razy dziennie, przez co już zwróciła na siebie uwagę Griggsa. *Jezu, Starkey, śmierdzi od ciebie jak z popielniczki.*

Wal się, Griggs.

Sięgnęła właśnie do torebki po papierosa, szykując się do trzeciego tego dnia wyskoku na parking, kiedy ze swojego biura wyszedł porucznik Poitras. Wydawał jej się olbrzymem. Sukinsyn tak sobie napompował bicepsy podnoszeniem ciężarów, że wyglądały jak baloniaste koła wozu terenowego.

Omiótł spojrzeniem całą salę, po czym zapytał tubalnym głosem:

- Gdzie jest Bobby? Czyżby McQue miał dzisiaj wolne?

Nikt nie odpowiadał, toteż Starkey odezwała się nieśmiało:

- To dzień rozpraw sądowych, szefie. Pewnie już siedzi w śródmieściu.

Poitras zapatrzył się na nią.

- Byłaś razem z Bobbym w tamtym domu w Laurel Canyon, prawda?

- Tak jest.

- No to się zbieraj. Pojedziesz ze mną.

Starkey schowała papierosa z powrotem do pudełka, wrzuciła je do torebki i ruszyła za porucznikiem na parking.

## 4.

Kiedy skręciłem z Laurel Canyon w stronę szczytu Góry Widokowej, promienie przedpołudniowego słońca rozpoczęły swój taniec pomiędzy sykomorami a trzydziestometrowymi eukaliptusami. Mimo dającego się już we znaki upału minąłem po drodze kobietę z dziećmi na trójkołowych rowerkach, kilku mężczyzn w średnim wieku z ospałymi psami na smyczy oraz gromadkę uczniów ćwiczących na deskach i łyżworolkach ewolucje na specjalnie przygotowanym placu przy szkole. Mimo woli zadawałem sobie w duchu pytanie, czy ktokolwiek z nich słyszał o tragicznym znalezisku w domu na szczycie wzgórza, a jeśli tak, to jak na nie zareagował. Blisko ze sobą zaprzyjaźnieni, dobrze sytuowani mieszkańcy tego osiedla mieli już na swym koncie jedną mroczną historię przedstawioną jako „chłodnicze ranczo” przez Roberta Mitchuma grającego rolę niesławnego Johna „Johnny’ego Wadda” Holmesa w odcinku *Four on the Floor* serialu *Wonderland Murders*, dotyczącym działalności bandy Charliego Mansona w środowisku rockmanów lat sześćdziesiątych. Kiedy jechałem tamtędy pośród skupisk drzew, między którymi zalegały głębokie cienie, wciąż czułem swąd niedawnego pożaru przebijający się przez zapach kwitnącego dzikiego kopru.

Adres, który podał mi Lou, zaprowadził mnie w wąską uliczkę o nazwie Anson Lane wrzynającą się w głąb wąwozu rozcinającego grzbiet wzgórza. W połowie jej długości stał radiowóz, a tuż za nim granatowy crown victoria. Poitras, znana mi detektyw Carol Starkey oraz dwóch mundurowych gliniarzy z patrolu stali pośrodku jezdni. Wiedziałem, że Starkey pracowała w wydziale zabójstw dopiero od kilku tygodni, toteż zaskoczył mnie jej widok.

Zaparkowałem za granatowym fordem, wysiadłem i podszedłem do nich.

- Cześć, Lou. Czyżbyś pełniła rolę kierowcy, Starkey?
- Zastrzeliłam Griggsa, żeby dostać tę robotę.

Poitras nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Zostawcie sobie takie pogaduszki na kiedy indziej. Starkey przyjechała tu z Bobbym, kiedy patrol zgłosił odkrycie zwłok. We dwoje zabezpieczali miejsce zbrodni, dopóki zespół specjalny nie zabrał nam tej sprawy.

- Czyli tylko przez półtora dnia. Kutasy.

Poitras zmarszczył brwi.

- Spróbujmy się nie wyrażać, dobrze?
- Przepraszam, szefie.

Porucznik wskazał palcem dom.

- Jak chcesz zobaczyć, co tu znaleźliśmy, to chodźmy.

Był to nieduży dom w stylu śródziemnomorskim pokryty czerwoną falistą dachówką grubo zasłaną suchymi liśćmi i sosnowymi igłami. Stał na wąskiej i długiej działce, toteż część pomieszczeń znajdowała się ponad małym garażem na jeden samochód. W skrzydle jego drzwi widniała poszarpana dziura świadcząca o tym, że policja wyrwała mocowanie skobla, żeby się dostać do środka. Przy ścianie garażu znajdowały się wytarte schody prowadzące na niewielką zadaszoną werandę. Prowadzący dołem chodnik z potrzaskanych płyt niknął pod zwieszającymi się nisko konarami wybudowanego cedru. Przy rogu garażu pozostał tylko węzeł policyjnej taśmy ograniczającej dostęp do miejsca zbrodni, pozostawiony przez kogoś działającego chyba w pośpiechu.

Poitras skrzywił się boleśnie, zerkając na ten dom, jakby było to ostatnie miejsce na ziemi, które chciałby w takiej chwili odwiedzić.

- Starkey opisze ci miejsce znalezienia zwłok, bo nie mamy dostępu ani do raportu kryminalistycznego, ani do akt zespołu prowadzącego dochodzenie, który zabrał nam wszystkie papiery.

- W porządku. Wystarczy mi ustna relacja.

- Sprawa jest cholernie gorąca, zainteresował się nią sam prokurator stanowy.

- Tym bardziej doceniam twoją życzliwość, Lou. Wielkie dzięki. Dla ciebie też, Starkey.

Poitras zdjął marynarkę i przerzucił ją przez ramię. Ruszyliśmy wszyscy za nim.

Wejście na werandę przypominało wkraczanie do rozgrzanego pieca. W pokoju uwagę zwracał wielki, wypakowany gąbką fotel zepchnięty w ciasny kąt między powycieraną kanapą a stolikiem. Zerwano z niego duże fragmenty pokrycia z oparcia i podłokietników, toteż odsłonięta żółta tkanina podszewkowa rzucała się w oczy, kontrastując z resztkami poplamionego materiału obciowego. Ciemne plamy to prawdopodobnie była krew. Na kontaktach, klamkach i gałce po wewnętrznej stronie drzwi frontowych ciemniały smugi grafitu rozpylonego przez technika zbierającego odciski palców. Takie same smugi szpeciły słuchawkę telefonu i krawędzie stolika. Starkey pospiesznie wyskoczyła z zakietu, a Poitras podwinął rękawy koszuli.

- Cholera. Tu ciągle strasznie cuchnie - mruknęła.

- Opowiedz mi, co tu zastaliście.

Starkey zerknęła na mnie z ukosa, jakby nie była pewna, ile może powiedzieć.

- Znałeś tego faceta, prawda?

- Nie, nie znałem go. Pracowałem na zlecenie jego adwokata.

Jej pytanie miało służyć jedynie wyrażeniu sugestii, że byliśmy przyjaciółmi, przez co natychmiast poczułem się nieswojo.

- Opisz miejsce zbrodni, na miłość boską - syknął Poitras.  
- Chciałbym jak najszybciej stąd wyjść.

Starkey wyszła na środek pokoju i wskazała podłogę przed sobą.

- Fotel stał tutaj, a nie przy kanapie. Po zabraniu ciała chłopcy z dochodzeniówki przesunęli go w kąt. Facet siedział w



tym fotelu, z głową odchyloną do tyłu i rewolwerem w prawej dłoni...

Wyciągnęła przed siebie rękę, wskazując palcami rozmiar broni.

- ...małym taurusem kalibru 11.3 milimetra.
- Fotel był na środku pokoju?
- Tak. Na wprost telewizora. Na podłodze obok stała butelka po dżinie Seagram, więc facet prawdopodobnie dawał sobie w gaz. Jak tylko Bobby go zobaczył, z daleka orzekł, że musiał się zabić przed tygodniem. Smród w pokoju był nie do wytrzymania.

- Ile oddał strzałów?

Poitras zaśmiał się krótko i zrobił dwa kroki w stronę wyjścia.

- Myślisz, że miał okazję przeładować i poprawić?
- Tylko jeden - odparła Starkey. - Strzelił sobie pod brodę. Nawet nie było dużo krwi, tylko trochę na podłodze i tu, na suficie. - Wskazała dużą nieregularną plamę na parkiecie oraz niewielki ślad rozmiarów ćwierćdolarówki nad głową, który wyglądał jak pluskwa.

- Śledczy z biura koronera już przysłał swój raport dotyczący zwłok i użytej broni - odezwał się od drzwi Poitras. Na jego czole perliły się grube krople potu, które ściekały mu po skroniach i policzkach. - Rozkład plam krwi w pokoju potwierdza, że przyczyną śmierci było samobójstwo. Nie czytałem samego raportu, ale usłyszałem taką opinię z jego ust, kiedy oprowadzałem go po miejscu zdarzenia.

Starkey energicznie kiwała głową, ale nie miała odwagi przerwać porucznikowi. Próbowałem sobie wyobrazić zwłoki Lionela Byrda leżące bezwładnie w fotelu, ale była to iluzja mętna i nieprzekonująca. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, jak wyglądał. Widziałem go tylko raz, na nagraniu wideo zrobionym podczas składania zeznań na komendzie policji.

Spojrzałem przez okno na sąsiednie zabudowania. Z werandy świetnie było widać dom naprzeciwko, pokryty czarno-białą dachówką. W oknie na piętrze stała jakaś kobieta i spoglądała na radiowóz zaparkowany na ulicy. Musiała się czuć bezpiecznie w klimatyzowanym wnętrzu.

- Nikt nie słyszał wystrzału?

- Nie zapominaj, że gdy znaleźliśmy zwłoki, facet nie żył już od tygodnia - odrzekła Starkey. - W każdym razie nikt nie dzwonił na policję i nikt z sąsiedztwa nie mógł sobie przypomnieć niczego szczególnego z dnia, w którym facet się zabił. Ze względu na upał wszyscy mieli zapewne szczelnie zamknięte okna.

- Powiedz mu o zdjęciach - wtrącił Poitras.

Starkey, która dotąd patrzyła na mnie z zaciekawieniem, wbiła wzrok w podłogę. Najwyraźniej poczuła się nieswojo.

- Zrobił sobie album ze zdjęciami ofiar wykonanymi polaroidem. Było tam siedem kartek, na każdej znajdowały się zdjęcia innej ofiary. Początkowo myśleliśmy, że to fotomontaż. Jak się widzi coś takiego, pierwsza myśl jest taka, że to muszą być zdjęcia upozowane, w końcu nieraz różne gwiazdki porno robią sesje, na których udają trupy. Nabraliśmy obaw, że zdjęcia mogą być prawdziwe, kiedy Bobby rozpoznał jedną z ofiar. Cały ten album był po prostu kurewsko obrzydliwy.

- Mieliśmy się nie wyrażać.

- Gdzie go znaleźliście? - zapytałem pospiesznie.

- Na podłodze u jego stóp.

Starkey przykucnęła i odchyliła się do tyłu, jakby siedziała w fotelu, po czym wyciągnęła rękę w kierunku czubka swojego lewego buta.

- Jakoś tak. Wyglądało na to, że zsunął mu się z kolan, kiedy wybrał drogę na tamten świat... - Nagle uniosła głowę. - Miał tylko jedną stopę. Druga noga była poważnie okaleczona.

Lionel Byrd stracił połowę prawej stopy w wypadku, do jakiego doszło w warsztacie samochodowym, kiedy miał

dwadzieścia cztery lata. Dopiero teraz przypomniałem sobie, że Levy mi o tym opowiadał. Na podstawie ugody z firmą ubezpieczeniową Byrd dostawał od tamtego czasu skromną rentę, która zapewniała mu utrzymanie do końca życia.

- To Bobby poskładał wszystko do kupy - odezwał się Poitras. - Jedną z ofiar była prostytutka, niejaka Chelsea Ann Morrow, którą znał. Kiedy ją rozpoznał na zdjęciu, rozesłał kopie pozostałych do innych komend i zaraz zaczęły napływać meldunki o rozpoznaniu zwłok. Właśnie wtedy do akcji wkroczył zespół specjalny. Jeszcze tego samego popołudnia odebrał nam sprawę.

Zapatrzyłem się na podłogę, jakbym rzeczywiście widział leżący na niej album ze zdjęciami. Chyba przeze mnie Starkey także utkwiała wzrok w parkiecie, jakby i ona wciąż go widziała.

- Nie zostawił listu pożegnalnego.

- Nie.

Spojrzałem na Carol.

- Więc znaleźliście tylko ten album ze zdjęciami?

- Do tego aparat i kilka pudełek papierów do polaroida. No i paczkę amunicji do rewolweru. Jeśli chłopcy z zespołu specjalnego znaleźli coś jeszcze, to ja nic o tym nie wiem.

- Zdjęcia nie oznaczają jeszcze, że to on zamordował te wszystkie kobiety. Mógł je kupić choćby na eBay-u. Nie da się wykluczyć, że były to zdjęcia z archiwum kogoś ze śledczych z biura koronera.

Poitras przez chwilę spoglądał na mnie z ukosa, wreszcie wzruszył ramionami.

- I co miałbym ci powiedzieć? Nasi geniusze z komendy głównej doszli do wniosku, że ten, kto je zrobił, musi być odpowiedzialny za śmierć tych kobiet.

Odniosłem wrażenie, że grafitowe smugi po zbieraniu odcisków palców zaczęły się nagle przesuwają. Były jeszcze gorsze od

karaluchów, bo wyglądały jak skupiska rojących się małych pajęczków.

- Mogę go zobaczyć?
- Co?
- Album.
- Zabrali go ci z komendy głównej.
- Nie macie nawet zdjęć z miejsca zdarzenia?
- Też je zabrali - odparła Starkey. - Nie zostawili nam niczego. Kazali sobie dostarczyć całą dokumentację, od wstępnych raportów po notatki z rozmów z sąsiadami. Absolutnie wszystko. Spadli na nas jak chmara szarańczy.

Przed domem trzasnęły drzwi samochodu, co zmusiło nas wszystkich do wyjścia na werandę. Z wozu patrolowego wysiadł właśnie starszy śledczy zespołu specjalnego wraz ze swoim asystentem. Obrzucił nas przenikliwym spojrzeniem. Odznaczał się szpakowatą krótką szczeciną na głowie, policzkami spalonymi słońcem i przyklejonym do warg odstraszającym grymasem.

- Cholera - syknął Poitras. - Przyjechali przed czasem.
- Kto to jest?
- Marx. Zastępca dowódcy specjalnego zespołu dochodzeniowego.

Starkey trąciła mnie łokciem.

- Miałeś stąd zniknąć przed ich przyjazdem.

Świetnie.

Poitras ruszył w kierunku schodów, żeby przywitać gości, ale Marx najwyraźniej nawet nie zamierzał mu podać ręki. Wbiegł na werandę i obrzucił go spojrzeniem niczym automat naprowadzający rakiety Sidewinder.

- Rozkazałem, żeby zabezpieczyć miejsce zdarzenia, poruczniku. Specjalnie zaznaczyłem, aby wszelkie prośby o dostęp były kierowane od razu do mojego biura.

- Szefie, przecież to Elvis Cole. Nie tylko mój serdeczny przyjaciel, lecz także detektyw zaangażowany w tę sprawę.

Marx i mnie nie uściśnął ręki. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle mnie nie zauważył.

- Wiem, kto to jest i w jaki sposób został zaangażowany w sprawę. To on nakłonił prokuratora okręgowego, żeby wycofał akt oskarżenia wobec tego mordercy.

Był wysokim, barczystym facetem, skóra na jego twarzy wydawała się mocno naciągnięta na kości czaszki. Skłonił głowę i obrzucił mnie spojrzeniem papugi obserwującej niezgrabnie poruszającego się żuka.

- Mnie również miło pana poznać - burknąłem.

Obejrzał się na Poitrasa, jakby mnie nie słyszał.

- Nie chcę tu występować tylko w roli nadzorca więźniów, poruczniku. Kazałem zatrzasnąć klapę, żeby nic nie przedostało się do prasy, dopóki nie powiadomimy najbliższych rodzin zabitych. A dwie z nich nadal nie wiedzą jeszcze o naszym odkryciu. Nie sądzi pan, że wystarczyło się już nacierpiały?

Poitras niemal zazgrzytał zębami.

- Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie barykady, szefie.

Marx zerknął na mnie i pokręcił głową.

- Chyba jednak nie. Dlatego proszę natychmiast go stąd zabrać, żebym mógł w spokoju obejrzeć to przekłete miejsce zdarzenia.

Zniknął w drzwiach domu, zostawiając Poitrasa gapiącego się za nim z niedowierzaniem.

- Jezu, Lou, strasznie mi przykro - mruknąłem.

- Szef zespołu jest poza miastem - wyjaśnił Poitras półgłosem. - Marx wykombinował, że jeśli uda mu się zamknąć tę sprawę do jego powrotu, przepchnie się do telewizji. Przykro mi, stary.

Starkey położyła mi rękę na ramieniu.

- Chodźmy.

Porucznik wszedł za Marksem z powrotem do domu, a my zeszedliśmy z werandy. Obaj mundurowi byli pogrążeni w rozmowie

z kierowcą Marksa, minęliśmy ich jednak i oddaliliśmy się na bezpieczną odległość. Gdy tylko stanęliśmy, Starkey wyciągnęła z kieszeni kurtki mundurowej papierosa.

- Cholerny dupek - mruknęła. - Traktuje nas w ten sposób już od tygodnia.

- Rzeczywiście ma dziś wieczorem wystąpić przed kamerami?

- Tak słyszałam. Podobno wczoraj wieczorem zakończyli wstępny etap dochodzenia.

- Wystarczył im tydzień na rozwikłanie siedmiu morderstw?

- Nawet nie wiesz, jaki to duży zespół, człowieku. Pracują na okrągło.

Przypaliła papierosa i wydmuchnęła gęstą smugę dymu w niebo. Lubilem ją. Była bystra i miała poczucie humoru. Dwa razy pomogła mi wybrnąć z bardzo trudnej sytuacji.

- Kiedy zamierzasz z tym wreszcie skończyć?

- Jak mnie zabiją. A kiedy ty zamierzasz zacząć?

Nie mówiłem? Naprawdę jest zabawna. Oboje skwitowaliśmy to uśmiechem, lecz jej szybko przerodził się w grymas i zniknął.

- Poitras mówił mi o sprawie Bennett. Podejrzewam, że czujesz się teraz podle.

- Na pewno jej zdjęcie też było w albumie?

Zaciągnęła się po raz drugi i wydmuchnęła dym ku górze.

- Tak, na pewno.

Obejrzałem się na dom. Dostrzegłem jakiś ruch na ocienionej werandzie, z daleka nie umiałem jednak powiedzieć, czy to Poitras, czy Marx.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Starkey.

Kiedy spojrzałem znowu na nią, przyglądała mi się z troską w oczach.

- Tak, nic mi nie jest.

- Ja na twoim miejscu pewnie... sama nie wiem... byłabym co najmniej oszołomiona.

- On nie mógł jej zabić. Dowiodłem tego przed sądem.

Wypuściła kolejny obłok dymu i trzymanym w dłoni papierosem powiodła szerokim gestem po okolicznych zabudowaniach.

- No cóż, nie miał tu, na osiedlu, żadnych znajomych. To nie ulega wątpliwości. Większość tutejszych mieszkańców w ogóle go nie znała, co najwyżej z widzenia, a ci, którzy zdążyli go poznać, nie utrzymywali z nim żadnych kontaktów. Podobno był strasznym palantem.

- A ja myślałem, że zespół specjalny całkiem wyrugował was z dochodzenia.

- Ale skorzystali z naszej pomocy w prowadzeniu wywiadów z ludźmi. Na przykład kobiecie z tego domu powiedział kiedyś, że ma dobrze umięśnioną dupę. I tak dalej. Kiedy inna sąsiadka spotkała go, gdy wyjmował listy ze skrzynki, usłyszała, że mogłaby zarobić parę dodatkowych groszy, gdyby wpadła do niego któregoś popołudnia.

Taki właśnie był Lionel Byrd.

- Zgadzam się, Starkey. Był pięprzonym palantem, ale nie zabił Yvonne Bennett. W to nie wierzę.

Zmarszczyła brwi, a po jej wargach przemknął tajemniczy uśmieszek.

- Ale z ciebie uparciuch.

- I przystojniak. Nie zapominaj o tym.

Mogłem jeszcze dodać, że w tej chwili bebechy mi się przewracały, wołałem jednak nie psuć wrażenia, jakie robiło określenie „przystojniak”.

Zaciągnęła się głęboko dymem z papierosa, po czym pstryknęła niedopałkiem w pomarszczoną rozłożystą agawę. Trwał sezon pożarów, wszędzie powtarzano ostrzeżenia, tymczasem ona nic sobie z tego nie robiła. Odciągnęła mnie jeszcze trochę od mundurowych z patrolu i powiedziała cicho:

- W porządku, słuchaj. Wiem o paru sprawach, o których Poitras nic nie wie. Zdradzę ci, jeśli mi obiecasz, że zachowasz to

-I w tajemnicy.

- Czyżbyś podejrzewała, że zacznę rozpowiadać o nich sąsiadom albo otworzę nowy temat dyskusyjny na swoim blogu?

- Facet, z którym służyłam w sekcji spisów przestępczych, wszedł w skład zespołu specjalnego. Przez cały tydzień był zajęty analizowaniem materiału, jaki zebraliśmy w tym domu. Pewnie ci się to nie spodoba, ale, jak mi powiedział w zaufaniu, nie ma wątpliwości, że to Byrd zamordował te wszystkie kobiety. Dodał, że są na to mocne dowody.

- Jakie?

- Tego nie wiem, ośle. Ale przyjaźnimy się, więc nie mam powodu mu nie wierzyć.

Ponownie złapała mnie za łokieć i pociągnęła w stronę wyłotu uliczki. Jeszcze bardziej ściszyła głos.

- Zmierzam do tego, Cole, że mogę go poprosić, aby ci wszystko wyjaśnił. Chcesz się z nim spotkać?

To było coś w rodzaju koła ratunkowego rzuconego na wzburzone morskie fale, lecz mimo to obejrzałem się na dom. Poitras stał w drzwiach. Zbierali się do wyjścia.

- Nie chciałbym, żebyś miała przeze mnie jakieś kłopoty.

- Daj spokój. Pieprzyć Marksa. Jak tylko wróci szef zespołu specjalnego, pewnie tak go skopie, że mu wybije drugą dziurę w dupie. Więc jak, chcesz się zobaczyć z moim znajomym czy nie?

- Chętnie z nim porozmawiam, Carol. Bardzo chętnie.

Kobieta mieszkająca naprzeciwko wciąż stała w oknie i obserwowała nas uważnie, gdy już stamtąd odjeżdżałem.

## 5.

Starkey umówiła mnie z Marcusem Lindo, detektywem z sekcji spisów przestępczych, który został czasowo oddelegowany do



pracy w specjalnym zespole dochodzeniowym. Ostrzegła, że jego wiedza jest ograniczona i niepełna, obiecała jednak, że postara się pomóc mi najlepiej, jak będzie umiał. Gdy tylko do niego zadzwoniłem, od razu stało się dla mnie jasne, że Lindo nie ma najmniejszej ochoty na rozmowę ze mną. Umówiliśmy się na spotkanie w barze Hop Louie w Chinatown, ostrzegł mnie jednak, że nawet się do mnie nie zbliży, jeśli zauważy w lokalu jakiegoś policjanta w cywilu. Wyglądało to tak, jakbyśmy mieli wzajemnie wymieniać się tajemnicami wojskowymi z okresu zimnej wojny.

Zjawił się dziesięć po trzeciej, trzymał pod pachą duży granatowy segregator. Był młodszy, niż się spodziewałem. Odznaczał się skórą w odcieniu espresso i rozbieganymi oczami, nosił okulary. Podszedł prosto do mnie i nie przedstawiając się nawet, rzucił:

- Zajmijmy stolik za przepierzeniem.

Położył segregator na stoliku, oparł na nim dłonie.

- Zanim zaczniemy, wyjaśnijmy coś sobie. Ta sprawa żadnym sposobem nie może się na mnie odbić. Mam wobec Starkey dług wdzięczności, lecz jeśli powiesz komukolwiek o naszej rozmowie, wyprę się wszystkiego i nazwę cię kłamcą, a to się zemści na niej. Rozumiemy się?

- Jasne. Godzę się na każde warunki.

Lindo był wyraźnie przestraszony i nawet specjalnie mu się nie dziwiłem. Kierujący obecnie specjalnym zespołem dochodzeniowym mógł w jednej chwili zniszczyć mu karierę.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, chciałbyś zobaczyć album ze zdjęciami pomordowanych. A co cię konkretnie interesuje?

- Trzy lata temu udowodniłem na sali sądowej, że Lionel Byrd nie zabił Yvonne Bennett. A teraz twierdzicie, że jednak to zrobił.

- Zgadza się. Zabił ją.

- Jak?

- Nie wiem jak, nie umiem na to odpowiedzieć. Podzieliliśmy całe dochodzenie między różne zespoły. Mój zajmuje się albumem oraz dowodami zebranymi w domu. Zespoły śledcze zbierają dane dotyczące poszczególnych ofiar. Mogę tylko opowiedzieć o albumie. To dzięki niemu wiemy, że facet popełnił siedem morderstw.

- Posiadanie zdjęć ofiar nie oznacza jeszcze, że to on zabił. Mógł je zrobić ktoś inny, obecny na miejscu zdarzenia.

- Raczej nie tego rodzaju...

Lindo otworzył segregator i obrócił go do mnie. Na pierwszej stronie znajdowała się cyfrowa fotografia przedstawiająca okładkę albumu na zdjęciu, z obrazkiem lekko zamglonej plaży o zachodzie słońca i strzelistych palm. Wytłoczone pod nim złote litery układały się w napis: *Moje cudowne wspomnienia*. Tego rodzaju album można było kupić w dowolnym supermarkecie. Składał się z usztywnionych plastikami arkuszy kartonu poprzedzielanych kawałkami przezroczystego tworzywa przywierającego do nich adhezyjnie. Po odchyleniu tego tworzywa wystarczyło ułożyć na kartonie fotografię i docisnąć przezroczysty plastik, który przytrzymał ją na karcie. Tylko ten napis na okładce sprawił, że dreszcz przeszedł mi po plecach. *Moje cudowne wspomnienia*.

- W sumie album składa się z dwunastu kart, ale pięć ostatnich jest niewykorzystanych. Spod przezroczystego plastiku wydobyliśmy różne włókna i włosy, później skopiowaliśmy wszystko i przekazaliśmy album do zbadania odcisków palców...

- Zaczął wskazywać paznokciem poszczególne kartki w segregatorze i wymieniać: - Przód okładki i tył okładki, część wewnętrzna przodu i tyłu okładki, siedem kart ze zdjęciami i pięć niewykorzystanych, dwadzieścia cztery arkusiki przezroczystego plastiku oraz siedem fotografii z polaroida. Wszystkie znalezione odciski palców, nawet te częściowe, zostawił jeden człowiek, Lionel Byrd. Wszystkie włókna pochodzą z jego kanapy. Trwa

jeszcze analiza DNA we włosach, ale wszystko wskazuje na to, że i ono będzie się zgadzało. Technicy kryminalistyki twierdzą, że pod mikroskopem włosy są na oko identyczne z pobranymi z przedramion Byrda.

- Kto zajmował się analizą kryminalistyczną?
- John Chen.
- To świetny specjalista. Znam go.

Lindo obrócił kartkę. Dalej znajdowała się kopia zdjęcia przedstawiającego szczupłą młodą kobietę o krótkich czarnych włosach i zapadniętych policzkach. Leżała na prawym boku, chyba na kafelkach podłogi jakiegoś ciemnego pomieszczenia albo korytarza. Widoczna w tyle ściana była jednolicie biała od błysku flesza polaroida. Lewy policzek kobieta miała rozcięty, jakby została brutalnie uderzona, od rany wąski krwawy ślad prowadził ku czubkowi nosa, skąd krew skapywała na podłogę. Na kafelkach ciemniały trzy purpurowe krople. Wokół szyi zabitej sznur czy może drut był zaciśnięty tak mocno, że niemal całkowicie zniknął w skórze. Pod odbitką ktoś zapisał imię i nazwisko ofiary, jej wiek, datę śmierci oraz numer pierwotnej sprawy dochodzeniowej.

Lindo wskazał zdjęcie palcem.

- To jego pierwsza ofiara, Sondra Frostokovich. Zwróć uwagę na to rozcięcie pod okiem. Zadał jej bardzo silny cios, żeby ją ogłuszyć. Ten sam element występuje u wszystkich ofiar. Wszystkie były najpierw ogłuszane, żeby nie mogły się bronić.

- Została zgwałcona?

- Z tego, co mi wiadomo, nie ma dowodów, by na którejkolwiek dokonano gwałtu. Powtarzam, że nie znam szczegółów poszczególnych spraw, ale ten gość nie traktował tego jak zabawy. Nie ma śladów gwałtu, tortur, fizycznego znęcania się, niczego w tym rodzaju. Pod tym względem zdjęcia mówią same za siebie. Przyjrzyj się... - Postukał palcem w czubek nosa kobiety

na fotografii. - Widzisz krople krwi skapujące z czubka nosa? Widać zaledwie trzy, w tym jedną nieco oddaloną od dwóch pozostałych. Porównaliśmy to ujęcie z analogicznym zrobionym przez śledczego z biura koronera. Na fotografii z akt widać kałużę krwi o średnicy dobrych czterdziestu centymetrów. Najwyraźniej twój klient uderzył ją w twarz, a następnie okrążył i uduślił od tyłu. Krew zaczęła skapywać zaraz po tym, jak ofiara znalazła się na ziemi, a obecność tylko trzech, najwyżej czterech kropli świadczy jednoznacznie, że minęło nie więcej niż dwadzieścia sekund do chwili zrobienia zdjęcia.

- Nie był moim klientem.

- Chcę podkreślić, że prawie na wszystkich fotografiach odnaleźliśmy tego typu odnośniki czasowe, które pozwalają stwierdzić, że zdjęcia zostały zrobione bardzo krótko po śmierci ofiar. To druga z zamordowanych kobiet, Janice Evansfield...

To zdjęcie przedstawiało Afroamerykankę z dreadami na głowie, która miała gardło poderżnięte tak głęboko, że głowa omal nie oddzieliła się od reszty ciała. Lindo wskazał widoczne na jej twarzy lekko rozmazane krwiste linie.

- Widzisz to? Nie mieliśmy pojęcia, co to jest, dopóki nie obejrzelśmy silnych cyfrowych powiększeń.

- Więc co to jest?

- Strugi krwi tryskającej z rozciętej głównej tętnicy szyjnej. Widzisz, jak szerokim łukiem tryskają w górę? Ona w tym momencie jeszcze żyła, Cole. Dopiero umierała. W chwili wykonania tego zdjęcia jej serce jeszcze biło, a ujęcie zrobiono dokładnie w chwili wytrysku krwi z tętnicy. To całkowicie wyklucza możliwość manipulacji, choćby takiej, że zrobił je któryś z policjantów wezwanych na miejsce zdarzenia. Nie sądzisz?

Odwróciłem głowę. Czuję się odrętwiały i ogłupiały, jakbym wcale nie siedział przy stoliku i nie oglądał tych zdjęć, więc mógł sam przed sobą zaprzeczyć ich istnieniu.

Lindo pokazał mi zdjęcia późniejszych ofiar, a na końcu fotografię jakiegoś dziwnego urządzenia, jakie widuje się na starych niskobudżetowych filmach science fiction. Na czarnej obudowie znajdowały się jakieś gałki i wskaźniki wychyłowe.

- Drugim sposobem potwierdzenia odpowiedzialności Byrda była szczegółowa analiza samego aparatu i zdjęć. W tego typu aparatach po wykonaniu zdjęcia naświetlony arkusik jest wysuwany przez wąską szczelinę. Popychające go kółka zębate zostawiają słabo widoczne ślady na krawędziach.

Niemal odetchnąłem z ulgą, gdy na następnym zdjęciu ujrzałem polaroida.

- Mniej więcej tak, jak gwint w lufie broni palnej zostawia charakterystyczne ślady na kuli?

- Zgadza się. To starszy model, już nieprodukowany.

Wszystkie siedem zdjęć zostało wykonanych tym właśnie aparatem, który znaleźliśmy w domu Byrda. I wszystkie odciski palców znalezione na obudowie należały do niego. Podobnie jak na dwóch zapasowych paczkach światłoczułego papieru.

Oczywiście następna była fotografia tychże paczek papieru, z których pierwszą oznaczono literą A, a drugą B.

- Na tej drugiej, jeszcze nieotwartej, odkryto też kilka niewyraźnych i zamazanych odcisków kogoś innego, ale jesteśmy przekonani, że zostawił je ekspedient w sklepie, gdzie paczka była kupowana. Na podstawie numerów seryjnych ustaliliśmy, że trafiła do małego zakładu fotograficznego w Hollywood, niedaleko Laurei Canyon. Rozumiesz już, że wszystkie fakty układają się w logiczną całość?

Zaczął kolejno wypunktowywać te fakty z mechaniczną precyzją stolarza wbijającego gwoździe:

- To Byrd kupił papier do aparatu. Byrd załadował go do magazynku polaroida. I Byrd, korzystając z niego, zrobił siedem zdjęć zamordowanych kobiet, które mógł wykonać tylko ktoś będący na miejscu w chwili zabójstwa. To Byrd stał przed

sądem, oskarżony o zamordowanie jednej z tych kobiet, której zdjęcie, wykonane w chwili jej śmierci, zostało teraz odnalezione przy nim. Wszystkie zrobione zdjęcia Byrd własnoręcznie umieszczał na kolejnych kartkach albumu. I to on w końcu sięgnął po broń, na co wyraźnie wskazują odciski palców znalezione na kolbie, łuskach oraz pudełku naboju w jego domu, po czym strzelił sobie w łeb. Zatem nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z absolutnie logicznym ciągiem zdarzeń, Cole. Wiem, że liczyłeś na znalezienie jakiejś poważnej luki w naszych wnioskach, ale te są niepodważalne, oparte na bardzo mocnych dowodach.

Nagle zapragnąłem raz jeszcze zobaczyć Yvonne Bennett, toteż przerzuciłem kartki w segregatorze do piątej fotografii. Zabiła znów wbiła we mnie spojrzenie oczu szklistych jak u manekina. Wokół jej głowy widać było drobiny szarej tkanki mózgowej oraz różowe odłamki kości, ale moją uwagę przykuła połyskliwa biaława kulka najwyraźniej specjalnie umieszczona w ranie od kuli. Nie przypominałem sobie, bym ją widział na zdjęciach zrobionych przez śledczych z biura koronera, które pokazywał mi Levy.

- Co to za dziwny kulisty przedmiot?
- Prawdopodobnie bąbel. Patolog stwierdził, że podczas katowania do arterii ofiary musiało się dostać powietrze, które w chwili śmierci znalazło się w ranie po kuli i tu utworzyło bąbel.

Miałem ochotę odwrócić wzrok, ale tego nie zrobiłem. Zapatrzyłem się na ten bąbel. Na pewno nie było go na zdjęciach z akt koronera. Widocznie w którymś momencie między wykonaniem obu fotografii bąbel pękł. Wziąłem głębszy oddech i wreszcie zdołałem obrócić głowę.

- Przeglądałeś akta dotyczące zabójstwa Yvonne Bennett?
- Mówiłem przecież, że samymi zabójstwami zajmują się odrębne zespoły. Moim zadaniem jest tylko analiza zawartości albumu.

- Dotarliśmy do zdjęć z kamery przemysłowej, na których była data i godzina. W chwili zabójstwa tej kobiety Byrd przebywał w Hollywood. Sądziś, że mógł być w dwóch miejscach równocześnie?

Lindo odchylił się na oparcie krzesła. Wyglądał na zmęczonego i poirytowanego, jakbym nie potrafił zrozumieć tłumaczo-nych mi elementarnych rzeczy.

- Odpowiem wprost: nie był w dwóch miejscach naraz, ponieważ nie było to konieczne.

- Przecież nie wymyśliłem sobie tamtego nagrania, Lindo. Crimmens i jego partner stanęli wobec tej samej zagadki. Nie było takiej możliwości, żeby Byrd zabił tę kobietę w Silver Lake, po czym dotarł w określonym czasie do Hollywood.

Lindo zamknął segregator. Nie zamierzał siedzieć w barze ani sekundy dłużej.

- Zastanów się dobrze, Cole. Opierasz swój cały tok rozumowania na przyjętej za pewnik godzinie odkrycia zwłok. Ale przecież podał ją ten osioł uznany za ostatnią osobę, która widziała ofiarę żywą. Jak on się nazywał? Thompson?

- Tomaso.

- Nie twierdzę, że Tomaso skłamał, ale różne rzeczy się zdarzają. Ludzie niekiedy tracą orientację. Jeśli ten Tomaso podał złą godzinę, cały twój wywód przestaje być cokolwiek wart.

- Tu nie chodzi o mój wywód. Crimmens rozmawiał z nim kilka razy.

- Wiemy o tym, człowieku. Marx specjalnie włączył Crimmensa do zespołu specjalnego, żeby mieć dostęp do zdarzeń tamtego wieczoru z pierwszej ręki. Crimmens też uważa, że alibi jest wątpliwe. Jeśli Tomaso pomylił się tylko o dwanaście minut, Byrd miał czas, żeby zabić Bennett i wpaść jeszcze do baru.

- I Crimmens rozmawiał o tym z Tomaso?

- A niby co ten miałby powiedzieć? Że jest absolutnie

pewien? Nie wiem, czy ktoś z nim rozmawiał w tej kwestii, czy nie, ale to i tak nie ma znaczenia. Dowody rzeczowe w każdej sytuacji mają większą wagę od zeznań świadków, a my mamy niezbite dowody. To tyle, Cole. Muszę lecieć.

- Chwileczkę. Mam jeszcze pytania.

Obejrzał się nerwowo, jakby lada moment w wejściu mieli się pojawić wszyscy pracujący na piątym piętrze w Centrum Parke-  
ra, ale nie poderwał się z krzesła.

- O co chodzi?

- O okoliczności samobójstwa.

- Nie znam ich. Zajmowałem się tylko albumem.

- Czy ktoś widział Byrda w tym czasie i w tych okolicach, gdzie zostały zamordowane te kobiety?

- Tym również zajmowali się inni. Ja mogę wyjaśniać tylko sprawy związane z albumem.

- Jezus Maria, w ogóle ze sobą nie rozmawiacie? Kiedy Bastilla i Crimmens naszli mnie w moim biurze, nie wspomnieli nawet słowem o istnieniu tych fotografii.

Lindo zmarszczył brwi i odruchowo przysunął do siebie segregator.

- Poważnie?

- Niczego nie mogłem z nich wyciągnąć. A kiedy teraz rozmawiam z tobą, ponieważ dobrze znasz ten album, też niewiele potrafisz mi powiedzieć o innych sprawach.

- Może wcale nie muszę o nich wiedzieć, Cole.

Wetknął segregator pod pachę i rozejrzał się nerwowo. Był pewny siebie tylko wtedy, gdy rozmawialiśmy o znanym mu materiale, teraz znów sprawiał wrażenie przestraszonego.

- Tylko nikomu nie mów o naszym spotkaniu, Cole. Ma to zostać wyłącznie między nami.

- Nie ma sprawy, chłopie. O nic się nie martw.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamknął usta, wstał i ruszył do wyjścia, nie oglądając się na mnie.



Zostałem jeszcze w półmroku za przepierzeniem, wciąż mając przed oczyma koszmarnie zdjęcia. Zamknąłem oczy, żeby się od nich uwolnić, tymczasem uwiecznione na nich kobiety jakby ożyły. Z rozciętego gardła Janice Evansfield zaczęła tryskać strumieniami krew w rytm uderzeń serca, przy czym fontanny robiły się coraz niższe w miarę słabnięcia pulsu. Szkarłatna kałuża krwi pod głową Sondry Frostokovich zaczęła się powiększać z każdą kroplą skapującą z czubka jej nosa, jakby straszliwy metronom odmierzał pospieszny rytm jej śmierci. Bąbel powietrza we krwi Yvonne Bennett zwiększał się powoli, aż w końcu pękł. Fotografie stały się dla mnie szeregiem portretów w galerii strachu, a do każdego był przypisany konkretny upiór, tyle że ja nadal nie wierzyłem w demony. Z całej siły nakazywałem sobie w myślach, żeby nie wierzyć.

Wyobraziłem sobie Lionela Byrda siedzącego w fotelu, z albumem na kolanach. W filmie produkowanym przez moją wyobraźnię powoli obracał kartki, wspominając kolejne zabójstwa. Rewolwer leżał przy jego udzie, wciśnięty pod poręcz fotela. Sam fakt, że miał broń, pozwalał wnioskować, że wcześniej zaplanował swoją śmierć. Przyniósł rewolwer razem z albumem, zanim usiadł w fotelu. Rozmyślał o swoich dokonaniach, może nawet żałował popełnionych zbrodni. Wreszcie, kiedy znudziła go walka z wyrzutami sumienia, postanowił dołączyć do swoich ofiar w zaświatach. Ciekaw byłem, czy długo się zastanawiał, jak najlepiej się zabić: czy przez sklepienie gardła z lufą w ustach, czy może strzałem w skroń. Strzał w usta robił odpychające wrażenie, łatwo było chybić. A później ocknąć się w szpitalu, jeszcze na tym świecie, z pokiereszowanymi ustami i zarzutami dokonania wielokrotnego morderstwa.

Ja bym chyba przytknął lufę do skroni. I przyszło mi na myśl, że ktoś taki jak Lionel Byrd raczej także wolałby strzelić sobie w skroń.

## 6.

Angel Tomaso był sam, kiedy zauważył Yvonne Bennett skręcającą w boczną uliczkę. Nie istniała możliwość zweryfikowania przedstawionej przez niego wersji wydarzeń. Sprawiał jednak wrażenie uczciwego chłopaka, miał stałe zajęcie i był lubiany przez innych pracowników. Crimmens także nie wątpił w prawdziwość jego zeznań. Zbieżność momentów obu zdarzeń stanowiła niekwestionowany przez nikogo fakt. Tyle że teraz policja uznała go za mało istotny. Nie mogłem wykluczyć, że ktoś rozmawiał z nim ponownie i chłopak nagle zmienił zeznania. Postanowiłem zapytać o to Bastille.

Przebiełem się przez śródmieście i wdrapałem się po schodach do swojego biura. Od razu zauważyłem migającą lampkę automatycznej sekretarki, nagrały się aż cztery wiadomości. Otworzyłem butelkę wody mineralnej, usiadłem z nią za biurkiem i wcisnąłem klawisz odtwarzania.

Pierwsza wiadomość była prosta i zwięzła. Obcy męski głos kazał mi się odpierdolić. Świetnie. W rejestrze nieodebranych połączeń ten rozmówca figurował jako „anonim”. Zamiast drugiej wiadomości nagrał się tylko sygnał przerwane połączenia. Trzecia była od technika dezynsekcji, który opryskiwał mój dom środkami odstrasżającymi mrówki i pająki. Natknął się na ślady po kornikach na werandzie. Jakby tego dnia było mi jeszcze mało przyjemności... Czwarta wiadomość okazała się bardzo podobna do pierwszej, tyle że nagrał ją inny rozmówca.

- Zabijemy cię! - ryknął do słuchawki chyba najgłośniej, jak potrafił.

Ten był młodszy od poprzedniego i mówił głosem roztrzęsionym z wściekłości. Jedną pogrózkę łatwo można było przypisać pomyłce, jednakże to była już trzecia. Najwyraźniej coś się kroilo.

Wykasowałem wiadomości, przysunąłem leżącą na brzegu biurka wizytówkę śledczej i wystukałem numer.

- Słucham, Bastilla.
- Mówi Elvis Cole. Mam jedno pytanie.
- Kiedy będę mogła odebrać twoje akta?
- Spokojnie, Bastilla. Dzwonię z innego powodu.
- Nie ma żadnych innych powodów, dla których mielibyśmy teraz rozmawiać.

- Nie zamierzam protestować. Wpadłem do biura właśnie po te papiery. Jutro z samego rana będę je przeglądał z Levym. Jak dotąd on nie widzi żadnych przeszkód, żeby je wam udostępnić.

Milczała przez chwilę, po czym odezwała się nieco łagodniejszym tonem.

- W porządku. O co chodzi?
- Czy Angel Tomaso przypadkiem nie zmienił swoich zeznań?
- Tomaso?

Jak gdyby zajmowała się równocześnie tyloma sprawami, że to nazwisko uleciało jej z pamięci.

- Tomaso był ostatnim człowiekiem, który widział Yvonne Bennett żywą. Czyżbyś o tym nie wiedziała? Miał być koronnym świadkiem Crimmensa.

- Ach, tak. Nie mogliśmy go odnaleźć.
- Odgrywał bardzo ważną rolę w określeniu czasu zabójstwa. Jak mogliście teraz o nim zapomnieć?

- Wcale nie zapomnieliśmy. Naprawdę nie mogliśmy go odnaleźć. To się zdarza. Ale i bez tego dysponujemy bogatym materiałem dowodowym.

- Jeszcze jedno...
- Cole, nie masz z tym dochodzeniem nic wspólnego.
- Czy Byrd był podejrzanym w którejkolwiek z tych siedmiu spraw o zabójstwo?
- Tylko w twojej.

W mojej. Jakbym teraz prowadził śledztwo w imieniu Yvonne Bennett.

- Tylko w sprawie Bennett?
- To świadczy, że był bardzo dobry w swojej robocie, Cole.

W żadnej z pozostałych spraw w ogóle nie było podejrzanych, tylko w tej jednej. Tylko w tym jednym wypadku spaprał robotę. Jeśli chcesz wiedzieć coś jeszcze, poczytaj jutrzejsze poranne gazety.

Przerwała połączenie.

Suka.

Postanowiłem skopiować wszystkie papiery z teczki Lionela Byrda. Chciałem zachować oryginały, a do Levy'ego zanieść kopie. Gdyby zaakceptował wszystkie, od razu przekazałbym te kopie Bastilli.

Zacząłem po raz kolejny wrywkowo czytać swoje notatki, zmieniając kartki w kserokopiarce, aż natknąłem się na listę świadków. Znajdował się na niej nie tylko numer telefonu do kawiarni Braziliana, gdzie pracował Tomaso, lecz także numer jego komórki. Co prawda minęły trzy lata, postanowiłem jednak spróbować. Pod numerem komórki odezwała się dźwięcznym głosem jakaś młoda dziewczyna o imieniu Carly, która powiedziała, że ma ten numer prawie od roku. Kiedy zapytałem, czy znała Tomaso, odparła, że nie, ale nie jestem pierwszym, który się o niego dopytuje. Rzeczywiście, policja próbowała się z nim skontaktować.

- Kiedy to było, Carly? - zaciekałem się.
- Parę dni temu... Nie, zaraz. Trzy dni temu.
- Rozumiem. Pamiętasz może, kto dzwonił?
- Jakiś detektyw... - mruknęła. - Timmons?
- Crimmens?
- Tak, zgadza się.

Zrobił przynajmniej, co do niego należało. Następnie zadzwoniłem do kawiarni i dowiedziałem się tego samego. Crimmens rozpytywał o Tomaso, lecz obecna właścicielka nawet go

nie znała i nie miała pojęcia, jak można się z nim skontaktować. Jednego tylko była pewna: musiał odejść z tej pracy ponad dwa lata temu, bo od dwóch lat ona prowadzi kawiarnię. Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do kopiowania akt.

Angel Tomaso nie był moim świadkiem. Crimmens odszukał go i przyjął od niego zeznania dwa dni po zabójstwie Yvonne Bennett, ja natomiast zacząłem swoje prywatne śledztwo w tej sprawie prawie trzy miesiące później. Na podstawie przepisów o dostępie do materiału dowodowego oskarżenie musiało udostępnić Levy'emu również listę świadków wraz z wszelkimi niezbędnymi informacjami umożliwiającymi kontakt z nimi. Kiedy teraz trafiłem na tę listę, odnalazłem swój ręczny dopisek zawierający jeszcze jedno nazwisko i inny numer telefonu.

Kiedy Crimmens wciągnął Tomaso na listę świadków, ten mieszkał u swojej dziewczyny w Silver Lake. Ale kiedy ja się z nim skontaktowałem w kawiarni dziesięć tygodni później, nie był już z tą dziewczyną, waletował tymczasowo w Los Feliz u swojego kumpla, niejakiego Jacka Eisleya. Przypomniałem sobie, że gdy chciałem po raz drugi porozmawiać z Tomaso, spotkaliśmy się właśnie w mieszkaniu Eisleya i stąd na mojej liście jego adres i numer telefonu. Skończyłem kserować papiery, poukładałem oryginały i kopie, wreszcie podszedłem z numerem Eisleya do swojego biurka.

Po upływie trzech lat szanse na złapanie go pod tym samym numerem były dość marne, postanowiłem jednak spróbować. W słuchawce rozległo się pięć sygnałów, po czym włączyła się automatyczna sekretarka.

- Tu Jack. Po sygnale zostaw wiadomość.
- Panie Eisley, mówi Elvis Cole. Być może pamięta pan, jak trzy lata temu przyjechałem do pana na rozmowę z Angelem Tomaso. Próbuję się z nim skontaktować, ale nie mam aktualnego numeru telefonu. Czy nie zechciałby pan do mnie oddzwonić?

Podyktowałem oba numery, do biura i komórkowy.

To wreszcie jakiś postęp.

Choć jeszcze nie na pewno.

Ale poprawiło mi się trochę samopoczucie, mimo że niewiele mogło z tego wynikać. Szedłem już do wyjścia z aktami skopiowanymi dla Levy'ego, gdy zadzwonił telefon. Może sprawiła to późna pora, ale dzwonek wydał mi się wyjątkowo głośny.

Zawróciłem do biurka.

Telefon zadzwonił po raz drugi.

Zawahałem się jeszcze, ale zaraz zrobiło mi się głupio.

- Agencja detektywistyczna Elvise'a Cole'a.

Cisza.

- Halo?

Słychać było tylko szmer czyjegoś oddechu.

- Halo?

Połączenie zostało przerwane.

Odczekałem jeszcze trochę w nadziei, że telefon znów zadzwoni, ale cisza się przeciągała. Wyszedłem więc i pojechałem do domu na dziennik telewizyjny.

## 7.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy skręcałem z Mulholland Drive w krętą wąską uliczkę, przy której mieszkam. Mój dom, stosunkowo nieduży, stoi na stromym zboczu pasma górującego nad Los Angeles, u początku kanionu, który dzieje z kojotami i jastrzębiami, skunksami i sarnami, oposami i grzechotnikami. Choć okolica sprawia wrażenie wiejskiej, a każdy powrót do domu wiąże się z poczuciem wyjazdu z miasta, to jednak jest wiele rzeczy, o których po prostu nie da się zapomnieć.

Mój dom nie ma podwórza w takim znaczeniu, w jakim mają je domy stojące na równinach. Ma za to werandę wysuniętą ponad kanion i związanego z nią bezimiennego kota, który gryzie. Bardzo lubię zarówno tę werandę, jak i kota, że nie wspomnę o wspaniałym widoku, gdy zachodzące słońce maluje przeciwległe górskie grzbiety i wąwozy całą paletą barw od żółci do purpury. Mógłbym się tylko obejść bez korników.

Gdy pokonałem ostatni zakręt uliczki dojazdowej, spostrzegłem przed swoimi drzwiami forda taurusa należącego do Carol Starkey, ale jej samej nie było za kierownicą. Wszedłem do środka kuchennymi drzwiami i po cichu przekradłem się do salonu, z którego szklane przesuwne drzwi prowadziły na werandę. Stała na dworze i paliła papierosa, gorący wiatr targał jej włosy. Uniosła rękę na powitanie, kiedy mnie zobaczyła. Skojarzyłem, że nigdy nie wpadała ze zwykłą przyjacielską wizytą.

Odsunąłem drzwi i wyszedłem na werandę.

- Co ty tu robisz?
- Zapytałeś takim tonem, jakbym cię szpiegowała. Chciałam się tylko dowiedzieć, jak ci poszło z Lindo.

Pstryknęła niedopałkiem nad poręczą werandy. Wiatr porwał go natychmiast i poniósł w głąb kanionu.

- Jesteśmy wysoko w górach, Starkey. Siedzimy tu wszyscy jak na beczce prochu.

Spoglądałem w dół wystarczająco długo, żeby mieć pewność, że w najbliższych sekundach nie ogarnie nas rozszalały pożar. Kiedy wreszcie uniosłem głowę, wpatrywała się we mnie z uwagą.

- O co chodzi?
- Więc jak ci poszło?
- Główna teza, która teraz obowiązuje, zakłada, że źle ustaliłem godzinę zabójstwa Bennett. Zresztą nie tylko ja, taki sam błąd musieliby popełnić detektywi prowadzący pierwotne śledztwo.

- Aha. A to możliwe?

- Wszystko jest możliwe, tyle że ludzie z zespołu specjalnego nie uznali nawet za celowe, żeby powtórnie sprawdzić najważniejszych świadków. Są zdania, że to nie ma większego znaczenia.

- Może i nie ma. Z tego, co słyszałam od Lindo, sprawa jest całkiem dobrze udowodniona.

- Nie wolno jednak zaniedbywać żadnych poszlak. Szefostwo zespołu specjalnego tak bardzo się pali do zamknięcia całej tej sprawy, że nie chce nawet poczekać na ekspertyzy fachowców od medycyny sądowej.

Na jakiś czas zapadło milczenie. Wreszcie Starkey odchrząknęła.

- Posłuchaj, nawet jeśli Marksa uznajesz za skończonego dupka, to Lindo jest w porządku. Nad tą sprawą pracuje wielu porządnym gliniarzy. Poza tym nie da się zaprzeczyć, że facet miał ten cholerny album i wszędzie są w nim jego odciski palców. Nie można przejść nad tym do porządku dziennego.

Miała rację. Lionel Byrd rzeczywiście miał album ze zdjęciami, które mogły zostać zrobione przez jedną czy więcej osób wyłącznie w chwili popełnienia morderstwa. A tego albumu i zdjęć dotykał tylko on.

- Starkey, pozwól, że cię o coś zapytam. Co ty myślisz o tych fotografiach?

- Chcesz wiedzieć, co według mnie mogą oznaczać czy też dlaczego w ogóle je zrobił?

- Najlepiej jedno i drugie. Co za człowiek robi pamiątkowy album z tego typu zdjęciami?

Oparła się łokciami o poręcz werandy i zapatrzyła na kanion. Nie miała żadnego wykształcenia psychologicznego, ale w sekcji spisków przestępczych zajmowała się głównie sporządzaniem rysów psychologicznych maniaków konstruujących bomby. Bo najbardziej zmyślnie detonatory wymyślali ludzie, którzy bez przerwy sporządzali bomby. Zrozumienie motywów ich działania



mogło tylko pomóc w ich ujęciu i osądzeniu.

- Większość seryjnych zabójców zbiera kosmyki włosów, jakąś drobną biżuterię czy elementy garderoby, żeby łatwiej później wspominać swoje dzieło. Ale do robienia zdjęć trzeba mieć głębszą motywację.

- Co przez to rozumiesz?

- Te wszystkie kobiety zostały zamordowane niemalże w miejscach publicznych. Nie wywoził ich na pustynię i nie zamykał w jakiejś dźwiękoszczelnej piwnicy. Ginęęły na parkingach albo w pobliżu ruchliwych ulic czy też w parkach, gdzie w każdej chwili mógł się pojawić spacerowicz. Zerwanie kolczyka albo wyszarpięcie kosmyka włosów byłoby bardzo proste. Wystarczyłaby chwila i można uciekać. Ale do zrobienia zdjęcia musiał się przygotować. Zatem nie tylko wybierał miejsca wiążące się z dużym ryzykiem, ale jeszcze sam zwiększał ryzyko, że zostanie zauważony, gdy na miejscu zbrodni robi zdjęcia.

- Może po prostu był głupi.

Zaśmiała się krótko.

- Sądzę, że czerpał podniecie z komplikowania sobie życia. Kusił los, poświęcając czas na robienie fotografii, więc ilekroć uchodziło mu to bezkarnie, po prostu czuł się wszechmocny. Na tej samej zasadzie konstruktorzy bomb czerpią poczucie siły z efektów swojego dzieła. Dla niego dreszczykiem emocji nie było samo zabójstwo, ale sposób bezkarnego wycofania się z miejsca zbrodni po zrobieniu zdjęcia.

- Rozumiem.

- Lindo nie mówił ci o kompozycjach fotografii?

Pokręciłem głową. Nie wspomniał o tym nawet słowem, a mnie nie przyszło do głowy, by zwrócić na to uwagę. Zresztą wszystkie zdjęcia wydawały mi się bardzo podobne do siebie.

- Fotografie trudno zaliczyć do tradycyjnie rozumianych trofeów, nie są elementem przeżycia, gdyż konieczność ich

skomponowania wykracza poza zakres przeżycia. Fotograf musi dobrać kąt ujęcia, zadecydować, co ma być uchwycone w kadrze, a co nie. Jeśli uznamy zdjęcie za odrębny mały świątek, to fotograf jest bogiem tego świata. A tego faceta podniecała możliwość objęcia roli boga. Potrzebował tych zdjęć, gdyż potrzebował się wcielić w boga.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, czemu Lionel Byrd miałby się ekscytować rolą boga, lecz wolałem nie oponować. Próbowałem sobie za to wyobrazić, jak fotografował zamordowane kobiety za pomocą ciężkiego starego aparatu, ale i to nie za bardzo mi wychodziło.

- No, nie wiem, Starkey. Jakoś mi to wszystko nie pasuje do Byrda.

Wzruszyła ramionami i znów zapatrzyła się na kanion.

- Tylko ci mówię. Nie zamierzam cię przekonywać.

- Wiem. Wcałe nie odebrałem tego w ten sposób.

- Niezależnie od tego, co ten pojebus zrobił ani jak był powiązany z zabójstwami, musisz zrozumieć, że w najmniejszym stopniu nie ponosisz odpowiedzialności za śmierć tych kobiet. Wykonałeś zleczone ci zadanie, rozegrałeś to, jak należało. Więc przestań się gryźć całą tą historią.

Poznałem Carol Starkey, kiedy Lou Poitras przywiózł ją do mojego domu po zaginięciu małego Bena Cheniera. Pomogła mi odnaleźć chłopaka i od tamtej pory nasza przyjaźń tylko się pogłębiała. Kilka miesięcy później, gdy zostałem postrzelony przez niejakiego Fredericka Reinnike'ego, Starkey regularnie odwiedzała mnie w szpitalu. Z czasem łączyło nas coraz więcej wspólnych przeżyć, a ich wspomnienie wywołało uśmiech na moich wargach.

- Czy kiedykolwiek ci podziękowałem za tak częste odwiedziny w szpitalu?

Zaczerwieniła się.

- Próbowałam tylko dorównać Pike'owi.

- Dziękuję, niezależnie od motywów.

Z uporem wpatrywała się w kanion w dole.

- Kontaktujesz się jeszcze z tą prawniczką?

No proszę. Teraz i ja odwróciłem głowę i popatrzyłem w głąb kanionu. Kiedyś dzieliłem swoje codzienne życie z prawniczką z Luizjany, Lucy Chenier. Ben był jej synem. Po rozwodzie przeprowadziła się z nim do Los Angeles, ale po tym, co ich tutaj spotkało, zerwała ze mną i wróciła do Luizjany. W pierwszej chwili zaciekawilo mnie, co ona by pomyślała o Lionelu Byrdzie, ale zaraz pomyślałem, że lepiej, by w ogóle nie wiedziała o jego istnieniu.

- Sporadycznie - odparłem. - Ma teraz swoje życie.

- Jak się miewa jej chłopak?

- Świetnie. Szybko rośnie. Dostaję od niego listy.

Starkey wyprostowała się nagle.

- A może byśmy gdzieś poszli? Wypijmy kilka kolejek u Dresdena.

- Przecież ty nie pijesz.

- Ale mogę ci towarzyszyć. Popatrzę, jak ty pijesz, a ty będziesz patrzył, jak ja palę. Co ty na to?

- Może innym razem. Ciekaw jestem, co powiedzą w dzienniku o sprawie Byrda.

Cofnęła się o krok i uniosła obie ręce.

- W porządku. Rozumiem.

Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie. Wreszcie się uśmiechnęła.

- W każdym razie ja muszę się już zbierać. Mam dzisiaj randkę, kapujesz.

- Jasne.

- Posłuchaj...

Zamyśliła się, złagodniały jej rysy. Po chwili wzięła mnie za rękę, obróciła otwartą dłońią ku górze i przeciągnęła opuszką po stwardniałej bliźnie ciągnącej się przez cztery palce aż do

środkowej części kantu dłoni. Był to ślad po głębokim rozcięciu, które zarobiłem, ratując życie małemu Benowi Chenierowi.

- I pan ma czelność nazywać to blizną? - mruknęła.

Przyłożyła rękę do mojej piersi w miejscu, gdzie kula z myśliwskiej strzelby kalibru 12 Reinnike'ego posłała mnie do szpitala. A była to specjalna kula na jelenie, przez co musiałem przejść aż dwie operacje chirurgiczne.

Starkey uśmiechnęła się ciepło.

- Powinieneś zobaczyć moje blizny, Cole. Biję cię na głowę.

Nie wątpiłem, skoro tuż przed nią eksplodowała bomba podłożona na parkingu dla przyczep mieszkalnych. Puściła moją rękę.

- Lepiej nie oglądaj wiadomości, chłopie, a zapomnij o całej sprawie.

- Jasne.

- Wiem, że i tak o niej nie zapomnisz.

- Nie.

- Pewnie dlatego cię kocham.

Stuknęła mnie pięścią w pierś, zawróciła na pięcie i wyszła.

Naprawdę niezły z niej numer.

Włączyłem telewizor, żeby nie przegapić początku dziennika, i wyjąłem z lodówki mrożonkę z kotлетem mielonym. Gotową jedną porcję. Dopilem piwo, które stało otwarte w kuchni, zaproponowałem sobie drugie i z nim w ręku wróciłem do pokoju w samą porę na rozpoczęcie wiadomości. Jak zwykle śmiertelnie poważny Jerry Ward stojący na tle panoramy Los Angeles zain-tonował w swoim najlepszym stylu: „Seria morderstw rozwikłana dzięki niespodziewanemu odkryciu w Laurel Canyon”.

Zamilkł i wysoko uniósł brwi.

A uniesienie brwi Jerry'ego oznaczało, że ma do przekazania jakieś niezwykle, wręcz szokujące informacje.

Starczyło mi tej przerwy na otwarcie drugiego piwa i pociągnięcie sporego łyku. Pierwsza była jednak wiadomość o wizycie prezydenta, który zjawił się w mieście, by oszacować straty po ostatnich pożarach. Później była jeszcze informacja o podjętych wysiłkach przy odbudowie oraz malejącym zagrożeniu powrotu żywołu w najbliższych dniach. W każdym razie wieści o pożarach stanowiły doskonały wstęp do ujawnienia rewelacji o szokującym odkryciu związanym z Lionelem Byrdem. Byłem wtedy już przy trzecim piwie. A może nawet czwartym...

Jerry poświęcił tej sprawie niemal trzy minuty czasu antenowego, wliczając w to wstawki z konferencji prasowej Marksa. W przebitce pokazano, jak inspektor unosi w górę plastikową torbę zawierającą prawdopodobnie oryginalny album ze zdjęciami, który opisał jako „zestaw portretów śmierci” oraz „zbiór trofeów obląkańczego umysłu”. Z imienia i nazwiska została wymieniona tylko ostatnia ofiara, dwudziestosześcioletnia mieszkanka Pasadeny Debra Repko, oraz Yvonne Bennett. Żołądek podszedł mi do gardła, gdy usłyszałem to nazwisko.

Sprawa Bennett została wymieniona jako jedyna, w której Byrd został oskarżony o popełnienie morderstwa, tyle że prokuratura musiała wycofać zarzuty wobec materiału dowodowego świadczącego wyraźnie o niewinności pana Byrda. Nie wspomniano ani o mnie, ani o Alanie Levym. Chyba powinienem być za to wdzięczny.

Marx prezentował się znakomicie w nieskazitelnym paradnym mundurze, zwłaszcza gdy uniósł w górę palec, oznajmiając wzrost bezpieczeństwa mieszkańców miasta, jak gdyby we własnym zakresie ocalił od śmierci kolejną ofiarę, a nie natknął się tylko na gnijące zwłoki. Oświadczył przy tym, że poczuł się osobiście dotknięty, gdy Byrd został uwolniony od zarzutów, kiedy doprowadzono go przed oblicze wymiaru sprawiedliwości w sprawie o zabójstwo Bennett, i obiecał, że zrobi wszystko, co w

jego mocy, by podobnie odrażające wypadki nie zdarzyły się już nigdy więcej.

- Amen - mruknąłem. - Cześć i chwała sprawiedliwości.

Na zdjęciach Marksowi towarzyszył radny Nobel Wilts, który gratulował mu serdecznie rzetelnej policyjnej roboty. W dziesięciosekundowej wstawce pojawiła się kobieta, którą widziałem w oknie naprzeciwko domu Byrda, która oznajmiła, że teraz będzie mogła spać bezpiecznie, a także matka Chelsea Ann Morrow, trzeciej ofiary, nagrana przed domem rodzinnym w Compton. Aż nie chciało mi się wierzyć, że obie wypowiedzi zostały nagrane tak szybko, jako że konferencja prasowa zakończyła się stosunkowo niedawno. Któryś z nich, Marx albo Wilts, musiał wcześniej poinformować dziennikarzy o możliwości zdobycia gorącego materiału do uzupełnienia bulwersujących wieczornych wiadomości.

Kiedy prowadzący dziennik przeszedł do następnego tematu, wyszedłem z resztką piwa na werandę.

Jak zwykle o zachodzie słońca przybrał na sile wiatr wiejący w stronę morza, pod jego uderzeniami chwiały się i kołysały drzewa w kanionie - szarawe eukaliptusy, karłowate dęby, orzechy włoskie oraz drzewa oliwkowe o koronach przypominających z daleka zakurzone piłki plażowe. Teraz ich gałęzie dygotały na wietrze, a liście trzepotały niczym ozdobne elementy z papieru ryżowego. Pociągnąłem łyk piwa, wsłuchując się w ich szelest. Być może Marx i cały jego zespół specjalny miał właściwe podejście do zeznań Tomaso, który pewnie jako bystry i sumienny obywatel aż nadto chciał pomóc stróżom prawa. Przecież wystarczyło, żeby się pomylił o pół godziny, a cała sprawa nabierała odmiennego charakteru. Może zresztą zwyczajnie pomylił się o te pół godziny, przez co dał Lionelowi Byrdowi czas na to, żeby po zamordowaniu Yvonne Bennett pojechać do Hollywood i jeszcze wpaść do baru na ostatniego drinka przed powrotem do domu. W końcu nic nie działało tak pozytywnie na

świadomość samca jak podwójna szkocka po rozłupaniu czaszki niewinnej kobiety.

Wciąż byłem zasłuchany w szum drzew w kanionie, kiedy zadzwonił telefon, a po chwili doleciał mnie stłumiony kobiecy głos z odległości trzech tysięcy kilometrów:

- Czy to dom Największego Detektywa Świata?

W jednej chwili oprzytomniałem. Poczułem się pewniej, jak w ciepłym przytulnym otoczeniu.

- Tak, to ja. Co słyhać?

- A co u ciebie? - odparła Lucy.

- Długo by opowiadać.

- Wiem, że nadal masz z tym coś wspólnego. Dzwonił do mnie Joe.

- Dzwonił do ciebie Pike?

- Powiedział, że przydałoby ci się wsparcie.

- Poważnie?

- Opowiedz mi o tym Lionelu Byrdzie.

Kanion błyskawicznie pograżył się w mroku, nim skończyłem swoją opowieść. A wraz z zapadającym zmrokiem na przeciwnych zboczach i szczytach zaczęły się zapalać migoczące światła ludzkich siedzib.

Kiedy wreszcie skończyłem, zapytała:

- I co o tym myślisz?

- Aż trudno mi się do tego przyznać. Zdarza się jednak tak, że człowiek nie może uciec przed poczuciem winy, nawet jeśli wszystko zrobił jak należy, zgodnie z wszelkimi zasadami gry.

- I gotów jesteś uwierzyć, że to Byrd zabił tych siedem kobiet?

- Wszystko na to wskazuje, chociaż mam wątpliwości. Ale na razie fakty przemawiają na korzyść tylko jednej ze stron.

- Może i tak to pozornie wygląda, pytałam jednak, czy ty w to wierzysz.

Zawahałem się, wracając gorączkowo myślami do wszystkiego, czego dowiedziałem się od Lindo i Starkey, jak również tego, czego przed trzema laty dowiedziałem się w prowadzonym na własną rękę dochodzeniu.

- Nie. Może i powinienem, ale nie wierzę. Poznałem Byrda.

Zapewne nie w ten sposób, jak mógłby go poznać ktoś blisko z nim związany, ale zebrałem do kupy wszystkie fakty, jakie udało mi się ustalić na drodze rekonstrukcji wydarzeń tamtego wieczoru, kiedy została zamordowana Yvonne Bennett. Tak więc mam wrażenie, że na podstawie tamtego wieczoru dobrze go poznałem. Odwiedziłem miejsca, które i on odwiedzał, rozmawiałem z ludźmi, których spotkał, dowiedziałem się, o czym z nimi rozmawiał i co im mówił. Przekonałem się, jakim tonem przemawiał i jak twarde zajmował stanowisko, nie mówiąc o tym, gdzie lubił zaglądać i jak długo tam przesiadywać, zanim poszedł dalej. Krwiożerczy zabójca wolałby się wtopić w tło, tymczasem Byrd zachowywał się hałaśliwie i wyzywająco, był pijany i zwracał na siebie uwagę. Poznałem jego zachowanie tamtego wieczoru chyba lepiej niż ktokolwiek inny, dlatego nie wierzę, że to on zamordował Yvonne Bennett.

Być może znał zabójcę, bo tego nie mogę wykluczyć, ale to nie on był sprawcą morderstwa. W to nie uwierzę. W żadnym wypadku.

- Więc teraz posłuchaj mojej rady. Słuchasz?

- Tak.

- Nawet jeśli prawda okaże się najgorsza z możliwych, nie ma w tym twojej winy. Możesz mieć wyrzuty sumienia i możesz żałować, że doszło do tak potwornej zbrodni, ale ty przecież działałeś jedynie w dobrej wierze. I wiesz, co zrobisz, jeśli cały ten koszmar się potwierdzi?

Pokiwałem głową, nie mogąc wydusić z siebie odpowiedzi.

- Zbierzesz się do kupy i stawisz temu czoło. Osobiście przyłecę na miejsce L-jetem, żeby cię wspomóc. Słyszysz?



Tenże L-jet był tematem naszych osobistych żartów, bo gdyby Lucy dorobiła się prywatnego odrzutowca, musiałaby go nazwać „L-jetem”.

- Już mnie wspomogasz - wydukałem.
- Jeszcze nie skończyłam. Piłeś coś?
- Owszem.
- Więc słuchaj uważnie.
- Tęsknię za tobą.
- Zamknij się i słuchaj. Masz mnie wysłuchać w spokoju.
- Zamieniam się w słuch.
- Powiedz coś zabawnego.
- Daj spokój, Lucy...
- Powiedz coś zabawnego! - powtórzyła tonem nieznośnym sprzeciwu.

- Coś zabawnego.
- Kiepska odpowiedź, ale na początek może być. Teraz odłóż słuchawkę.

- Dlaczego?
- Odłóż i tyle. Zaraz zadzwonię po raz drugi.

Przerwała połączenie. Wgapiałem się w słuchawkę, jakbym od niej mógł uzyskać wyjaśnienie, co Lucy zamierza. Po kilku sekundach rozległ się dzwonek. Odebrałem.

- Luce?
- Odpowiadaj jak zawsze! - wrzasnęła.

Znowu się rozłączyła. Czekałem cierpliwie. Kiedy telefon ponownie zadzwonił, odpowiedziałem zgodnie z jej życzeniem:

- Agencja detektywistyczna Elvisa Cole'a. Obnazamy różne tajemnice. Sprawdź nasze ceny.

Jej głos rozbrzmiał na linii równie słodko jak pocałunek.

- To znowu mój Największy Detektyw Świata.
- Kocham cię, Luce.
- Po przyjacielsku.
- Pewnie, że po przyjacielsku.

- Więc i ja ciebie Kocham.
- Moglibyśmy rozpatrzyć różne korzyści tej przyjaźni.
- Nigdy się nie poddajesz, prawda?
- To element pakietu ekstrakorzyści.
- Chyba lepiej zajmę się swoimi sprawami. Zadzwoń do mnie.

- W jakiej sprawie?

Zawahała się, wyczułem jednak, że się uśmiecha. Oczyma wyobraźni widziałem jej uśmiech z odległości trzech tysięcy kilometrów. Ale jednocześnie mój uśmiech nagle stopniał.

- Myślisz, że próbuję oszukiwać sam siebie? - zapytałem.
- Myślę, że warto by cię przekonać. Ale tak czy inaczej, będziesz musiał przekonać sam siebie.

Zapatrzyłem się w mrok zalegający kanion w dole oraz pojedyncze światła zabudowań rozjaśniające przeciwległe pasmo.

- Jeśli nie Byrd zamordował te kobiety, musiał to zrobić ktoś inny.

- Wiem o tym.

Milczała przez chwilę, po czym dodała miękkim głosem, pełnym troski:

- Uważasz, że fakty przemawiają na ich korzyść. Lecz jeśli tobie się nie podobają, musisz im przeciwstawić własne fakty. W końcu to twoje powołanie, Największy Detektyw Świata. Nikt nie zrobi tego lepiej od ciebie.

Przerwała połączenie, nim zdołałem odpowiedzieć.

Jeszcze przez jakiś czas trzymałem słuchawkę przy uchu, po czym wybrałem numer Pike'a. Jego automatyczna sekretarka włączyła się niespodziewanie. Pike nie miał nagranej żadnej wiadomości wstępnej. Od razu rozległ się elektroniczny sygnał.

- Dobry z ciebie przyjaciel, Joe - powiedziałem. - Wielkie dzięki.

Część druga

W GÓRZE KANIONU

## 8.

W ciągu nocy wiatr osłabł, przez co kanion na tyłach mojego domu wyłonił się o świcie spokojny i orzeźwiony. Wziąłem sprzed drzwi gazetę i przeszedłem z nią do kuchni, gdzie już czekał na swoją miskę kot, który mieszkał ze mną. Jest duży, czarny, z miękką sierścią, ale na skórze ma więcej szram niż „Wszechstronny Bojownik” po nieudanym turnieju. Mnie toleruje, uwielbia Joego Pike’a, ale nie znosi nikogo poza nami. Tyle że nie ma walki, z której by wyszedł bez szwanku.

- I jak się żyje w Kociolandii? - zapytałem.

Gdy człowieka rzuca dziewczyna i przenosi się trzy tysiące kilometrów dalej, nic dziwnego, że zaczyna się rozmawiać z kotem.

Siedział przy swojej misce, czekając na śniadanie, gdyż tylko o tej porze dnia coś mu do niej wrzucałem. Ale przed nim na podłodze leżała część korpusu upolowanego szczura.

Kot zamrugał, z dumą wlepiając we mnie ślepią. Jakby się spodziewał, że padnę plackiem na ziemię i zaraz zacznę się okopywać.

- Mrrr - odparł.

- Dobra robota, stary. Bez dwóch zdań.

Zebrałem resztkę truchła przez papierowy ręcznik, po czym wrzuciłem mu do miseczki tuńczyka z puszki. Miałem wrażenie, że mruknął groźnie, gdy mu zabierałem tylne łapy szczura, ale tuńczyk błyskawicznie przywrócił mu dobry humor.

Zrobiłem sobie kubek kawy rozpuszczalnej, a dopiero później nastawiłem ekspres, po czym spojrzałem na artykuł w gazecie dotyczący Lionela Byrda: „Morderca zostawia po sobie odrażający Album Śmierci”.

Tylko tym tytułem „Times” odwalił kawał dobrej roboty. Artykuł był zwięzły i rzeczowy, przedstawiał historię odkrycia zwłok Byrda, który popełnił samobójstwo, przez policyjny patrol sprawdzający wszystkie posesje w trakcie ewakuacji Laurel Canyon podczas pożaru. „Album Śmierci” i znajdujące się w nim fotografie zostały opisane z umiarkowaną dokładnością. Na szóstej stronie gazety opublikowano zdjęcie Marksa w towarzystwie radnego Wiltsa, pod nim znajdował się drugi materiał, zawierający personalia wszystkich siedmiu ofiar i lokalizacje odnalezienia ich zwłok. Kiedy przeczytałem akapit dotyczący Yvonne Bennett, ogarnął mnie smutek. Otaczała się szczerze kłamstwami niczym połami luźnego płaszcza, chcąc uchodzić za kogoś innego, niż była w rzeczywistości, ale w gazecie dwa brutalnie brzmiące słowa obnażały prawdę o niej: „dwudziesto- ośmioletnia prostytutka”.

Tylko w jednym zdaniu nawiązywano do tego, że Byrd stawał przed sądem, oskarżony o jej zabicie, przy czym koncentrowano się bardziej na jego niezwyklej agresji w stosunku do prostytutek, niż na powodach, dla których oskarżenie zostało cofnięte. Podobnie jak w wieczornym dzienniku telewizyjnym, nie wspomniano ani o Levym, ani o mnie. Po tym, jak zostałem potraktowany przez Marksa, kiedy spotkaliśmy się w domu Byrda, miałem obawy, że publicznie napiętnuje nas za udział w wypuszczeniu mordercy na wolność, ale tak się nie stało.

Przeczytałem artykuł do końca, ale nie znalazłem niczego, o czym bym już nie wiedział. Marx wiele mówił o albumie i kryminalnej przeszłości Byrda, nie przedstawiał jednak żadnych dalszych dowodów pozwalających łączyć go z którąkolwiek z ofiar bądź miejscami zbrodni. Nie padła żadna uwaga dotycząca wyników analiz DNA, zeznań naocznych świadków czy też kryteriów, według których Byrd dobierał ofiary i zwabiał je w ustronne

miejsca, albo jego metod zacierania po sobie śladów.

Wyciąłem z gazety artykuł razem z dołączoną mapką, po czym wykorzystując podane nazwiska, daty oraz miejsca, uruchomiłem poszukiwanie w sieci artykułów omawiających wcześniej kolejne zabójstwa. Niewiele znalazłem. Tylko cztery z siedmiu zabójstw były wzmiankowane w prasie lokalnej, co dało w sumie dziewięć artykułów rozrzuconych na przestrzeni siedmiu lat. Czytając je, robiłem notatki.

Śmierć pierwszej ofiary, Sondry Frostokovich, została odnotowana w jednej publikacji, ale zajmującej aż sześć kolumn. Kobieta była kierowniczką biura w którejś instytucji rządowej, jej ciało odnaleziono w śródmiejskim biurowcu, opuszczonym i przygotowanym do generalnego remontu. Została uduszona zaledwie cztery kwartały od siedziby urzędu miejskiego, w którym pracowała. Artykuł kończył się standardową formułką skierowaną do każdego, kto coś wie w tej sprawie, z prośbą o kontakt ze śledczym z Centralnego Biura Zabójstw, niejakim Thomasem Marksem. Zacząłem się zastanawiać, czy chodzi o tego samego Marksa. Pewnie tak. Ciekaw byłem, czy w ogóle pamięta jeszcze tamto dochodzenie.

Janice M'Kele Evansfield była drugą ofiarą. To jej strumienie krwi tryskającej z rozciętej aorty zostały uwiecznione na fotografii. Jej zwłoki odnaleziono na skraju Klubu Wiejskiego Brentwood, a więc w najbogatszej dzielnicy Los Angeles, jedenaście miesięcy i szesnaście dni po zabójstwie Frostokovich. Artykuł, jaki ukazał się dwa tygodnie później, obwieszczał, że nie ma żadnych podejrzanych o to zabójstwo, kończył się więc apelem do opinii społecznej o pomoc.

W odróżnieniu od Frostokovich i Evansfield kolejne trzy ofiary, trzecia, czwarta i piąta, były prostytutkami. Zabójstw Chelsea Ann Morrow, Marshy Trinh oraz Yvonne Bennett nie opisywano w prasie lokalnej, za to szósta ofiara, bezdomna Lupe

Escondido, trafiła na pierwsze strony gazet z powodu odrażającego charakteru zbrodni, której padła ofiarą. Chłodnej październikowej nocy, którą postanowiła spędzić na ławce w Studio City Park, została oblana benzyną i podpalona, skutkiem czego spłonęła żywcem. Na zdjęciu, które pokazał mi Lindo, widać było tylko niewyraźny zarys sylwetki ogarniętej płomieniami. Aż trudno było powiedzieć, czy jest to sylwetka człowieka.

Poczytałem o Escondido, a potem poszedłem do kuchni, bo bardzo potrzebna mi była przerwa przed dalszymi opisami śmierci. Kot zamruczał, gdy na niego spojrzałem. Siedział przy koszu na śmieci, do którego wyrzuciłem truchło szczura. Uniosłem pokrywę, odnalazłem go i wrzuciłem mu do miski.

- Zasłużyłeś na to - powiedziałem.

Dwa końcowe akapity artykułu dotyczyły ostatniej ofiary, Debry Repko.

Podobnie jak pierwsza, Repko była białą, dobrze wykształconą profesjonalistką. Niedawno zrobiła dyplom magisterski z nauk politycznych na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, po czym znalazła zatrudnienie w śródmiejskiej firmie konsultingowej o nazwie Leverage Associates. Trzydzieści sześć dni przed odnalezieniem zwłok Lionela Byrda, między jedenastą wieczorem a drugą w nocy została zamroczona ciosem w tył głowy, a następnie uduszona przez naciągnięcie na głowę plastikowego worka na śmieci. Stało się to na tyłach pawilonu handlowego na obrzeżu Hancock Park, kawałek na południe od Melrose Avenue, zaledwie dwieście metrów od budynku, w którym mieszkała. Jej śmierć pogrążyła w głębokim żalu rodziców oraz trzech braci, wszyscy bardzo ciężko to przeżyli.

Złożyłem gazetę, wziąłem ze stołu butelkę wody mineralnej i wyszedłem z nią na werandę. Wiatr ucichł w ciągu nocy i teraz nad kanionem pojawiły się dwa myszołowy. Wiatr musiał je zapewne do szukania schronienia w koronach drzew, teraz

jednak wzbily się w powietrze. I wyglądało na to, że są na łowach, a nie tylko cieszą się ponowną możliwością żeglowania w przestworzach. Zresztą może dla nich to było jedno i to samo.

Trzydzieści metrów dalej moi sąsiedzi także siedzieli na werandzie i przeglądali poranną prasę. Pomachali mi na przywitanie, odpowiedziałem w ten sam sposób. Zaciekawilo mnie, czy zwrócili uwagę na artykuł o Byrdzie.

Pociągnąłem parę łyków wody, po czym przystąpiłem do rozciągania mięśni tradycyjną metodą dwunastu słonecznych salutow hatha jogi. Moja sąsiadka Grace zawołała:

- Rób to nago!

Jej mąż zaśmiał się głośno.

Ćwiczenia jogi doprowadziły mnie do elementów tae kwon do. Wymierzałem kopnięcia i wyprowadzałem ciosy to na jedną stronę werandy, to na drugą, przechodząc płynnie od jednego kata do następnego, chociaż nie w klasycznej koreańskiej postaci, lecz w kombinacji, którą sam wymyśliłem: odrobina wing chun, nieco krav maga i trochę shen chuan. Przeszedłem przez wszystkie trzy płaszczyzny przestrzeni, ćwicząc z coraz większym zaangażowaniem, dopóki pot nie zaczął ściekać ze mnie strumykami, a obrazy zabitych kobiet nie zniknęły mi sprzed oczu. Kiedy skończyłem, Grace poderwała się i zaczęła bić brawo.

- Teraz twoja kolej. Rzecz jasna, nago - zawołałem.

Błyskawicznie poderwała T-shirt, ukazując na chwilę gołe piersi. Jej mąż znów głośno zarechotał.

Tacy sąsiedzi to prawdziwy skarb.

Dopiłem wodę z butelki i pospiesznie wróciłem do domu, gdyż rozległ się sygnał telefonu. Dzwonił asystent Alana Levy'ego.

- Pan Cole?

- Czy Alan widział w wiadomościach telewizyjnych materiał o Lionelu Byrdzie?



- Tak, proszę pana. Prosił, żeby przyjechał pan ze swoimi aktami na dziesiątą, jeśli odpowiada panu ta godzina spotkania.

Powiedziałem, że odpowiada, i wróciłem do swoich notatek. Porównałem informacje, jakie uzyskałem od Lindo oraz wyczytałem w „Timesie”, z danymi znalezionymi w sieci, po czym zrobiłem zestawienie:

- 1-Frostokovich-biała-02.10-udusz.-śródm.-(Marx!)
- 2-Evansfield-czarna-28.09-poderż.-Brentwood-jogging-(?)
- 3-Morrow-czarna-07.10-tępe narz.-Hollywood-prost.-(?)
- 4-Trinh-Azjatka-23.09-poderż.-Silver Lake-prost.-(?)
- 5~Bennett-biała-03.10-tępe narz.-Silver Lake-prost (Crimmens)
- 6-Escondido-Latyn.-09.10-spal.-Studio City-bezdom.-(?)
- 7-Repko-biała-26.07-udusz- Huntington Park-konsult.-(?)

W takich zestawieniach szuka się zwykle elementów wspólnych, ale w tym wypadku było ich bardzo mało.

Ofiary należały do różnych grup etnicznych i warstw społecznych, żadna z nich nie została zgwałcona, pogryziona, podrapana ani wykorzystana seksualnie. Do dwóch morderstw doszło w Silver Lake, ale pozostałych dokonano w różnych częściach miasta. Jedynymi wspólnymi elementami zdawało się być to, że wszystkie ofiary to kobiety i że sześć z siedmiu zbrodni popełniono jesienią.

Wyróżniał się ostatni przypadek. Sześć pierwszych kobiet straciło życie jesienią, tylko Debra Repko została zamordowana wczesnym latem, prawie trzy miesiące wcześniej od pozostałych.

Zastanawiałem się nad możliwymi przyczynami takiej sytuacji, gdy nagle coś mnie tknęło w związku z datami zabójstw i wróciłem szybko do komputera. Słyszysz się czasami o mordercach,

którzy wybierają do swoich czynów dni związane z wydarzeniami astrologicznymi albo znakami zodiaku, wczytałem więc z sieci stronę almanachu astronomicznego i wpisałem w wyszukiwarce kolejne daty.

Niewiele wiedziałem o astronomii, lecz szybko się przekonałem, że do sześciu pierwszych morderstw doszło w okresie dwóch dni poprzedzających nów bądź następujących po nim, a więc w najciemniejsze, bezksiężycowe noce miesiąca. Tylko Repko straciła życie, gdy księżyc był w trzeciej kwadrze. Zatem po sześciu zbrodniach podczas ciemnych nocy nastąpiła ta ostatnia, gdy na niebie błyszczała prawie cała tarcza księżyca.

Spojrzałem na zegarek. Było dopiero po dziewiątej, lecz mimo to sięgnąłem po wizytówkę Bastilli i zadzwoniłem. Odebrała już po pierwszym sygnale i rzuciła krótko do słuchawki:

- Bastilla.
- Tu Elvis Cole. Masz chwilę?
- Mogę już odebrać te akta?
- Mam spotkanie z Levym o dziesiątej. Chryste, Bastilla, nie możesz choć na krótko dosiąść innego konia?
- Mam masę roboty, Cole. O co chodzi?
- Jak tłumaczycie sobie okoliczności zabójstwa Repko, odmienne od wcześniejszych?

Nie odpowiadała przez chwilę. Słyszałem w tle jakieś hałasy, nie umiałem jednak ocenić, czy siedzi już w biurze, czy jest jeszcze w samochodzie.

- O czym ty mówisz?
- Debrę Repko zamordowano w lipcu, trzy miesiące wcześniej od pozostałych kobiet.
- Dzięki. Świetnie to wiemy.
- Do tego zginęła w nocy, kiedy księżyc był w trzeciej kwadrze. Sześć wcześniejszych morderstw popełniono podczas nowiu. To poważne zmiany w metodzie działania zabójcy.

- Możesz mi wierzyć, że też znamy się na tej robocie. Jeśli oczekujesz, że będę z tobą omawiała szczegóły poszczególnych spraw, to chyba postradałeś rozum.

- Twój stuknięty partner Crimmens oznajmił, że dwie ostatnie ofiary obciążają moje sumienie, więc to także moja sprawa.

- Do widzenia, Cole. Nie mamy o czym rozmawiać.

Połączenie zostało przerwane, ale uśmiechnąłem się do słuchawki i odparłem:

- Ja dopiero zacząłem rozmawiać, Bastilla.

Wziąłem prysznic, ubrałem się, spakowałem kserokopie moich akt i ruszyłem na spotkanie z Alanem Levym.

Żeby przystąpić do zbierania własnego materiału dowodowego.

## 9.

Wyobraźcie sobie detektywa wkraczającego do akcji. Wskoczyłem na autostradę u wylotu przełęczy Cahuenga Pass i kierując się do śródmieścia, zadzwoniłem do Johna Chena. To starszy specjalista kryminalistyki z Sekcji Naukowej Wydziału Dochodzeniowego komendy głównej policji w Los Angeles, ale też jeden z najbardziej chciwych ludzi, jakich znam. Do tego totalny paranoik.

Odezwał się tak cicho, że ledwie go usłyszałem.

- Nie mogę rozmawiać. Jestem obserwowany. Sami widzicie.

- Dzwonię w sprawie Lionela Byrda. Mogę ci zająć minutkę?

Lindo wspominał, że to właśnie Chen pracuje nad tą sprawą.

- A co ja z tego będę miał?

Chytrus.

- Nie jestem przekonany, że to Byrd zabił Yvonne Bennett. Mam również kilka pytań na temat jego ostatniej ofiary. Jej przypadek odbiega od pozostałych.

- Mówisz o Repko?

- Zgadza się.

- To dziwne, że pytasz właśnie o nią - mruknął jeszcze ciszzej.

- Dlaczego dziwne? Czy jej zabójstwo nie różni się od wcześniejszych?

- Nie tak bardzo, tyle że jej sprawa jest traktowana zupełnie inaczej. Cholera. Idzie Harriet. Muszę kończyć.

Harriet była jego szefową.

- Zadzwoń do mnie, John. Pamiętaj, Repko i Byrd. Potrzebna mi twoja pomoc. Chciałbym poznać wyniki sekcji, zobaczyć wstępny raport śledczy, wszystko, co tylko uda ci się zdobyć. Jestem w drodze do śródmieścia.

- To cię będzie słono kosztowało.

Dwadzieścia minut później skręciłem na podziemny parking budynku, w którym mieściła się kancelaria Barshop, Barshop & Alter. Z papierami pod pachą wjechałem na górę i wkroczyłem do lobby pełnego elementów ozdobnych z trawertynu, szkła kobaltowego i drewna tekowego. Pospolicci przestępcy pokroju Lionela Byrda nie mieli nawet co marzyć o najęciu któregoś z pracujących tu adwokatów, głównie ze względu na ich astronomiczne stawki, jednakże Levy doszedł do wniosku, że sprawa Byrda stwarza mu szansę do kolejnego wystąpienia przed kalifornijskim Sądem Najwyższym. Po dwudziestu latach praktyki w zakresie prawa karnego mógł się bowiem pochwalić dziewięćdziesięcioośmioprocentową skutecznością oraz siedmioma sprawami rozpatrywanymi przez Sąd Najwyższy, z których sześć zakończyło się wyrokami na jego korzyść i wpisaniem do kodeksu jako nowe precedensy. Tylko z tego powodu zgodził się reprezentować Lionela Byrda za darmo, jako obrońca z urzędu, wyciągając nawet z macierzystej firmy fundusze na opłacenie moich usług.

Asystent Levy'ego już czekał na mnie w lobby, kiedy wysiadłem z windy.

- Pan Cole? Nazywam się Jacob. Pozwoli pan ze mną, jeśli łaska.

Gdy weszliśmy do gabinetu, Alan rozmawiał przez telefon. Siedział za biurkiem, które musiało kosztować chyba ze sto tysięcy dolarów. Uniósł w górę wyprostowany palec, dając do zrozumienia, że będzie wolny za minutę, po czym machnął dłonią, nakazując Jacobowi, żeby zostawił nas samych.

Był potężnie zbudowanym barczystym mężczyzną pod pięćdziesiątkę, z wielką głową i wylupiastymi oczami, w źle dopasowanym ubraniu. Zachowywał się tak, jakby się wstydził swojego wyglądu, ale na przysięgłych najwyraźniej robiły wrażenie te jego marne ciuchy i pozorna wstydlivość. Ja byłem zdania, że to celowo wystudiowana poza. Pierwszą rzeczą, jaka zwracała uwagę w jego gabinecie, były fotografie jego rodziny, które zajmowały prawie całą ścianę - oprawione w ramy zdjęcia żony oraz dwóch małych, szeroko uśmiechniętych córek.

Kiedy skończył rozmowę telefoniczną, wyciągnął rękę na przywitanie i wskazał trzymane przeze mnie papiery.

- To wszystko?  
- Tak. Zachowałem drugi komplet kopii dla siebie.  
- Rozumiem. Przed przekazaniem ich policji chcę się tylko upewnić, że nie ma tam niczego niezgodnego z prawem. Siadaj, proszę.

Wziął papiery i wskazał mi miejsce w głębokim, obitym skórą fotelu w drugim końcu gabinetu. Sam usiadł naprzeciwko i pochylił się nisko, jakby szykował się do skoku z trampoliny.

- Widziałeś wczorajsze wiadomości? - zapytałem.  
- Tak. Dziś rano widziałem się już z przedstawicielem prokuratora okręgowego oraz inspektorem Marksem. Napijesz się kawy? Jacob parzy naprawdę dobrą.

- Nie, dziękuję. I co my teraz z tym pocniemy, Alan?

Jeszcze bardziej wytrzeszczył na mnie oczy.

- Z czym? Zamierzam udostępnić policji wszystkie akta. Nie widzę żadnego powodu, aby odmawiać współpracy w tej sprawie.

- Nie chodzi mi o papiery, tylko o Byrda. Przecież on nie zabił Yvonne Bennett.

Zmarszczył brwi, tworząc na czole głęboką pionową bruzdę, a po chwili pokręcił głową.

- To już nie nasza sprawa, Elvis. Pinckert i Marx dziś rano wyjaśnili mi, na czym opierają wnioski z dochodzenia. Gdybym dysponował tymi informacjami trzy lata temu, nawet bym nie tknęła tej sprawy.

Sądziłem, że Levy będzie wściekły, ale się pomyliłem. Najwyraźniej Levy'ego nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi. To on innych wyprowadzał z równowagi, w przeciwnym razie bywał jedynie zasmucony.

- Przecież dowiedliśmy, Alan, że on nie mógł zabić Yvonne Bennett. Dowiedliśmy tego niezbitcie.

Przyglądał mi się przez chwilę, w końcu rozłożył szeroko ręce i rzekł:

- Wymyślam różne historie. Na tym polega moja praca, Elvis. Na wymyślaniu wiarygodnych historii mieszczących się między ustalonymi warunkami brzegowymi na solidnej podstawie. To moja praca.

Rozmowa z geniuszem to naprawdę ciężki kawałek chleba.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

- O prawie. Zaczynam od spisów: nazwisk, dat, zdarzeń i innych faktów, zestawiając je ze sobą, bez żadnej interpretacji. Moim właściwym zadaniem jest właśnie dorobienie odpowiedniej interpretacji do znanego zestawu faktów. Rozumiesz? To jest właśnie wymyślanie historii. Przeciwna strona zajmuje się dokładnie tym samym, w oparciu o ten sam zestaw faktów, tylko mający przeciwną wymowę. Zatem fakty pozostają te same,

tylko opisywane historie się różnią. W tych warunkach ten, kto przedstawi lawie przysięgłych lepszą historię, wygra, zdobywając jej zaufanie. Jak się domyślasz, jestem bardzo dobry w wymyślaniu moich historii, Elvis. Potrafię na podstawie niemal dowolnego zestawienia faktów stworzyć najwspanialszą historię. Robię to lepiej niż wielu moich kolegów po fachu.

Zaczynałem się niecierpliwić. Robił mi wykład z teorii narracji, traktując mnie jak durnia, który nie nadąza za jego tokiem myślenia.

- A co to wszystko ma wspólnego z Lionelem Byrdem?

- Nie twierdzę, że w dzisiejszych warunkach mógłbym znowu udowodnić jego niewinność. Mówię tylko, że dzisiaj nie wziąłbym tej sprawy. Inspektor Marx i pani Pinckert rozmawiali ze mną dziś rano bardzo otwarcie. Nie przyjąłem ich zbyt uprzejmie, okazali się jednak bardzo cierpliwi. I przekonali mnie.

- Przekonali cię, że Byrd odpowiada za wszystkie morderstwa?

- Tak.

- Tylko dlatego, że zbierał zdjęcia w albumie?

- Opowiedzieli mi o nich ze szczegółami i prawdę mówiąc, zrobili na mnie olbrzymie wrażenie.

- Ja też widziałem cyfrowe kopie zdjęć z albumu. Wiem, czyje odciski palców znaleźli na tym albumie, jak również na aparacie fotograficznym i paczkach zapasowego papieru. Ale posiadanie takiego albumu nie oznacza jeszcze, że to Byrd zabił te wszystkie kobiety.

Levy ponownie zmarszczył brwi.

- Czyżbym nie tylko ja spotykał się z policją dziś z samego rana?

- Nawet jeśli ten cholerny album należał do Byrda, człowiek, który robił zdjęcia, mógł być tylko luźno z nim związany.

- Doszedłem do tego samego wniosku. Ci ludzie nie są idiotami, Elvis. W dochodzeniu brali pod uwagę możliwość

istnienia drugiego zabójcy czy jakiegoś współnika, ale nie znaleźli niczego na poparcie tych poszlak, nie zidentyfikowali drugiego podejrzanego ani na podstawie wykazów połączeń telefonicznych Byrda, ani śladów znalezionych w jego domu i samochodzie, nie mówiąc już o tym, że wyłącznie jego odciski palców były na albumie i zdjęciach.

- Ale nie zdołali także odnaleźć Angela Tomaso. Wszystko to stanie się wiarygodne dopiero wtedy, gdy zignorujemy zeznania Tomaso złożone pod przysięgą, a oni najwyraźniej do tego zmierzają. Pewnie zakładają, że chłopak się pomylił.

- Może i tak było.  
- Trzy lata temu byłeś pewien, że mówi prawdę.  
- Gdyby Tomaso powiedział mi to samo dzisiaj, nadal bym mu wierzył, ale odrzuciłbym jego zeznania. Każdy może zeznawać zgodnie z tym, co wydaje mu się prawdą, ale co prawda wcale być nie musi. Takie rzeczy zdarzają się bardzo często.

Spodziewałem się, że Levy będzie wściekły za rolę, jaką odegrał w tej sprawie, gdyż mógł być postrzegany jak przestępca w Objazdowym Cyrku Sprawiedliwości Marksa. Tymczasem on mnie przekonywał do słuszności poczynań śledczych.

- Chcesz zatem powiedzieć, że trzy lata temu, gdy dowiedliśmy, że twój klient nie mógł zabić Yvonne Bennett, byliśmy w błędzie?

W kącikach jego ustach zaigrał cień nerwowego uśmiešku zakłopotania, jak gdyby sam przed sobą nie potrafił się jeszcze do tego przyznać.

- Nie, nie byliśmy w błędzie. Działaliśmy w dobrej wierze na podstawie dostępnych wówczas informacji. A to jednak zmienia postać rzeczy.

- Policja omówiła z tobą szczegółowo sześć innych morderstw?

Przytaknął ruchem głowy.

- Jasne. A czy ty w ogóle pamiętasz Lionela Byrda?



Znowu zmarszczył brwi, nie pojmując, do czego zmierzam.

- Oczywiście, że go pamiętam.

- Ja poświęciłem tej sprawie zaledwie kilka godzin, Alan, lecz zdążyłem odkryć, co następuje: żadna z siedmiu kobiet nie została zgwałcona, pogryziona, nie doszło do żadnego wykorzystania seksualnego. Brak fizycznego kontaktu oznacza brak próbek do analizy DNA. Miejsca zbrodni były rozrzucone po całym mieście, a narzędzie zbrodni zmieniało się z każdym przypadkiem. Sześć z siedmiu kobiet zabito w czasie nowiu, to znaczy wtedy, gdy księżyc w ogóle nie świeci na niebie.

- Wiem, co to nów.

- Wszystko to bardzo utrudniało policji powiązanie tych zabójstw ze sobą, bo już dziś wiadomo, na ile przezorny musiał być morderca i ile wysiłku wkładał w planowanie kolejnej akcji. Tylko pomyśl, Alan: każdy z nas może się stać przypadkowym mordercą działającym w stanie upojenia alkoholowego, lecz jak trzeba być zorganizowanym, żeby dokonać siedmiu zabójstw i nie znaleźć się nawet w gronie podejrzanych. Mamy do czynienia z przemyślnym drapieżnikiem znajdującym się na samym końcu łańcucha pokarmowego. Myślisz, że Byrd byłby do tego zdolny? On w żadnej mierze nie pasuje do stereotypu seryjnego mordercy.

Levy uśmiechnął się, jakby był ze mnie dumny.

- To mi się właśnie podoba. Te same fakty, lecz całkiem odrębne historie. Stworzyłeś właśnie historię, która dla ciebie byłaby do przyjęcia.

- To nie jest żadna historia.

- Bo to wszystko jest trochę bardziej skomplikowane. Problem polega na tym, że Byrd miał aparat, którym robił zdjęcia. On nie zabierał na pamiątkę drobnej biżuterii, lecz kolekcjonował fotografie. Najprostsze historie są zazwyczaj najlepsze, bo prawda kryje się w prostocie.

- Więc naprawdę sądzisz, że policja ma rację, czy tylko uważasz, że ich historia jest najbardziej wiarygodna?

- Właściwa historia jest zawsze najbardziej wiarygodna.

Zmarszczył brwi, zapatrzywszy się na zdjęcia żony i córek. Niemal na wszystkich były ubrane na biało. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi. A za jego plecami przez panoramiczne okno widać było rozległą panoramę Los Angeles rozciągającego się na wschód, omywanego gorącymi wiatrami ciągnącymi znad pustyni.

- Rozumiem powody twojego niepokoju, Elvis. Ja także jestem zaniepokojony. Trzy lata temu opowiedziałem się po stronie Byrda i wywalczyłem mu wolność, ale teraz to już nie moja rozgrywka.

- Walczyłeś w jego imieniu, ponieważ byłeś zdania, że zdołasz dociągnąć tę sprawę do apelacji przed Sądem Najwyższym.

- Prawdę mówiąc, nie mylisz się, ale to niczego nie zmienia. Wtedy racja była po naszej stronie, teraz oni ją mają. Kiedy zmienia się interpretacja faktów, zmienić się musi także historia. Nic na to nie poradzimy.

Wstałem i bez słowa ruszyłem do drzwi. Dopiero po chwili rzuciłem przez ramię:

- Wiesz co, Alan? Sądzę, że po mojej rozmowie z Tomaso trzeba będzie układać tę historię od nowa.

Tak samo zmarszczył brwi jak wtedy, gdy spoglądał na zdjęcia swojej żony i córek.

- Rób, jak uważasz, lecz najwyżej narobisz tylko większego zamieszania i postawisz się w kłopotliwej sytuacji. Wyjdiesz na żalostnego durnia, który nie chce się pogodzić z przegraną.

No, no, Alan Levy, adwokat słynący z dziewięćdziesięcioośmioprocentowej skuteczności, mający za sobą siedem wystąpień przed kalifornijskim Sądem Najwyższym, martwił się, że wyjdę na żalostnego durnia?

- Alan, czyżbyś zawarł z Marksem niepisaną umowę, że

będziesz trzymał głowę na kłódkę?

- O czym ty mówisz?
- Wczoraj wieczorem Marx i Wilts publicznie rzucili najcięższe oskarżenia pod adresem Byrda, które już przed laty powinny stać się podstawą do postawienia go przed sądem, lecz nawet na marginesie nie wspomnieli przy tym o tobie.

Zachmurzył się wyraźnie.

- Tylko nie zapomnij zapłacić za postój na podziemnym parkingu, kiedy będziesz z niego wyjeżdżał.

John Chen zadzwonił, kiedy wyprowadzałem samochód na ulicę. Robił wrażenie jeszcze bardziej przerażonego niż zwykle.

## 10.

Powiedział, że będzie na mnie czekał pod mostem Fourth Street Bridge, który znajdował się w odludnej, przemysłowej części miasta, gdzie wzdłuż rzeki ciągnęły się betonowe hale magazynowe. Sam most służył ze znajdującego się pod nim kartonowego obozowiska biedoty. Po dwudziestu minutach jazdy zatrzymałem wóz i gapiłem się na kartonowy slums, kiedy obok mnie swoim furgonem ruchomego laboratorium analitycznego stanął Chen. Był wysoki i bardzo chudy, gdy wysiadał z szoferki, miałem wrażenie, że obserwuję rozprostowujący się znak zapytania. Rozejrzał się uważnie dokoła, jakby wypatrywał czyhających na niego szpiegów, po czym w kilku susach dopadł mojego auta.

- Można by znaleźć setki lepszych miejsc na spotkanie - burknąłem.

- I setki miejsc, gdzie łatwiej byłoby nas namierzyć. Jestem w drodze służbowym wozem na miejsce brutalnego zabójstwa w El Monte.

Rzucił mi na kolana wypchaną szarą kopertę, lecz zaraz

zgarzał ją z powrotem i wlepił we mnie spojrzenie oczu, które przez grube szkła okularów upodabniały go do podejrzliwej papugi.

- Mówiłeś komuś o naszej rozmowie telefonicznej?
- Oczywiście, że nie. Czyżby ktokolwiek coś podejrzewał?
- Dziesięć minut po naszej rozmowie Harriet wyciągnęła mnie na korytarz i ostrzegła, żebym pod żadnym pozorem z tobą nie rozmawiał.

- Wymieniła moje nazwisko? Ostrzegła cię konkretnie przede mną?

- No, nie konkretnie, ale o kogo innego mogłoby jej chodzić? Trwa to już od tygodnia. Wszystko jest objęte ścisłą tajemnicą, więc nawet trudno to zmieścić na skali rzeczy dziwnych.

Ponownie rozejrzał się na boki. Przyłapałem się na tym, że ja również zerkam przez ramię.

- Więc co świadczy o tym, że sprawa Repko jest traktowana inaczej od pozostałych?

- Zajmowałem się jej przypadkiem sześć tygodni temu, zaraz po odnalezieniu zwłok. Zanim wynikła ta cała afera z albumem Byrda.

- Jasne.

- Dopiero potem dowiedzieliśmy się o innych ofiarach, kapujesz? Ale i tak w sprawie nie wynikło nic nowego. Nadzorowałem badania i analizy wszystkich próbek z miejsca zbrodni. Ale w ubiegłym tygodniu Harriet oznajmiła, że mam pobrać dalsze próbki z ubrania zabitej.

- Musieliście ją ekshumować?

Zrobił zdziwioną minę.

- Coś ty? Chodziło tylko o jej ciuchy. No i meble. Bo choć znaleźli zwłoki dziewczyny w zaułku, wysłali mnie na pobranie próbek z jej mieszkania. Jak gdyby Lionel Byrd mógł ją odwiedzać,

zanim ją zamordował. Harriet powiedziała, że najlepiej byłoby zebrać odkurzaczem wszystkie włókna z jej ubrań.

- I co?

- Dziewczyna została zamordowana prawie dwa miesiące temu. Jej mieszkanie zajmują teraz inni ludzie. Jej rodzice zabrali stamtąd wszystkie rzeczy osobiste i przewieźli do swojego domu. Z punktu widzenia medycyny sądowej to był prawdziwy koszmar, kolego, bo musiałem się uporać z zapłakaną matką ofiary i jej dwoma braćmi, którzy w trakcie zbierania odkurzaczem włókien z ubrań ich siostry patrzyli na mnie tak, jakby chcieli mnie zatłuc na śmierć.

- Znalazłeś coś, co pozwalałoby ją łączyć z Byrdem?

- Jeszcze nie wiem. Masz pojęcie, co to są badania na ślepo?

- Nie.

- Dostałem próbki włókien do porównania z tym, co zebrałem z jej ubrań, ale nie były opisane żadnym nazwiskiem, tylko numerem katalogowym. A więc całkiem ślepe. Kiedy zapytałem, dlaczego mam prowadzić analizy porównawcze na ślepo, Harriet warknęła tylko, żebyśmy o nic nie pytali. Nadmieniała przy tym, że jeśli ktoś się dowie, że szukamy powiązań na ślepo, skopie nam dupską i zapuszkuje. Nie wiem nawet, czy nasze analizy przyniosły jakiegokolwiek rezultaty. Wszystkie wyniki poszły do Harriet i to ona sama robiła badania porównawcze.

Przypomniałem sobie, jak Marx kazał Poitrasowi zapieczętować dom Byrda.

- Jakie dokładnie badania robiliście?

- Włosów, włókien... jak zwykle.

- A co o tym mówili gliniarze z wydziału zabójstw?

Prychnął pogardliwie.

- W ogóle nie chcieli z nami rozmawiać o tym dochodzeniu.

Przekazaliśmy nasze sprawozdania Harriet, a ona przesłała je

dalej, jak podejrzewam, bezpośrednio na biurko dowódcy zespołu specjalnego. A chłopcy z zespołu nie chcieli nawet zdradzić, jak im się układa współpraca z pozawydziałowymi psychologami, chociaż było jasne, że są z tego powodu niezłe wkurzeni.

To, co opisywał Chen, było dość poważnym odstępstwem od regulaminowych procedur. W miarę rozwoju śledztwa detektywi zazwyczaj muszą podjąć ścisłą współpracę z wydziałowymi kryminologami i nawet śledczy ze specjalnych zespołów dochodzeniowych wolą pracować z nimi niż z pozawydziałowymi psychologami, gdyż ci mają za dużo kontaktów ze świadkami i rodzinami ofiar.

Zamyśliłem się nad tym, co usłyszałem, próbując wyciągać pierwsze wnioski.

- Macie pewność, że to Byrd zabił te kobiety?

Chen popatrzył na mnie ze zdumieniem.

- No... tak, jasne. Wyniki naszych analiz nawet nie dopuszczają innej możliwości. Masz, sam zobacz...

Podał mi wreszcie trzymaną kopertę. Udało mu się skopiować raport z pierwotnego dochodzenia w sprawie zabójstwa Repko wraz z opisami miejsca zbrodni oraz sprawozdaniem patologa z sekcji zwłok.

Zacząłem od raportu na temat śmierci Debry Repko. Szczegółowy opis stanu zwłok zgadzał się w pełni ze wszystkim, co zdołałem wyczytać w Internecie, ale to uzmysłowiło mi tylko, jak mało wiedziałem dotąd o ofierze zabójstwa. Analiza krwi wykazała zawartość alkoholu na poziomie 0.2 promila, co wskazywało, że przed śmiercią wypila co najmniej jednego drinka, ale nie więcej niż dwa, można było zatem przypuszczać, że chodziło o kieliszek wina do obiadu, choć o niczym nie należało przesądzać. W przeciwieństwie do policji nie wiedziałem absolutnie nic o tej kobiecie, a to pozbawiało wartości wszelkie moje domysły.

W następnej kolejności zapoznałem się z raportem na temat Lionela Byrda. I w tym wypadku poznane fakty potwierdzały to, co usłyszałem od Starkey i Lindo. Zastanowiła mnie tylko jedna pozycja w spisie rzeczy znalezionych w bezpośrednim otoczeniu samobójcy. Otóż pod fotelem policjanci natknęli się na pojedynczą białą tabletkę, którą później zidentyfikowano jako oxycodon.

- Brał przeciwbólowe pochodne morfiny?
- Analiza wykazała, że połknął trzy tabletki i zakropił je alkoholem. Ale nie był otumaniony, jak mogłoby się wydawać. Najwyżej lekko otępieła.

- Dostawał je na receptę?
- Nie, kupował na czarnym rynku. Znaleziona tabletką była produkcji meksykańskiej. Patolog wysunął wniosek, że brał te środki z powodu okaleczonej stopy, bo to musiało być cholernie bolesne.

- Naprawdę myślisz, że cierpiał z powodu tej stopy? - Tak.

- I sądzisz, że ból nie pozwalał mu prowadzić samochodu? W końcu musiał wychodzić z domu, żeby kupować te meksykańskie pastylki. Chyba że ktoś mu je dostarczał.

- Powtarzam tylko opinię patologa. Przecież nie badałem jego stopy.

Zagubiłem się w załącznikach do raportu. W większości były to całostronicowe zestawienia liczbowe i wykresy, których wymowa przestała do mnie trafiać.

- Znaleziliście coś, co pozwalałoby jednoznacznie łączyć Byrda ze śmiercią Repko?

- Nie.
- A z którąkolwiek z pozostałych ofiar?
- Niby też nie, tyle że nie mam pojęcia, co zawierały ślepe próbki. Dlatego trudno mi powiedzieć, o czym świadczą wyniki ich analiz.

Przez chwilę w milczeniu spoglądaliśmy sobie w oczy, wreszcie zabrzączał pager Chena. Zmarszczył brwi i spojrzał na ekranik.

- Cholera. Muszę wracać. Szukają mnie.

Otworzył drzwi, ale zawahał się jeszcze, nie wysiadł.

- Wiesz, co myślę? Formalnie zamknęli już tę sprawę, ale dla mnie to ona jeszcze nie jest zamknięta.

- Tak sądzisz?

- Jak inaczej, bracie? Podejrzewasz, że taka babka umówiła się z Lionelem Byrdem na kolację?

Wysiadł szybko, wsunął się za kierownicę swego auta i odjechał. Odprowadziłem go wzrokiem.

## 11.

Chciałem zapoznać się ze sprawozdaniami Chena w ciszy i spokoju, postanowiłem więc zrobić to u Philippe'ego, w barze przekąskowo-kawowym mieszczącym się niedaleko, na obrzeżu Chinatown. Mogłem przystąpić do lektury w samochodzie pod mostem czy gdziekolwiek indziej, ale nawet najlepsi detektywi świata bywają głodni. Zgodnie z reklamówką Philippe'ego to właśnie on wprowadził do menu zapiekane bagietki z pieczoną wołowiną i korzenną musztardą już w roku 1908, a nawet jeśli nie jest to prawda, od kiedy pamiętam, serwują te pyszne bagietki dokładnie tak samo. Ja zresztą wolę takie same bagietki z pieczonym indykiem, gdyż są bardziej soczyste.

Nie zdążyłem nawet zajrzeć do papierów. Ledwie zająłem miejsce na stołku przy końcu długiego piknikowego stołu, zadzwonił Jack Eisley z wiadomością o Angelu Tomaso.

Pamiętał mnie, chociaż widzieliśmy się tylko raz, kiedy spisywałem zeznania Tomaso w jego mieszkaniu.



- Jak tylko zobaczyłem wczorajsze wiadomości, od razu pomyślałem o tym durnym starym Angelu. Lubił wspominać tamtą przygodę sprzed lat. A później pan zadzwonił.

W barze Philippe'ego w porze przerwy na lunch panował taki hałas, że zawiąłem kanapkę w serwetkę i ruszyłem na dwór. Oczywiście sos z pieczeni od razu pociekł mi po palcach.

- Muszę z nim porozmawiać. To bardzo ważne.

- O tamtym zabójstwie?

- Tak.

- Angel przeprowadził się z powrotem do Teksasu. Nic mu nie wyszło z planowanej kariery aktorskiej, wrócił więc do rodzinnego Austin. Chyba brakowało mu kłótni z ciotką. Zresztą... sam nie wiem...

Eisley najwyraźniej chciał ze mną pogadać.

- Świetnie. Masz jego numer w Austin?

- Dzwoniłem wczoraj wieczorem, jak tylko obejrzałem wiadomości, ale dowiedziałem się od jego ciotki, że kilka miesięcy temu wrócił do Los Angeles. Tak to już jest z aktorami. Jak ktoś się czuje aktorem, to wcześniej czy później musi przyjechać do Hollywood. To tylko kwestia czasu.

- Jeszcze lepiej. Więc pod jakim numerem można go teraz złapać?

- Jego ciotka nie podała mi numeru. Obiecała, że przekaże wiadomość, oświadczyła jednak stanowczo, że nie może nikomu dawać jego numeru bez pozwolenia. Rozmawiałem z nią wczoraj wieczorem, przypuszczam więc, że Angel powinien się odezwać jeszcze dzisiaj.

Jeśli ciotka przekazała wiadomość.

I jeśli Angel będzie chciał odnowić znajomość.

No i nie wiadomo, czy Eisley zadzwoni po raz drugi.

- Jack, czy policja kontaktowała się z tobą w sprawie Angela?

- Nie. A powinienem się tego spodziewać?
- Wiesz co? Domyślam się, że ciotka pewnie przekazała mu wiadomość zgodnie z obietnicą, ale czy nie mógłbyś mi podać jej numeru? Chciałbym sam z nią porozmawiać.

W przeciwieństwie do ciotki Angela, Eisley pod tym względem nie miał żadnych oporów. Zapisałem podyktowany numer, nie bacząc na to, że sos z pieczonego indyka skapywał mi na notatnik. Następnie ruszyłem do biura, żeby stamtąd zadzwonić. Pomyślałem, że przy odrobinie szczęścia może odszukam Angela Tomaso jeszcze przed obiadem i rozwikłałam zagadkę przed zachodem słońca.

Po dotarciu na miejsce wstawiłem samochód do podziemnego garażu i wszedłem po schodach na drugie piętro.

Podobał mi się i ten budynek, i moje biuro, które zajmowałem już od wielu lat. Po sąsiedzku pracowała atrakcyjna kobieta, która zajmowała się hurtowymi dostawami kosmetyków dla salonów piękności, a w wolnych chwilach opalała się na balkonie. Po drugiej stronie korytarza pomieszczenia wynajmował agent ubezpieczeniowy, którego bardzo rzadko widywałem. Ale dwie pracujące dla niego kobiety zjawiały się co dzień punktualnie, jak w zegarku.

I tego dnia wszystko wyglądało normalnie, dopóki nie stanąłem przed drzwiami mojego biura i nie spostrzegłem, że listwa drzwi jest wyłamana tuż nad zamkiem. Listwy nie pękają przecież same z siebie.

Przystawiłem ucho do drzwi, ale w środku panowała cisza.

Cofnąłem się na dwa kroki i popatrzyłem na drzwi pod innym kątem. Z agencji ubezpieczeniowej doleciał słumiony kobiecy głos, lecz w jego brzmieniu nie było niczego niezwykłego. Nikt nie wzywał pomocy. Nikt nie zgłaszał przez telefon, że z sąsiedniego biura prywatnego detektywa dobiegały jakieś podejrzane odgłosy albo przerażające hałasy.

Zbliżyłem się jeszcze raz do drzwi, nadstawiając ucha, po czym pchnąłem je ostrożnie.

Dokumenty, notatki i materiały biurowe wały się na podłodze, jak gdyby przeszła tędy trąba powietrzna. Kanapa była rozcięta na całej długości. Wszystkie krzesła leżały do góry nogami, a w obu częściach szklanych drzwi balkonowych szyby zostały wybite, z ram sterczały tylko ostre odłamki szkła. Komputer, automatyczna sekretarka i telefon w kształcie Myszki Miki zajmowały honorowe miejsca na tej stercie śmieci. Myszka Miki miała ułamane lewe ucho. Wszystko, co poprzedniego wieczoru zostawiłem na biurku, teraz leżało na podłodze.

Stałem jak wmurowany, spoglądając na ten bałagan, aż dotarło do mnie głośnie tykanie. Wiszący na ścianie zegar z podobizną Pinokia nadal chodził, wymalowany na cyferblacie głupkowaty uśmiezek był dalej taki sam, a oczka miały tego samego delikatnego zeza, co jednak w tej sytuacji podziałało na mnie krzepiąco.

- Szkoda, że nie umiesz mówić - mruknąłem do niego.

Podszedłem ostrożnie do biurka i schyliłem się, żeby podnieść krzesło, ale okazało się mokre, śmierdzące uryną. Zostawiłem je tam, gdzie leżało. Skopiowane akta sprawy Lionela Byrda również wały się na podłodze, jak wszystko inne. Pozbierałem je do teczki, wróciłem do podziemnego garażu, wziąłem z samochodu aparat i zrobiłem fotograficzną dokumentację zdevastowanego biura na użytek firmy ubezpieczeniowej. Następnie zadzwoniłem do Lou Poitrasy, który obiecał przysłać patrol policji. Musiałem korzystać ze swojej komórki, bo podejrzewałem, że rozbita Myszka Miki jest zepsuta.

Czekając na policję, zadzwoniłem do Joego Pike'a.

- Myślisz, że ma to związek z wczorajszymi telefonicznymi pogroźkami? - zapytał.

- Wszystko na to wskazuje.

- A może jednak ze sprawą Byrda?

- Trudno powiedzieć, ale nie to jest chyba najważniejsze. Odnalazłem wszystkie kopie akt, a sposób, w jaki zostały zrzucone na podłogę razem z innymi papierami, świadczy wyraźnie, że nikt się nimi specjalnie nie interesował. Mam wrażenie, że najważniejsze było rozcięcie obicia kanapy i wybicie szyb w drzwiach balkonowych. Skłaniam się więc ku aktowi zwykłego wandalizmu. Nie wspomnę już o tym, że ktoś obsikał moje krzesło.

- Może chodziło o to, żeby szczegółowe przeszukanie biura tylko upozorować na akt wandalizmu?

- Niewykluczone. Później sprawdzę dokładnie, czy niczego nie brakuje.

- Chcesz, żebym do ciebie przyjechał?

- To nic nie da. Policja jest już w drodze.

- Więc może powinienem pojechać do twojego domu, żebyś miał pewność, że nikt nie nasika na twój tapczan.

- To chyba niezły pomysł.

Zadzwoiłem do agenta ubezpieczeniowego, a następnie do dozorca, żeby go powiadomić o włamaniu i umówić się ze stolarzem na naprawę drzwi. Oczywiście rozmowa zakończyła się wzajemnymi wrzaskami. Kiedy po niej ochłonąłem, ruszyłem do biur po drugiej stronie korytarza, by zapytać moich sąsiadów, czy nie słyszeli niczego podejrzanego. Jak można się było domyślić, nikt niczego nie słyszał, za to wszyscy chcieli zobaczyć wyłamane drzwi mojego biura, zaprosiłem więc ich na korytarz. W trakcie zjawili się dwaj gliniarze z miejskiego patrolu, którzy najpierw spisali moje zeznania, a potem zaczęli sporządzać raport z miejsca zdarzenia. Kiedy już kończyli swój opis, jedna z pracownic agencji ubezpieczeniowej zdradziła w przypływie szczerości, że poprzedniego wieczoru pracowała do wpół do dziewiątej, a więc sprawca włamania musiał się tu zjawić jeszcze później.

Dowódca patrolu, starszy sierżant Bristo, przykazał:

- Jeśli pracuje pani do tak późna, proszę koniecznie zamknąć drzwi na zasuwkę.

Poklepała dłonią torebkę.

- Proszę nie myśleć, że przesiaduję tu całkiem bezbronna. Bristo nie odpowiedział. Teraz wszyscy się zabezpieczają.

Kiedy policjanci odjechali, a kobieta z sąsiedniego biura wróciła do siebie, wziąłem z łazienki na końcu korytarza pojemnik z mydłem w płynie oraz rolkę papierowych ręczników i zacząłem od zmycia ścian z mojego krzesła. Później pozgarniałem papiery i materiały biurowe z podłogi na kanapę, żebym mógł się swobodnie poruszać, i wziąłem się do pracy. Doszedłem do wniosku, że jeśli dopuszczę, by taki drobiazg jak zdemolowane biuro zmarnował mi dzień, to jutro wezmę sobie wolne z powodu pryszczu na nosie.

Trzy minuty później rozmawiałem już z ciotką Angela Tomaso, panią Candy Lopez. Wyjaśniłem, co mnie łączy z jej siostrzeńcem, i podkreśliłem, że muszę się z nim pilnie skontaktować.

- Proszę mi podyktować pańskie nazwisko i numer telefonu - odparła. - Przekażę mu, że pan dzwonił.

- Byłoby o wiele szybciej, gdybym mógł do niego zadzwonić bezpośrednio.

- Może i byłoby szybciej, ale nie podam panu jego numeru. Bo nie znam pana. Skąd mam wiedzieć, że nie jest pan jakimś wariatem?

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

- I proszę przekazać temu idiocie, który dzwonił wczoraj wieczorem, a dzisiaj podał panu mój numer bez mojej zgody - dodała z naciskiem - że postawił mnie w kłopotliwej sytuacji, bo dopuścił, żeby kompletnie nieznana mi osoba zakłócała mój spokój i moją prywatność. Ktoś, kto bez wahania podaje numery telefonów obcym ludziom, równie dobrze mógłby je wypisywać na ścianach w publicznych toaletach.

- Proszę wybaczyć, pani Lopez. Na pewno nie zakłócałbym pani spokoju i prywatności, gdyby nie chodziło o bardzo ważną sprawę. Przed trzema laty Angel był świadkiem w policyjnym śledztwie dotyczącym zabójstwa, a obecnie pojawiły się dowody sprzeczne z jego zeznaniami.

- Rozumiem. Przekażę mu to, kiedy będę z nim rozmawiała.

- Czy przekazała mu już pani, że dzwonił Jack Eisley?

- Zostawiłam wiadomość na automatycznej sekretarce. Trudno go złapać, ciągle włącza się tylko ten piekielny automat. Na pewno jest bardzo zajęty i bierze udział w próbnym przesłuchaniach do wielu ról.

Powiedziała o „próbnym przesłuchaniu” takim tonem, jakby deklamowała klasyczną poezję.

- Mam więc rozumieć, że Angel wrócił do Los Angeles?

- Oczywiście. Nawiasem mówiąc, nie posługuje się już imieniem Angel. Teraz każe do siebie mówić Andy.

To imię padło bez cienia hiszpańskiego akcentu, jakby chciała zasugerować, że wszystkie angielskie imiona brzmią dla niej wulgarnie.

- Słucham?

- Angel Tomaso wydawał mu się nazbyt etniczny. Dlatego przybrał pseudonim Andy Thom. Jak gdyby wszyscy producenci w Hollywood tylko czekali na tego jednego, niezastąpionego Andy'ego Thoma!

Ledwie się powstrzymałem, by nie dodać, że imię Angel miało też zanadto artystyczne brzmienie w jego rodzinnym mieście.

- Proszę do niego zadzwonić jak najszybciej - dodałem. - Na pewno będzie pamiętał moje nazwisko. Proszę mu powiedzieć, że chcę z nim porozmawiać w najbliższym dogodnym dla niego terminie.

- To mu powiem, że dzwonił pan w imieniu Stevena Spielberga. Wtedy na pewno oddzwoni bez zwłoki.

Odłożyłem telefon, rozmyślając o nowym pseudonimie Angela i o prawdopodobieństwie szybkiego nawiązania kontaktu. Błyskawicznie doszedłem do wniosku, że to prawdopodobieństwo jest, niestety, małe.

Zajrzałem do książki telefonicznej Los Angeles, ale nie znalazłem w niej żadnego Andy'ego Thoma, zadzwoniłem więc do znajomej agentki filmowej, Patricii Kyle. Pat współpracowała z każdym liczącym się studiem filmowym i chyba każdą stacją telewizyjną w mieście, nie mówiąc już o dziesiątkach producentów reklamówek i innych materiałów wideo. Cieszyła się powodzeniem, robiła duże pieniądze i była szczęśliwa, a więc znajdowała się w diametralnie odmiennej sytuacji od tamtej sprzed lat, kiedy najęła mnie, bo nie mogła sobie poradzić z agresywnym byłym mężem, który uznawał za swoje przyrodzone prawo na przykład rozbijanie szyb w jej samochodzie czy ciągle nękanie jej w pracy telefonami. Skutecznie wybiłem mu to z głowy i od tamtej pory Pat Kyle wyrażała się o mnie w samych superlatywach. Jeśli Angel Tomaso vel Andy Thom na poważnie próbował zostać aktorem, trzy miesiące powinny mu z powodzeniem wystarczyć do tego, by wypłynąć na jakichś kursach aktorskich, zacząć szlifować bruki przed salami przesłuchań i rozsyłać swoje zdjęcia do wszystkich agencji aktorskich.

- Nigdy nie słyszałam tego nazwiska - odparła Pat.
- Naprawdę nazywa się Angel Tomaso. Pochodzi z Austin.
- Jest Latynosem?
- Tak. A to ma jakieś znaczenie?
- To zależy od paru rzeczy. Aktorzy przede wszystkim sprzedają swoje twarze, więc to twarz świadczy o tym, jak są postrzegani. Niektóre mniejsze agencje zajmują się wyłącznie aktorami etnicznymi. Nie wiesz, czy należy do któregoś zrzeszenia, do SAG-u albo AFTR-y?
- Nie mam pojęcia.

- A zdobył choć raz jakiś płatny kontrakt?
- Z tego, jak ciotka wyrażała się o jego aktorstwie, śmiałem podejrzewać, że nie. Kiedy trzy lata temu próbował po raz pierwszy, nic z tego nie wyszło. Dlatego wrócił do Austin. Ale trzy miesiące temu wrócił, żeby spróbować jeszcze raz.

Pat obiecała, że popyta wśród znajomych. Kiedy się rozłączyła, usiadłem wreszcie przy zrujnowanym biurku, żeby przeczytać sprawozdania Chena. Moje myśli od razu powędrowały w stronę meksykańskich tabletek oxycodonu. Jeśli Byrd stale odczuwał takie bóle, że nie mógł chodzić ani prowadzić samochodu, to prawdopodobnie musiał mieć stałego dostawcę tego specyfiku. A skoro prawie się nie ruszał z domu, ktoś musiał mu przywozić te tabletki, zatem ów ktoś mógł też wiedzieć, jakim sposobem Byrd wszedł w posiadanie zdjęć. Doszedłem do wniosku, że powinienem popytać jego sąsiadów.

Tego popołudnia, czternaście po pierwszej, spakowałem swoje akta sprawy Byrda, zamknąłem biuro najlepiej, jak to było możliwe, i zszedłem na dół do samochodu. Gdy tylko wyjechałem z podziemnego parkingu, tuż za mną pojawiła się czarna furgonetka Toyoty z przyciemnionymi szybami, która nie odstępowała mnie ani na metr.

## 12.

Czarna toyota skręciła za mną w Laurel Canyon, ale w końcu nie ona jedna, takich wozów było sporo. Na szczęście nikt do mnie nie strzelał ani w żaden inny sposób nie okazywał agresji, przetłumaczyłem więc sobie, że ogarnia mnie paranoja. Po zdemolowaniu biura łatwo było sobie wmówić, że jest się śledzonym. Dwie przecznice dalej nadarzyła się okazja, by to sprawdzić. Gdy na skrzyżowaniu zapaliło się żółte światło, dodałem gazu, żeby



zdążyć. Kierowca toyoty musiał wjechać już na czerwonym, ale przemknął szybko i zaraz za mną zahamował. W ten prosty sposób potwierdziłem swoje obawy. Miałem wrażenie, że w szoferce czarnej furgonetki siedzi dwóch ludzi, ale z powodu przyciemnionych szyb nie mogłem tego określić na pewno.

Zaraz potem gwałtownie skręciłem w prawo, nie włączając kierunkowskazu, a toyota skręciła za mną. Kiedy się wyłoniła zza rogu, zwróciłem uwagę na naklejkę na jej zderzaku. Była to promocyjna reklamówka dziewczęcego zespołu o nazwie Tattooed Beach Sluts.

Skręciłem po raz drugi i natychmiast stanąłem przy krawężniku, ale tym razem furgonetka nie pojawiła się za mną. Kiedy nie dostrzegłem jej nigdzie przez pięć minut, ruszyłem dalej i wyjechałem z powrotem na Laurel Canyon.

W głębi kanionu ulice były zasłane liśćmi i połamanymi gałęziami, które pozgarniane w sterty piętrzyły się przy krawężnikach i zaparkowanych samochodach niczym śnieżne zaspasy. Korony potężnych cedrów i eukaliptusów wznosiły się nieruchomo po raz pierwszy od kilku dni, a gałęzie zwisały się ku ziemi, jakby odpoczywały po ciężkich zmaganiach z silnym wiatrem. Powietrze było przesycone zapachami aromatycznych żywic.

Gdy dotarłem do domu Byrda, zauważyłem, że nie parkuje już przed nim radiowóz, nie ma też żółtej policyjnej taśmy zagradzającej przejście. W uliczce tłoczyły się za to samochody reporterskie i telewizyjne wozy transmisyjne. Jakaś ekipa dziennikarzy na werandzie rejestrowała rozmowę ze starszym mężczyzną o włosach ufarbowanych na czarno i skórze pokrytej plamami wątrobowymi. Za dużym furgonem stał biały cadillac eldorado należący prawdopodobnie do człowieka udzielającego wywiadu. Wszystko wskazywało na to, że jest właścicielem domu, a więc gospodarzem Byrda. W drzwiach pojawiło się dwóch

latynoskich chłopców, którzy wynosili meble i ładowali je do furgonu.

Czekałem, aż dziennikarze skończą wywiad, gdy spostrzegłem kobietę w oknie porośniętego winoroślą domu naprzeciwko. Stała w oknie tak samo jak poprzednio i tęnym wzrokiem wpatrywała się w zbiegowisko po drugiej stronie ulicy. Postanowiłem zacząć od rozmowy właśnie z nią.

Ruszyłem do wejścia, lecz zanim jeszcze wbiegłem po schodkach na werandę, otworzyła okno.

- Proszę odejść. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.
- Jestem z fundacji Easter Seals. Nie pomoże pani umierającym dzieciom?

Z trzaskiem zamknęła okno.

Stanąłem przed drzwiami i tak długo naciskałem dzwonek, aż w końcu otworzyła. Z bliska wyglądała jeszcze starzej, może przez całkiem siwe włosy, rozczochrane i skołtunione.

- Naprawdę nie jestem z fundacji Easter Seals. Skłamałem.
- Wiem o tym. I pan świetnie wie, że w to nie uwierzyłam. Współpracuje pan z policją. Widziałam tu pana wczoraj. A i pan widział mnie w oknie.

Nazywała się Tina Isbecki. Przedstawiłem się, dając jej wystarczająco dużo czasu, żeby wyklarowała sobie w myślach podejrzenia. Ludzie działający tak jak ja muszą umieć dostosowywać się na bieżąco do zmiennej sytuacji. Powszechnie nazywa się to umiejętnością łgania.

Obejrzałem się na wywiad nagrywany po drugiej stronie ulicy.

- Kto to jest?
- Shark Lee. Ta reporterka z wiadomości.
- Nie o nią pytam, tylko o mężczyznę, z którym rozmawia.
- To pan Gladstone, właściciel tamtej posesji.

Policja odblokowała dostęp do domu, toteż pan Gladstone przystąpił do usuwania mebli. Musiał opróżnić dom i odmalować

pomieszczenia, jeśli miał nadzieję, że znajdzie kolejnego najemcę, któremu nie będzie przeszkadzało, że właśnie w tym salonie seryjny morderca strzelił sobie w łeb. Odwróciłem się z powrotem do Tiny Isbecki.

- Wczoraj wieczorem widziałem w telewizji, jak mówiła pani, że teraz wreszcie będzie mogła spać spokojnie. Mówiła to pani spokojnie, bez emocji...

Pewnie, skoro jakiś detektyw wystarczająco zalał jej za skórę.

Skrzywiła się z niesmakiem.

- Puścili tylko fragment tego, co powiedziałam. A powiedziałam, że teraz wreszcie będę mogła spać spokojnie, bo te przeklęte wozy policyjne przestaną się kręcić po osiedlu. Jak wycięli resztę zdania, wyszło tak, jakbym mówiła o panu Byrdzie.

- Dobrze go pani знаła?

- Unikałam go. Był nieokrzesany i wulgarny. Podczas naszego pierwszego spotkania zapytał, czy lubię seks analny. Tak po prostu. Zna pan ludzi, którzy zadają takie pytania?

Jakbym słyszał Lionela Byrda.

- Czy z kimkolwiek na osiedlu utrzymywał bliższy kontakt?

- Wątpię. Większość tutejszych mieszkańców to renciści albo najemcy korzystający z niskich cen, głównie samotne kobiety. Bardzo często się zmieniają.

Mniej więcej to samo słyszałem od Starkey.

- Pewnie musiała pani odpowiadać na te same pytania setki razy.

- Tysiące. Więc może odpowiem od razu, żeby zaoszczędzić nam czasu...

Zaczęła kolejno cedzić swoje odpowiedzi, tak silnie zaginając palce, że aż naszły mnie obawy, iż je sobie połamię.

- Nie, nigdy nie zauważyłam niczego podejrzanego. Nie, nigdy nie czułam się zagrożona. Nie, nie miałam pojęcia, że był aresztowany. Nie, nie słyszałam wystrzału. Tak, jestem zaskoczona,

że zamordował aż tyle kobiet, ale czemu się dziwić, jesteśmy przecież w Laurel Canyon.

Skrzyżowała ręce na piersiach z impetem, chcąc dać mi do zrozumienia, że udzieliła odpowiedzi na wszystkie pytania, jakich po mnie oczekiwała.

- Dużo ludzi go odwiedzało? - zapytałem.
- Nigdy nikogo nie widziałam.
- I nie wie pani, w jaki sposób zdobywał leki?

Zrobiła zdziwioną minę.

- W jego domu znaleziono pewną ilość tabletek oxycodonu pochodzącego z czarnego rynku. Wie pani, co to za specyfik?

- Tak, oczywiście, że wiem, ale prawie nie znałam tego człowieka. Skąd miałabym wiedzieć, że był uzależniony od jakichś tam lekarstw?

- Rozumiem. Zastanawia mnie jednak, skąd brał te pigułki.

- Na pewno nie ode mnie.

Postawa obronna źle wróżyła.

- Podczas ewakuacji z powodu pożaru lasu to pani powiedziała policjantom, że sąsiad powinien być w domu, bo rzadko z niego wychodzi, prawda?

- Owszem. Niepokoiliam się o niego. Wiedziałaam, że ma kłopoty z prowadzeniem samochodu, przez tę zmiażdżoną stopę miał kłopoty z naciskaniem pedału hamulca.

- Kiedy po raz ostatni widziała go pani za kierownicą samochodu?

- Może wyda się to panu niewiarygodne, ale mam ważniejsze sprawy na głowie niż obserwowanie sąsiadów.

- Wcale nie próbuję pani wybadać. Staram się zrozumieć, w jaki sposób dawał sobie radę z codziennymi sprawami.

- No cóż, nie pamiętam... Chyba parę tygodni temu... Na pewno stopa dawała mu się ostatnio we znaki, bo czasami nie wychodził nawet po listy do skrzynki.

Nie przychodziły mi do głowy dalsze pytania, zatem podziękowałem kobiecie i wróciłem na ulicę. Gladstone wciąż udzielał wywiadu, zapukałem więc do sąsiedniego domu. W większości okolicznych posesji nikogo nie było, a jeśli już ktoś otwierał mi drzwi, to albo w ogóle nie znał Byrda, albo znał go wyłącznie z widzenia. Jedyna kobieta, która w rozmowie ze mną przyznała, że kiedykolwiek zamieniła z nim parę słów, orzekła, podobnie jak Tina Isbecki, że był bezczelnym i wulgarnym prostakiem. Nie znalazłem nikogo, kto by go odwiedził w jego domu.

Zanim skończyłem rozmowy z mieszkańcami osiedla, ekipa reporterska zaczęła się zwijać. Przecisnąłem się między furgonami do przewozu mebli i wbiegłem po schodach w samą porę, żeby stanąć oko w oko z Gladstone'em wychodzącym na werandę. Odwrócił się, zamknął drzwi na klucz, a na mój widok skrzywił się z niesmakiem.

- Dajcie mi choć trochę wytchnienia, dobrze? Naprawdę nie miałem pojęcia, że wynajmuję dom jakiemś pieprzonemu maniakowi.

- Nie jestem dziennikarzem. Prowadzę dochodzenie w tej sprawie.

Pokazałem mu swoją legitymację, lecz obrzucił ją takim spojrzeniem, jakby oglądał podobne legitymacje przez cały tydzień. Machnął lekceważąco ręką i rzekł:

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. Facet regularnie płacił czynsz i nie przysparzał szczególnych kłopotów. Ale został mi po nim dom, w którym rozbryzgi jego mózgu widnieją na suficie, a ludzie pańskiego pokroju bez przerwy zabierają mi czas. Tymczasem jeszcze dzisiaj muszę tu zaprowadzić porządek.

Przecisnął się obok mnie, zbiegł po schodkach i ruszył za ludźmi od przeprowadzek.

Ja też wróciłem do samochodu, lecz nawet nie uruchomiłem silnika. Spoglądałem przez szybę, jak tragarze zamykają furgony i odjeżdżają, a za nimi oddala się Gladstone. Kiedy zniknęli mi z

oczu, wysiadłem z auta i przycisnąłem się na tyły posesji wąską ścieżynką pod nisko zwieszającymi się nad garażem konarami cedru. Drogę zablokował mi duży czarny plastikowy worek ze śmieciami, ale tylko popatrzyłem zza niego na schody prowadzące na werandę.

Worek był wypchany ręcznikami, pościelą, starymi ubraniami oraz plastikowymi torbami z supermarketów, pełnymi kuchennych zapasów i żywności z lodówki. Gladstone pozbywał się wszystkiego, co mogło się zepsuć: jabłek i pomarańczy, melona, otwartych paczek z hamburgerami i pieczonym kurczakiem - wszystkiego, co gromadzi się w lodówce w każdym gospodarstwie domowym. Pomyślałem, że jestem zapewne piątą czy szóstą osobą przeglądającą te rzeczy, więc nie powinienem się spodziewać niczego specjalnego.

Przycisnąłem się obok worka i wszedłem na werandę. Drzwi były otwarte, zrobiłem więc obchód domu, w którym niewiele co zostało. W saloniku ocalało tylko kilka drobnych mebli, zniknęła kanapa, telewizor oraz fotel, w którym Byrd się zabił. W łazience było jeszcze gorzej. Toaletka była całkiem opróżniona, podobnie jak apteczka i szafka pod zlewem. Mogłem zapomnieć o szukaniu starych recept. Sypialnia i szafa w sypialni także świeciły pustkami. Zniknęło łóżko, ubrania Byrda i wszelkie jego rzeczy. Pozostało jedynie kartonowe pudło wypełnione starymi butami, skórzanymi paskami oraz garścią drobiazgów w rodzaju zużytych zapalniczek i długopisów oraz zepsutego zegarka. Przejrzałem wszystko dokładnie, lecz niczego nie znalazłem. A tak liczyłem chociażby na reklamówkę: „Bezpłatne dostawy do domu! Realizuje twój serdeczny osiedlowy handlarz narkotyków!”.

Przeszedłem jeszcze raz przez pusty dom, rozglądając się za telefonem. Naliczyłem trzy gniazdka telefoniczne, lecz aparatu nigdzie nie było. Prawdopodobnie zabrała go policja, żeby sprawdzić zapisy w układach cyfrowej pamięci.

Skończyłem obchód w kuchni, gdzie moją uwagę przyciągnęła niewielka korkowa tablica zawieszona nad blatem między szafkami. Były do niej przypinane wizytówki i foldery reklamowe lokali sprzedających żywność na wynos. Wizytówka Alana Levy'ego znajdowała się jako pierwsza w lewym górnym rogu. Była poszarzała i zaplamiona, jakby wisiała w tym samym miejscu od dawna. W dolnej części tablicy dominowały supermarktowe kupony punktowe i promocyjne.

Gladstone wywiózł stąd całą ciężarówkę gratów, a mimo to blaty kuchenne były zastawione pudłami pełnymi rozmaitej żywności, puszek i opakowań foliowych. Nawet jak na człowieka, który bardzo rzadko wychodził z domu, Byrd trzymał olbrzymie zapasy żywności, przy czym większość produktów była dość świeża, nadająca się do spożycia.

Zatrzymałem się ponownie przy wyładowanym worku na śmieci i zacząłem wyrzucać owoce i inne rzeczy z plastikowych torebek. Były to głównie cienkie foliowe torby, które ludzie wykorzystują do wykładania koszy na śmieci. Przyszło mi na myśl, że po wyładowaniu zakupów często pozostają w nich paragony ze sklepów.

Byrd trzymał bardzo dużo takich torebek, a Gladstone wykorzystał je teraz do spakowania towarów z kuchni. Opróżniłem czternaście torebek i znalazłem pięć paragonów. Wszystkie pochodziły ze sklepu Laurel Market znajdującego się u wylotu kanionu. Oczywiście na wszystkich były czytelnie wydrukowane daty. Zwłoki Lionela Byrda policja odnalazła przed ośmioma dniami, przy czym zabił się prawdopodobnie pięć dni wcześniej. Najwcześniejszy paragon został wystawiony na dwa dni przed jego samobójstwem. Skoro tak bardzo ostatnio dokuczał mu ból w nodze, że nawet nie mógł prowadzić samochodu, to jaki cudem dotarł do sklepu po zakupy?

Poupychałem torebki z powrotem w worku na śmieci i ruszyłem

do sklepu. Tina Isbecki odprowadziła mnie uważnym spojrzeniem. Pomachałem jej ręką. Odpowiedziała takim samym gestem. Zawiazywała się między nami nic przyjaźni.

### 13.

Podmiejska atmosfera osiedla Laurel Canyon znalazła swoje odzwierciedlenie w utworach takich miejscowych wykonawców z lat sześćdziesiątych, jak David Crosby, Graham Nash czy Joni Mitchell, którzy śpiewali o radosnym leniwym życiu, kokainowych kowbojach oraz małych domkach z ogródkiem i dwoma kotami na podwórku. Wąskie i kręte uliczki poprowadzone wzdłuż górskich grzbietów znajdowały się zaledwie kilkaset metrów od Sunset Boulevard, ale odgraniczone od rojnego miasta przez strome zbocza kanionów nasuwały wrażenie oddalenia od niego o setki kilometrów. Ową podmiejską atmosferę podkreślały rozrzucone drobne skupiska sklepów, targowisk oraz restauracji u wylotu kanionu.

Wjechałem na niewielki parking i podreptałem do sklepu. Ostatecznie w radosnym leniwym życiu nikt nie porusza się inaczej.

Sklep okazał się większy, niż na to wyglądał z ulicy, zapchane różnymi produktami spożywczymi i słodyczami regały sięgały aż do sufitu i były tak stłoczone, że między nimi zostały tylko wąskie przejścia. Za kontuarem siedziała młoda ładna dziewczyna. W sąsiednim stoisku garmazeryjnym urzędował starszy facet w czapeczce baseballowej z emblematem Lakersów, który w dużej misie mieszał sałatkę z tuńczyka.

Wyjąłem fotografię Lionela Byrda, którą wyciąłem z gazety, i wyciągnąłem ją w stronę dziewczyny.

- Może mi pani powiedzieć, czy rozpoznaje pani tego człowieka? Nazywał się Lionel Byrd i był u was stałym klientem.



Skierowała na zdjęcie duże, jak gdyby wiecznie zdziwione oczy i zamrugła szybko.

- Jest pan z policji?
- Nie. Nazywam się Elvis Cole i jestem prywatnym detektywem.

Uśmiechnęła się, co sprawiło, że stała się jeszcze ładniejsza.

- Naprawdę pan się tak nazywa?
- A co jest dziwnego w nazwisku Cole?
- Nic, głuptasie. Chodzi mi o imię, Elvis. Bo ja jestem Cass, jak Mama Cass Elliot, która mieszkała tu nieco wyżej, w górze kanionu. Wśród naszych klientów jest koleś o imieniu Jagger, a drugi przedstawia się jako Morris i tłumaczy, że dostał imię od nazwiska Jima Morrisona, ale to chyba mocno naciągane.

Lata sześćdziesiąte były tu wciąż żywe. Cass zawołała przez ramię:

- Phil, możesz tu podejść i rzucić okiem na to zdjęcie?

Mężczyzna odłożył drewnianą łyżkę, podszedł i zerknął jej przez ramię, wycierając ścierką dłoń. Cass podsunęła mu zdjęcie pod nos.

- Czy ten człowiek był waszym klientem?

Phil przekrzywił głowę, patrząc na zdjęcie.

- To ten, którego znaleźli w trakcie ewakuacji przed pożarem. Nie widział pan wiadomości telewizyjnych?

Cass najwyraźniej nie miała pojęcia, o czym mowa.

- Tak, pamiętam. Zawsze kupował kurczaka curry - dodał Phil. - Nigdy innego. Pieczony kurczak curry w bułce z sezamem. Miał coś z nogą.

Phil był nieoceniony. Pewnie mogłaby wybuchnąć wojna w trakcie tego, jak szykował dla Byrda bułkę z pieczonym kurczakiem, a i tak by to zapamiętał.

- Zgadza się. Po raz ostatni był tu jakieś dwa tygodnie temu, tuż przed śmiercią. Nie pamięta pan, o czym wtedy rozmawialiście?

Phil oddał mi zdjęcie i pokręcił głową.

- Przykro mi, bracie, ale nie widziałem go tu od dobrych paru miesięcy. Naprawdę od dawna do nas nie zaglądał.

- Ostatni raz był dokładnie piętnaście dni temu, dwa dni przed śmiercią. Znalazłem te paragony w jego domu.

Pokazałem mu dwa najświeższe paragony. Phil zmarszczył brwi, spoglądając na nie, jakby stanął twarzą w twarz z nieodgadniona zagadką. Wreszcie pokręcił głową.

- Nie wiem, co powiedzieć. Jeśli była kolejka, pewnie bym go nie zapamiętał, o ile nie poprosił o zrobienie swojej ulubionej kanapki.

Czar prysł jak bańka mydlana, lecz nagle Cass się rozpozodziła i rzekła:

- Możliwe, że to paragon z dostawy do domu. Zapytajmy, czy Charles niczego nie pamięta.

Phil wciąż spoglądał na wydruk.

- Ale nie ma doliczonej opłaty za dostawę, więc to nie jest paragon za zakupy z dostawą, widzisz? Te zakupy zostały opłacone w kasie. Byłaby dodatkowa opłata, gdyby klient zamówił dostawę do domu.

- Och, nie bądź aż taki zasadniczy.

Podeszła do końca lady, wychyliła się w bok i zawołała jakiegoś Charlesa. Spomiędzy regałów wyłonił się niski barczysty chłopak w zielonym fartuchu. Sklep miał dość liczny personel.

Phil wziął ode mnie zdjęcie i wyciągnął w jego kierunku.

- Zawoziłeś zakupy temu facetowi? Nazywa się Byrd.

Obejrzał się na mnie i zapytał:

- Gdzie on mieszka?

- Przy Anson Lane. Pod szczytem Góry Widokowej, zaraz za szkołą.

Charles wziął od niego fotografię, przysunął sobie bliżej, po czym uniósł dłoń i pomachał w powietrzu palcami, jakby w ten sposób łatwiej było mu się skupić.

- To ten ze zmiądzoną stopą.  
- Zgadza się.  
- No, tak, czytałem o nim w gazetach. Musiał mieć nie po kolei we łbie.

- Dostarczałeś mu zakupy dwa tygodnie temu?  
- Nie, jemu nigdy niczego nie zawoziłem. Znam go z za la-  
dy, ale od jakiegoś czasu się nie pokazywał. Ivy przychodziła po  
jego zamówienia.

Cass zachichotała.

- Ta ślicznotka?  
- Więc to dziewczyna o imieniu Ivy dostarczała mu zakupy? - zapytałem.

- Składał zamówienia przez telefon, a ona mu je zawoziła.  
Zdaje się, że nawet nie mógł prowadzić samochodu.

Cass uśmiechała się od ucha do ucha.

- Charles był po uszy zadurzony w tej ślicznotce.

Chłopak spiekł raka.

- Daj spokój, dobrze? Mogłabyś być bardziej dyskretna.  
- Kim jest ta Ivy?

Cass postukała palcem w środek swojego przedramienia.

- Obnosi się ze złamanym sercem jak z dzieckiem na ręku. Jej uczucia zrujnował właśnie Charles.

- Przestań!

Cass, najwyraźniej zadowolona z upokorzenia kolegi, skrzyżowała ręce na piersiach i wyjaśniła:

- Mieszkała tam, niedaleko, w wielkim domu z sekwojowego drewna. Zachowywała się jak hipiska cudem przeniesiona w nasze czasy z jakiejś dawnej komuny.

Charles przeszył ją piorunującym spojrzeniem.

- Nie pochodzi z żadnej komuny. Gość wynajmuje pokoje w tym domu, Ivy zamieszkała tam na parę tygodni, to wszystko.

Cass wycodziła przez zaciśnięte zęby:

- Na tyle długo, żeby zdążyć ściągnąć majtki.

Phil zaśmiał się krótko i wrócił do swojej sałatki z tuńczyka.

Obszerny dom z drewna sekwoi sąsiadował z posiadłością Tiny Isbecki. Byłem tam niespełna godzinę wcześniej i rozmawiałem z łysawym facetem o imieniu Lloyd oraz z Jan, która przedstawiła się jako scenarzystka. Żadne z nich nie umiało mi nic powiedzieć o Lionelu Byrdzie, a na pewno nie było w domu żadnej Ivy.

- Byłem tam niedawno i rozmawiałem z Lloydem. Czyżby Ivy zrezygnowała z wynajmu pokoju?

- Aha. Wróciła do domu.

Świetnie. Jedyna osoba, która miała w ostatnim czasie kontakt z Byrdem, dała się porwać trąbie powietrznej, a ta przeniosła ją do krainy Oz.

- Z jakiego powodu?

- Uciekła przed pożarem. Wynajmowała pokój tylko na okres remontu swojego mieszkania, bo w łazience pojawił się grzyb na ścianie.

Charles nagle popatrzył na mnie z osłupiałą miną.

- Ale on jej chyba nie zabił, co? Znaleziono jej zwłoki?

- Nie, skądże. Po prostu chciałem z nią porozmawiać. Nie wiecie, jak się z nią skontaktować?

Cass uniosła wzrok do nieba.

- Oooh... Aaach... - A po chwili dodała prawie bezgłośnie: - Ty brutalu!

Charles także nie umiał mi podać ani numeru telefonu, ani adresu Ivy Casik, wiedział jednak, jak do niej trafić. Kiedyś jej samochód nie chciał ruszyć z parkingu i podwiózł ją do domu po pieniądze na opłacenie pomocy drogowej. Mieszkała w Hollywood.

Zapisałem sobie jego wskazówki, podziękowałem wszystkim za pomoc i wróciłem do samochodu.

Gdy tylko wyszedłem na parking, zauważyłem mięśniaka w T-shircie z emblematem Foo Fighters i rozpiętej długiej czarnej koszuli zaglądnącego przez okno do mojego wozu. To dość powszechny widok, gdy się jeździ chevroletem corvette rocznik '66. Spozregł mnie i odsunął się od wozu.

- Ładna bryka. Nie chciałby pan jej sprzedać?
- Nie, dzięki.
- Szkoda. Chętnie bym ją podrasował.

Przypalił papierosa, po czym odszedł w kierunku błękitnego forda mustanga. Zaciągając się dymem, popatrzył jeszcze w moją stronę. Był zwykłym fanem starych samochodów.

Wróciłem aż do Sunset i zgodnie ze wskazówkami Charlesa skierowałem się na wschód, do centrum Hollywood. Wreszcie coś drgnęło. Złapałem żywy obiecujący kontakt, który mógł dostarczyć informacji. Oczywiście szansa na to, że dziewczyna będzie mogła dostarczyć użytecznych informacji, była mniej więcej taka jak to, że upadek meteora przekształci mnie w geniusza, ale nigdy nie należy tracić nadziei.

Byłem w tak radosnym nastroju, że omal nie przeoczyłem czarnej furgonetki, która włączyła się za mną do ruchu. Była to ta sama toyota z naklejką na zderzaku reklamującą Tattooed Beach Sluts. Po kilku sekundach parę wozów za nią dostrzegłem błękitnego mustanga „Foo Fightera”.

Ivy Casik mieszkała wśród łagodnych wzgórz niedaleko Hollywood Bowl, jednakże pojechałem dalej na południe przez West Hollywood, okrążając szerokim łukiem Farmers Market. Co chwila spoglądałem we wsteczne lusterko.

W pewnej chwili mustang zrównał się z furgonetką, która zaraz potem skręciła. Ale parę przecznic dalej czekała znów na mnie na skrzyżowaniu. Ledwo ją minąłem, ruszyła za mną, za to kilka sekund później zniknęła mi z oczu mustang. Taka zabawa

trwała w czasie drogi przez miasto, przy czym zmieniające się pojazdy nigdy nie jechały za mną nazbyt długo. Musieli być ze sobą w stałej łączności komórkowej albo krótkofalowej, gdyż ich poczynania sprawiały wrażenie doskonale skoordynowanych.

Gdy tylko zyskałem niezbitą pewność, że jestem śledzony, wyjąłem spod siedzenia pistolet, położyłem go na fotelu przy udzie i zadzwoniłem do Pike'a. Wciąż obserwował mój dom.

- Nie możesz spisać ich numerów? - zdziwił się.

- Mają tablice zachlapane błotem. Tandetny trik, biorąc pod uwagę, że nie padało od pięciu miesięcy.

- I obawiasz się, że to może być policja?

„Foo Fighter” wydawał mi się zbyt młody jak na oficera policji, ale w końcu mnóstwo dwudziestolatków zaraz po akademii wygląda na gołowąsów.

- Niewykluczone. Bastilla się wściekła, kiedy jej powiedziałem, że szukam Tomasa. Być może to nawet ci sami ludzie, którzy zdewastowali mi biuro.

Pike mruknął z niedowierzaniem.

- Żaden policjant nie obsikałby ci krzesła.

- Crimmens zakłada, że w sprawie o morderstwo przedstawiłem sądowi sfabrykowane dowody. Coś mi się zdaje, że on byłby do tego zdolny, gdyby doszedł do wniosku, że dokładne przeszukanie biura warto upozorować na akt wandalizmu.

- Załóżmy.

- Byłem w drodze na spotkanie z niejaką Ivy Casik mieszkającą niedaleko Hollywood Bowl. Gdybyś ich przejął, zdołałbym się urwać, a ty mógłbyś wysledzić, dokąd pojadą.

- W porządku. To mi się podoba.

- Byłem tego pewien.

Skręciłem na północ w stronę gór, ale jechałem dalej bez pośpiechu, trzymając się jednego pasa i obserwując w lusterku, jak ciągle się zmieniają. Czasami przez kilkaset metrów nie widziałem

za sobą żadnego z ich wozów, potem nagle któryś się pojawiał jak spod ziemi.

Wcisnąłem się w uprząż z kaburą podramienną i zakryłem ją lekką bawełnianą marynarką. Było za gorąco, żeby nosić marynarkę, lecz musiałem jakoś zamaskować broń.

Szesnaście minut później zadzwonił Pike.

- Siedzę na ogonie mustanga.
- W takim razie pomyślnych łowów. Odłożyłem telefon i dodałem gazu.

## 14.

Skręciłem w Hillcrest i ruszyłem przez starsze osiedle domków jednorodzinnych pełne wąskich krętych uliczek obrzeżonych wysokimi krawężnikami i ocienionych wysokimi palmami. Byłem pewien, że w tej okolicy łatwo zgubię furgonetkę i mustanga. Powinni jakiś czas pokręcić się w miejscu, obwiniając się nawzajem o to, że stracili mnie z oczu, oczywiście nieświadomi, że są śledzeni przez Pike'a. A ja, po zakończeniu rozmowy z Ivy Casik, mógłbym do niego dołączyć, oczywiście też niepostrzeżenie, żeby zyskali okazję do tego, żeby się z nimi rozmówić.

Zaparkowałem za masywnym palisandrem na wprost budynku, w którym mieszkała dziewczyna, po czym ruszyłem do drzwi pieszo. Ivy zajmowała mieszkanie numer 4, znajdujące się na parterze, w tylnej części podwórka. Zadzwoniłem dwa razy, potem zapukałem, ale nikt nie odpowiedział. Świetnie.

Nie oczekiwałem zbyt wiele po tej rozmowie, jednakże Ivy była jedynym tropem, na który wpadłem, toteż wróciłem do samochodu i rozsiadłem się, żeby na nią zaczekać. Po dwudziestu dwóch minutach pod przeciwległym krawężnikiem

zatrzymał się bardzo brudny ford neon. Wysiadła z niego wysoka młoda dziewczyna o smutnych oczach i prostych włosach. Była szeroka w ramionach, nogi miała umięśnione jak sportsmenka, a jej strój - elastyczne szorty, przepocony cienki T-shirt oraz granatowe buty do biegania - świadczył wyraźnie, że wraca z joggingu. Z daleka dostrzegłem wytatuowane na przedramieniu małe czerwone serduszko, wyróżniające się niczym dojrzała truskawka.

Ruszyłem za nią przez podwórko, stopniowo przyspieszając kroku.

- Ivy Casik!

Aż podskoczyła, jakbym huknął jej tuż nad uchem. Obejrzała się z miną zwiastującą chęć rzucenia się do ucieczki.

- Przepraszam. Nie chciałem pani przestraszyć.

Rozejrzała się panicznie po oknach najbliższych lokali, gotowa najwyraźniej zacząć wzywać pomocy.

- Rzeczywiście śmiertelnie mnie pan przestraszył.

- Przepraszam.

Wyciągnąłem do niej swoją wizytówkę.

- Nazywam się Elvis Cole i chciałbym z panią porozmawiać o Lionelu Byrdzie, którego zapewne знаła pani pod przybranym nazwiskiem Lonniego Jonesa.

Cofnęła się o krok, wciąż zerkając niepewnie na pobliskie okna.

- Kim pan jest?

- Prywatnym detektywem. Proszę spojrzeć na wizytówkę.

- Każdy może sobie zrobić taką wizytówkę.

Rozłożyłem ręce w geście bezradności.

- Mam pani pokazać mój pistolet?

Zawahała się, ale napięcie prysło. Schowałem wizytówkę i wyciągnąłem moją licencję.

- Widzi pani? To licencja detektywa wydana przez władze stanu Kalifornia. Jeszcze raz przepraszam, że panią przestraszyłem.



- Jest pan policjantem?  
- Nie, tylko prywatnym detektywem, lecz niewykluczone, że policja będzie chciała z panią rozmawiać. Zadzwońiłbym, żeby się umówić na spotkanie, ale nie znam pani numeru telefonu.

Zapatrzyła się na licencję, mrużąc oczy, jakby miała kłopoty z jej odczytaniem.

- Nazywa się pani Ivy Casik, prawda?

Podniosła na mnie wzrok, ale w jej spojrzeniu tym razem czaiła się wrogość.

- Czego pan chce?

- Chciałem porozmawiać o Lionelu Byrdzie, którego pani znała jako Lonniego Jonesa.

- I co?

Nie potrafiłem nawet ocenić, czy rozpoznała to nazwisko.

- Ludzie z Laurel Market powiedzieli mi, że pani go znała. Charles zeznał, że dostarczała mu pani zakupy. Nie czytała pani porannych gazet?

- Charles?

- Tak. W ogóle wie pani, o czym mówię? Znała pani niejakiego Lonniego Jonesa?

Odniosłem wrażenie, że się zamyśliła, ale zaraz zgarnęła kosmyk włosów za ucho i odparła:

- Przepraszam, ale to wszystko jest strasznie dziwne. Czy ten facet, o którym piszą w gazetach... to naprawdę Lonnie?

- Ach, rozumiem. Nie może się pani z tym pogodzić, prawda?

- Owszem. Chce pan wejść? Łatwiej będzie rozmawiać niż tu, na ulicy.

Zajmowała małe, ale schludne i czyste mieszkanko, z niewielką kanapą i stolikiem kawiarnianym w jednym końcu saloniku oraz okrągłym stołem jadalnym przy bufecie oddzielającym kuchnię. Meble były nowe, niezniszczone, i wyglądały na standardowe wyposażenie gospodarza nieruchomości. W kuchni

panował nieskazitelny porządek. Podłogi i blaty stołów wprost błyszcząły. Do tego otoczenia nie pasowała tylko gazeta otwarta na artykule opisującym zbrodnię Byrda.

Ivy zaproponowała mi butelkę wody mineralnej, dla siebie wyjęła drugą, po czym przysiadła z nią na brzeżku kanapy. Obróciłem jedno z krzeseł stojących przy okrągłym stole i usiadłem naprzeciwko niej.

- Ktoś już rozmawiał z panią na ten temat? - zapytałem.
- Chodzi panu o policję?
- W ubiegłym tygodniu przesłuchiowano wszystkich pani dawnych sąsiadów. Policja niemalże okupowała przez cały tydzień Anson Lane, szczególnie rozpytując mieszkańców.
- Nic o tym nie wiem. Jak przeczytałam artykuł w gazecie, pomyślałam: „Och, mój Boże, przecież to Lonnie”, ale zdjęcie jest bardzo kiepskie, więc nie byłam tego pewna. Sądziłam, że to może jakiś żart.
- To nie jest żart.
- Prawdziwy koszmar.
- Jak dobrze go pani знаła?
- Kilka razy zawiozłam mu zamówione rzeczy ze sklepu, nic więcej. Nic nas nie łączyło.

Natychmiast przybrała postawę obronną, jakbym zamierzał ją oskarżyć o sympatyzowanie z seryjnym zabójcą.

- Rozumiem, Ivy. O niczym nie wiedziałaś.
- Dla mnie był tylko człowiekiem poruszającym się o lasce, któremu trzeba było pomóc. Nigdy nie odezwał się do mnie nawet jednym złym słowem. A ja i tak chodziłam do sklepu. Miałam mu odmówić? Dla mnie był tylko starszym kalekim mężczyzną.

Potrząsnęła głową, aż jej włosy zafalowały niczym zasłonka poruszona gwałtownym podmuchem wiatru.

- Czy prosił panią także o leki?
- Tak. Kilka razy pytałam o te środki dla niego w okolicznych sklepach, ale tam mieli tylko podstawowe lekarstwa.

- Sprzedawane bez recepty, tymczasem on zażywał oxy-codon produkowany w Meksyku. Prawdopodobnie zdobywał go nielegalnie.

Wyprostowała się i zacisnęła wargi w wąską linię. Być może nie powinienem zadawać tego pytania, ale chciałem zobaczyć jej reakcję.

- Ja mu ich nie kupowałam.  
- No, tak, nie powinienem o to pytać.  
- Sądzi pan, że handluję prochami?  
- Nie musiała pani wiedzieć, co mu pani kupuje. Mógł poprosić panią o dostarczenie przesyłki, a pani nie miała pojęcia, co w niej jest...

- Załatwiałam mu tylko zakupy.  
- Skoro nie mógł nawet prowadzić samochodu, ktoś musiał mu dostarczać te leki. Wcałe nie twierdzę, że robiła to pani.

- A ja mam wrażenie, jakby właśnie tak pan myślał. Starałam się tylko być uprzejma, tymczasem pan oskarża mnie o pośrednictwo w handlu prochami. To mi się zdecydowanie nie podoba.

- O nic pani nie oskarżam. Może źle się wyraziłem, ale naprawdę jestem daleki od jakichkolwiek oskarżeń.

- Mniejsza z tym. Jest pan pewien, że będę musiała jeszcze raz o tym mówić policji?

- Pewnie tak, tyle że z policją rozmowa na pewno nie będzie już tak zabawna jak ze mną.

Jeszcze silniej zagryzła wargi, co z reguły jest niechybną oznaką, że wyczerpałem limit przyznanego mi kredytu zaufania.

Zaterkotał mój telefon komórkowy, przeprosiłem i spojrzałem na ekranik. Dzwonił Pike. Powiedziałem Ivy, że muszę odebrać, i uniosłem aparat do ucha.

- Jeszcze jesteś z tą dziewczyną? - zapytał.

- Zgadza się. Dokąd pojechali?

- Donikąd. Kucyk zaparkowała zaraz po tym, jak im zwi-  
leś. Do tej pory stoi przy Franklin Avenue u podnóża Hillcrest.

- A co z jego pomocnikiem?

- Furgonetka zniknęła jakieś cztery czy pięć przecznic  
przed wjazdem na wzgórze. Podejrzewam, że zajęła posterunek  
obserwacyjny w innym miejscu.

- Jasne.

- Chcesz, żebym pojechał za Kucykiem, gdy się ruszy z  
parkingu?

- Koniecznie. Przerwałem połączenie.

- Przepraszam. Zresztą prawie już skończyliśmy.

- Nic nie szkodzi.

- Czy Byrd kiedykolwiek zrobił albo powiedział coś, co  
wzbudziło w pani strach?

- Nie przyniosłabym mu więcej zakupów, gdyby mnie w  
jakiś sposób wystraszył.

- Rozumiem. I nie prosił pani nigdy o zdjęcie?

Teatralnie wzruszyła ramionami. Wiedziała, że nawiązując do  
albumu z fotografiami zamordowanych.

- Nigdy. Zresztą i tak bym mu nie dała.

- Jasne. Ostatnie pytanie. Czy kiedykolwiek zrobił albo  
powiedział coś, co nasunęłoby pani podejrzenia... nawet teraz,  
po upływie czasu... że zamierza popełnić samobójstwo?

Zamyśliła się na dłużej, wreszcie spojrzała na rozłożoną gaze-  
tę. Musnęła ją palcami, lecz nie podniosła.

- Nie bardzo... Najwyżej mogłabym powiedzieć, że był w  
depresji. Piekielnie bał się policji. Myślał, że krążące po gorze  
patrole poszukują jego.

- Czyżby?

- Raz już był aresztowany pod zarzutem morderstwa.  
Często o tym mówił.

Wziął głębszy oddech.

- I opowiadał pani o sprawie Yvonne Bennett?  
- Opowiadał, jak policja próbowała go zrobić. Nienawidził gliniarzy. Powtarzał, że już zawsze będą chcieli się do niego dostać. W końcu... skoro takiego nieporadnego, utykającego człowieka oskarżono o brutalne zabójstwo, to z założenia nasuwał się wniosek, że była to zmyślona historyjka.

- Nie była zmyślona.

- I naprawdę powstanie teraz książka o nim?

Pokręciłem głową i zmarszczyłem brwi, nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi. Dodała więc szybko:

- Ktoś przyjechał do niego, żeby porozmawiać o tym, jak policja wrobiła go w morderstwo. Podobno facet obiecywał, że zostanie bohaterem nie tylko książki, ale i filmu, więc Lonnie zaczął się rozmarzać, jaki to będzie teraz bogaty. Ale dla mnie to wszystko brzmiało absurdalnie.

Aż zaschło mi w gardle. Nie pomogło nawet kilkakrotne obliźnięcie warg.

- Kto to był?

- Nie wiem. Podobno jakiś reporter, który szykował do publikacji materiału o tym, jak policja wrobiła Lonniego w zabójstwo.

Ivy Casik była naprawdę atrakcyjną dziewczyną. Bez trudu doszedłem do wniosku, że Byrd po prostu chciał jej zaimponować tymi wyssanymi z palca opowieściami o powstającej książce i ewentualnym filmie.

- Nie widziała go pani?

- Nie, tylko Lonnie mi opowiadał o facecie, który przychodzi z reporterskim magnetofonem i zadaje mnóstwo pytań.

- Ten reporter przyjeżdżał do domu Lonniego?

- Tak. Myśli pan, że to bujda?

- Nie wiem.

- I ja myślałam, że to bujda, dopóki nie przeczytałam w gazecie, że policja faktycznie oskarżyła Lonniego o popełnienie

morderstwa. I faktycznie zarzuty zostały wycofane przed sądem. Zatem Lonnie nie kłamał.

- Zgadza się - przyznałem. - W tym zakresie mówił prawdę.

Tak oto na scenie pojawił się nowy gracz. Anonimowy redaktor, który mógł nawiązać kontakt z Lionelem Byrdem, żeby porozmawiać o sprawie zabójstwa. Jednakże jego istnienie było bardzo niepewne. W końcu nie tak łatwo było odnaleźć Byrda, nawet jeśli ktoś specjalnie go szukał. Bo przecież mieszkańcy osiedla przy Anson Lane znali go jako Lonniego Jonesa.

Zastanowiło mnie, jak mógłbym sprawdzić, czy historyjka Byrda o nachodzącym go reporterze jest prawdziwa. Policja musiała ściągnąć bilingi rozmów telefonicznych Byrda i sporządzić zestawienie jego rozmówców, zatem Bastilla powinna je znać, tyle że nie miałem co liczyć na jej współpracę. Przyszło mi do głowy, że chłopak z forda mustanga może coś wiedzieć w tej sprawie.

Kiedy opuściłem mieszkanie Ivy Casik, natychmiast zadzwoniłem do Pike'a, przekazałem mu nowiny i zapytałem o błękitnego mustanga.

- Co porabia nasz chłoptaś?
- Nawet nie ruszył się z miejsca.
- Nie widziałeś tam gdzieś furgonetki?
- Nie.
- Jadę do ciebie.

Ujechałem jednak zaledwie kilkaset metrów, gdy z bocznej uliczki przede mną wyjechała czarna furgonetka Toyoty. Nie miałem żadnej pewności, że to ten sam wóz, ale gdy błyskawicznie przeskoczył na lewy pas i przyspieszył, uznałem, że przeczesuje teren, żeby mnie znaleźć, podczas gdy chłopak w mustangu czeka u wylotu doliny. Niewykluczone, że kierowca jeszcze bardziej zdziwił się na mój widok niż ja na jego.

Gliniarze w wypadku niepowodzenia takiej inwigilacji raczej od razu by się zatrzymali, żeby mnie wylegitymować. Tymczasem

toyota oddaliła się pełnym gazem. Miałem wrażenie, że kierowca pędzi w kierunku równin i szerszych autostrad, gdzie czeka kumpel w mustangu, ale on ostro zahamował, skręcił w przeciwną i ruszył w górę zbocza. Być może uznał, że łatwiej się ode mnie uwolni na stromych i krętych podjazdach. Dodałem jednak gazu i skręciłem za nim.

Im wyżej jechaliśmy, tym bardziej kręte robiły się podjazdy, które wiły się po stromiznach niczym węże. Chciałem zadzwonić do Pike'a, ale jechaliśmy dość szybko, miałem więc obie ręce zajęte trzymaniem kierownicy i przełączaniem biegów. Odnosiłem wrażenie, że kierowca furgonetki nie ma pojęcia, dokąd zmierza ani dokąd prowadzą kolejne ulice; chyba zależało mu tylko na tym, żeby się ode mnie uwolnić. Obaj lekceważyliśmy znaki stopu, zakręciliśmy z piskiem opon i wybieraliśmy co bardziej strome uliczki, aż wreszcie zabawa dobiegła końca. Toyota wjechała w ślepy zaułek. Znalazła się w potrzasku.

Szyba po lewej stronie była opuszczona do końca, kierowca bacznie mnie obserwował wielkimi roziskrzonymi oczami, jakby nie był jeszcze pewien, co zrobić. Był mocno zbudowanym mężczyzną o szerokich ramionach i muskularnych rękach, lecz ledwo zarysowane wąsiki i pryszcze na policzkach sprawiały wrażenie, że jest nawet młodszy od „Foo Fightera”. Mógł mieć najwyżej siedemnaście czy osiemnaście lat. Był jeszcze chłopaczkiem. Ale widziałem już gromadę roślących mężczyzn położonych pokotem serią z AK-47 przez jedenastolatka, toteż wyciągnąłem pistolet z kabury, lecz go nie podniosłem. Dzieliło nas najwyżej dziesięć metrów.

- Wyskakuj z auta. I trzymaj ręce tak, żebym je widział.

Powoli otworzył drzwi, uniósł ręce nad głowę i wysunął się zza kierownicy. Kiedy stanął przede mną, wydał mi się jeszcze młodszy, wyglądał na gładkolicego, ale szybkoconiego skrzydło-wego ze szkolnej drużyny piłkarskiej. Aż naszło mnie przecucie,

że lada moment rzuci się do ucieczki, bo dzieciaki w podobnych sytuacjach zwykle próbują uciekać, jednakże on pozostał na miejscu.

- Zamknij drzwi - poleciłem.

Zatrzasnął za sobą drzwi toyoty.

Wysiadłem z samochodu, trzymając pistolet przy nodze, skierowany ku ziemi, gdyż nadal nie byłem pewny, czego mogę się po nim spodziewać, albo raczej czego spodziewać się po sobie, gdyby zareagował niestandardowo.

- Na kolana. Spleć dłonie na czubku głowy.

Wykonał polecenie. Znajdowaliśmy się na kolistym podejździe na końcu wąskiej osiedlowej uliczki, gdzie w każdej chwili ktoś mógł wyjść do skrzynki po listy czy też odebrać dziecko wracające ze szkoły. Pospiesznie schowałem pistolet do kabury, zabezpieczywszy go wcześniej, po czym odsunąłem się na krok od samochodu.

- Dlaczego mnie śledziłeś, do diabła?

Niespodziewanie odpowiedział jakiś głos za moimi plecami:

- Dlatego.

Poczułem mocne uderzenie w kark, które zważyło mnie na asfalt. W ostatnim przebłysku świadomości uprzytomniłem sobie, że chłopak z toyoty wcale przede mną nie uciekał w tę ślepą osiedlową uliczkę. On specjalnie tu wjechał, wciągając mnie w zasadzkę.

## 15.

Nowo przybyły okazał się barczystym młodym chłopakiem z włosami przystrzyżonymi na jeża oraz z zamglonymi szarymi oczami i brunatnym odcieniem skóry człowieka, który większość czasu spędza na słońcu. Złapał mnie za koszulę na karku i



trzymając tak, bym nie mógł stanąć na nogi, mimo moich starań okładał raz za razem po plecach.

Znał się na rzeczy. Poruszał się szybko, cały czas przytrzymując mnie brzuchem do ziemi. Mimo to nie sięgnąłem po pistolet, nie za bardzo próbowałem też wstać. W takiej sytuacji uzbrojony człowiek powinien przede wszystkim zatroszczyć się o bezpieczeństwo broni, bo gdyby napastnik ją przejął, mógłby zrobić z niej użytek. A gdybym usiłował się podnieść, nie mógłbym się zasłaniać i bronić, dlatego też podjąłem obronę w pozycji leżącej. Tylko wyobraźcie sobie detektywa wyciągniętego na ziemi i wijącego się jak krab.

Chłopak z furgonetki nagle wykrzyknął coś niezrozumiałego, po czym zaczął mnie kopać, ale nie był tak dobry jak jego przyjaciel. Stał nade mną wyprostowany jak słup. Kiedy więc z półobrotu podciąłem mu nogi, zwałił się na mnie jak kłoda. I wtedy przez ułamek sekundy w zasięgu mego wzroku pojawił się błękitny mustang.

Kiedy chłopak upadł, próbowałem go do siebie przyciągnąć i wykorzystać jak taran do powalenia pierwszego napastnika. Ten jednak zgrabnie odskoczył, ale udało mi się osiągnąć tyle, że puścił moją koszulę na karku. Skoczyłem więc na nogi i obróciłem się błyskawicznie, żeby mieć go przed sobą, ale natarł na mnie z nisko spuszczoną głową jak zawodowy obrońca drużyny futbolowej. „Foo Fighter” wyskoczył zza kierownicy i rzucił się biegiem w naszym kierunku, żeby dołączyć do bójki.

Znowu straciłem równowagę i poleciałem do tyłu, lecz tym razem wzmocniłem uchwyt i pociągnąłem atakującego za sobą. Powinien był kontynuować szarżę, ale chyba się przestraszył i szarpnął do tyłu, chcąc się uwolnić z mojego uścisku. A był na tyle silny, że gdy stanąłem na nogi i puściłem go, zwałił się na ziemię jak trafiona figurka na strzelnicy. Doskoczyłem, wałnąłem go w gardło i w szczękę, po czym zdążyłem jeszcze trafić

chłopaka łokciem pod oko. Pierwszy napastnik dźwignął się pospiesznie, ale wtedy „Foo Fighter” wpadł na niego od tyłu z impetem szarżującego byka. Ponownie zwałił się jak kłoda, tym razem twarzą do ziemi, a chłopak z mustanga wylądował mu na plecach. Zaraz jednak za sprawą Pike’a uniósł się w powietrze, wdzięcznym łukiem przeleciał parę metrów i z hukiem grzmotnął ramieniem o drzwi mojego auta. Rozległ się donośny trzask pękającego obojczyka.

Joe błyskawicznie dobył swoją armatę, ja wyciągnąłem swój pistolet i zapanował spokój.

- Nie wygląda mi na to, żeby te gnojki były z policji - odezwał się Pike.

Z sykiem wciągnąłem przez zęby powietrze, chcąc uspokoić oddech. W głowie pulsował mi ból. Tak samo jak w plecach, lewym ramieniu i prawym kolanie. „Foo Fighter” trzymał się za ramię i głośno zgrzytał zębami. Chłopak z furgonetki podźwignął się na klęczki, przekrwione oko niknęło mu za powiększającą się szybko opuchlizną. Pierwszy napastnik także ukląkł, ale obrzucił Pike’a takim wzrokiem, jakby nie miał jeszcze dość. Był najstarszy z całej trójki.

- Nic ci nie jest? - zapytał Joe.

- Nic.

- Coś kiepsko wyglądasz.

- To co?

- Aha, rozumiem.

Szybko przystąpił do działania zgodnie z nawykami z czasów służby w policji. Z wprawą zebrał trzech przeciwników razem, wydając krótkie komendy:

- Płasko na brzuchu! Dłonie spleść na karku!

Ułożyli się posłusznie. Szybko obszukałem „Foo Fightera” i dzieciaka, lecz gdy tylko dotknąłem najstarszego, ze złością odtrącił moją rękę.

- Nie waż się mnie nawet dotykać, gównojadzie.

- To wy zdemolowaliście mi biuro?
- Pieprz się.

Bez wahania wbiliem mu kolano między łopatki i przeszukałem go. Żaden nie był uzbrojony. Zabrałem im portfele i dopasowałem dokumenty do każdego na podstawie zdjęcia w prawie jazdy. Dzieciak nazywał się Gordon Repko. Miał osiemnaście lat. „Foo Fighterem” był Dennis Repko, lat dwadzieścia. Najstarszy, Michael Repko, miał lat dwadzieścia cztery. Wszyscy mieszkali pod tym samym adresem w Pasadenie, w Kalifornii. Michael Repko legitymował się ponadto wojskową kartą identyfikacyjną, zgodnie z którą był sierżantem rezerwy amerykańskiej piechoty. To tłumaczyło jego muskulaturę, krótko ostrzyżone włosy i dziokie błyski w oczach. To oni wystraszyli Johna Chena, kiedy zjawił się w ich domu, a teraz napędzili strachu mnie.

Pokuśtykałem do samochodu i przysiadłem na błotniku. Czuję się zmęczony, ale moje zmęczenie nie miało nic wspólnego z niedawno zakończoną bójką w tym ślepym zaułku w Hollywood Hills.

- To bracia Debry Repko.

Pike opuścił rewolwer, ale go nie schował.

- To przez ciebie zginęła, kutasie! - warknął Dennis Repko. - Jej śmierć to twoja pieprzona zasługa!

- Ciii - syknął Joe.

Powiodłem wzrokiem po twarzach trzech braci i poczułem się jeszcze bardziej zmęczony wyrazem nienawiści i strachu w ich oczach. Adres w Pasadenie wskazywał, że mieszkali w porządnej okolicy, można więc było przypuszczać, że są uczciwi, pochodzą ze stabilnej rodziny i chodzili do dobrych szkół. Zatem ci trzej biali chłopcy chcieli wyładować tylko swoją rozpacz na człowieku, którego obwiniali o śmierć siostry.

- To wy zdemolowaliście moje biuro, a potem jeździliście za mną, szukając okazji, żeby się odegrać. Zgadza się?

- I co teraz z nami zrobisz? - zapytał Michael. - Zastrzelisz? Pieprz się. Wolę umrzeć, walcząc z tobą, jak prawdziwy mężczyzna.

- Już walczyłeś - odezwał się Pike. - I dałeś dupy.

Kucnąłem na wprost Michaela, żeby łatwiej mi było patrzeć mu w oczy.

- Owszem, mógłbym cię zastrzelić. Mógłbym też pozabić twoich braci, a ciebie oddać w ręce policji. Postąpiliście jak idioci.

- To była nasza siostra - wtrącił Gordon.

Ten najmłodszy z nich miał łzy na policzkach.

Wziąłem głębszy oddech i cofnąłem się do samochodu.

Pierwsze pogrożki odebrałem przez telefon, jeszcze zanim Bastilla z Crimmensem zjawili się w moim biurze, a więc na długo przed wystąpieniem Marksa przed kamerami telewizyjnymi. A ponieważ ani w telewizji, ani w prasie nie wspomniano nawet o moim powiązaniu ze sprawą Lionela Byrda, zyskałem dość klarowne przeświadczenie, jakim cudem tych trzech dowiedziało się o mnie.

- Policja wam powiedziała, że działałem na zlecenie obrońcy Byrda?

- Gdyby nie ty, wsadziliby go do więzienia - odparł Dennis. - Ale pomogłeś tej oślizgłej papudze i razem wyciągnęliście go z aresztu.

- Kto ci to powiedział? Crimmens?

- Więc jak? Przyłożyłeś do tego rękę czy nie? - wtrącił Michael. - Bo miałbym ochotę jeszcze skopać dupsko temu adwocacie.

Mówił o Levym.

Pike wetknął rewolwer pod koszulkę.

- Co zamierzasz z nimi zrobić?

Stałem nad Gordonem, później spojrzałem na Dennisa. Oko Gordona prawie całkiem zapuchło. Dennis miał poważne kłopoty z poruszeniem ręką.

- Odpierdol się ode mnie, kurwo! - syknął buńczucznie.  
Przeniosłem wzrok na Michaela.

- Gordon nie musi iść do lekarza, ale warto mu jak najszybciej zrobić kompres z lodu. Za to Dennisowi trzeba unieruchomić rękę w łupkach.

- Pieprz się! - warknął Michael. - Kogo to obchodzi, co masz do powiedzenia.

Rzuciłem na ziemię ich trzy portfele.

- Przykro mi, że straciliście siostrę. Żał mi, że zginęła, że wy i wasi rodzice musieliście pogodzić się z rozpaczą po jej śmierci. Ale według mnie to nie Lionel Byrd ją zabił.

Podnosili się wolno. Dennis pozostał zgięty wpół z powodu złamanego obojczyka. Gordon ostrożnie musnął palcem opuchliznę pod okiem i wyraźnie zdziwił go widok krwi. Dennis i Gordon szybko popatrzyli na starszego brata, czekając na jego wskazówki.

- Gówno prawda! - bąknął Michael. - Policja twierdzi, że to jego sprawka.

- Marx przyspieszył dochodzenie, bo paliło mu się, żeby wystąpić przed kamerami. W całej tej sprawie mnóstwo rzeczy było załatwianych w pośpiechu i byle jak.

- Gówno prawda.

- Czyżby?

Wyjaśniłem im więc, że do zabójstwa Debry doszło w nietypowej porze roku i że wszystkie wcześniejsze zbrodnie popełniono podczas nowiu. Powiedziałem, że w ostatnich tygodniach Byrdowi tak bardzo dokuczwała zmiażdżona stopa, że ledwie mógł chodzić, a w chwili śmierci był naszprycowany przeciwbólowym oxicodonem. Zdradziłem, że Marx zamknął dochodzenie jeszcze przed napłynięciem wszystkich wyników badań laboratoryjnych i że do tej pory nikt nie rozmawiał z najważniejszym świadkiem w sprawie zabójstwa Yvonne Bennett, czyli Anielem Tomaso.

Powiedziałem im wszystko, przemilczałem jedynie kwestię ślepych prób. Zdawałem sobie sprawę, że będą poruszać między sobą ten temat i mogą nieświadomie zeznać o tym policji. A przecież nie chciałem, aby niewłaściwi ludzie dowiedzieli się, że znam wyniki analiz ślepych prób.

Kiedy skończyłem, Gordon, najmłodszy z nich, prychnął pogardliwie.

- Niby z jakiego powodu uważa się pan za mądrzejszego od całej policji?

- Może po prostu dopisało mi szczęście.

- O tym wszystkim gliniarze nam nie mówili - dodał Dennis.

- Czyżbym jednak był od nich mądrzejszy?

Michael zmarszczył brwi.

- A może tylko próbujesz się wywinąć od odpowiedzialności.

- Byrd nie zginął ani po pierwszym zabójstwie, ani po czwartym czy szóstym. Zginął dopiero po zamordowaniu Debry, więc może są jakieś elementy dotyczące jej śmierci, które zasadniczo wpłynęły na bieg zdarzeń?

Michael zerknął nerwowo na młodszych braci i oblizał wargi.

- Na przykład jakie?

- Tego jeszcze nie wiem, ale tylko ja ich szukam i bardzo by mi się przydała wasza pomoc.

Dennis pokręcił głową.

- Mielibyśmy ci pomagać?

- Jedynym sposobem rozwikłania całej sprawy zdaje się wyjaśnienie przyczyn i okoliczności śmierci waszej siostry. Gdybym więcej o niej wiedział, może łatwiej byłoby mi ustalić, dlaczego zginęła o innej porze roku niż wcześniejsze ofiary.

- A co byś chciał wiedzieć? - burknął Gordon.

- Według raportu z sekcji zwłok w chwili śmierci była pod wpływem alkoholu. Nie wiecie, czy tamtego dnia spotkała się po pracy z jakimś przyjacielem?

Wszyscy trzej wytrzeszczyli na mnie oczy.

- A jeśli tak, to gdzie się spotkali? Czy tym przyjacielem był mężczyzna? A może spotkała się z kobietą? Może w końcu piła coś sama?

Dennis zerknął na Michaela i zaraz pokręcił głową, ale wyraźnie myślał już w innych kategoriach.

- Tego nie wiemy.

- Ja też tego nie wiem, dlatego przydałaby mi się wasza pomoc w celu wyjaśnienia tych spraw.

Teraz obaj młodsi, Dennis i Gordon, popatrzyli na Michaela.

- Mikię, sądzę, że moglibyśmy...

Wzruszyłem ramionami, chcąc podkreślić, że następny krok zależy tylko od nich.

- No to już wiesz, na czym stoimy, Michael. Możesz nadal przyjmować w ciemno to, co powtarza policja, wierzyć, że sprawa jest zamknięta i wszystko jasne, ale możesz też zadać sobie podstawowe pytanie i postarać się dociec, czy na pewno próbuję tylko wywinąć się od poczucia winy.

Popatrzył po swoich braciach. Dennis szybko przytaknął ruchem głowy, jakby chciał dodać mu odwagi, a Gordon tylko spoglądał na niego z nadzieją w oczach.

- Nasza rodzina wiele przeszła...

- I jest absolutnie przekonana o mojej winie, prawda?

Skinął głową.

- Więc trudno będzie cokolwiek zdziałać.

- Musimy się poradzić.

Podąłem mu swoją wizytówkę z obydwoma numerami telefonów, stacjonarnego i komórkowego. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Ujawniasz mi swój domowy numer telefonu?

- Bo naprawdę wierzę w to, co wam powiedziałem. Teraz do ciebie należy decyzja, czy zechcecie pomóc i dacie mi o tym

znać. W każdym razie ja i tak będę prowadził swoje śledztwo.

Coraz bardziej się wahał. Może i rozmyślał o tym, czy nie przystać na moją propozycję, ale tego nie zrobił. Nie mieliśmy więcej o czym rozmawiać.

Michael poszedł do mustanga razem z Dennisem i zajął miejsce za kierownicą. Gordon wsiadł z powrotem do szoferki furgonetki. Po chwili odjechali, zostawiając nas samych w wypełnionym ciszą zaułku.

Pike westchnął głośno.

- Jak to bracia - mruknął.
- Zgadza się - przyznałem.

## 16.

Spodnie miałem podarte na obu kolanach, koszulę rozpruta, brakowało w niej dwóch guzików, a obie dłonie i prawy łokieć podrapane, zakrwawione i piekące. Powinienem jak najszybciej wracać do domu, żeby zrobić sobie okłady z lodu, czy nawet szukać pomocy w jakiejś przychodni, lecz mimo to pojechałem do marketu Best Buy w Hollywood. Kupiłem nowy komputer i telefon bezprzewodowy do biura. Myślałem też o kupieniu nowego krzesła, ale nie zmieściłoby się do samochodu. Poza tym dotkliwie szczypała mnie obtarta i wyraźnie obrzmiała skóra na prawym uchu i nad prawą brwią, a bolesne pulsowanie z tyłu głowy jeszcze się nasiliło. Dziewczyna stojąca w wejściu do sklepu wytrzeszczyła oczy na mój widok.

- Pan krwawi... - wybąkała.
- Potknąłem się na parkingu.
- Mogę wezwać kierownika, jeśli chce pan złożyć skargę.
- Nic się nie stało. Jestem gruboskórny.

Pospiesznie wyjąłem chusteczkę i przytknąłem ją do przedramienia, żeby zatamować krwawienie.



Z Best Buy podjechałem do True Value, marketu ze sprzętem budowlanym, gdzie kupiłem dwugalonowe opakowanie farby emulsyjnej, wałek malarski oraz paczkę jednorazowych foliowych skafandrów roboczych. Farba miała być w odcieniu „skorupki jaja”. W sumie, doliczając zakupy w Best Buy, wydałem 1868 dolarów i 52 centy. Każdy inny na moim miejscu kłąłby na kryminalistów, łajdackich gliniarzy bądź zwykłych szaleńców, ale ja nie mogłem zapomnieć o trzech braciach, którymi kierowała rozpacz po śmierci siostry.

Kiedy wróciłem do domu, napełniłem kostkami lodu dwa plastikowe worki, wyciągnąłem się na kanapie i zadzwoniłem do staromodnego reportera telewizyjnego, niejakiego Eddiego Ditko. Współpracował chyba z każdą gazetą w południowej Kalifornii i to dość ściśle. Znał się na dziennikarskim rzemiośle jak nikt inny.

- Załóżmy, że pewien dziennikarz zbierał materiał na temat konkretnej sprawy i choć doskonale znam temat, nie wiem, kto nad nim pracował. Czy łatwo byłoby mi ustalić nazwisko tego dziennikarza?

- O jaką gazetę chodzi?
- Nie wiem. Znam tylko temat.
- Matko Boska... Co to za temat?

Cierpliwość nie była mocną stroną charakteru Eddiego.

- Lionel Byrd.  
- Strzał kulą w płot. Wszystkie gazety w mieście pisały o sprawie Byrda.

Eddie zaniósł się nieprzyjemnym gardłowym kaszlem. Wypalał po trzy paczki papierosów dziennie prawie od sześćdziesięciu lat. Miałem wrażenie, że palił już w kołysce. Po chwili dziwnie zacharczał i splunął.

- Wszystko w porządku?

- Tak. To cholerne uczulenie...

Typowa wymówka palaczy.

- Ale wspomniany przeze mnie dziennikarz zbierał materiały w sprawie Byrda, jeszcze zanim stało się o niej głośno. Prawdopodobnie napisał artykuł o tym, jak to mylne zeznania omal nie doprowadziły do osądzenia Byrda w sprawie Yvonne Bennett. W każdym razie obiecywał Byrdowi, że może być z tego książka sensacyjna albo scenariusz filmowy.

- I nie wiesz, dla kogo ten gość pracuje?

- Nie.

- „Los Angeles Times” zatrudnia około ośmiuset pięćdziesięciu wolnych strzelców, podobnie „Times”. Jeśli uwzględnisz jeszcze „Daily News”, „Los Angeles Weekly”, „La Opinion” i wszystkie pomniejsze gazety, może uświadomisz sobie w końcu, jaki jest zakres twoich poszukiwań.

- Czy jednak pisarze nie muszą zdobywać wcześniej umów wydawniczych? Czy ich agenci mogą o tym nie wiedzieć?

- To, że ktoś zbierał materiały, nie oznacza jeszcze, że faktycznie podpisał umowę na powieść. Możliwe, że robił tylko tak zwane wstępne rozpoznanie. Zbiera się materiały w jakiejś sprawie, pokrótce je opracowuje i dopiero z czymś takim idzie się do wydawcy, jeśli są nadzieje, że wyjdzie coś obiecującego. Część komentatorów obyczajowych i felietonistów nawet nie spogląda w tym kierunku.

- Więc chcesz mi powiedzieć, że nie ma sensu drążyć tego tematu? Nawet jeśli miałby doprowadzić do ujawnienia historii mrożącej krew w żyłach?

Eddie przez chwilę nie odpowiadał. Doleciało mnie pstryknięcie zapalniczki, a potem szmer wydmuchiwanego dymu. Jak gdyby miało to pomóc w ocenie zasłyszanych informacji.

- Jaka to miałyby być historia mrożąca krew w żyłach?

- Możliwe, że poszukiwany przeze mnie dziennikarz wcale nie był dziennikarzem, tylko się za takowego podawał. Może

tylko wykorzystał to do zdobycia dalszych informacji na temat Lionela Byrda i popełnionych jakoby przez niego morderstw.

- Mów dalej.
- Staram ci się przekazać, że jeśli nawet policyjne dochodzenie zostało oficjalnie zamknięte, gliniarze nadal zlecali badania porównawcze konkretnego DNA z pewnymi świeżymi próbkami krwi...

- Chcesz powiedzieć, że badania jeszcze trwają?

- Otóż to, jeszcze trwają.

Eddie ponownie głośno westchnął.

- Zaczekaj. Może uda mi się czegoś dowiedzieć.

Wyrzuciłem worki ze stopionym lodem i odszukałem wizytówkę Bastilli. Specjalny zespół dochodzeniowy musiał kontrolować wszelkie rozmowy przychodzące pod numer domowy Byrda bądź z niego wychodzące, zwłaszcza tego dnia, kiedy prawdopodobnie zginął. Każdy znany reporter zapewne przedstawiłby się z imienia i nazwiska, zatem inspektor powinna znać wszelkie szczegóły. Nie miałem tylko pewności, czy zechce się ze mną podzielić wiedzą w tym zakresie, interesowała mnie jednak jej reakcja.

- Bastilla? Tu Cole...

- Hej, człowieku, dzięki za udostępnienie tych akt. Levy przefaksował nam komplet dokumentów.

- Nie ma sprawy. Co byś powiedziała na drobny rewanż? Czy jakkolwiek dziennikarz, reporter bądź nawet agencja informacyjna kontaktowali się z Byrdem pod jego numerem domowym?

Bastilla się zawahała.

- Dlaczego właśnie to cię interesuje?

- W ostatnim okresie dostarczała mi zakupy niejaka Ivy Casik. Byrd chwalił się jej, że jakiś reporter przystępuje do pracy nad sensacyjną książką o tym, jak to policja wmanewrowała go w sprawę zabójstwa Bennett. Dowiedziałem się od niej, że ów

tajemniczy reporter dwukrotnie odwiedzał Byrda w jego domu tuż przed śmiercią.

Tym razem Bastilla zawahała się jeszcze dłużej.

- Kim jest ta Ivy Casik?

- Wynajmowała pokój w domu po przeciwnej stronie Anson Lane. Pomagała mu, ponieważ nie mógł prowadzić samochodu. Może chcielibyście z nią porozmawiać?

- Jak się pisze jej nazwisko?

Przeliterowałem je, a następnie podyktowałem adres dziewczyny.

- Jeszcze jedno, Bastilla...

- Już późno, chciałabym w końcu zdać służbę. Poza tym ta sprawa jest zamknięta, człowieku. Nie mamy o czym mówić. To tyle.

- Na pewno? Znaleźliście w zestawieniach połączeń telefonicznych Byrda numer handlarza narkotykami albo przynajmniej kogoś, kto mógł mu dostarczać nielegalny oxycodon?

- Skąd o tym wiesz?

- Znaleźliście czy nie?

- Dobranoc, Cole. Naprawdę nie mamy o czym rozmawiać.

- Nie sądzisz, że wasz specjalny zespół dochodzeniowy został rozwiązany zdecydowanie za wcześnie?

- Odpieprz się, dobra?

Wziąłem prysznic, po czym przemyłem zadrapania na skórze wodą utlenioną. Poczułem się trochę lepiej, gdy włożyłem świeże ubranie, ale i tak nie dawało mi spokoju pytanie, z jakiego powodu Chen kazał porównać wyniki analiz ślepych próbek z tymi, które zostały pobrane wiele tygodni po śmierci Debry. Na pewno dowiedziałbym się z wiadomości telewizyjnych, gdyby wyniki tych porównań umożliwiły powiązanie Lionela Byrda z zabójstwem kobiety. Należało zatem wnioskować, że analizy nie dały pozytywnych rezultatów.

Michael Repko zadzwonił dwadzieścia po ósmej. Sprawiał wrażenie całkiem opanowanego, a w dodatku mówił ściszym głosem, jakby nie chciał, żeby ktoś inny go słyszał.

- Jeśli chcesz rozmawiać na temat Debry, to chyba mogą się na to zgodzić.

- Więc jak, możesz na to przystać czy nie, Michael? Twoje „chyba” niczego nie załatwia.

- Ocena nie jest taka prosta. Wszyscy cię obwiniają.

- Potrafię to zrozumieć. Tylko co dalej?

Podyktował mi adres i poprosił o przyjazd na dziesiątą naza-jutrz rano.

- W porządku. Zatem do dziesiątej.

- Mam nadzieję, że z tego spotkania wyniknie coś pozytywnego, bo inaczej będę musiał zaczynać od punktu, w którym się rozstaliśmy.

Odłożył słuchawkę.

Nie zamierzał się tak łatwo poddawać.

Rozsiadłem się na kanapie, ogarnięty narastającą złością, która wkrótce osiągnęła taki poziom, że ponownie zadzwoniłem do Bastilli. Ale tym razem już nie odebrała.

Kiedy usłyszałem sygnał automatycznej sekretarki, powiedziałem:

- Tu jeszcze raz Cole. Przekaż swojemu kumpłowi Crim-mensowi, że następnym razem, jak go zobaczę, skopię mu dupsko.

Przerwałem połączenie, lecz ani trochę mi to nie pomogło.

Wziąłem po dwie tabletki tylenolu i aleve'u, a następnie pojechałem do biura. Wtąszczyłem na piętro pojemnik z farbą i resztę sprzętu. Było już późno i w pomieszczeniach na piętrze nikogo chyba nie było. Dozorca zadziałał błyskawicznie. Wstawiono już nowe drzwi, z czego się bardzo ucieszyłem, ale miały one nowe zamki i zasuwę, których otwarcie wytrychem zabrało

mi prawie piętnaście minut. Pracowałem jednak z bezprzykładnym poświęceniem i wytrwałością, toteż w końcu dostałem się do środka.

Podłączyłem nowy telefon oraz komputer. Stare graty włożyłem do kartonowego pudła i wystawiłem na korytarz. Odsunąłem od ścian kanapę, regał na książki oraz małą lodówkę, pozakrywałem je arkuszami folii, po czym przenieśliem starego Pinochia w miejsce, gdzie nic mu nie groziło. Pomalowanie wałkiem wszystkich ścian zajęło mi niespełna godzinę, później otworzyłem na oścież drzwi balkonowe, żeby farba szybciej wyschła. Zdawałem sobie sprawę, że trzeba będzie położyć drugą warstwę, ale chciałem z tym poczekać do końca tygodnia.

Pozgarniałem folie malarskie, ustawiłem meble na poprzednich miejscach, po czym odkurzyłem wykładzinę. Uporządkowałem swoje biuro na tyle, na ile było to możliwe, i usiadłem przed telefonem w kształcie Myszki Miki. Jego podstawa była potrząskana i popękana. Myszka nie miała lewego ucha i rączki. Kupno nowego aparatu nie przedstawiało żadnych trudności, tyle że czułem się przywiązany do tej myszki od wielu lat.

Jej naprawa zajęła mi dużo więcej czasu niż odmalowanie pokoju. Powciskałem po kropelce superglue w pęknięcia podstawy, po czym złożyłem myszkę na nowo. Brakowało kilku drobnych kawałków, lecz nie wyglądała wcale tak źle. Przyszła więc pora na oderwane ucho. Rozprowadziłem klej na pęknięciu i przytrzymałem na nim odłamany kawałek, dopóki się nie przytwierdził. Dopiero wtedy uznałem, że Miki znowu wygląda nieźle. Choć widoczne wciąż pęknięcia zawsze będą mnie kłuły w oczy.

Część trzecia

**CZEGO SIĘ NIGDY**

**OD NICH NIE DOWIESZ**

## 17.

Następnego ranka czułem się zdrowo potłuczony, a odbicie w lustrze przekonało mnie, że przypominam pomidora dojrzewającego na krzaku. Odrobina gimnastyki i gorący prysznic pomogły mi się uwolnić od bólów mięśni, chociaż nie wpłynęły specjalnie na wygląd twarzy. Usiłowałem coś zjeść, lecz perspektywa spotkania z rodziną Repków do reszty ścisnęła mi żołądek.

Przeczytałem jeszcze raz wszystkie swoje notatki na temat Debry i chociaż nie dysponowałem kopią oryginalnego protokołu policyjnego, sprawozdanie uzyskane od Chena świadczyło wyraźnie, że pierwotne śledztwo prowadzili Robert Darcy i David Maddux. Ciekaw byłem, czy oni także zostali wcieleni do specjalnego zespołu dochodzeniowego, ale wrócili do swojego wydziału, gdy Chen dostał rozkaz powtórnego zebrania próbek na miejscu zdarzenia.

W sprawozdaniu lekarza prowadzącego sekcję wymieniony został niezbyt wysoki poziom alkoholu we krwi zabitej, nie było jednak żadnej wzmianki na temat jej poczynań tego wieczoru czy też w ciągu dnia poprzedzającego zabójstwo. Zależało mi na tych informacjach. Kiedy przeczytałem ponownie notatki w gazecie, uderzyło mnie podobieństwo między Repko a pierwszą z ofiar, Sondrą Frostokovich. Obie były białe, dobrze wykształcone i pracowały w śródmieściu, do jakiegoś stopnia powiązane z władzami miejskimi. Mogło to nie mieć żadnego znaczenia, ale i ten trop warto było sprawdzić.

Zacząłem po raz kolejny czytać raporty policyjne, aż uświadomiłem sobie, że ganiam za własnym ogonem. Nie miałem ochoty na ponowne spotkanie z braćmi Repko, ale nie zostało mi też nic poza podróżą do Pasadeny. Zebrałem więc swoje rzeczy i wyszedłem.



Rodzina Debry mieszkała w ładnym ranczerskim domu w należącem do klasy średniej osiedlu na wschód od Rose Bowl. Zaparkowałem samochód przy krawężniku, przemierzyłem podjazd wybrukowany czerwoną wyszlizganą cegłą i nacisnąłem dzwonek. Było mi ciężko na duszy, miałem się przecież spotkać z ludźmi przekonanymi o mojej odpowiedzialności za śmierć ich córki. Ścisnęło mnie w dołku, zaczerpnąłem więc kilka głębszych oddechów, lecz niewiele to pomogło. Nachodziły mnie obawy, że w dodatku jeszcze zwymiotuję im na podłogę.

Michael otworzył drzwi tak szybko, jakby na mnie czekał. Ale i tak oczy mu się rozszerzyły ze zdumienia na mój widok i przez kilka sekund tylko spoglądaliśmy na siebie. Miał szeroki czerwony ślad na prawym policzku, a pękniętą w jednym miejscu górną wargę wyraźnie napuchniętą.

- Masz cholerny tupet - burknął.
- Ty też.

Otaczał nas intensywny zapach kwitnącego bzu. Obszerny hol sprawiał wrażenie poczekalni domu pogrzebowego. Wpuszczając mnie do środka, Michael rzekł półgłosem:

- Bądź wyrozumiały dla mojej mamy, dobrze?
- Nie zamierzam nikomu strzelać w kolana.

Wprowadził mnie do wielkiego salonu, gdzie Dennis i Gordon siedzieli z rodzicami. Zapuchnięte oko Gordona było purpurowe, Dennis trzymał lewą rękę na temblaku. Po całym pokoju były porozstawiane rodzinne zdjęcia, a nad kominkiem wisiał duży olejny portret Debry. Dalsze jej fotografie stały stłoczone na gzymsie nad paleniskiem, idąc w zawody z wypchanymi zwierzątkami, szkolnymi albumami i różnymi pamiątkami. Stworzono tu coś w rodzaju rodzinnej świątyni.

Ostre spojrzenia rodziców sprawiły, że Michael nisko opuścił

głowę. Ani trochę nie przypominał już dowódcy oddziału, który rozdzielał swoim braciom zadania zmierzające do obicia mnie na kwaśne jabłko.

- To on - powiedział krótko.

On!

Pani Repko, sztywno wyprostowana w fotelu niczym posąg z marmuru, obrzuciła mnie wzrokiem pełnym nieskrywanej pogardy. Była po pięćdziesiątce i odznaczała się taką samą masywną i grubokościstą budową ciała jak jej synowie. Jej mąż, który sprawiał wrażenie co najmniej o dziesięć lat młodszego, był szczupłym mężczyzną o zamglonym spojrzeniu kogoś, kto wieczorami pija zdecydowanie za dużo, a z rana nie dokuczają mu nawet wyrzuty sumienia z powodu tego pijaństwa. Miał bardzo wysokie czoło i nosił okulary, w niczym nie przypominał żadnego ze swoich synów. Tylko Debra była do niego trochę podobna. Zmarszczył brwi na widok sińców na mojej twarzy i popatrzył na synów z taką miną, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nawet nie otworzył ust.

- Dziękuję, że zechcieli się państwo ze mną spotkać - zacząłem. - Wiem, jak trudna to dla was sytuacja.

- Michael przekazał nam, że pańskim zdaniem policja jest w błędzie.

- Mam kilka pytań, nic więcej. Postaram się zakończyć to spotkanie jak najszybciej.

- W takim razie słuchamy. Spróbujmy wszyscy zachować tyle zimnej krwi, ile tylko będzie możliwe.

Wyjąłem notatnik, bo kierując wzrok na pustą kartkę, łatwiej mogłem znieść potępienie obecne w ich spojrzeniach.

- Potrzebne mi pewne informacje o Debrze, poza tym chciałbym wiedzieć, co policja tu robiła i jakie zadawała pytania.

Pani Repko skrzyżowała ręce na piersiach.

- Wygląda na to, że on stara się obwinie o coś policję.

Pan Repko zerknął na żonę, po czym utkwiał we mnie świdrujące spojrzenie, jak gdyby doszedł do wniosku, że chce go wpuścić w maliny.

- Policja zachowywała się wobec nas bez zastrzeżeń. Wszyscy byli bardzo mili. Nie możemy powiedzieć na nich złego słowa.

- Pytam tylko dlatego, że chciałbym wiedzieć, jak śledczy ukierunkowali prowadzone dochodzenie. Gdybym mógł odtworzyć ich sposób rozumowania, zaoszczędziłoby mi to czasu i nie musiałbym zgadywać, w jakim kierunku się posuwali. Rozumiemy się?

- Mamo, nie przesadzaj - odezwał się Michael.

- Naprawdę nie możemy tego załatwić jak należy? - dodał Gordon.

Pan Repko nerwowo szarpnął spodnie na kolanach. Ewidentnie czuł się skrępowany. Dał się namówić synom na udział w tej rozmowie i teraz nie bardzo mógł się wycofać.

- W porządku. Więc o co konkretnie chodzi?

Ponownie wbiłem wzrok w notatnik. Nawet trzystu Spartan by mi nie pomogło w tej sytuacji.

- Dowiedziałem się, że policja w ubiegłym tygodniu przysłała do waszego domu technika kryminalistyki.

- Zgadza się. Przeglądał rzeczy Debry.

- Nie wyjaśnił państwu, czego szuka?

- Prawie wcale się nie odzywał. To był bardzo dziwny człowiek.

- Nie pytam o technika, tylko o detektywa prowadzącego dochodzenie. Śledczego z wydziału zabójstw. To był Darcy albo Maddux?

- Darcy i Maddux wypadli z obiegu - odparł Michael. - Teraz śledztwo prowadzi kto inny, Bastilla i Munson. Był z nimi

również detektyw o nazwisku Crimmens, ale szybko odjechał. Darcy'ego i Madduksa nie widzieliśmy od dłuższego czasu.

Munson był nowy. Z przyjemnością zapisałem jego nazwisko w notatniku.

Pan Repko pokiwał głową i dodał:

- Detektywi Bastilla i Munson należą do powołanego niedawno specjalnego zespołu śledczego. Nie wiemy, co się stało z Darcym i Madduksem.

- Rozumiem. A co powiedzieli państwu Bastilla i Munson? Czego konkretnie szukali?

- Zależało im na jakichś próbkach. Tylko tyle powiedzieli. Chcieli zebrać jakieś próbki z rzeczy należących do Debry. Pytali, czy praliśmy jej ubrania, czy nie, ale poza tym nie wdawali się w żadne szczegóły.

- Jasne. A czy zadawali państwu pytania dotyczące jakiejś konkretnej osoby czy konkretnych zdarzeń?

Pani Repko skrzywiła się z pogardą i jeszcze bardziej wyprężyła w fotelu niczym struna skrzypiec naciągnięta aż do granic wytrzymałości.

- Powiedzieli nam o tych nienormalnych, zboczonych zdjęciach zbieranych przez jej zabójcę - wtrąciła. - No i ostrzegli, że cała sprawa zostanie przedstawiona w telewizji. Mimo że stanowczo się tego domagałam, nie chcieli nam pokazać tych zdjęć, tylko ostrzegli przed ich wymową. A ja chciałam tylko zobaczyć ostatnie zdjęcia mojej córki. Nie pozwolili mi jednak...

Oczy jej zasły łzami, zamrugowała szybko. Gordon położył jej rękę na dłoni i szepnął:

- Mamo...

Zamrugowała jeszcze raz, ale najwyraźniej dotyk palców syna podziałał na nią kojąco. Chciałem zadać jeszcze następne pytanie dotyczące Bastilli i Munsona, ale postanowiłem wrócić do Darcy'ego i Madduksa.

Pan Repko wyjaśnił, że Darcy i Maddux przyjechali do Pasadena z samego rana następnego dnia po znalezieniu zwłok De-bry. Wtedy jeszcze byli przeświadczeni, że dziewczyna mieszkała tutaj, ponieważ na jej prawie jazdy widniał adres domu rodzinnego. Kiedy się dowiedzieli, że wynajmowała mieszkanie w Los Angeles, zapragnęli je zobaczyć, toteż Dennis z ojcem zawieźli ich do centrum, podczas gdy Michael i Gordon zostali z matką.

- Chciałbym porozmawiać z jej sąsiadami na temat ewentualnych gości, a zwłaszcza mężczyzn, których u siebie przyjmowała. Nie wątpię, że policja rozpytywała o to samo, ale wolałbym sam zapoznać się z opiniami tamtejszych mieszkańców.

Pan Repko pokiwał głową.

- Oczywiście.  
- Czy miała jakiegoś... przyjaciela?  
- Nie spotykała się z nikim od wyjazdu z Berkeley - odparł szybko Dennis. - W szkole średniej chodziła z kilkoma chłopakami, ale traktowała ich wyłącznie jak przyjaciół, nic więcej jej z nimi nie łączyło.

- A co z kolegami z pracy? Nie mówiła o nikim, kto przypadłby jej do serca w nowym miejscu pracy?

Pani Repko, która rozluźniła się nieco, gdy mąż wziął na siebie ciężar prowadzenia rozmowy, teraz ponownie się spięła.

- Gdy tylko podjęła pracę, nie miała czasu na randki. Wszyscy tam harowali jak niewolnicy na galerach...

- W Leverage Associates?

Michael przytaknął ruchem głowy.

- Zgadza się. Debra została zavalona robotą, ale jej się to podobało. Była autentyczną pracoholiczką, a w dodatku znalazła pracę swoich marzeń.

Pani Repko opuściła ręce wzdłuż ciała.

- To była okropna praca, przez tyle godzin dziennie...

- Ale jej się to podobało, mamó - powtórzył Gordon.
- Mimo wszystko...

Odchrząknąłem, chcąc przyciągnąć ich uwagę.

- Czy nie była z nikim umówiona tamtego wieczoru, kiedy została zamordowana?

Pani Repko odparła:

- Tego nie wiemy. W każdym razie pracowała do późna. I myślała wyłącznie o pracy.

- Raport z sekcji zwłok wskazuje, że piła tamtego wieczoru.

Pani Repko pochyliła się szybko w fotelu i po raz pierwszy od początku naszego spotkania przybrała minę niemającą nic wspólnego z obrzydzeniem.

- Naprawdę?

- Tak, proszę pani. Ale poziom alkoholu w jej krwi nie był wysoki. Mogła wypić najwyżej jednego drinka albo lampkę wina.

Pani Repko znów zamrużyła szybko, a jej oczy zaszyły łzami.

- No cóż, nie wiemy, co piła. Skąd mielibyśmy wiedzieć? Kiedy mieszkała z nami, wiedzieliśmy o wszystkim, ale przecież się wyprowadziła. Nigdy nie mogłam zrozumieć, po co jej to wynajęte mieszkanie, skoro znalazła pracę w samym śródmieściu. Pewnie gdyby nie to przekłete mieszkanie, nie stałoby jej się nic złego.

- Debra miała już dwadzieścia sześć lat, mamó - zauważył miękko Gordon.

- Och, zamknij się, dobrze? Proszę... lepiej już nic nie mów.

Zmrużyła oczy i machnęła dłonią przed twarzą, jakby chciała odgonić od siebie coś, czego odgonić się nie dało. Bez trudu wyobraziłem sobie, jak wykonuje ten sam gest setki razy dziennie, jak gdyby znalazła się w jakiejś pętli czasu. Automatycznie wiązała śmierć córki z wynajętym mieszkaniem, chęcią uzyskania samodzielności i wyprowadzenia się od rodziców, bo w jej pojęciu gdyby Debra została w rodzinnym domu, na pewno

ojciec z matką zdołaliby ją ochronić przed najgorszym.

Pan Repko niespodziewanie podał adres mieszkania wynajętego przez córkę i nawet wymienił nazwisko gospodarza domu, niejakiego Tolera Agazzi, lecz zaraz potem rozpacz jego żony niczym fala żaru ogarnęła cały pokój, toteż zamilkł szybko, a jego synowie jak na komendę wbili wzrok w podłogę. Mężczyzna nawet nie był w stanie spojrzeć na żonę. Zapatrzyłem się na portret Debry, zrobiony prawdopodobnie w czasie jej nauki w ostatniej klasie szkoły średniej. Była bardzo ładną dziewczyną o miłych rysach twarzy i przenikliwym spojrzeniu.

Odchrząknąłem i poprawiłem się na krześle. Chciałem, żeby gospodyni miała przed oczyma mnie zamiast córki. Miałem nadzieję, że w ten sposób dam jej do zrozumienia, że pamięć o zamordowanej jest dla mnie równie ważna jak dla niej. Kiedy zyskałem pewność, że spogląda na mnie, podniosłem wzrok i zapytałem:

- A co ze szkolnymi koleżankami, pani Repko? Mogę się założyć, że Debra miała mnóstwo serdecznych przyjaciółek. Zapewne niektóre jej przyjaźnie trwały jeszcze od czasów szkoły podstawowej.

Kobieta obejrzała się na portret córki, ale zaraz przeniosła wzrok z powrotem na mnie i oblizała wargi, widząc, że ja także patrzę na obraz.

- Owszem, to prawda - odparła jej matka. - Była jedną z najsłodszych dziewcząt w swojej klasie.

- Mogłaby mi pani podać nazwiska i numery telefonów jej najbliższych przyjaciółek? Chętnie bym z nimi porozmawiał.

- Oczywiście. Ma się rozumieć, że mogę je panu podać.

Tym razem pani Repko nie wyprężyła się jak alabastrowy posąg, udzielając mi odpowiedzi.

- Czy w trakcie pierwotnego dochodzenia Darcy i Maddux

zabrali coś z wynajmowanego przez nią mieszkania?

Pan Repko znów nerwowo podciągnął spodnie na kolanach i z lekkim ociąganiem skinął głową.

- Zabrali jej komputer i telefon, jeśli dobrze pamiętam, nie licząc jakichś drobiazgów.

- To był telefon stacjonarny czy komórkowy?

- Cóż, swoją komórkę miała w torebce, więc i tak już ją mieli. Bo pewnie pan wie, że nie została obrabowana... Wszystkie jej rzeczy zostały w torebce, nawet portmonetka z pieniędzmi. Ale w wynajętym mieszkaniu miała aparat bezprzewodowy. Zostawili na niego pokwitowanie. Gdzieś je mam do dziś, gdyby chciał pan zobaczyć.

- Chętnie bym na nie zerknął. Poza tym chciałbym też zobaczyć zestawienia połączeń telefonicznych Debry, jeśli państwo je mają.

- Tak, mamy. Zebrałem wszystkie papiery w jednej tecce.

Pan Repko wyszedł z salonu, zwróciłem się więc do jego żony.

- Czy policja zwróciła państwu rzeczy, które zabrała z mieszkania córki?

Kobieta pokiwała głową.

- Detektyw Maddux sam je przywiózł.

- W tym także jej telefon komórkowy, prawda?

Pani Repko poderwała się nagle z fotela. Jej synowie uczynili to samo i podbiegli do niej jak gdyby z obawy, że matka za chwilę zemdleje.

- Zaraz panu pokażę - wycodziła. - Domyślam się, że chce pan to zobaczyć, więc pokażę panu. Będzie mógł się pan przekonać, do czego doprowadził.

Michael spojrział na Gordona i polecił półgłosem:

- Leć po ojca.



## 18.

Pani Repko nie czekała ani na synów, ani na męża. Zaciągnęła mnie w drugi koniec domu do dziewczęcego pokoju pełnego włóczkowych serwetek i wycinanek, które zapewne Debra robiła na zajęciach praktycznych w szkole średniej. Nie opierałem się, wszedłem za nią, ale Michael i Dennis zatrzymali się przed progiem.

W pokoju panował idealny porządek. Łóżko było wzorowo zasłane, poduszki spiętrzone, odkurzony blat biurka wręcz czekał, aż ktoś przy nim usiądzie. Pokój, niezbyt duży, ale gustownie umeblowany, z wzorzystymi zasłonami w oknie, był niemal wzorem stylu pasującego do nastoletniej dziewczyny. Ogólne wrażenie psuło tylko wielkie kartonowe pudło stojące pod ścianą oraz przepaścisty fotel z pasiastym pluszowym obiciem.

Gospodyni podeszła do fotela.

- Większość mebli w jej pokoju pochodziła z wypożyczalni, oddaliśmy je więc z powrotem. Ale ten fotel kupiła sobie sama, Bóg jeden wie z jakiego powodu, bo jest koszmarny. Ale zostawiliśmy go tutaj.

Przeciągnęła dłonią po oparciu, po czym zacisnęła na nim palce, wbiła je w fotel, złapała się go tak kurczowo, jakby od tego zależało jej życie. Zachwiała się przy tym, a do oczu napłynęły jej łzy. Michael i Dennis omal mnie nie stratowali, gdy jednocześnie rzucili się, aby ją podtrzymać. Złapali ją pod ręce, jeszcze zanim wstrząsnął nią pierwszy spazm, i powoli wyprowadzili z pokoju. Michael zaczął jej tłumaczyć miękким głosem:

- Mamo, daj spokój. Obiecałaś przygotować dla pana Cole'a listę szkolnych koleżanek. Spróbujmy spisać ją razem.

Kiedy wyszedłem za nimi, w korytarzu pojawił się pan Repko z kopertą w rękę. Powiedział coś półgłosem do mijających go synów, czego nie zrozumiałem, po czym wręczył mi kopertę.

- Z ostatniego miesiąca, jak pan sobie życzył. Są tu wykazy rozmów z telefonu komórkowego i stacjonarnego w wynajmowanym mieszkaniu. Te same wykazy przekazałem policji.

Dołożyłem do nich pokwitowanie, jakie zostawili mi detektywi po zabraniu rzeczy Debry z jej mieszkania.

Musiał skopiować wszystkie te dokumenty dla policji. Przyznał teraz, że sprawdzał kolejno wszystkie pozycje na wykazach i jeśli trafiał na nieznany mu numer, czy to prywatny, czy związany z pracą, dzwonił pod niego, pytał o nazwisko właściciela i co go łączyło z zamordowaną córką. Cały margines zajmowały jego notatki robione maczkiem. Policja pytała go o te uwagi, podejrzewając więc, że i mnie zainteresują, sam udzielił wyjaśnień.

Pokwitowanie obejmowało:

- (1) komputer przenośny marki Apple
- (1) telefon bezprzewodowy 5.8 GHz marki Panasonic
- (1) telefon komórkowy marki Samsung
- (1) notes telefoniczny oprawiony w czerwoną skórę
- (1) niebieską książeczkę czekową
- dokumenty (różne)

Na owe dokumenty składały się wyciągi bankowe, rachunki telefoniczne i wszelkie odręczne notatki i zapiski znalezione w mieszkaniu. Na pokwitowaniu widniał podpis: „Det. R. Darcy”.

Wskazałem biurko i stojące pod ścianą pudło kartonowe.

- To są te rzeczy, które zwrócili Darcy i Maddux?  
- Częściowo. Zwrócili wszystko, co zabrali, zgodnie z wykazem na pokwitowaniu. Ale większość później sami spakowaliśmy.

- A Bastilla i Munson? Oni też coś zabrali?  
Gospodarz zamyślił się na krótko.
- Nie. Tutaj kręcił się tylko technik z dochodzeniówki, detektywi siedzieli z nami w salonie. A tu przysłałem chłopców, żeby mieli na wszystko oko.
- Właśnie podczas tej rozmowy Bastilla i Munson powiedzieli wam o Byrdzie?
- Zgadza się.
- A więc była to głównie wizyta informacyjna. O nic nie pytali, prawda?
- Padło kilka mało ważnych pytań, jeśli dobrze pamiętam. Chodziło o to samo, co interesowało i pana, i tamtych poprzednich dwóch detektywów. Miałem wrażenie, że chcą nas jedynie zająć jakąś rozmową do czasu, aż technik skończy pobieranie próbek.

- Też tak sądzę.

W kartonie było kilka powieści w kieszonkowych wydaniach, trochę czasopism, parę garnków i patelni kupionych zapewne przez Debrę zaraz po przeprowadzce do wynajętego mieszkania. Jej laptop stał na biurku, pewnie dokładnie w tym samym miejscu co przed wyjazdem z domu, a telefon komórkowy leżał w małej wazie razem z różnymi drobiazgami, gdzie zapewne go zawsze trzymała. Nie wątpiłem, że pani Repko porozwieszała z powrotem ubrania w szafie, a przybory toaletowe rozstawiła w łazience. Wszystko musiało wrócić na swoje miejsce, żeby nasilić wrażenie, że córka nigdy nie opuściła rodzinnego domu. Był to tak przygnębiający wniosek, że aż zebrało mi się na płacz.

Przejrzałem rzeczy w kartonie i szufladach biurka, następnie otworzyłem szafę i popatrzyłem na ubrania. Na pewno nie miała na sobie żadnej z tych rzeczy w chwili śmierci. Wszystkie tamtego fatalnego wieczoru były w szafie w jej mieszkaniu, nie było więc sensu szukać na nich jakichkolwiek śladów, chyba że

Bastilla i Munson podejrzewali kogoś z jej znajomych.

- Sporo ubrań - powiedziałem. - Technik z dochodzeniówki musiał spędzić nad nimi mnóstwo czasu.

- Rzeczywiście, pracował dość długo.

- A wy przez cały ten czas rozmawialiście z detektywami?

- Zgadza się. Dla nas wszystkich były to bardzo nerwowe godziny.

- W to nie wątpię. Ciekawi mnie, panie Repko... czy Bastilla i Munson pytali w tym czasie o coś istotnego, czy tylko powiadomili was o domniemanej winie Byrda?

- Chodzi panu o pytania w sprawie Debry?

- Tak, oczywiście. Skoro tyle czasu rozmawialiście, na pewno mieli do was jakieś pytania.

Zamyślił się na dłużej.

- Pytali o mężczyzn w jej życiu, chłopaków, takie rzeczy... Pytali też o pracę.

- W Leverage?

- Kogo polubiła, z kim się zaprzyjaźniła, czy w ogóle wymieniała jakieś nazwiska. Tego typu sprawy. Nie sądzę, byśmy w czymkolwiek im pomogli. Zresztą od początku nie rozumiałem, co nasza córka mogła mieć wspólnego z tym człowiekiem, Byrdem.

- Zatem interesowali się jej pracą w Leverage?

- Przynajmniej z pozoru, bo jak już powiedziałem, wyglądało na to, że chcą tylko zająć nam czas rozmową...

Nagle zmarszczył brwi, jakby coś go olśniło.

- No cóż, zdarzyło się coś, nie wiem tylko, czy to pana zainteresuje...

- O co chodzi?

- Detektyw Bastilla chciała zobaczyć wpisy w księdze kondolencyjnej z pogrzebu naszej córki. Miała nawet nadzieję, że będzie mogła je skopiować.

- Czyżby chciała dać do zrozumienia, że jej zdaniem Byrd uczestniczył w pogrzebie Debry?

- Wziąwszy wszystko pod uwagę, to brzmi niewiarygodnie, prawda?

Powstrzymałem się, by nie powiedzieć, że, moim zdaniem, pomysł uczestnictwa Lionela Byrda w pogrzebie ich córki to czysty absurd.

- To jednak interesująca poszlaka, panie Repko. Czy mógłbym zobaczyć tę księgę kondolencyjną?

- Jeszcze jej nie zwrócili. Będzie pan nią jeszcze zainteresowany, jak policja nam ją odda?

- Owszem. Chętnie bym do niej zajrzał.

Zaprowadził mnie z powrotem do salonu. Bracia jak na komendę unieśli głowy, jak gdyby oczekiwali, że oznajmię znaczący przełom w śledztwie, ale jedyne, co mogłem im obiecać, to to, że powiadomię telefonicznie, gdyby wynikły jakieś nowe fakty. Pani Repko nie było z nimi w pokoju, ale Michael wręczył mi krótką listę nazwisk z numerami telefonów. Kiedy gospodarz ruszył za mną do wyjścia, Michael także się podniósł, ale ojciec powstrzymał go ruchem ręki i rzekł:

- Ja odprowadzę pana Cole'a. Chciałbym zamienić z nim jeszcze słowo na osobności.

Michael posłał mi znaczące spojrzenie, zanim odwróciłem się i poszedłem za gospodarzem. Kiedy stanęliśmy przed drzwiami, pan Repko położył dłoń na kłamce, ale się zawahał.

- Naprawdę nie wiem, co mógłbym jeszcze panu powiedzieć - zaczął.

- Chyba nie zostało już nic więcej do powiedzenia.

Na parę sekund wbił wzrok w podłogę, po czym wyprostował się jak gdyby z ogromnym wysiłkiem i popatrzył mi w twarz. Zdałem sobie sprawę, że patrzy na ślady, jakie zostawili na niej jego chłopcy.

- Michael opowiedział mi, co się wydarzyło. Nie wątpię, że mógłby pan sprawić, by ich aresztowano. Jeszcze wciąż może pan wnieść przeciwko nim skargę.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Odwrócił głowę, jakby wysiłek utrzymywania kontaktu wzrokowego okazał się ponad jego siły.

- Przez kilka pierwszych tygodni nie myślałem o niczym innym, tylko o tym, co bym zrobił temu bandycie, gdyby policja go zidentyfikowała. Oddawałem się koszmarnym fantazjom, rozważałem zastrzelenie go na sali sądowej czy też opłacenie gangsterów, żeby załatwili go w więzieniu, jeśli zapadnie wyrok skazujący.

- Rozumiem.

- Ale z czasem, gdy pozostawał na wolności, zaczęły brać górę obawy, że ujdzie mu to na sucho. Kiedy w końcu policja go odnalazła...

Głos mu się załamał. Widać było, jak brzemień tego, co się stało, nie daje mu spokoju. Przygarbił się, wargi mu zaczęły dygotać, ramiona opadły ku ziemi. Trudno mi było na niego patrzeć. Ale w końcu widywałem gorsze reakcje i na pewno miałem je jeszcze widzieć w przeszłości.

- Przepraszam za to, co zrobili moi chłopcy, panie Cole. Nigdy bym im na to nie pozwolił. Niech mi pan pozwoli zrekompensować pańskie straty.

- Lepiej już pójdę, panie Repko.

Wyszedłem, nie oglądając się na niego i nie podając ręki na pożegnanie. Przemierzylem bez pośpiechu jego ukochany podjazd z czerwonej cegły, wyszedłem na jego ukochaną ulicę i stanąłem przy moim wozie, zastanawiając się, z jakiego powodu Connie Bastilla chciała zobaczyć wpisy w księdze kondolencyjnej. Owszem, mordercy czasem uczestniczą w pogrzebach swoich ofiar, zdarza się nawet, że przynoszą kwiaty albo zostawiają

karty z kondolencjami. Nie mogłem wykluczyć, że Bastilla szukała w spisie nazwiska Byrda wyłącznie z obowiązku, jakby zamierzała postawić kropkę nad i, ale było równie prawdopodobne, że poszukiwała zupełnie innego nazwiska - niezidentyfikowanego człowieka, którego próbka DNA znalazła się wśród ślepych prób badań laboratoryjnych.

Stałem pogrążony w rozmyślaniach, gdy nagle od krawężnika ruszył szary ford crown victoria, wykręcił na jezdnię, ale zatrzymał się na wprost mnie. Zza szyby popatrzyli na mnie dwaj faceci w ciemnych okularach. Obaj byli tuż po trzydziestce, obaj tak samo krótko ostrzyżeni i obaj w koszulach i krawatach, ale bez marynarek. Koszule miały krótkie rękawy, a z obojętnych, pozbawionych wyrazu twarzy wyzierał smutek spowodowany koniecznością noszenia kiepskich ciuchów i jeżdżenia po mieście kiepskim samochodem. Szyba w oknie po mojej stronie opuściła się powoli.

- Jak się domyślam, jesteście albo gliniarzami, albo facetami w czerni. No więc pierwsze czy drugie?

Facet na prawym fotelu machnął w otwartym oknie swoją odznaką i ruchem głowy wskazał mi tylne siedzenie.

- Nazywam się Darcy, a to jest Maddux. Porozmawiajmy o zabójstwie Debry Repko.

Nie miałem ochoty wsiadać do ich auta.

- Porozmawiajmy. Słyszę was wyraźnie.

Darcy zerknął w boczne lusterko, jakby się obawiał, że są śledzeni. Maddux pochylił się nad kolanami partnera i popatrzył na mnie.

- Ty jesteś Cole, zgadza się? Ten, który doprowadził do zwolnienia Lionela Byrda?

- Wiesz co, Maddux? A może byś mnie pocałował w dupę?

- My też uważamy, że to nie Byrd ją zabił. Więc lepiej wsiadaj, pogadamy o tym.

Teraz wsiadłem bez słowa sprzeciwu.

## 19.

Maddux zatrzymał wóz w cieniu rozłożystego wiązu, ale nie zgasił silnika, zostawił go na wolnych obrotach, a dźwignię ustawioną na jazdę do przodu. Darcy był większy od niego, odznaczał się wielkimi, masywnymi łapskami i powolnymi ruchami człowieka, który wszystko musi dogłębnie przemyśleć. Maddux stanowią jego przeciwieństwo. Bez przerwy nerwowo podrygiwał, jakby nie mógł usiedzieć na miejscu. Gdy stanęliśmy, obaj przekręcili się na fotelach, w podobny sposób zapierając się łokciami o deskę rozdzielczą. Darcy usadowił się twarzą do mnie, ale Maddux zaczął się rozglądać po okolicy, jak gdyby miał obawy, że ktoś może nas obserwować.

- Zarobiłeś parę ładnych siniaków, kolego - odezwał się pierwszy. - Tych trzech braci to niezłe ziółka, co nie?

- Mylisz się. Mam wysypkę.

- Jasne. Pani Repko zadzwoniła do nas z rana i poprosiła, żebyśmy coś z tobą zrobili.

- Więc dlatego przyjechaliście? Żeby coś ze mną zrobić?

Maddux na moment przestał się rozglądać i także popatrzył na mnie.

- Nas samych ta sprawa bardzo interesuje. Bo jak to się dzieje, że nagle musimy zrezygnować z prowadzonego śledztwa, a tydzień później Marx i jego przydupasy jednym ruchem rozwiążą siedem spraw?

- Może te przydupasy są lepsze od was.

- A może wyciągnęli sobie tego Byrda jak królika z kapełusza?

Teraz już obaj wpatrywali się we mnie w napięciu. Staliśmy w bocznej uliczce Pasadeny, w cieniu rozłożystego wiązu, lecz ich nie powinno tu być i nie powinni ze mną rozmawiać. Nawet jeśli byli już starszymi detektywami, nie pracowali w swoim



wydziale dłużej niż sześć czy osiem lat. Zatem mogli być wschodzącymi gwiazdami, ale równie dobrze popadać w coraz większą niełaskę czy wręcz należeć do stajni Marksa. Bo jeśli nie, to rzeczywiście nadstawiali karku przez sam fakt skontaktowania się ze mną.

- Jeśli macie problemy z interpretacją komunikatów specjalnego zespołu dochodzeniowego, to powinniście raczej skontaktować się z nim.

- Próbowaliśmy, lecz dali nam do zrozumienia, żebyśmy się ugryźli w dupę.

Darcy uśmiechnął się do swojego partnera.

- Prawdę mówiąc, oznajmili, że nie powinniśmy się już interesować tą sprawą. I to nam się nie spodobało. Poza tym odmówili zwrotu teczek z naszymi aktami tej sprawy. To nam się jeszcze mniej spodobało.

- Więc mam rozumieć, że postanowiliście przeprowadzić ze mną tak zwaną nieoficjalną rozmowę?

- Coś w tym rodzaju. W każdym razie jesteśmy zdania, że nie powinni tak szybko zamykać naszego dochodzenia.

Znów spoczęły na mnie czujne spojrzenia obu gliniarzy, jakby zamierzali czekać w cieniu tego wiązu, aż Ziemia okrąży Słońce, zmieniając się pory roku i nadejdą chłodniejsze dni.

- A jeśli wam powiem, że sprawa wcale nie jest zamknięta? - zapytałem. - Ze zespół specjalny przysłał tu technika do zebrania próbek włókien z ubrań dziewczyny dokładnie w tym samym czasie, kiedy Marx szykował się do publicznego wystąpienia na temat Byrda?

Darcy badawczo zmrużył oczy.

- Rzekłbym, że możesz mówić dalej. I rzekłbym też, że jeśli spodoba nam się to, co usłyszymy, będziemy chętni udzielić ci pomocy.

Przybliżyłem im najpierw zabójstwo Bennett, od którego przeszedłem do Byrda, po czym przedstawiłem pokrótce wszystko,

co wiem na temat śmierci Debry Repko, akcentując szczegóły, którymi jej sprawa różni się od wcześniejszych. Powiedziałem im o Ivy Casik oraz reporterze, który wcale nie musiał być reporterem. Darcy i Maddux bardzo mało wiedzieli o Byrdzie oraz pięciu wcześniejszych morderstwach, ale sprawie Repko poświęcili prawie pięć tygodni pracy i chętnie podzielili się ze mną swoimi ustaleniami.

Debra Repko spędziła cały dzień na wypełnianiu swoich służbowych obowiązków w Leverage Associates, po czym z piątką innych pracowników kancelarii udała się na mityng polityczny, gdzie asystowała przy udzielaniu wywiadów. Kiedy te dobiegły końca, razem ze swoją kierowniczką, niejaką Casey Stokes, wyszły razem na parking. Właśnie Stokes była tą osobą, która po raz ostatni widziała Repko żywą.

Darcy i Maddux podjęli śledztwo następnego ranka i szybko uznali, że dopisało im szczęście i trafili zwycięski los na loterii.

- Jeden z właścicieli sklepów w pawilonie, za którym znaleziono zwłoki, zadzwonił do nas i powiedział, że ma zapis wideo z systemu bezpieczeństwa przedstawiający chwilę zabójstwa. Myśleliśmy wtedy, że będziemy mieli sprawę podaną na tacy.

- Zaraz, chwileczkę. Naprawdę dysponowaliście zapisem wideo?

- Nawet DVD, bo był to zapis cyfrowy.

Maddux lekceważąco machnął ręką, jakby się opędał od natrętnej muchy.

- Ale nic na nim nie było. Facet własnoręcznie zamontował jakiś tandetny system bezpieczeństwa, chcąc przyłapać gówniarzy malujących graffiti na ścianach pawilonu, tyle że coś źle podłączył. No i na czarno-białym zapisie były tylko nierozpoznawalne ruchome cienie.

- Nie byliście w stanie wypatrzeć żadnych szczegółów zabójstwa?

- Żadnych. Technicy z naszego wydziału siedzieli nad tym parę tygodni, aż w końcu uznali, że dane z zapisu są bezwartościowe. Więc Darcy poprosił o pomoc swojego szwagra.

- Mój szwagier pracuje w Hollywood, zajmuje się programowaniem w systemie CGI. Wiesz, co to jest?

- Jasne.

Komputerowe systemy CGI stanowiły w Hollywood podstawę wszelkich metod tworzenia filmowych efektów specjalnych.

- Powiedział, że przyjrzy się temu zapisowi, ale niczego nie obiecuje. Potraktowaliśmy to jak ostatnią deskę ratunku. Tymczasem zajęliśmy się innymi sprawami...

- Dozorca domu, w którym wynajmowała mieszkanie, facet nazwiskiem Agazzi - przerwał mu Maddux - sprawia wrażenie wiarygodnego. Wierzę w każde jego słowo. I do dziś uważam, że mógł mieć coś wspólnego z zabójstwem. W końcu był w stanie wejść do mieszkania dziewczyny w dowolnym momencie. Jeśli Bastilla i Munson zbierali tam włókna, to mogliby też pobrać próbki z jego mieszkania.

Darcy pokręcił głową.

- Pod tym względem się nie zgadzamy. Jedna z sąsiadek Debry Repko, niejaka Sheila Evers, zeznała, że dziewczyna spotykała się z jakimś starszym żonatym mężczyzną.

Teraz to Maddux pokręcił głową.

- To niesprawdzone plotki. Osobiście uważam, że ta baba wydumała sobie wszystko. Nie znaleźliśmy nikogo, kto mógłby potwierdzić istnienie jej przyjaciela.

Pokazałem im listę szkolnych przyjaciółek, którą dostałem od pani Repko.

- Sprawdzaliście wszystkie te kontakty?

Darcy powiódł wzrokiem po wypisanych nazwiskach i podał kartkę partnerowi.

- Owszem, ale te dziewczęta o niczym nie wiedziały.

Powtarzały, że Debra nawet słowem nie wspominała im o

żadnym przyjacielu czy kochanku albo swoich spotkaniach z jakimś żonatym facetem. Ale mówimy w końcu o atrakcyjnej młodej dziewczynie, która mogła po prostu utrzymywać w tajemnicy jakąś znajomość z pracy.

Trudno się było z tym nie zgodzić, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę krytyczne wzmianki pani Repko, ile czasu córka poświęcała na pracę. Jeśli rzeczywiście Debra była pracoholiczką, mogła poznać jakiegoś mężczyznę wyłącznie w pracy.

- Dowiedziałem się od pani Repko, że Bastilla i Munson rozpytywali o jej pracę w Leverage - powiedziałem. - Pozornie miało to znamiona swobodnej konwersacji służącej głównie zabiciu czasu, jednakże padały pytania o ludzi, z którymi Debra pracowała.

Darcy i Maddux wymienili spojrzenia.

- Kiedy wypytywaliśmy w kancelarii o to, co Debra robiła tamtego wieczoru - odezwał się Darcy - wszyscy chętnie udzielali wyjaśnień, ale kiedy nawiązywaliśmy do sprawy jej domniemanego starszego przyjaciela i mówiliśmy, że zapewne będzie konieczne przesłuchanie mężczyzn będących jej klientami, wszyscy nagle nabierali wody w usta.

- Nie chcieli nawet powiedzieć, dla kogo pracowała?

- Wszyscy chętnie wymieniali nazwiska pracowników Leverage, z którymi utrzymywała bliższe kontakty, lecz gdy zaczęliśmy wypytywać o klientów, nagle zapadała cisza. W końcu dowiedzieliśmy się oficjalnie, że mamy zapomnieć o tej kwestii.

- Jej klientami byli ludzie ze świata polityki, Cole. Jeden z kierowników przekazał nam telefonicznie wiadomość, że zarząd kancelarii rozważy naszą prośbę i poinformuje nas o swojej decyzji.

- Zarząd? Czyżby chodziło o Centrum Parkera?

- Tylko formalnie zależało to od decyzji Parkera, bo kto wie, na jakim szczeblu utknęła nasz prośba? Kilka tygodni później

dostaliśmy oficjalną odpowiedź od zarządu Leverage, ale w zasadzie była to lista osób, z którymi możemy porozmawiać.

- Sądźcie więc, że Leverage coś ukrywa?

Maddux prychnął niemalże odruchowo, ale Darcy rzucił w zamyśleniu:

- Trudno powiedzieć, Cole. Może po prostu firma sobie nie życzy, aby jej klienci byli zamieszani w sprawę o zabójstwo. To potrafię zrozumieć. Ale większość ofiar ginie z ręki znajomych. Jeśli ginie kobieta, pierwszym podejrzanym zawsze staje się jej mąż. Niechby nawet był najwspanialszym gościem na świecie, prześwietla się go dokładnie, bo taka jest kolej rzeczy. Najpierw trzeba oczyścić z zarzutów ludzi najbliższej związanej z ofiarą, a dopiero potem szukać innych poszlak. My zaś nie znaleźliśmy podstaw, żeby prześwietlić Leverage.

- Agazzi się z nią przyjaźnił. Mieszkał po sąsiedzku, na tym samym piętrze - wtrącił Maddux.

Darcy westchnął ciężko, jakby miał już dość mówienia o Agazzim. Odniosłem wrażenie, że wdychał tak ciężko, od kiedy przydzielono mu Madduksa za partnera.

- Na pewno wyszła na kolację sama, nie wiemy jednak, czy nie wpadła gdzieś jeszcze w drodze powrotnej do domu. Niewykluczone, że zabrała kogoś do samochodu, ale najbardziej prawdopodobne jest to, że zabójca na nią czekał.

- Ponieważ wybrali się jeszcze razem na spacer.

- Właśnie. Gdyby poderwała sobie jakiegoś przypadkowo poznanego faceta na jedną noc, od razu weszliby do środka. Dlatego sądzę, że zastała kogoś czekającego na nią przed domem. No i ktoś z nich zaproponowało, żeby się trochę przejść. Pewnie zrobił to on, bo musiał już mieć w głowie plan zabicia jej, chciał więc zaprowadzić ją w wybrane miejsce. Nie widzę innego powodu, dla którego o tak późnej porze mieliby ruszyć wspólnie w kierunku południowym. Przeszliśmy cały ten kawałek razem z Madduksem. Jakiegokolwiek lokale i kluby są na północ, przy

Melrose. To prowadzi do wniosku, że nie tylko znalazła gościa, ale czuła się przy nim bezpiecznie, dlatego bez sprzeciwu dała się zaprowadzić na miejsce zabójstwa.

Maddux uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

- Wyobrażasz sobie, żeby ta kobieta mogła pójść nocą na spacer ze świrem w rodzaju Lionela Byrda?

Także się uśmiechnąłem.

- Nie, nie wyobrażam sobie.

- To znaczy, że gdyby faktycznie Byrd był mordercą, albo musiałby ją zaskoczyć znienacka, albo natknąć się na nią przypadkiem. Ale przyjęcie którejs z tych hipotez oznacza, że ofiara musiałaby sama wybrać się w środku nocy na spacer, do tego w niewygodnych szpilkach, no i w złym kierunku, gdzie nie ma ani sklepów, ani żadnych lokali, tylko budynki mieszkalne. W cholernych, niewygodnych szpilkach, rozumiesz? To idiotyczne założenie.

Darcy popatrzył na swojego partnera takim wzrokiem, jakby przetwarzał to wszystko w myślach po raz nie wiadomo który, wreszcie wzruszył ramionami.

- Mniej więcej na tym etapie komenda główna wyciągnęła nam wtyczkę z kontaktu, Cole. Uważamy, że kobieta musiała znać zabójcę. Moim zdaniem spotykała się z kimś potajemnie. Gdybyśmy dalej prowadzili śledztwo, przetrząsalibyśmy Leverage. Zwłaszcza po tym, co usłyszeliśmy od ciebie.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w cieniu wielkiego wiązu w milczeniu. Gorączkowo układałem sobie w głowie świeżo zdobyte informacje, chcąc je od razu zapamiętać w jakimś użytecznym porządku.

- Co się stało z nagraniem wideo?

- Nie wiem. Jakiś chłystek z zespołu specjalnego zarekwirował je, nim mój szwagier zdążył cokolwiek z nim zrobić.

- Dlaczego zarekwirowali ten zapis?

Darcy wzruszył ramionami.

- A skąd mam wiedzieć?

- I co z nim zrobili?

- Nie mam pojęcia. Kiedy zapytałem, odpowiedzieli, że to nie nasza sprawa.

- Niczego nie chcę nam powiedzieć - dodał Maddux.

Darcy spojrział na zegarek, po czym trącił kolegę łokciem w bok.

- Wystarczy. Podrzucmy go z powrotem.

Maddux przestawił dźwignię biegów i powoli zawrócił na wąskiej ulicy. Ruszyliśmy w stronę domu państwa Repko.

Darcy nadal siedział bokiem, z łokciem przerzuconym nad oparciem fotela, zapatrzony gdzieś w dal. W jego ciemnych okularach mijane domy i drzewa odbijały się niczym zniekształcony czarno-biały film. Ale był to przyjemny film, wyglądający jak spełnienie amerykańskiego snu.

- Dlaczego wprowadziliście mnie w swoje śledztwo? - zapytałem.

Maddux spojrział we wsteczne lustro. Darcy oderwał się od swojego filmu.

- Bo państwo Repko zasługują na to, żeby poznać prawdę o śmierci ich córki.

- Mam więc rozumieć, że doprowadziliście śledztwo do takiego etapu, do jakiego tylko mogliście?

- Kazali nam się wycofać, to się wycofaliśmy. Ty jednak możesz postępować, jak ci się podoba.

Maddux znowu spojrział w lustro.

- Chcielibyśmy upieprzyć tego kutasa Marksa.

Darcy zdjął rękę z oparcia.

- To także.

Wysadzili mnie naprzeciwko domu państwa Repko, po czym odjechali i zniknęli w głębi wypełnionego głębokimi cieniami tunelu pod koronami drzew.

## 20.

Zatem Darcy i Maddux sami zdołali się odciąć spod szubienicy. Poitras, Bobby McQue i Starkey nawet na nią nie wchodzili, tymczasem Chen i jego zespół z dochodzeniówki byli zmuszeni pracować na oślep. Ludzie, którzy powinni blisko współpracować z Marksem i jego specjalnym zespołem dochodzeniowym, byli traktowani podejrzliwie, jak wrogowie. Ciekawiło mnie, z jakiego powodu Marx im nie ufa.

Siedziałem w swoim wozie naprzeciwko domu państwa Repko, rozmyślając o nagraniu wideo oraz powodach, dla których Marx kazał je zarekwirować, zanim szwagier Darcy'ego zdołał z niego wyciągnąć choć trochę czytelny obraz. W zakresie obróbki i poprawiania zapisów wideo policja z Los Angeles od lat współpracowała z miejscowymi firmami specjalizującymi się w tworzeniu filmowych efektów specjalnych. Jeśli pod ręką byli światowej sławy specjaliści w tej dziedzinie, należało skorzystać z ich pomocy. Zatem konfiskata przez Marksa nagrania budziła we mnie niepokój, bo skoro jego źródło nie budziło zastrzeżeń, a zdaniem detektywów obraz był do niczego, należało zakładać, że faktycznie był bezwartościowy, nie istniał zatem powód do konfiskaty nagrania. Gdyby natomiast jego obróbka rokowała jakies nadzieje, zespół specjalny, nie mając nic do stracenia, powinien przekazać zapis do policyjnego laboratorium, żeby się przekonać, co na nim jest.

Zacząłem kartkować swoje zapiski, dopóki nie natknąłem się na numer Lindo, który wybrałem bez namysłu. Tym razem nie był już tak zdenerwowany jak poprzednio. Może dlatego, że został wycofany do pracy nad sprawą gangu zajmującego się produkcją amatorskich bomb.

- Co nowego, Cole? - odezwał się z entuzjazmem.



- Nie wiesz, co się stało z zapisem wideo z kamery systemu bezpieczeństwa pochodzącym ze sprawy o zabójstwo Debry Repko?

Odpowiedział z nieskrywanym zaskoczeniem:

- To w tej sprawie był jakiś zapis wideo?  
- Owszem. Jeden z właścicieli sklepów w pawilonie, na którego tyłach Repko została zamordowana, dostarczył śledczym zapis z systemu bezpieczeństwa. Jak to możliwe, żebyś o tym nie wiedział?

Milczał przez chwilę.

- Chwileczkę... chyba coś mi się obilo o uszy. Czy to nie był całkiem czarny zapis albo coś w tym rodzaju?

- Zgadza się, właśnie ten. Pewien specjalista od filmowych efektów specjalnych właśnie pracował nad nim, gdy wasi ludzie zarekwirowali mu to nagranie.

- I w aktach nie podkreślili, że zapis był do niczego?

- Kutasy z zespołu specjalnego po prostu zabrały technikowi płytę. Marx postarał się o to, żeby ją przejąć jeszcze przed jakąkolwiek próbą obróbki zapisu. Próbuję się dowiedzieć, jakie były dalsze losy tej płyty.

- Nie mam pojęcia, chłopie. Jak już ci mówiłem, moja sekcja zajmuje się wyłącznie albumem ze zdjęciami. Jeśli czegoś nie było w albumie, mam pełne prawo o tym nie wiedzieć.

- Kto zajmował się sprawą Repko?

- Chyba Bastilla i Munson... Tak, oni. Jestem prawie pewien, że widziałem podpis Munsona na sprawozdaniach.

Znowu ten Munson!

- Kim on jest?

- To jeden ze specjalistów od zabójstw, który tutaj szybko spiknął się z Bastilla. Ale coś go łączy z Marksem. Mam wrażenie, że kiedyś razem pracowali.

- Możesz ich zapytać, co się stało z płytą z zapisem wideo?

- No... nie, stary, to wykluczone. Nie dam się w to wciągnąć. Bierzesz na celownik ludzi trzęsących tym interesem.

- Daj im tylko znać, że jesteś zainteresowany tą sprawą. To przecież nic wielkiego.

- Ty chyba wciąż nie rozumiesz, na czym stoimy, Cole. Ci ludzie wydają nam rozkazy, a jeden z pierwszych rozkazów mówił wyraźnie, że mamy pilnować wyłącznie własnych spraw. Jak zacznę rozpytywać o ten zapis wideo, natychmiast się zaciekawia, czemu mnie to interesuje. Nie mam prawa nawet interesować się tym, co robią koledzy z tej samej sekcji, z którymi teoretycznie ściśle współpracujemy.

- Sądziłem, że to Marx wydaje rozkazy...

- Opowiadamy się ze swoich dokonań detektywom kierującym poszczególnymi sekcjami, a dopiero oni odpowiadają przed Marksem. Właśnie dlatego nazwałem ich ludźmi trzęsącymi tym interesem. Musisz zyskać ich akceptację, żeby dostać się do Marksa.

- A więc każda sekcja zna tylko własny wycinek całej sprawy, dopiero ludzie stojący wyżej składają w całość elementy dochodzenia?

- To przecież jedyny sposób na utrzymanie w ryzach tak wielu posuwających się równolegle śledztw. Weź tylko pod uwagę, jak dużo udało nam się osiągnąć zaledwie w ciągu tygodnia.

- Czy Crimmens też należy do którejś sekcji?

- Nie. On pełni tylko funkcję pomocniczą, tak jak ja. Zrozum, że to olbrzymi zespół. Słyszałem, że w pewnej chwili liczył aż trzydzieści dwie osoby. Nie wiem, czy to prawda, bo większości z nich nawet nigdy nie spotkałem.

Mnie jednak nie dawał spokoju ten zapis wideo. Przynajmniej teoretycznie był to przecież dowód rzeczowy. I jak każdy inny dowód rzeczowy powinien zostać dokładnie opisany,

skatalogowany i zabezpieczony zgodnie z regulaminem pracy śledczej. Nawet gdyby chodziło jedynie o bezużyteczny plastikowy krążek, miejsce jego magazynowania wraz z opisem przyczyn tejże bezużyteczności powinny zostać opisane w aktach sprawy.

- Dobra, dajmy sobie spokój z pytaniem kogokolwiek. W takim razie może byś zerknął do spisu dowodów rzeczowych i sprawdził, co w nim jest?

- Nic z tego. Nie mam prawa.

- Wystarczy pół minuty i będzie po wszystkim. Powiesz mi tylko, co Marx zrobił z tym zapisem.

- Nie ma takiej możliwości. Wszystkie akta są w sali dowodów rzeczowych, zamkniętej na klucz. Możemy stamtąd jedynie wypożyczać materiały niezbędne do prowadzonego przez nas dochodzenia. A ponieważ nie pracuję nad sprawą Repko, nie mam żadnego dostępu do tych materiałów. Upoważnienie musiałyby mi podpisać dowódca sekcji.

- Nie sądzisz, że to przesadne środki bezpieczeństwa?

- Dla mnie to bezsensowna biurokracja, ale nikt mnie o zdanie nie pytał. Rusz głową. Gdyby w tym zapisie wideo było coś naprawdę ważnego, już dawno pokazałoby fragmenty nagrania w wieczornym dzienniku telewizyjnym.

- Może na razie nie chcą ujawniać faktu istnienia zapisu, dopóki specjaliści od obróbki obrazu nie wyciągną z niego czegoś istotnego.

- Może właśnie to jest powodem, dla którego nic o nim nie słyhać, Cole. Jak długo nagranie jest już w laboratorium i ciągle nic z niego nie wyciągnięto? Podejrzewam, że Marx czy któryś z dowódców sekcji ściągnąłby nawet ekipę FBI, gdyby rokowało to jakies nadzieje. W każdym razie ja bym tak postąpił.

Wcale mi się to nie podobało, chociaż tłumaczenie Lindo było sensowne. Może faktycznie policja nie mogła skorzystać z usług specjalistów od efektów specjalnych, bo musiałyby za

takie usługi zapłacić. Może właśnie dlatego Darcy, nie mając środków na pokrycie takich kosztów, zwrócił się o pomoc do swojego szwagra.

Rozłączyłem się, żeby ułożyć sobie w myślach plan dalszych działań. Oczywiście krokiem wydawało się podjęcie śledztwa tam, gdzie Darcy i Maddux zmuszeni byli je porzucić, czyli w Leverage, tyle że pracownicy firmy konsultingowej nie mieli żadnego powodu, żeby chociaż wysłuchać moich pytań. Skoro wcześniej zlekceważyli śledztwo prowadzone przez dwóch policyjnych detektywów, mogłem podejrzewać, że na moje telefony nawet nie odpowiedzą.

Wciąż rozmyślałem na ten temat, kiedy spostrzegłem Michała Repko. Stał w oknie frontowego pokoju i patrzył w moim kierunku. Coś mi podpowiedziało, że obserwował mnie już od dłuższego czasu.

Zadzwońm pod jego numer i przyglądałem się, jak wyjmuję komórkę z kieszeni i podnosi do ucha. Oczywiście mogłem przejść te pięćdziesiąt metrów podjazdem i porozmawiać z nim w cztery oczy, ale chciałem uniknąć spotkania z jego matką.

- Czy to byli Darcy i Maddux? - zapytał.
- Tak. Twoja matka ich zawiadomiła.
- Cholera... Przepraszam, nie wiedziałem.
- Powiedzieli mi to, co wcześniej sam postanowiłem sprawdzić, ale i tak chętnie bym skorzystał z twojej pomocy.
- Słucham.
- Muszę porozmawiać z Casey Stokes na temat twojej siostry, boję się jednak, że nie będzie chciała ze mną rozmawiać, jeśli niespodziewanie zjawię się pod jej drzwiami.
- Aha... Tak, jasne, rozumiem.
- Niech twój ojciec ją zawiadomi, że pracuję teraz na zlecenie waszej rodziny. Powinien to zrobić w formie luźnej uwagi. Wystarczy, żeby wspomniał, że wraz z waszą matką postanowił

na własną rękę poszukać odpowiedzi na niektóre pytania. Dasz radę to załatwić, Michael?

Uniósł otwartą dłoń ku głowie w geście wyrażającym obawę, po czym obejrzał się na kogoś czy na coś w głębi pokoju, zanim znowu popatrzył w moim kierunku.

- Sam mogę do niej zadzwonić. Była dla nas bardzo miła na pogrzebie.

- Nie ty, Michael. Musi to zrobić twój ojciec. Chciałbym, żeby, odebrawszy tę informację, poczuła wyraźnie, że stoi za tym cała wasza rodzina. Bo to rodzina Debry powinna dążyć do uzyskania wyjaśnień, a nie ja. Tylko w ten sposób zgodzi się rozmawiać ze mną swobodnie.

- No, nie wiem... Zobaczę, co da się zrobić...

- Postaraj się, Michael. Wiadomość, że działałam na zlecenie rodziny Debry, będzie równoznaczna z tym, jakbym ją reprezentował. W przeciwnym razie nikt z jej firmy nie zechce ze mną rozmawiać.

Michael zapatrzył się na mnie zza okna, wciąż trzymając rękę przy głowie.

- Cóż, można chyba uznać, że faktycznie pracuje pan dla nas.

- Owszem. Pracuję na rzecz Debry.

- Nie tego się po panu spodziewałem.

- Poproś go, żeby zadzwonił, dobrze?

- Przepraszam, że mama wezwała tych gliniarzy. Nie planowałem tutaj żadnej pułapki na pana.

- Matce też możesz coś przekazać. Miała rację co do Darcy'ego i Madduksa. To porządni gliniarze. Odwalili kawał dobrej roboty, gdy prowadzili śledztwo w sprawie zabójstwa twojej siostry.

- Oni też uważają, że to Byrd zabił Debbie?

Po raz pierwszy usłyszałem z jego ust zdrobniałe imię Debry.

- Namów ojca, żeby zadzwonił do Casey Stokes. Jadę tam

prosto, więc daj mi znać, jak skończy z nią rozmawiać.

- Postaram się.
- I jeszcze jedno. Czy łączyły cię z siostrą dobre stosunki?
- No tak, pewnie... raczej tak. To zresztą zależy, jak rozumieć „dobre stosunki”.
- Czy gdyby się z kimś spotykała, powiedziałaaby ci o tym?  
Przez chwilę spoglądał na mnie w zamyśleniu, po czym gwałtownie opuścił rękę.
- Moja siostra nie miała kochanka.  
Stał jeszcze przy oknie, kiedy stamtąd odjeżdżałem.

## 21.

Leverage Associates zajmowało dwa piętra w dość starym przeszklonym budynku w śródmiejskiej dzielnicy biurowej, niedaleko od ratusza. Od domu państwa Repko do siedziby firmy było najwyżej piętnaście minut jazdy. Michael zadzwonił po dwudziestu minutach, gdy już krążyłem wokół budynku.

- Tata rozmawiał z nią. Sprawa załatwiona.
- W porządku. To wspaniała wiadomość.
- Powiedział to mimochodem, jak pan prosił. Ale zaznaczył wyraźnie, że pracuje pan dla nas. Nie był zbyt chętny do przeprowadzenia tej rozmowy, lecz ostatecznie się zgodził.
- To mi znacznie ułatwi pracę, Michael. Będziemy w kontakcie.

Jeszcze zanim zamknąłem telefon, skręciłem przed fronton budynku i wstawiłem wóz na płatne miejsce parkingowe. Wykupiłem bilet i wjechałem windą na siedemnaste piętro. Firma zajmowała gustowne, klasycznie urządzone pomieszczenia. Stalowe litery wpuszczone w ścianę korytarza tworzyły napis LEVERAGE ASSOCIATES. Przedstawiłem się recepcjonistce i powiedziałem, że oczekuje mnie Casey Stokes, po czym zająłem

miejsce w poczekalni.

Nie siedziałem długo. Po chwili pojawiła się atrakcyjna Afroamerykanka w stylowej szarej garsonce. Wyciągając rękę na powitanie, uśmiechnęła się smutno, jak podczas składania kondolencji.

- Pan Cole? Casey Stokes. Byłam kierowniczką Debry.
- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać. Państwo

Repko będą bardzo wdzięczni.

- Zaskoczyło mnie, gdy dowiedziałam się od pana Repko, że pozostały jakieś wątpliwości. Sądziłam, że sprawa jest zamknięta.

Postarałem się przybrać obojętną minę.

- W podobnych sytuacjach rodziny ofiar zawsze mają sporo wątpliwości. Mam nadzieję, że pani to zrozumie.

- Och, tak, oczywiście. Proszę, porozmawiamy w moim gabinecie.

Poprowadziła mnie korytarzem, na ścianach wisiały czarno-białe fotografie miejsc i ludzi związanych z historią miasta - kolejki linowej Angels Flight wjeżdżającej na szczyt Bunker Hill, panoramy Chavez Ravine z okresu, gdy stały tam tylko baraki biedoty i pasły się kozy, czy też Williama Mulhollanda podczas uroczystego otwarcia akweduktu dostarczającego wodę z górnych partii Doliny Owensa. Z historycznymi pejzażami przeplatały się portrety mniej lub bardziej znanych działaczy obu partii politycznych. Większości nie zdążyłem rozpoznać, nie licząc tych, którzy zyskali rozgłos w kraju bądź zostali wybrani do władz federalnych. Było to skrótowe „Who's Who” kalifornijskiej elity władzy.

- Czy wie pan, panie Cole, czym się tu zajmujemy? - zapytała panna Stokes.

- Organizowaniem kampanii politycznych.

Uśmiechnęła się pobłażliwie jak nauczycielka mająca przed sobą tępawego pierwszoklasistę.

- Kampanie są tylko jednorazowymi wydarzeniami, natomiast planowanie kariery politycznej wymaga ciągłego wysiłku. My tworzymy kariery polityczne.

- Rozumiem. Jesteście czarodziejami trzymającymi się w cieniu.

- Tylko wtedy, gdy nasze działania są skuteczne. Budujemy całe strategie wyborcze, ale także prowadzimy doradztwo w zakresie kontaktów z mediami i pomagamy naszym klientom przedefiniowywać czy też udoskonalać swoje polityczne wizje.

- Jeśli się zdecyduję zostać gubernatorem, natychmiast się do was zgłoszę.

Zaśmiała się krótko. Miała uroczy śmiech, a do tego urzekające, wytworne maniery. Jej śmiech uciął natarczywy elektroniczny sygnał, pospiesznie wyjęła z kieszeni palmtopa. Przelotnie rzuciła okiem na ekran, nawet nie zwalniając kroku.

- Przepraszam, ale niespodziewanie zmieniono termin spotkania. W tej branży życie się toczy od jednej sytuacji kryzysowej do drugiej.

- Rozumiem.

Pospiesznie wystukała na klawiaturze odpowiedź i wsunęła urządzenie z powrotem do kieszeni. Minęliśmy wejście do przestronnej sali konferencyjnej o szklanych ścianach, zanim wkroczyliśmy do jej gabinetu. Zwróciłem uwagę, że w sali konferencyjnej stała grupka osób uśmiechających się do siebie i ściskających sobie ręce. Za gabinetem panny Stokes ciągnęły się podzielane przepierzeniami stanowiska, przy których pracownicy rozmawiali przez telefon albo pisali coś na komputerze. Większość była zbliżona wiekiem do Debry, jedna dziewczyna wydała mi się nawet bardzo do niej podobna.



Casey Stokes wskazała mi krzesło i zajęła miejsce za biurkiem. Splotła palce na jego krawędzi i ułożyła wargi w przymilnym profesjonalnym uśmiechu.

- A więc w czym mogę pomóc?
- Mamy kilka pytań dotyczących faktów, które zostały ujawnione w policyjnym śledztwie.

Użyłem liczby mnogiej, by nasilić wrażenie, że razem ze mną jest w tym pokoju cała rodzina Debry Repko, nie wyłączając ducha zamordowanej. Casey zrobiła zboloną minę.

- Kiedy przypomnę sobie tamten wieczór i to, co się zdarzyło zaledwie kilka godzin później... Koszmar.

- Tak, ma pani rację. Z tego, co mi wiadomo, jest pani tą osobą, która jako ostatnia widziała Debrę żywą.

- Zgadza się. Byliśmy na kolacji wydanej na cześć radnego Wiltsa w Bonaventure. Radny Wilts jest jednym z naszych klientów.

- I przez cały czas byliście panie razem?
- Mniej więcej. Do zadań Debry należało to, żeby każdy dziennikarz dostał swoje pięć minut z radnym, nim zacznie się kolacja. W tym zakresie pracowałyśmy razem. Ściśle rzecz biorąc, działało nas pięcioro z Leverage, tyle że każde miało nieco odmienne zadanie. Jak już wspomniałam, ja z Debrą zajmowałam się tą wstępną częścią uroczystego wieczoru, zatem byliśmy razem.

- Była pani asystentką?
- Debra była dopiero na pierwszorocznym stażu, a wszyscy nasi stażyści przechodzą z jednego stanowiska na drugie, żeby zapoznać się z różnymi aspektami pracy w firmie. Poprosiłam Debrę, żeby mi towarzyszyła tamtego wieczoru, gdyż w ten sposób mogła zdobyć doświadczenie w kontaktach z przedstawicielami mediów. Kiedy wywiady dobiegły końca, skończyła się też nasza praca. Wtedy razem wyszliśmy na parking, do naszych samochodów.

- Czy Debra nie mówiła pani o swoich planach na dalszą część wieczoru?

- Nie, nic z tych rzeczy.

- Może przynajmniej wspomniała, że chce się spotkać z przyjacielem albo wpaść gdzieś na drinka?

Panna Stokes wbiła we mnie przenikliwe spojrzenie i lekko przekrzywiła głowę na ramię.

- Co to może mieć wspólnego z przypadkowym spotkaniem na ulicy z maniakalnym seryjnym zabójcą?

- To może mieć coś wspólnego z jej życiem osobistym.

W jej oczach pojawił się przez chwilę cień czegoś, co można by uznać za smutek.

- Teraz rozumiem. Chodzi o te głupie plotki, że spotykała się z jakimś żonatym mężczyzną.

- Te plotki nie dają spokoju jej rodzicom. Zwłaszcza matce.

Casey Stokes westchnęła, ale coś w tym westchnieniu sprawiło, że od razu pożałowałem tego, co padło z moich ust.

- Nie wiem, co powiedzieć, panie Cole. Gdyby Debra naprawdę z kimś się spotykała, żonatym czy nie, pewnie i tak nie powiedziałaby o tym ani mnie, ani nikomu innemu z Leverage. Jeśli się nie mylę, te plotki rozpowszechnił ktoś mieszkający z Debrą po sąsiedzku.

- Tak, proszę pani. Dokładnie tak było.

- W takim razie powinien pan zwrócić się z pytaniami na ten temat do tej właśnie osoby. Debra rozmawiała ze mną wyłącznie o polityce. Była zafascynowana polityką. Bardzo chciała pracować we władzach federalnych. I miała ku temu zadatki. Nadzwyczaj poważnie traktowała swoją karierę zawodową.

Ledwie skończyła zdanie, zadzwonił jej telefon. Spojrzała na zegarek, po czym przeprosiła i podniosła słuchawkę. Obejrzałem się na ludzi w sali konferencyjnej. Dwaj mężczyźni w klasycznych eleganckich garniturach prowadzili jakąś prezentację przygotowaną z wykorzystaniem PowerPointa, a ich słuchaczami

było pięć osób siedzących obecnie przy stole. Honorowe miejsce u jego szczytu zajmował łysiejący facet z imponującym brzuszyskiem, w białej koszuli z rękawami podwiniętymi do łokci. Wszyscy pozostali byli od niego o dobre dwadzieścia lat młodszy.

Kiedy dwaj w garniturach coś tłumaczyli przy tablicy, młody chłopak siedzący przy łysawym mężczyźnie wpisywał coś do palmtopa. W pewnym momencie trącił go łokciem i przesunął komputer w jego stronę. Starszy przebiegł wzrokiem tekst na ekranie, a następnie chyba zatwierdził wysłanie mejla. Prowadzący prezentację mieli takie miny, jakby nie wiedzieli, czy mają mówić dalej, czy przerwać.

Stokes odłożyła słuchawkę i ponownie spojrzała na zegarek.

- Przepraszam, ale nie mogę poświęcić panu więcej czasu. Może będzie pan miał więcej szczęścia z jej sąsiadami. Proszę przekazać rodzicom Debry, że osobiście uważam tę plotkę za całkowicie wyssaną z palca.

Wstała, żeby odprowadzić mnie do drzwi, lecz pozostałem na krześle. Obrzuciła mnie zdumionym spojrzeniem i usiadła z powrotem.

- Przykro mi, ale naprawdę nie wiem, co mogłabym jeszcze panu powiedzieć.

- Rozmawiam z panią, a nie z sąsiadami Debry, ponieważ chodzi o coś, co ujawniła policja. Niezręcznie mi poruszać ten temat, lecz rodzina Debry naprawdę pozostaje w głębokim żalu. Te sprawy wymagają wyjaśnienia.

Spoglądała na mnie w milczeniu, toteż po chwili podjąłem:

- Państwo Repko dowiedzieli się ostatnio, że gdy tylko pojawiły się plotki na temat domniemanego romansu Debry z żonatym mężczyzną, wy wszyscy w Leverage odmówiliście policji wyjaśnień. Prawdę mówiąc, detektywi odnieśli wrażenie, że zwyczajnie zostaliście przymuszeni, żeby coś przed nimi ukryć.

Zacisnęła wargi w wąską linię i nerwowo zabębniła starannie wymanikiowanymi paznokciami po biurku.

- To niezupełnie prawda...

- Coś może być tylko prawdą albo fałszem, panno Stokes. Nie istnieje nic takiego jak „niezupełnie prawda”.

Znów zabębniła palcami po biurku.

- Proszę zrozumieć, że jako stażystka Debra miała obowiązek uczestniczyć w spotkaniach z większością naszych klientów. Policja chciała ich przesłuchiwać. Potrafię to zrozumieć, zwłaszcza w tej sytuacji, ale naszymi klientami są ludzie prowadzący życie na widoku publicznym, tymczasem detektywi chcieli ich wypytywać na temat młodej kobiety, której z pewnością nawet nie pamiętali. Sam fakt spotkania z policyjnymi śledczymi mógł zostać wykorzystany przeciwko nim przez politycznych przeciwników.

- Tu chodziło o śledztwo w sprawie zabójstwa. Policja miała obowiązek wszystkich przepytwać.

Panna Stokes poruszyła się nerwowo na krześle.

- I przepytwała. Może pan zapewnić państwa Repko, że nikt z pracowników firmy nie odmówił składania zeznań.

- Nie miałem na myśli odmowy, tylko celowe opóźnienie dochodzenia o dwa tygodnie, które trudno uznać za współdziałanie z policją.

- Nikt celowo nie opóźniał dochodzenia. My tylko ominęliśmy prowadzących dochodzenie śledczych i skonsultowaliśmy się bezpośrednio z ich przełożonymi, którzy w pełni zrozumieli nasze obawy.

Wbiłem w nią spojrzenie.

- Z jakimi przełożonymi?

- Z komendy głównej policji. Konkretnie, przedstawiliśmy nasze zastrzeżenia komendantowi Marksowi. To on sprawił, że nasza... niezręczna sytuacja stała się o wiele bardziej znosna.

- Ma pani na myśli specjalny zespół dochodzeniowy?

- Nie, skądże. Wtedy trwało jeszcze pierwotne śledztwo. Po prostu komendant Marx upewnił się osobiście, że nie doszło

do żadnego uchybienia w procedurach, a my wszyscy chętnie udzieliliśmy wyjaśnień. Nawet sam rozmawiał w cztery oczy z niektórymi naszymi klientami.

Popatrzyłem na nią tak ostro, że aż zmarszczyła brwi.

- O co chodzi, panie Cole?
- Komendant Marx osobiście przejął nadzór nad dochodzeniem?
- Zgadza się. On przecież także zalicza się do grona naszych klientów.

Zmusiłem się do uśmiechu. Raczej zmusiłem się, aby wyglądać, jakbym odebrał właśnie najlepszą wiadomość, na którą tylko czekała rodzina zamordowanej.

- No cóż, to wszystko zmienia.

Casey Stokes odetchnęła z ulgą.

- Przykro mi z powodu tego nieporozumienia.
- Oczywiście. Rodzina dowie się o tym z radością.
- Proszę przekazać państwu Repko, żeby do mnie zadzwonili. Jeśli mają jeszcze jakieś wątpliwości, mogą o nich rozmawiać bezpośrednio ze mną.

Pokiwałem głową, nadal się uśmiechając.

- A więc komendant zaczyna karierę polityczną?
- Jeszcze się nad nią zastanawia. Naszym zdaniem, jest najlepszym kandydatem na zajęcie miejsca radnego Wiltsa, kiedy ten w przyszłym roku przejdzie na emeryturę. Zresztą radny jest autentycznym zwolennikiem komendanta Marksa.

Uśmiechnąłem się jeszcze szerzej.

- Jakżeby mogło być inaczej?
- Tak więc proszę zapewnić państwa Repko, że wszyscy w pełni współdziałaliśmy z policją. Tyle tylko, że odbywało się to na poziomie, na którym mogliśmy mieć zapewnioną większą dyskrecję.

Jej palmtop znówu zapiszczał. Rzuciła okiem na wiadomość i wstała z za biurka.

- Naprawdę muszę już iść, panie Cole. Dla nas wszystkich był to ogromny wstrząs, ale zdaję sobie sprawę, że nieporównanie większy dla państwa Repko. Proszę im przekazać, że nigdy nie zrobiliśmy i nie zrobimy niczego, co mogłoby przeszkodzić w prowadzonym śledztwie.

- Powiem im to, panno Stokes. Dziękuję.

Rozległ się kolejny sygnał palmtopa. Niecierpliwie wcisnęła klawisz przerywający sygnał dźwiękowy. Odniosłem wrażenie, że tego typu mikrokomputery musiały być służbowym wyposażeniem pracowników firmy.

- Czy wszyscy posługujecie się tymi urządzeniami?

- W ten sposób zawsze jesteśmy w kontakcie. To jedna z zalet pracy tutaj, ale także jedna z niedogodności. Mamy obowiązek mieć przy sobie palmtopy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu.

- Czy Debra też go miała?

Po drugiej stronie korytarza spotkanie w sali konferencyjnej miało się ku końcowi. Młody mężczyzna, który podsunął łysięjącemu palmtopa z tekstem wiadomości do zaakceptowania, wciąż coś wpisywał.

- Owszem, miała - odparła panna Stokes. - Nawet pracownicy najniższego szczebla muszą umieć się nimi posługiwać. To służbowe wyposażenie w Leverage.

- I miała go przy sobie tamtego wieczoru?

Kobieta odruchowo wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, że tak. Korzystałyśmy z palmtopów, żeby koordynować prowadzone wywiady.

Znów rozległ się sygnał wywoławczy i znowu nawet nie spojrzała na ekran. Wzięła mnie pod rękę i pociągnęła do wyjścia.

- Jeszcze jedno co do tej plotki, co powinno stłumić niepokój państwa Repko. Chociaż nie mogę definitywnie zaprzeczyć, że Debra nie była zaangażowana w związek z jakimś

mężczyzną, to jednak nigdy nie wspominała o takim związku, a jej zachowanie w najmniejszym stopniu nie świadczyło, że jest w kimś zadurzona. W każdym razie z niczego się nie zwierzała ani mnie, ani nikomu z pozostałych pierwszorocznych stażystów. Wiem, ponieważ ich o to rozpytywałam na polecenie komendanta Marksa.

Casey Stokes odprowadziła mnie do recepcji, ale się nie pożegnała. Więc ja również nie powiedziałem jej nawet do widzenia. Zresztą byłem zbyt zaabsorbowany myślami o komendancie Marksie.

## 22.

Po powrocie do samochodu jeszcze raz przekartkowałem papiery, jakie dostałem od pana Repko. Znalazłem wśród nich pokwitowanie na rzeczy rekwirowane na potrzeby śledztwa przez Darcy'ego i Madduksa. Był na nim wymieniony telefon komórkowy i laptop, ale nie było palmtopa. Nie mogłem sobie też przypomnieć, abym go widział w pokoju Debry w rodzinnym domu.

Odszukałem wizytówkę Darcy'ego, zadzwoniłem i zapytałem, czy przy zwłokach Debry znaleziono jej palmtopa.

- Tak, był w torebce - odparł. - Przekazaliśmy go razem z innymi rzeczami rodzicom.

- Nie chodzi mi o telefon komórkowy, tylko o palmtopa.

- Coś w rodzaju „czarnej jagody”?

- Tak. Znaleźliście go przy niej?

- Zaczekaj chwilę.

Doleciała mnie stłumiona wymiana zdań i po chwili odparł:

- Nie, niczego takiego nie znaleźliśmy. Myślałem, że chodzi o komórkę. Maddux twierdzi, że to był Samsung.

- Skończyłem właśnie rozmowę z Casey Stokes. Leverage wszystkim pracownikom daje palmtopy jako służbowe wyposażenie. Debra korzystała ze swojego mikrokomputera podczas tej

uroczystej kolacji.

- Znaleźliśmy przy niej tylko tego samsunga. Sprawdziliśmy wykaz ostatnich rozmów zarówno z tej komórki, jak i z aparatu stacjonarnego w jej mieszkaniu. Gdybyśmy mieli palmtopa, też byśmy sprawdzili jego skrzynkę pocztową. Może jest u jej rodziców.

- Byłby u nich tylko wtedy, gdybyście im zwrócili razem z resztą sprawdzanego sprzętu. Powinna była go mieć przy sobie, ewentualnie w samochodzie albo w mieszkaniu.

- Sam nie wiem, co ci powiedzieć. Pewnie myślisz, że musiał go zabrać zabójca, tyle że to jedynie domysł, niedający się żadnym sposobem potwierdzić. W końcu mogła go przecież zgubić.

- Nie spiesz się tak, Darcy. Pomyśl dobrze. Skoro Leverage traktowało palmtopa jak wyposażenie służbowe, prawdopodobnie opłacało też rachunki za korzystanie z sieci za jego pośrednictwem.

- Domyślam się, do czego zmierzasz, ale nie mogę nic zdziałać w tej sprawie. Gdybyśmy nadal prowadzili dochodzenie, od razu wystawiłbym nakaz ujawnienia przez operatora spisu połączeń oraz treści wysyłanych i odbieranych mejli i wiadomości tekstowych. Ale już go nie prowadzimy. Marx przejął od nas tę sprawę, a teraz ją zamknął.

- Wiedzieliście, że Marx także jest klientem Leverage?

Na linii zapadła cisza.

- Darcy?

- Chyba żartujesz?

- Kiedy Leverage robiło wszystko, żebyście się odczepili od pracowników firmy, jednocześnie prowadziło zakulisowe negocjacje z Marksem. To on załatwił, by w dalszej części



dochodzenia klienci firmy wypowiadali się anonimowo.

- Sukinsyn...
- Masz rację.
- To dlatego tak cholernie nalegał, żebyśmy natychmiast zarzucili śledztwo. Miło mi, że w końcu poznaliśmy przyczynę.
- Marx nie wyjaśnił, dlaczego je wam odbiera?
- Nawet jednym słowem. Maddux będzie wściekły jak cholera.

Następnie zadzwoniłem do Michaela Repko. Dobrze pamiętał, że siostra miała palmtopa, ale nie wiedział, co się z nim stało. Zgodził się zapytać o to rodziców i braci. Rozmawiałem z nim jeszcze, gdy mój aparat zasygnalizował wywołanie przez Pat Kyle. Pospiesznie przerwałem połączenie z Michałem i przełączyłem się na linię Pat.

- Tylko spróbuj powiedzieć, że nie jestem najlepsza - rzuciła bez wstępu.
- Przecież powtarzam to od lat, i to nie tylko gwoli uciechy twojego męża.
- Jemu nawet najmniejsza uciecha dobrze zrobi. Masz coś do pisania?
- Czyżbyś odnalazła Tomaso?
- Związał się z agencją reklamową Figg-Harris. Figg próbował się z nim skontaktować, żeby mieć pewność, iż nie będzie miał nic przeciwko przekazaniu jego numeru telefonu, ale chłopak nie odpowiedział na wiadomość zostawioną na automatycznej sekretarce. Musiałam wykorzystać wszystkie swoje wpływy...
- Rozumiem. Ale mnie wystarczy jego namiary.
- W porządku. Zapisz sobie numer jego komórki.

Podyktowała mi numer zaczynający się od 818 oraz związany z nim adres w North Hollywood. Podziękowałem jej, po czym zadzwoniłem pod ten numer, ale osiągnąłem taki sam efekt jak

agent Angela. Po pięciu sygnałach wywoławczych włączyła się automatyczna sekretarka.

- Cześć, tu Andy w kolejnym wielkim wcieleniu. Zostaw wiadomość, to oddzwonię. Żyj w pokoju.

Kolejne wielkie wcielenie...

Podyktowałem swój numer, ale nie czekałem, aż kolejne wielkie wcielenie raczy się do mnie odezwać. Pojechałem na północ, w stronę wylotu doliny.

Cudowna świeżość, jaką przyniosły nam wiatry znad Santa Ana, zniknęła wraz z nimi i teraz powietrze znów było ciężkie od smogu i usypiające. Znany całemu światu napis HOLLYWOOD na zboczu wzgórza ginął we mgle, podobnie jak drapacze chmur stojące wzdłuż „Korytarza Wilshire”.

Była już prawie pierwsza, gdy zjeżdżałem z autostrady na wysokości studia Universal, żeby wpaść do baru Henry's Tacos na lunch. Po czterech taco ruszyłem dalej i zagłębiłem się w przytulne osiedle domków jednorodzinnych rozrzuconych na równinie między jeziorem Toluca a Studio City. Pod wskazanym adresem zastałem niewielki domek z prefabrykatów, z obszerną frontową werandą, przed którą stała tablica z napisem NA SPRZEDAŻ. Wąski podjazd prowadził wzdłuż bocznej ściany do bramy garażu usytuowanego na tylnym podwórku.

Zaparkowałem na ulicy i ruszyłem podjazdem do wejścia.

Pokoje gościnne zostały urządzone w miejscu dawnego garażu. Szeroką dwuskrzydłową bramę garażu zastąpiono szklanymi przesuwными drzwiami balkonowymi, za którymi wisiały wzorzyste zasłony przesłaniające widoczność. Przed nimi, na skraju podjazdu, stał ogrodowy stolik z czterema fotelikami, osłonięty od słońca ażurową altaną obsadzoną kwitnącą na czerwono bugenwillą. Zapukałem w szklane drzwi.

- Angel? Tu Elvis Cole.

Nikt nie odpowiedział.

Zapukałem jeszcze raz, po czym zszedłem z patio na ubitą ziemię podwórka. W bocznej ścianie dobudówki znajdowały się dwa okna oraz dodatkowe drzwi, pochodzące prawdopodobnie jeszcze z okresu, gdy znajdował się za nimi garaż. Tylne podwórko było skryte przed wzrokiem sąsiadów wysokim ogrodzeniem z drucianej siatki porośniętym dziką winoroślą i krzewami bugenwilli. Z jej kwiatami konkurowały duże fioletowe kielichy powoju rosnącego wśród winorośli.

Boczne drzwi także były zamknięte, w oknach wisiały nieprzezroczyste zasłony. Cofnąłem się więc do szklanych drzwi balkonowych i zapukałem jeszcze raz, po czym zdecydowałem się na rozmowę z właścicielem posesji. Gdybym nawet niczego się nie dowiedział, mogłem przynajmniej zostawić Angelowi wiadomość, że szukam z nim kontaktu.

Wycofałem się więc na podjazd, wszedłem po schodach na werandę i nacisnąłem dzwonek. Ale i tu nikt nie odpowiedział. Ośloniłem dłońmi oczy i zajrzałem przez okno werandy do środka, obrzucając szybkim spojrzeniem salon, jadalnię oraz widoczną część głównego holu. W pomieszczeniach nie było mebli. Właściciel bądź najemca domu już się wyprowadził. Być może Tomaso przeniósł się razem z nim, tylko nie powiadomił o tym swojego agenta, ale wydało mi się to mało prawdopodobne. Podejrzywałem, że początkujący aktorzy byli gotowi zamieszkać w psiej budzie na podwórku swojego agenta, gdyby tylko ten wyraził na to zgodę.

Cofnąłem się do szklanych drzwi przybudówki, żeby zostawić kartkę z wiadomością, ale napisawszy ją, postanowiłem jeszcze raz zadzwonić pod numer komórki Angela. Równie dobrze mógł być gdzieś po sąsiedzku, jak też z przyjaciółmi w Las Vegas, skąd nie zamierzał wracać przez kilka najbliższych tygodni.

Kiedy rozległ się sygnał wywołania na linii, usłyszałem dzwonek telefonu dobiegający z wnętrza domu. Opuściłem swój

aparat i nadstawiłem ucha. Wyraźnie usłyszałem pięć sygnałów, po których zapadła cisza. A w mojej komórce rozległa się zapowiedź automatycznej sekretarki Tomaso.

- Angel? - zapytałem.

Nikt nie odpowiedział.

Przerwałem połączenie i zapukałem po raz kolejny. Odczekałem chwilę i nacisnąłem klamkę. Prawe skrzydło drzwi było zamknięte na klucz, ale drugie przesunęło się swobodnie, zaledwie pociągnąłem za uchwyt.

Przybudówka została urządzona na tani lokal do wynajęcia, z poobijanym kuchennym stołem, telewizorem oraz składanym tapczanem. Na stole leżał telefon komórkowy, portfel oraz pęk kluczy. Obok na podłodze piętrzył się stosik książek dotyczących sztuki aktorskiej i reżyserskiej, na ścianie wisiały porozpinane plakaty najnowszych filmów kryminalnych w rodzaju *The Big Lebowski* albo *Gdzie jesteś, Amando*. Skromnie umeblowany pokój pełen był rekwizytów aktora szukającego swej drogi do sławy, tyle że Angel Tomaso miał już nigdy nią nie podążyć.

Leżał bowiem twarzą w dół na kanapie, ze skronią tak grubo pokrytą zakrzepłą krwią, że niemal czarną w panującym tu półmroku. Miał na sobie bawełniany T-shirt oraz szorty. Odsłonięte części rąk i nóg były sine w tych miejscach, gdzie pod skórą zebrała się krew. Na ścianie nad kanapą ktoś nabazgrał koślawymi czerwonymi literami: KOCHAŁAM CIĘ.

Nadstawiłem ucha, lecz prócz Angela nikogo tu nie było. W skromnym mieszkanku panowała niezmacona cisza, jeśli nie liczyć brzęczenia samotnej muchy krążącej nad zwłokami. Nim zdążyłem zamknąć drzwi od podwórka, kilka następnych much ochoczo przyłączyło się do tej pierwszej.

Wszedłem głębiej i pochyliłem się nad trupem. Kanapa za jego głową była przesiąknięta krwią, na suficie nad zwłokami wiadać było drobne rozpryski pochodzące jak gdyby od kuli

wystrzelonej ukośnie ku górze. Cały bok głowy za prawym uchem chłopaka przypominał zmiażdżony obiekt, w który zabójca wielokrotnie uderzał jakimś tępym narzędziem. Ale narzędzia zbrodni nie było nigdzie w zasięgu wzroku.

Z pozoru wyglądało na to, że napis na ścianie został wykonany krwią, ale gdy przyjrzałem się dokładniej, rozpoznałem szkarłatną szminkę.

Zamki drzwi i okien nie nosiły śladów włamania. W mieszkaniu panował porządek, nic nie wskazywało na to, by ktoś tu czegoś szukał. Dbałem o to, żeby nie zostawić nigdzie swoich odcisków palców i nie zniszczyć dowodów przestępstwa. W portfelu Angela były sześćdziesiąt dwa dolary oraz karty kredytowe Visa i MasterCard. Na kuchennym blacie leżał nieotwarty list od ciotki. Ogarnął mnie smutek, bo pomyślałem, że powinien był go otworzyć, jak tylko wyjął ze skrzynki.

Jeszcze przez chwilę przyglądałem się zwłokom i układowi krwistych plam, po czym wyszedłem przed dom, żeby zadzwonić na policję. Usiadłem przy stoliku pod krzewem bugenwilli i zaczerpnąłem kilka głębszych oddechów świeżego powietrza, zdecydowanie bardziej ożywczego od powietrza wiszącego nad zwłokami chłopaka. Dopiero po chwili uzmysłowiłem sobie, że powinienem był zamknąć szklane drzwi, które zostawiłem otwarte. Pomyślałem jednak, że Angel za długo był sam. Kiedy posterowałem myślami w stronę jego ciotki, wyobraziłem sobie, jakim smutkiem napelni tragiczna wiadomość i ją, i resztę jego rodziny z Austin. Takie chwile zawsze są nadzwyczaj bolesne.

Wciąż siedziałem przy ogrodowym stoliku, gdy przez furtkę z drewnianych sztachet weszło z ulicy dwóch umundurowanych gliniarzy z patrolu miejskiego. Dopiero w połowie długości podjazdu zobaczyli mnie pod bugenwillą, następnie ujrzeli przez otwarte drzwi przybudówki zwłoki Angela na kanapie i ostrym tonem kazali mi podnieść ręce do góry.

## 23.

- Spokojnie, chłopcy. To ja was wezwałem.

Starszy z nich burknął:

- Słyszałem to setki razy.

Nazywali się Giardi i Silbermann, ten pierwszy miał stopień starszego sierżanta i nadzorował nowicjuszy. Silbermann był pierwszy rok w służbie, zapewne jeszcze na stażu, i świetnie mu szło wykrzykiwanie rozkazów. Aż Giardi nakazał mu półgłosem, żeby trochę stonował. Obaj przyjrzeni mi się uważnie, żaden jednak nie zapytał, skąd mam zadrapania i siniaki na twarzy.

Przedstawiłem się, uprzedziłem, że jestem uzbrojony, i wyłuszczyłem powód mojej obecności na tej posesji. Nie skuli mnie kajdankami i nie aresztowali, ale dokładnie sprawdzili moje dokumenty, zabrali mi broń i dopiero wtedy we trzech podeszliśmy do otwartych szklanych drzwi przybudówki.

- Cholera... - syknął Silbermann.

- Nazywał się Angel Tomaso, znany także pod pseudonimem Andy Thom. Przed trzema laty był świadkiem w sprawie o zabójstwo.

- Nie powinieneś nic mówić przed przyjazdem twojego adwokata - ostrzegł sierżant.

- Do niczego nie zamierzam się przyznawać, Giardi, po prostu wprowadzam was w sytuację. Próbowałem się z nim skontaktować. Wie o tym Connie Bastilla z wydziału zabójstw komendy głównej.

- I wie też, że chłopak nie żyje?

- Wie, że próbowałem go odszukać. Jeszcze w ubiegłym tygodniu ona także chciała go ponownie przesłuchać.

Silbermann po raz kolejny obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

- Wdałeś się z nim w bójkę, zanim go zabiłeś?

Giardi kazał mu zamilknąć. Złożył przez radio meldunek, po czym odprowadził mnie do wozu patrolowego, żebym na tylnym siedzeniu czekał na przyjazd ekipy śledczej. Silbermann został przy wejściu do przybudówki, żeby go strzec na wypadek, gdyby ktoś chciał seriami z broni automatycznej oczyścić sobie drogę od ulicy do domu.

- Jak to się stało, że tak wcześnie przyjechaliście? - zapytałem.

- Anonimowy informator zgłosił trupa na tej posesji. To nie ty dzwoniłeś?

- Nie. Ja ledwo co zdążyłem się rozłączyć. Poza tym nie zgłaszałem niczego anonimowo.

- Wyjaśnisz to śledczym. Są już w drodze.

Rzeczywiście, po chwili zjawily się dwa następne radiowozy służby patrolowej i dowódca zmiany kazał zablokować z obu stron uliczkę. Minutę później przyjechała ekipa śledcza. Wśród detektywów znalazł się Crimmens.

Giardi zatrzymał ich na podjeździe i udzielając wyjaśnień, wskazał mnie. Ale Crimmens od samego początku nie mógł odebrać ode mnie wzroku. Kiedy Giardi skończył, ruszył z drugim detektywem w kierunku wejścia do przybudówki, tymczasem Crimmens podszedł do mnie. Wyszczrzył zęby w uśmiechu na widok zadrapań i siniaków na mojej twarzy.

- Co się stało, Cole? Napyskowałeś niewłaściwemu facetowi?

- Myślałem, że nadal siedzisz w komendzie głównej.

- Zespół specjalny został rozwiązany i odesłano mnie z powrotem do North Hollywood. Czy to naprawdę Tomaso tam leży?

- Sam sprawdź.

- Ty go zabiłeś?

- Był już martwy, gdy tu przyjechałem.

- A kiedy przyjechałeś?
  - Pięć minut przed Giardim i Silbermannem.
  - To się jeszcze okaże.
  - Szkoda, że nie znałem tego adresu w ubiegłym tygodniu, kiedy ty i Bastilla także go szukaliście. Może żyłby do dziś.
  - Nie ruszaj się stąd, gównojadzie. Trochę tu posiedzisz.
- Odszedł, żeby obejrzeć zwłoki, a po chwili zbliżył się Silbermann i zajął posterunek u mego boku.
- To ty zabiłeś tego chłopaka? - zapytał.
  - Oczywiście, że nie.
  - A mnie się zdaje, że tak.
  - Mogę cię o coś zapytać? Kiedy wpłynęło zgłoszenie o trupie?
  - Nie ze mną takie sztuczki, morderco. Niczego się ode mnie nie dowiesz.

Nie odzywał się do mnie przez następne dwadzieścia minut. W tym czasie Crimmens i jego partner wrócili do samochodu. Crimmens większość czasu rozmawiał przez telefon, aż do przyjazdu śledczego z biura koronera. Wtedy we trzech jeszcze raz ruszyli do przybudówki. Ale Crimmens zaraz pojawił się z powrotem, gdyż nadjechał czarno-biały wóz z komendy głównej i zatrzymał się u wylotu podjazdu. Wysiedli z niego Bastilla i Marx.

Silbermann aż uniósł brwi ze zdumienia i wyciągnął szyję, by dobrze się przyjrzeć takim policyjnym sychom.

- Rety, sam zastępca komendanta głównego...
- Który nosi takie same gacie jak ty.
- Cicho bądź, idioto.

Marx zaszczycił mnie tylko przelotnym spojrzeniem, gdyż zaraz musiał zawrócić, bo na ulicze pojawił się kolejny nieoznakowany wóz policyjny. Wsiadł z niego wysoki i chudy detektyw po pięćdziesiątce, który przywitał się z Marksem na podjeździe. Zamienili kilka słów, zerkając w moim kierunku, po czym



dołączyli do Bastilli i Crimmensa. Nowo przybyłym był prawdopodobnie Munson. Miałem ochotę uśmiechnąć się do niego i pomachać ręką, ale zdrowy rozsądek wziął górę.

Marx z Munsonem zniknęli w głębi podjazdu, a Bastilla i Crimmens podeszli do mnie.

- Jak na członków rozwiązanego niedawno specjalnego zespołu dochodzeniowego wyjątkowo dużo czasu nadal spędzacie razem - powiedziałem.

Bastilla zatrzymała się na skraju podjazdu i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Jak go odnalazłeś?

- Nie zaczniesz od ironicznej uwagi na temat mojego wyglądu? Wszyscy inni właśnie tak zaczynali.

- Bo może wszystkich innych to obchodziło, mnie nie. Jak go odnalazłeś?

- Jego były współlokator podał mi numer rodziny z Teksasu. Od niej się dowiedziałem, że Angel wrócił do Los Angeles, żeby jeszcze raz spróbować sił jako aktor. Dostałem ten adres od agentki zajmującej się młodymi talentami.

Wolałem nie mieszać do tego Pat Kyle i nie wymieniać jej nazwiska, nie mając na to zgody.

- Rozmawiałeś z nim?

- Nie żył już, kiedy tu przyjechałem.

- Pytam, czy rozmawiałeś, kiedy jeszcze żył, Cole. Czy zdążyłeś z nim porozmawiać, zanim został zamordowany?

- Dowiedziałem się, gdzie mieszka, zaledwie przed paroma godzinami. Dzwoniłem do niego, ale włączała się tylko automatyczna sekretarka. Dlatego przyjechałem. Nie miałem pojęcia, że nie żyje. Nie podejrzewałem nawet, że cokolwiek może mu zagrażać.

- Ruszałeś coś w jego pokoju?

- Nie żartuj, Bastilla. Myślisz, że zbieram pamiątki? Silbermann wyprężył się na baczność.

- Drzwi były otwarte, kiedy przyjechaliśmy. On stał tam, przy samych drzwiach, a w pobliżu nie było nikogo innego. Istnieje uzasadnione podejrzenie włamania.

Bastilla spojrzała na niego.

- Ty jesteś Silbermann?

- Tak jest, proszę pani. Zjawiliśmy się z Giardim na miejscu przestępstwa...

Uciszyła go, podnosząc rękę.

- Możecie już odejść, posterunkowy. Dziękujemy za pomoc.

Silbermann zrobił zboląłą minę i niechętnie ruszył w stronę radiowozu.

- Co wy tu robicie razem z Marksem? - zapytałem. - Przecież sprawa jest podobno zamknięta.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że ten biedny chłopak miał coś wspólnego z tamtą sprawą?

Obrzuciłem ją uważnym spojrzeniem, ale z jej miny nie dało się niczego wyczytać.

- Ponieważ ty i Crimmens go szukaliście, a teraz chłopak nie żyje. Ponieważ był koronnym świadkiem w sprawie zabójstwa Bennett, a teraz nie można go już o nic zapytać.

- Widziałeś, co tam jest nabazgrane na ścianie?

- Masz mnie za idiotę?

- Wszystko wskazuje na tragiczny finał kłótni kochanków. Wchodziłeś do jego mieszkania?

- Mam rozumieć, że gdy znajdujemy trupa człowieka, którego poszukiwaliśmy przez cały ubiegły tydzień, jesteś gotowa przyjąć w ciemno, że zginął wskutek kłótni kochanków?

- Wchodziłeś czy nie?

- Nie. Od drzwi zauważyłem, że nie żyje.

Gdybym się przyznał, że wchodziłem do środka, zapaliłbym zielone światło do tego, żeby mnie przyskrzynić.

- Czy w jakikolwiek sposób ingerowałeś w materiał dowodowy na miejscu zbrodni?

- Jak mogłem ingerować w materiał dowodowy, jak w ogóle tam nie wchodziłem?

- Czy wiesz albo podejrzewasz, kto to zrobił?

- Prawdopodobnie ten sam człowiek, który zamordował tamtych siedem kobiet. Co się stało z Ivy Casik? Odszukaliście faceta, którego widziała pod domem Byrda?

Bastilla wyduła wargi i lekko pokręciła głową, jakby w wyrazie politowania nade mną.

- Ciągłe wchodzisz nam w drogę, Cole.

- Jak mam to rozumieć?

Cofnęła się o krok i ruchem głowy dała znak Crimmensowi, ten zaś pokiwał palcem, nakazując mi wysiąść z radiowozu.

- Chodź, wyskakuj.

Złapał mnie za ramię, obrócił i pchnął na samochód.

- Nie ruszaj się.

- O co wam chodzi, do cholery?!

- Chcemy mieć pewność, że niczego nie zabrałeś z miejsca zbrodni - wyjaśniła Bastilla. - Jeśli będziesz stawiał opór, zostaniesz aresztowany pod zarzutem bezprawnego wdarcia się na teren prywatny, dokonania włamania i podejrzenia o zabójstwo.

- Nie udawaj głupka, panie Nachalny - syknął Crimmens.  
- Rozstaw nogi.

Przetrząsnął mi kieszenie spodni, wykładając na dach auta kolejno portfel, telefon komórkowy, trzydzieści centów oraz chusteczkę do nosa. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął notes i czarny długopis. Kiedy mnie przeszukiwał, Bastilla wśliznęła się na tylne siedzenie radiowozu, na którym siedziałem, i zaczęła przeciągać dłonią w szczelinach tapicerki, później obmacała podłogę pod przednimi fotelami. Sprawdziła wszystkie miejsca, w których mogłem cokolwiek ukryć, gdybym miał cokolwiek do

ukrycia, wreszcie wysiadła z samochodu. Ciekawiło mnie, czego szukają.

- Sprawdź jeszcze jego skarpetki i buty. Upewnij się też, że nie wepchnął sobie niczego w majtki.

- Czemu nie zrobisz tego sama? Nie boisz się, że Crimmens przeoczy ukrytą kieszeń w kroku moich spodenek?

Bastilla zaczerwieniła się lekko, lecz nie odpowiedziała.

Wrócili Marx z Munsonem i stanęli przy niej, czekając, aż Crimmens skończy mnie przeszukiwać. Zamienili półgłosem kilka słów, po czym Munson cofnął się do auta, żeby dokąś zadzwonić z komórki. Marx i Bastilla odwrócili się z powrotem w naszym kierunku, gdy Crimmens skończył swoją robotę.

- Jest czysty, szefie.

- Już go przepytowaliście?

- Jeszcze nie.

- Zostawcie nas na chwilę, tylko nie odchodźcie za daleko.

Zajmiecie się nim, gdy skończymy rozmowę.

Crimmens błyskawicznie dołączył do swojego partnera i obaj oddalili się podjazdem w stronę domu. Dołączyli do nich Silbermann i Giardi.

- To chyba każe zapomnieć o możliwości zamknięcia sprawy, Marx - zacząłem.

Popatrzył mi w oczy, zacisnął wargi, po czym oparł dłonie na biodrach.

- Jesteś żalosną karykaturą detektywa, Cole. Powinieneś się wstydzić.

- Za to, że odwałam za was robotę?

Zazgrzytał zębami, ale szybko się opanował.

- Za burzenie świętego spokoju państwa Repko. Pani Repko powiedziała mi, że napadłeś na jej synów. Co cię ugryzło, do jasnej cholery?

- Radzę lepiej porozmawiać z panem Repko. Może powie coś zupełnie innego.

- Co chcesz osiągnąć? Próbujesz wywindować stawkę, zmuszając rodziny zabitych, żeby cię najęły?

- Próbuję windować sondáže, żeby mieć większe szanse w najbliższych wyborach. A forsa jest mi potrzebna, żeby zaangażować specjalistów z Leverage Associates. Byłbyś gotów mi ich polecić?

- Lepiej nie przeginać, Cole - wtrąciła Bastilla.

- Śmiało, Marx, pytam, czy są warci swojej ceny. Wiem, że ściśle z nimi współpracujesz. Czy to oni namówili cię do zamknięcia sprawy Byrda, żebyś mógł to triumfalnie obwieścić przed kamerami telewizyjnymi?

Zrobił się czerwony jak burak.

- Ty bezczelny kutasie.

- Czy państwo Repko wiedzą, że ingerowałeś w śledztwo w sprawie zabójstwa ich córki, żeby chronić swoich popleczników?

- Cole, wsiadaj z powrotem do radiowozu - rzuciła Bastilla.

Powinienem być jej usłuchać, ale kierowała mną wściekłość i szukałem tylko pretekstu, żeby skopać komendantowi dupsko.

Na podjeździe i ulicy przed domem aż się roilo od policjantów. Mieszkańcy sąsiednich posesji powychodzili na podwórka, ciekawi, co się dzieje. Był już nawet pierwszy reporter z „The Times”. Marx cofnął się o krok i rozejrzał dookoła, w końcu utkwiał spojrzenie w Crimmensie.

- Detektywie, pozwólcie do mnie.

Crimmens podbiegł truchtem.

- Ten człowiek jest podejrzany o zamordowanie Angela Tomaso. Proszę go aresztować i odstawić na swoją komendę celem przesłuchania.

- Pierdol się, Marx - warknąłem.

Crimmens uśmiechnął się od ucha do ucha. Za to Bastilla podeszła do komendanta:

- Szefie, mogę prosić na słówko?

Marx zawrócił na pięcie i ruszył w kierunku Munsona, Bastilla podreptała za nim. Crimmens stanął tuż przede mną, w takiej odległości, jakby chciał mi nosem wykluć oczy. Wciąż uśmiechał się szeroko.

- Stawiaj opór. Bardzo proszę, stawiaj opór.

- Wiem, co powiedziałaś państwu Repko, Crimmens. Kiedy ta sprawa dobiegnie końca, porozmawiamy sobie od serca.

Zaśmiał się krótko, złapał mnie za ramię i obrócił. Skuwając mi ręce za plecami, szepnął do ucha:

- To lepsze niż seks. Zaraz się spuszcze w gacie, Cole.

Wepchnął mnie ponownie na tylne siedzenie wozu patrolowego, po czym wrócił do swojego partnera, zostawiając Giardiemu i Silbermannowi zadanie spakowania moich rzeczy do plastikowej torby.

- Wiedziałem, że on to zrobił - mruknął przy tym Silbermann.

Bastilla zamieniła kilka zdań z Marksem i Munsonem przy drzwiach ich samochodu, następnie przywołała do siebie Giardiego. Rozmawiali kilka minut. W końcu Munson wsiadł i odjechał. Marx cofnął się do swojego auta, a Bastilla podeszła do mnie.

- Weź na wstrzymanie, dobrze? - mruknęła.

- Przecież to idiotyzm. Nic na mnie nie macie.

Uciszyła mnie szybkim ruchem ręki.

- Zostaw to mnie, Cole. Odetchnij głęboko.

- Porozmawiaj z Casik.

Kiedy podszedł Crimmens ze swoim partnerem, Bastilla wydała nowe rozkazy.

- Macie przesłuchać go tu, na miejscu, a nie wieźć na komendę.

- Przecież szef kazał go aresztować.
- Zmienił polecenie. Przesłuchajcie go, a potem zacznijcie przepytywać sąsiadów i zbierać dowody. Macie do rozwiązania sprawę zabójstwa.

Wycofała się do wozu z komendy głównej i wsiadła do niego za Marksem. Po chwili oni także odjechali. Wyszczерzyłem zęby do Crimmensa.

- Nadal jest ci tak dobrze?

Trzymali mnie na tylnym siedzeniu radiowozu Giardiego prawie przez dwie godziny. Najpierw na zmianę zadawali pytania, potem został tylko jeden, następnie drugi, a w końcu znowu zbierali zeznania obaj. Pytali mnie o Tomaso, o moje próby nawiązania z nim kontaktu telefonicznego przed przyjazdem tutaj, o wszystko, co widziałem, co robiłem i co zauważyłem od chwili przybycia na miejsce zbrodni. W tajemnicy zachowałem tylko nazwisko Pat Kyle. Powiedziałem im, że obejrzałem szklane drzwi balkonowe i okna przybudówki, szukając śladów włamania, gdyż wiedziałem, że znajdą tam moje odciski palców. Nie przyznałem się jednak, że wchodziłem do środka. Gdybym powiedział prawdę, dałbym Marksowi pretekst do oskarżenia mnie o wtargnięcie na teren prywatny. Nie miałem żadnej pewności, że znów nie zmieni zdania i nie każe mnie aresztować. Poza tym nie kłamałem. Pytania były logiczne i właściwe, z pewnością musiałby na nie odpowiedzieć każdy, kto by się znalazł w mojej sytuacji. Mniej więcej w połowie tego przesłuchania zjawił się technik z dochodzeniówki, żeby pobrać moje odciski palców.

Przerabialiśmy te same pytania po raz trzeci, gdy zadzwonił telefon Crimmensa. Słuchał przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Tak jest, szefie. Wciąż go przesłuchujemy.

Znowu słuchał przez parę sekund, wreszcie wyciągnął telefon do mnie.

- Komendant Marx.

Wziąłem od niego aparat.

- Posłuchaj, Cole. I to słuchaj uważnie. Porucznik Poitras powiedział mi, że się przyjaźnicie. Jeśli dobrze zrozumiałem, jesteś ojcem chrzestnym jednej z jego córek.

Ogarnęła mnie irytacja, poczułem się zdezorientowany i zagrożony.

- To nie twoja sprawa, Marx.

- Wydałem porucznikowi jasne i stanowcze polecenia, kiedy kazałem mu zaplombować dom Byrda i nikomu nie udzielać żadnych informacji w tej sprawie. Mimo to zastałem na miejscu ciebie, cywila, oczywiście w towarzystwie porucznika, co stanowiło jawne złamanie wydanych rozkazów, do tego w obecności licznych świadków. Słyszysz mnie?

Poczułem nagle dziwny ucisk w gardle.

- Tak, słyszę.

- Mógłbym za to postawić porucznika Poitrasa do raportu i wymierzyć mu karę dyscyplinarną, co skutecznie zablokowało by mu dalszą karierę.

- Do czego zmierzasz, Marx?

- Trzymaj się z dala od państwa Repko. Trzymaj się z dala od uczciwych pracowników Leverage i od mojej sprawy. Rozumiemy się dobrze?

- Tak.

- To oddaj telefon Crimmensowi.

Poczułem się tak niewiarygodnie pusty, jakbym od dawna niczego nie jadł i miał nie jeść do końca życia. Crimmens słuchał jeszcze przez chwilę, w końcu zamknął telefon i rzucił:

- Zjeżdżaj, Cole. Komendant powiedział, że mamy cię puścić.



## 24.

Zmierch spadał na miasto niczym tiulowy szal, kiedy odjeżdżałem sprzed miejsca zbrodni. Marx podjął ogromne ryzyko, formułując pogroźki pod adresem Lou Poitrasa. Nie wątpił chyba, że powiem o nich zainteresowanemu, co pozwalało wnioskować, że jest pewien, iż zdoła zachować panowanie nad sytuacją niezależnie od reakcji Poitrasa, pewnie poprzez realizację swych gróźb. Jednakże ludzie podejmowali takie ryzyko tylko w stanie desperacji, a to z kolei oznaczało, że Marx ma coś istotnego do ukrycia. Skoro jemu zależało, bym się wycofał, ja natychmiast zapragnąłem jeszcze bardziej zagłębić się w tę sprawę.

Skręciłem na stację benzynową przy Ventura Boulevard i zadzwoniłem do Pike'a, a potem do adwokata, niejakiego Abbota Montoi. Było już późno, wiedziałem jednak, że Montoya odbierze telefon.

- Jak się masz, synu? Miło znowu słyszeć twój głos.

W jego słowach pobrzmiwała autentyczna radość.

Abbot Montoya był dystyngowanym dżentelmenem po siedemdziesiątce, ale nie zawsze zachowywał się tak dostojnie, a wówczas z pewnością nikt nie zaliczał go do dżentelmenów. Był bowiem kiedyś gangsterem z East Los Angeles, blisko związanym ze swoim ówczesnym kumplem, innym młodym łotrem, niejakim Frankiem Garcia. Ale wspólnie wydzwignęli się z latynoskich slumsów, przy czym Abbot Montoya przystąpił do żmudnego budowania swojej prawniczej kariery po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Kalifornijskim, natomiast Frank Garcia do budowania prawdziwego imperium barów i restauracji wartego obecnie ponad miliard dolarów. Wiedziałem, że Frank trzyma w garści miejskiego radnego Henry'ego Maldenado, zresztą podejrzewałem, że także paru innych.

- Mnie także miło pana słyszeć. Chciałem prosić o pewną przysługę.

- To, co ty nazywasz przysługą, większość określa jako przejaw funkcjonowania prawa. Żadna pomoc dla ciebie nie zdoła pokryć naszego długu wdzięczności.

Przed laty Frank Garcia wynajął mnie i Pike'a do odnalezienia zabójcy jego jedyne dziecko. Wykonaliśmy to zadanie i od tamtej pory ci dwaj uważali się za naszych dłużników.

- Czy zna pan firmę organizującą kampanie polityczne o nazwie Leverage Associates?

- Pewnie, że znam. To firma z tradycjami.

- Chciałbym uzyskać podstawowe dane o tej firmie i jej klientach. Jest wśród nich zastępca komendanta komendy głównej policji w Los Angeles, Thomas Marx. Jak również Nobel Wilts.

- Radny Wilts?

- Zgadza się. Czy radny Maldenado także korzysta z ich usług?

- Nie, ale nie miałyby to większego znaczenia, nawet gdyby było inaczej. Czy chciałbyś porozmawiać z nim osobiście na temat tych ludzi?

- Owszem, chętnie, gdyby to było możliwe.

Montoya zachichotał, jak gdyby rozbawiony myślą, że radny Maldenado mógłby mu czegoś odmówić.

- Spotka się z tobą z największą przyjemnością.

- Tyle że nikt z Leverage nie może się o tym dowiedzieć. Ludzie, o których mi chodzi, nie powinni się dowiedzieć, że o nich rozpytuje.

- *Para siempre.* W tym zakresie możesz na mnie polegać.

Rozłączyłem się i opuściłem telefon, ale nie odjechałem ze stacji benzynowej, gdyż nie dawało mi spokoju, że tak łatwo odnalazłem Angela Tomaso. Jack Eisley jako kontakt słabo się sprawdził, ale wystarczyło zaledwie parę telefonów, żeby zdobyć

adres chłopaka. Nasuwało to wniosek, że Bastilla i Crimmens chyba nawet nie próbowali go znaleźć. Odszukanie Ivy Casik wcale nie było dużo trudniejsze, skojarzyłem jednak, że Bastilla w ogóle nie zareagowała, gdy podsunąłem jej ten trop. Zwyczajnie zignorowała moją uwagę.

Ruszyłem w końcu i przebiełem się przez przełęcz Cahuenga do Hollywood, a stamtąd wjechałem znów między wzgórza otaczające Hollywood Bowl, gdzie mieszkała Ivy Casik. Budynek był pogrążony w takiej samej ciszy jak wtedy, gdy przyjechałem tu po raz pierwszy, jakby wszyscy mieszkańcy odgradzali się od całego świata zamkniętymi na głucho oknami. Naciśnąłem dzwonek, potem zapukałem raz i drugi, aż moje pukanie rozeszło się donośnym echem po ciasnym podwórzu.

- Mogę w czymś pomóc?

Obejrzałem się na łysego mężczyznę o gruszkowatej głowie, który wyszedł z sąsiedniego mieszkania. Miał na sobie luźne szorty i poroziągany podkoszulek, a w ręku trzymał szklaneczkę z jakimś trunkiem. Mała tabliczka przy drzwiach jego mieszkania pozwalała sądzić, że jest gospodarzem domu.

- Chciałem się zobaczyć z panną Casik.

Potrząsnął szklaneczką, aż po podwórku rozniosło się echem podzwanianie kostek lodu.

- Nie ma jej w domu. Strasznie się pan dobijał do drzwi. Nie musiał pan łomotać aż tak głośno.

Po raz drugi zadzwonił kostkami lodu w swoim drinku.

- Przepraszam. Zostawię jej wiadomość.

Wyjąłem wizytówkę i przytknąłem ją do ściany, żeby na odwrocie napisać do dziewczyny prośbę o telefon.

- Jest pan z policji? - zapytał łysy. - Tamci też się tak głośno dobijali.

Przestałem pisać w pół słowa i popatrzyłem na niego. Ledwie odwróciłem głowę, znowu zadzwonił kostkami lodu i pociągnął łyce trunku ze szklaneczki.

- Była tu detektyw Bastilla?
- Nie przedstawiła się.

Ale jednak ona. Uniosłem rękę w przybliżeniu na wysokość głowy Bastilli.

- Tego wzrostu, koło czterdziestki, Latynoska.
- Zgadza się. Była tu dziś rano.

Jeszcze jeden łyk trunku. I brzęk kostek lodu.

- Nie wie pan, czy z nią rozmawiała?
- Rano Ivy też nie było w domu. - Wyciągnął rękę po moją wizytówkę z wiadomością. - Jeśli pan sobie życzy, zatroszczę się, żeby ją dostała.

- Nie, dzięki. Wrzucę do jej skrzynki na listy.

Wsunąłem wizytówkę w szczelinę skrzynki, wróciłem do samochodu i pojechałem wolno między wzgórzami do siebie. Po drodze dłużyła mi się nadzwyczaj, pewnie dlatego, że miałem o czym myśleć, a niewiele z tego układało się w sensowną całość.

Wstawiłem wóz do garażu, wszedłem do środka kuchennymi drzwiami i prawie duszkiem wypilem całą butelkę wody mineralnej. Miałem przy tym wrażenie, że tak samo wstawiałem wóz do garażu, wchodziłem kuchennymi drzwiami i wypijałem butelkę wody mineralnej dziesiątki tysięcy razy. Kota nie było w domu, ale otworzyłem mu puszkę kocięgo żarcia tak samo, jak czyniłem to dziesiątki tysięcy razy. Dziesięć tysięcy puszek i dziesięć tysięcy butelek wody mineralnej. Ta życiowa stabilność koła nerwy.

Jeszcze w kuchni zrzuciłem buty i zdjąłem ubranie, wrzuciłem wszystko do stojącego w pralni kosza na brudne ciuchy i poszedłem na górę, żeby wziąć gorący prysznic, co czynię zawsze po powrocie do domu, gdy zetknę się z trupem. Stać mnie było na luksus takiej życiowej stabilności, co nie było już dane Angelowi Tomaso. Jego stabilność zakończyła się niepowtarzalnym zdarzeniem, od którego nie można się było uwolnić pod gorącym prysznicem.

Wyszorowałem się solidnie, włożyłem czyste ubrania, zszedłem na dół i w saloniku zastałem Pike'a. Trzymał na rękach kota w taki sposób, jakby kołysał do snu niemowlę. Kot leżał wyciągnięty z zamkniętymi oczami. Wszystkie cztery łapy miał sztywno wyprostowane ku górze, jakby był nieźle zaprawiony.

- Zamierzam coś upichcić na kolację - powiedziałem. - Napijesz się piwa?

- Jasne.

Wyjąłem z lodówki dwa piwa, postawiłem je na blacie i opowiedziałem mu o Angelu Tomaso.

- Ktoś anonimowo zawiadomił policję i gliny przyjechały, gdy tam byłem.

- Myślisz, że ktoś próbuje cię zrobić?

- Nikt nie mógł przewidzieć, że to ja odnajdę trupa. Nie mógł się nawet spodziewać, że tam przyjadę.

- Ale mógł cię zobaczyć, jeśli obserwował dom.

Pociągnąłem duży haust piwa i powiedziałem mu całą resztę.

- Maglowali mnie przez kilka godzin, po czym usłyszałem od Marksa, że jeśli nie porzucę tej sprawy, on postawi Lou zarzuty niewykonania rozkazu, zaciągnie przed komisję dyscyplinarną i zrujnuje mu karierę.

- Groził Poitrasowi?

- Owszem. Za to, że wpuścił mnie do domu Byrda.

- Naprawdę odważył się mu grozić?

- Tak.

Pike oparł się łokciami o kontuar, a kącik jego ust nerwowo zadygotał.

- Dlaczego kazał ci się wycofać ze sprawy?

Przedstawiłem mu pokrótce powiązania Marksa z Leverage Associates.

- Marx zajął się osobiście kryciem pracowników Leverage w czasie pierwotnego śledztwa w sprawie śmierci Debry Repko. Wykluczył z dochodzenia Darcy'ego i Madduksa na długo przed odnalezieniem zwłok Byrda, nie tłumacząc nawet, dlaczego odbiera im tę sprawę. Ponadto w ręce Darcy'ego wpadło nagranie wideo z systemu bezpieczeństwa zainstalowanego na tyłach pawilonu, gdzie zamordowano Repko. Technicy z komendy nie dali rady nic z niego wyciągnąć, po cichu wysłał więc nagranie do szwagra pracującego w firmie zajmującej się komputerowymi efektami specjalnymi. A kiedy ujawniono istnienie albumu Byrda, zespół specjalny zarekwirował płytę z nagraniem, zanim szwagier Darcy'ego zdołał cokolwiek z nim zrobić. I teraz nikt nie wie, co się stało z tym zapisem.

- Myślisz, że Marx położył na nim łapę?

- Sam nie wiem, co myśleć. Gdyby na zapisie widać było, że to Byrd zabija kobietę, Marx z pewnością wykorzystałby nagranie. A jeśli obraz był całkiem nieczytelny, to po co miałyby ukrywać płytę?

- Może widać na nim kogoś innego?

- Możliwe. Nie wiadomo.

Pike w zamyśleniu pociągnął łyk piwa.

- Tu nie chodzi tylko o Marksa, Elvis. To kwestia całego zespołu specjalnego. Ostatecznie ktoś powinien coś powiedzieć w tej sprawie. Tego typu rzeczy nie da się utrzymać w ścisłej tajemnicy.

- Lindo tłumaczył mi, że zespół działał według struktury pionowej. Tylko najwyżej postawieni ludzie znali wszystkie aspekty dochodzenia, nazywali ich „wewnętrznym kręgiem”. Mówił, że koledzy z jego sekcji nawet żartowali na ten temat. A przecież dużo łatwiej utrzymać coś w tajemnicy, kiedy ludzie nie mają pojęcia, w czym naprawdę uczestniczą.

- Kto kierował tym przedstawieniem?
- Marx, a w jego zastępstwie Bastilla z jakimś kutasem o nazwisku Munson. Lindo słyszał plotki, że Marksa i Munsona łączyła jakaś wspólna przeszłość.

Pike opuścił kota na podłogę. Ten ześliznął mu się z ręki niczym pluszowa maskotka i pospiesznie zwinął w kłębek na podłodze u jego stóp.

- Jeśli Marx zaciemnia dochodzenie, Bastilla i Munson muszą z nim działać ręka w rękę.

- On jest zastępcą głównego komendanta, Joe. Może im poustawiać kariery na całe życie, zanim przejdzie na emeryturę.

Kot zwinął się w jeszcze ciaśniejszy kłębek. Łypnął jednym okiem na Pike'a, po czym wstał, podszedł do mnie i otarł się pyszczkiem o moją nogę. Nalałem mu trochę piwa ze swojej puszki do miseczki i popatrzyłem, jak chłepcze łąpczywie.

- I co zamierzasz z tym zrobić? - zapytał Joe.

- Głębiej pokopać w Leverage. Wszystko zasadza się na zależności między Marksem a tą firmą. Może ty w tym czasie spróbowałbyś dokopać się czegoś na Munsona i Bastille? Brudni gliniarze zostawiają za sobą brudne ślady.

Pike mruknął gardłowo.

- Rozmawiałeś już z Lou?

Dopilem resztkę piwa, zanim odparłem:

- Znasz go. Jak mu powiem o pogróżkach, rzuci się z pazurami na Marksa.

- To prawda.

- Muszę go trzymać z dala od Marksa tak długo, jak tylko się da, ale z pewnością nie puszcę tego w niepamięć.

Spojrzałem uważnie na Pike'a, lecz jak zwykle miał nieprzeniknioną minę.

- Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak, rozumiem.  
- Jeśli Marx aż tak bardzo się czymś przejmuje, że aż ośmielił się wystąpić z pogrózkami pod adresem Lou, to gdyby udało mi się ujawnić, o co chodzi, mógłbym wykorzystać tę wiedzę, żeby pozbawić go możliwości dalszego grożenia nam.

Joe pokiwał głową.

- I nadal myślisz, że nie powinienem o niczym mówić Lou?

- Tak.  
- Nie wolałbyś, żeby on sam decydował w swojej sprawie?  
- Jeśli mu powiesz, zyskasz tylko tyle, że przerzucisz odpowiedzialność ze swoich barków na niego. Przecież świetnie zdajesz sobie z tego sprawę.

- Tak, to prawda. Wiele o tym rozmyślałem.  
- Mimo wszystko zamierzasz kontynuować śledztwo? Nie dałeś się zastraszyć?

- Ani trochę.

Przez pewien czas obserwował mnie uważnie zza ciemnych okularów, po czym lekko ścisnął mój mięsień czworoboczny na lewej łopacie.

- Lou też by cię namawiał do kontynuowania śledztwa. Odniósłby się do ciebie z pogardą, gdybyś się teraz wycofał.

Przytaknąłem ruchem głowy. Czasami każdemu potrzebne są takie słowa otuchy.

- Więc czym mam się teraz zająć? - zapytał Pike.

- Tym samym, czym już się zajmujesz.

Upichciliśmy kolację, opróżniając następne puszki piwa, po czym zjedliśmy w milczeniu, oglądając powtórki starych transmisji na kanale sportowym. Krótco po wyjściu Pike'a w kanionie zaczęły wyc kojoty.

Byłem już gotów położyć się do łóżka, kiedy przypomniałem sobie o Pat Kyle. Jutro z rana do agentki Angela miała zapukać



policja. Nie wątpiłem, że powie gliniarzom, że to właśnie Pat rozpytywała o Tomaso, a w ten sposób policja trafi od razu do niej. Byłem też prawie pewien, że będzie musiała rozmawiać z Crimmensem. Nie miałem ochoty dzwonić do niej o tak późnej porze, a tym bardziej niepokoić jej informacjami o tym, czego powinna się jutro spodziewać. Jeszcze gorzej działała na mnie świadomość, że zepsuję jej nastrój i pewnie przyprawię o bezsenność. Tak więc nie miałem ochoty dzwonić, ale musiałem to zrobić. Musiała się ode mnie dowiedzieć, co ją czeka. Była moją przyjaciółką, a przyjaciół nie zostawia się na lodzie w podobnych sytuacjach.

## 25.

Ale i mnie o bezsenność przyprawiła paranoiczna sugestia Joego, że ktoś mógł obserwować przybudówkę Angela Tomaso. Skrobanie pazurków oposa o deski werandy odebrałem jak sygnał przybycia oddziału inwazyjnego, a ciche stuknięcie kociej klapki w kuchennych drzwiach zabrzmiało dla mnie jak szurnięcie zdejmowanej pokrywki z karminowej szminki. „Kochałam cię”. Starannie pozamykałem drzwi i okna, zanim zgasilem światło, ale dwukrotnie się budziłem, żeby znowu wszystko skontrolować. Za drugim razem położyłem przy łóżku rewolwer, chociaż powtarzałem w myślach, że to głupota. W końcu zakryłem sobie głowę poduszką. Była to namiastka schowania jej w piasek.

Następnego ranka dwadzieścia po ósmej zadzwonił Abbot Montoya z informacją, że załatwił mi spotkanie z radnym Maldenado o godzinie dziesiątej i że ten gotów jest udzielić wszelkiej

możliwej pomocy. Frank Garcia o wszystko się zatroszczył. Kwadrans przed dziewiątą byłem już wykąpany i ubrany, siedziałem nad jajecznicą z grzankami, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Nim zdążyłem do nich dojść, zabrzączał jeszcze trzykrotnie. Otworzyłem i ujrzałem Alana Levy'ego. Nigdy wcześniej nie przyjeżdżał do mnie ani do domu, ani do biura. Spotykaliśmy się dotąd łącznie sześć czy osiem razy, kiedy wykonywałem dla niego zlecenia, i zawsze w jego biurze. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, czy widziałem go kiedykolwiek w sądzie.

- Alan? A to niespodzianka.

Za jego plecami na poboczu ulicy stał odkryty mercedes o sportowej sylwetce, chociaż Alan sylwetką ani trochę nie pasował do sportowego kabrioletu. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego i przejętego, jego wylupiaste oczy nerwowo obracały się na boki.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że wpadłem bez zapowiedzi - rzekł. - Pomyślałem, że swobodniej będzie się nam rozmawiało poza moim gabinetem.

Nie spodziewałem się usłyszeć czegoś takiego od człowieka, który zarabiał na życie, broniąc przed sądem przestępców, a więc musiał się z nimi naradzać w tajemnicy przed całym światem.

Odsunąłem się, żeby go wpuścić do środka. Obrzucił szybkim spojrzeniem moją sypialnię na antresoli, po czym zapatrzył się przez drzwi balkonowe na kanion. Poranna mgła wypełniała go gęstym mlecznym oparem.

- Ładnie tutaj. Masz przytulny, zaciszny kącik.

- O co chodzi, Alan? Zaraz muszę jechać na umówione spotkanie.

Odwrócił się do mnie i pospiesznie wsunął ręce do kieszeni, jakby nie miał pojęcia, co z nimi zrobić.

- Angel Tomaso został zamordowany.
- Wiem o tym.
- No tak, jasne. Policja zaskoczyła cię na miejscu zbrodni.
- Przyjechałeś tu służbowo, jako adwokat? Masz zamiar przedstawić mi jakieś zarzuty?

- Nie, nic w tym rodzaju, tyle że...

Skrzywił się boleśnie. Jeszcze nigdy nie widziałem u niego tak żalostnej miny. Po chwili zmarszczył brwi i powtórzył:

- Tomaso został zamordowany... Jeśli mi powiesz, że młodzi ludzie często nawiązują ryzykowne znajomości, które mogą doprowadzić do ich śmierci, przyznam ci rację. Ale w tym wypadku jest inaczej. Bo zdarzyło się to szczególnemu człowiekowi i w szczególnym czasie. Być może masz rację, twierdząc, że za tą sprawą kryje się coś więcej, niż tylko wynikałoby ze zdjęć znalezionych w albumie Byrda. - Zamrugał szybko swoimi żabimi ślepiami i zapytał: - Powiesz mi w końcu, o co chodzi?

- Marx nadal pracuje nad zabójstwami.

Uniósł wysoko brwi.

- Przecież zamknął sprawę i rozwiązał specjalny zespół dochodzeniowy.

- Ale zostawił przy sobie najważniejszych ludzi z tak zwanego wewnętrznego kręgu. Jeśli nawet oficjalnie zespół specjalny został rozwiązany, to Marx wciąż zagląda pod kamienie. Problem polega na tym, że wcale nie jestem pewien, czy naprawdę próbuje znaleźć dalsze dowody, czy tylko zadymić sprawę.

Powiedziałem mu, co łączyło komendanta z Leverage i w jaki sposób zaangażował w dochodzenie w sprawie śmierci Debry Repko, jeszcze zanim odnaleziono zwłoki Byrda. Kiedy opisywałem mu dysk z zapisem wideo z miejsca zabójstwa Repko, przerywał mi wyraźnie poirytowany:

- I co zrobili z tym nagraniem?

- Nikt nie wie. Marx zarekwirował je z laboratorium filmowych efektów specjalnych, zanim specjalista zdołał je przeanalizować. Niewykluczone, że przekazał nagranie do laboratorium FBI, lecz to jedynie strzał w ciemno.

- Więc teraz FBI dysponuje tym nagraniem?

- Tego nie wiem, Alan. Wiem tylko, że Marx potraktował płytę jak zakładkę do książki. Zresztą i tak prawdopodobnie zapis nie był nic wart, jak ocenili technicy z laboratorium policyjnego.

Kazał mi mówić dalej, toteż w pośpiechu kończyłem relację, chcąc już wyruszyć na spotkanie z Maldenado, lecz kiedy wspomniałem o Ivy Casik, Levy pochylił się ku mnie i zapytał:

- To ta kobieta, która twierdzi, że ktoś zamierzał napisać książkę o Lionelu Byrdzie?

- Twierdzi, że dowiedziała się od Byrda, że ktoś zamierza napisać o nim książkę. Podejrzewam, że sam to zmyślił.

Przyglądał mi się przez chwilę, po czym wyjął notatnik.

- Twoim zdaniem, jest wiarygodna?

- Wiedziała, że Byrd był oskarżony o zabójstwo Bennett, знаła szczegóły dętego oświadczenia Crimmensa złożonego w sądzie jako podstawa oskarżenia.

- Policja ją przesłuchiwała?

- Wiem, że pukała do jej mieszkania, ale nie mam pojęcia, czy ostatecznie do niej dotarła. Nie było jej w domu, kiedy przyjechałem na rozmowę.

- Kto chciał z nią rozmawiać? Marx?

- Nie, Bastilla.

Alan mruknął gardłowo i zapisał coś w notesie.

- W porządku. Spróbuję się skontaktować z tą Ivy Casik. Powiedz, gdzie mam jej szukać.

Podyktowałem mu adres i wytłumaczyłem, jak tam dojechać. Zapisał to i nerwowo postukał długopisem w notatnik.

- Już ci mówię, co mogę zrobić. Otóż postaram się odtworzyć całą kryminalną kartotekę Byrda, nie tylko w związku z ostatnim aresztowaniem, ale także z okresu wcześniejszego. Prokuratura okręgowa nie powinna się temu sprzeciwiać, a gdyby nawet, to spróbuję dotrzeć do archiwów innymi kanałami.

- Po co ci ta historia?

- A może gliniarz, który go kiedyś aresztował, teraz znalazł się w specjalnym zespole dochodzeniowym? Albo adwokat, który go kiedyś reprezentował, pracuje teraz dla Leverage? Nigdy nie wiadomo, co się znajdzie w starych aktach.

Pokiwałem głową. Do bitwy włączała się ciężka artyleria.

- Postaram się dojść, o co naprawdę chodzi Marksowi. Może uda mi się wydobyć więcej informacji od środka, niż kiedykolwiek moglibyśmy zdobyć od zewnątrz.

Cieszyłem się, że używa liczby mnogiej. Nawet nie próbowałem tego korygować.

- Wróćmy jeszcze na chwilę do Tomaso. Czy wiesz, który śledczy prowadzi śledztwo w sprawie jego śmierci?

- Prawdopodobnie Crimmens.

- Aha.

Levy z uśmiechem zapisał to nazwisko w notatniku i znowu spojrzął mi w oczy.

- Zdołał już zidentyfikować jakichś świadków? Może ktoś widział zabójcę i potrafi opisać jego bądź samochód, którym przyjechał.

- Nie mieli żadnych świadków do chwili, kiedy zostałem zwolniony. Ale dopiero zaczęli przepytывanie sąsiadów. Możliwe, że na coś trafili.

- A co z materiałem dowodowym na miejscu zbrodni?

- Przy mnie nie wspominali o niczym szczególnym. Posłuchaj, Alan, naprawdę muszę już iść...

Schował notatnik do kieszeni i wyprostował się przy stole.

- Wiem, że musisz, ale posłuchaj uważnie. Powinieneś zachować szczególną ostrożność. Nie da się zapomnieć o zdjęciach w albumie Byrda, to niezaprzeczalny fakt. Trudno przecież wnioskować, że facet podczas spaceru znalazł je na poboczu drogi.

- Mam wrażenie, że już to przerabialiśmy.

- Owszem, ale zabójstwo Tomaso kazało mi się od nowa zastanowić nad tą sprawą. Bo nawet jeśli Byrd nie miał bezpośrednio nic wspólnego z zabójstwami, to musiała mieć osoba, która przekazała mu te zdjęcia, a przez sam ten fakt Byrd stał się współnikiem zabójcy. No i wynikałoby stąd, że on wciąż pozostaje na wolności.

- Tak, wiem.

- Na pewno nie chcesz skończyć jak Tomaso, prawda?

- Alan, muszę już iść.

- Jeśli Byrd był powiązany z kimś z Leverage, może uda się ujawnić te powiązania z zapisów w jego aktach. Tymczasem trzymaj się z dala od Marksa. Na dobrą sprawę, powinieneś się całkiem przyczaić na pewien czas, Elvis. Nie dawaj tym ludziom pretekstu, żeby cię aresztowali.

- Mogli mnie aresztować już wczoraj.

- Co nie znaczy, że nadal nie myślą o zarzutach wobec ciebie. Daj mi chociaż szansę na to, by się dowiedzieć, o co im naprawdę chodzi, zanim wpakujesz się w jeszcze większe kłopoty.

Odprowadziłem go do drzwi i zczekałem przed domem, aż odjedzie. Miał wspaniały samochód, energicznie pomachał mi ręką, gdy usiadł za kierownicą.

- Trzymaj się, Alan! Dobrze mieć cię po swojej stronie! Wykręcił szyję, żeby spojrzeć na mnie, i odpowiedział:

- Wybacz, że wątpiłem w twój instynkt.

Pożegnałem go szerokim uśmiechem.

## 26.

Członkowie rady miejskiej Los Angeles mają swoje biura przy śródmiejskiej Spring Street, ale ponadto każdy prowadzi jeszcze indywidualne biuro we własnej dzielnicy. Biuro radnego Maldenado mieściło się w dwukondygnacyjnym pawilonie na terenie, gdzie większość afiszy była po hiszpańsku albo koreańsku, w stosownym oddaleniu od wścibskich śródmiejskich reporterów śledzących każdy ruch na arenie politycznej, a konkretnie na piętrze nad żeńską siłownią. Kobiety wchodzące do tego przybytku i wychodzące z niego były po wojskowemu piękne, choć zapewne nie miało to nic wspólnego z polityczną aktywnością radnego.

Wstawiłem wóz na parking podziemny, wszedłem po schodach na pierwsze piętro i wkroczyłem do poczekalni, gdzie recepcjonistka rozmawiała po hiszpańsku z jakimś starszym małżeństwem, a na kanapie czekało jeszcze dwóch mężczyzn w garniturach, z których jeden wystukiwał mejla na klawiaturze telefonu komórkowego, a drugi przeglądał jakieś dokumenty. Oprawione zdjęcia wiszące zarówno nad tymi dwoma, jak i nad recepcjonistką przedstawiały radnego Maldenado w towarzystwie zawodników małej ligi baseballowej, koszykarskich gwiazd z drużyn Dodgersów, Lakersów i Clippersów oraz rozmaitych polityków. Jedno przelotne spojrzenie pozwoliło mi naliczyć trzech różnych gubernatorów Kalifornii i czterech prezydentów Stanów Zjednoczonych. Jediną osobą, która pojawiała się na nich u boku Maldenado więcej niż raz, był Frank Garcia.

- Czym mogę służyć? - zapytała recepcjonistka.

Latynoskie małżeństwo wycofało się na miejsca w poczekalni.

- Elvis Cole do pana Maldenado. Jestem umówiony na dziesiątą.

- Tak, oczywiście. Radny oczekuje pana.

Niemalże wyskoczyła zza biurka, żeby poprowadzić mnie do gabinetu radnego. Nawet nie zapukała ani nie zapowiedziała mojej wizyty. Po prostu otworzyła drzwi, wskazała mi drogę do środka, po czym szybko zamknęła je za mną.

Przed wkroczeniem do świata polityki Henry Maldenado sprzedawał używane samochody i chyba całkiem nieźle mu się powodziło w tym biznesie. Teraz miał duże, elegancko urządzone biuro, odzwierciedlające jednak jego zamiłowanie do starych klasycznych aut, zwłaszcza chevroletów. Był niskim, łysiejącym mężczyzną po pięćdziesiątce, wyglądającym zdecydowanie młodo jak na swój wiek, w dżinsach, rozpiętej pod szyją luźnej koszuli z krótkimi rękawami i kowbojskich butach. Ale w przeciwnym końcu pokoju stało gigantyczne biurko godne prezesa wielkiego banku, które wraz z sąsiednią kanapą odcinało się od szklanej ściany wychodzącej na ulicę. Radny wyszedł zza biurka, wyciągnął rękę na powitanie i uśmiechnął się szeroko. Oprócz niego był w gabinecie drugi mężczyzna, który siedział na kanapie.

- Miło mi pana znów widzieć, panie Cole. Jeśli poprzednio nie zdołałem tego wyrazić dostatecznie mocno, chcę jeszcze raz podziękować za pomoc, jakiej w przeszłości udzielił pan Frankowi. To jeden z moich najbliższych i najdroższych przyjaciół.

- Nie wątpię. Dziękuję, że znalazł pan dla mnie parę minut czasu, panie radny.

Ten drugi facet w niczym nie przypominał Maldenado. Był szczupły, z zapadniętymi policzkami i szpakowatymi włosami. Sportowa marynarka i luźne bawełniane spodnie wisiąły na nim jak na wieszaku w sklepie z używanymi ciuchami. Na pierwszy



rzut oka sprawiał wrażenie, jakby był po sześćdziesiątce, uznałem jednak, że w rzeczywistości może być dużo starszy. Nie wstał z miejsca i nie zrobił żadnego ruchu, żeby się ze mną przywitać.

Maldenado, jakby nie zwracając na niego uwagi, wskazał mi krzesło stojące przed biurkiem.

- To jeszcze jeden bliski przyjaciel, mój doradca, Felix Dowling - wyjaśnił. - Zdążył poznać wszystkie kulisy rady miejskiej tak dawno temu, że nawet nie chce się do tego przyznać. Prawda, Feliksie?

Maldenado zachichotał, lecz jego doradca ledwie skinął głową.

Radny wysoko podciągnął nogawki spodni i zakotwiczył masywne dupsko na frontowej krawędzi biurka, z jedną stopą opartą na podłodze, a drugą dyndającą w powietrzu na wprost mnie.

- Tak więc dowiedziałem się od Abbota, że masz pewne zastrzeżenia co do moich przyjaciół z Leverage Associates. To uczciwa firma, działa w tej branży od wielu lat. Zarządowi udało się zebrać zgrany zespół.

- Miło mi to słyszeć. Mam więc nadzieję, że będzie pan gotów odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących tej firmy.

- No cóż, powiem szczerze, że niewiele wiem o zespole, ale jest z nami Felix, który wie chyba wszystko o najbardziej wpływowych ludziach w tym mieście, dlatego bierze udział w tym spotkaniu. W każdym razie mogę zapewnić, że wie, gdzie należy szukać zakopanych zwłok.

Maldenado zaśmiał się ponownie, lecz Felix zachował do tychczasową powagę. Po chwili odezwał się:

- Może kazałbyś zaparzyć nam świeżej kawy, Henry?

Radny zajrzał do jego kubka i zrobił zdumioną minę, że jest pusty.

- Wiesz co? To całkiem niezły pomysł. Zaraz wrócę, ale wy w żadnej mierze nie przejmujcie się moją nieobecnością.

Maldenado wyszedł i zamknął drzwi. Popatrzyłem na Dowlinga, który zdawał się mierzyć mnie szacującym spojrzeniem. Po wyjściu Maldenado atmosfera w gabinecie zmieniła się diametralnie, jak gdyby od zawsze był to gabinet Dowlinga i nikogo innego. Wytrzymałem jego świdrujące spojrzenie.

- Więc to pan dorwał tego sukinsyna, który zamordował córkę Franka? - odezwał się po chwili.

- Ja do spółki z partnerem. Nie działałem sam.

- Była taką uroczą dziewczynką. Widziałem ją kilka razy. Przytaknąłem ruchem głowy.

Znów przez jakiś czas mierzyliśmy się nawzajem badawczymi spojrzeniami.

- W porządku - rzekł w końcu. - Więc o co chodzi?

- Moim zdaniem, firma Leverage Associates dąży do zaciemnienia czy wręcz zablokowania śledztwa w sprawie zabójstwa. Dlaczego miałyby to robić?

Obojętnie wzruszył ramionami, jakbym zapytał, czy te działania są zgodne z prawem.

- Właśnie, dlaczego? Wiem z doświadczenia, że ludzie są zdolni prawie do wszystkiego. Gdyby mnie pan zapytał, czy podejmowali takie działania w przeszłości, odpowiedziałbym, że nie. Nigdy nie słyszałem, żeby mieszały się w tak dramatyczne sprawy. Oczywiście, zdarzało się, że ich klienci wpadali w kłopoty, ale nigdy tego rodzaju.

Urwał, jakby w oczekiwaniu na kolejne pytanie.

- Czy jest panu znana lista ich klientów?

- Oczywiście. Figuruje na niej pięciu czy sześciu radnych, kilku komisarzy, wiele osób niższego szczebla. W chwili obecnej mogę wymienić czternastu ich klientów prowadzących własne

biura i co najmniej trzydziestu ich najważniejszych rywali politycznych.

- Mógłby pan zdobyć informacje co do poszczególnych osób, gdybym ich potrzebował?

- Tak. Chce pan otrzymać ich pełny spis?

- Tak, oczywiście.

- W porządku. Co jeszcze?

Drzwi gabinetu otworzyły się nagle i Maldonado wkroczył do środka, po czym zatrzymał się w pół kroku. Obaj z Dowlingiem popatrzyliśmy na niego, ale szybko się wycofał i zamknął drzwi.

- On się nie liczy - rzucił Dowling. - Co jeszcze?

- Słyszał pan kiedykolwiek nazwisko niejakiej Debry Repko?

- Nie.

- Pracowała w Leverage, była na pierwszorocznym stażu. Szkolono ją, żeby...

- Wiem, z czym się wiąże takie stanowisko.

- W każdym razie kontaktowała się z kilkoma klientami firmy, może nawet z większością z nich. Czy mógłby pan zdobyć ich nazwiska?

- Tego akurat nie mogę obiecać. Z pewnością dam radę ujawnić niektóre nazwiska, ale niczego nie jestem pewien. Mam rozumieć, że z kimś nawiązała romans?

- Została zamordowana prawie dwa miesiące temu. Kiedy toczyło się jeszcze śledztwo w tej sprawie, Leverage odmówiło ujawnienia listy klientów i nie zgodziło się na ich przesłuchanie. Szczęśliwym trafem miało do dyspozycji zastępcę komendanta policji Marksa, który przywołał do porządku detektywów.

Dowling chyba po raz pierwszy okazał zainteresowanie tą sprawą.

- Chodzi o Thomasa Marksa?

- Zna go pan?

- Nigdy go nie spotkałem, ale wiem, jak bardzo mu zależy na wejściu do świata polityki. Wiele osób na jego poziomie chciałoby wejść do polityki. Kilka razy rozmawialiśmy oficjalnie...

- Tu nie chodzi o oficjalne rozmowy. Marx jest klientem Leverage.

Zrobił zdziwioną minę.

- Marx spiknął się z Leverage?

- Zdaniem zarządu firmy ma spore szanse na zajęcie miejsca w radzie miejskiej.

Jeszcze przez jakiś czas spoglądał na mnie ze zdumieniem, wreszcie wybuchnął krótkim gardłowym śmiechem.

- Oczywiście. Wilts też współpracuje z Leverage.

Casey Stokes wspomniała, że zdaniem Wiltsa Marx miał duże szanse na zwycięstwo w wyborach. Odniosłem wrażenie, że Dowling myśli tak samo, więc pokiwałem głową.

- Zgadza się. Ktoś powiedział mi nawet, że Wilts jest wielkim zwolennikiem tej firmy.

Dowling po raz kolejny zarechotał gardłowo.

- W to nie wątpię. Marx zaciera wszelkie ślady Wiltsa. Jak sądzisz, jakim innym sposobem Marx wywindowałby się aż na sam szczyt szklanej wieży?

Zapewne miał na myśli Centrum Parkera.

- Od lat troszczył się o karierę Wiltsa, więc teraz Wilts za-troszczył się o Marksa... I pewnie nadal się troszczy. Nie wątpię, że to właśnie Wilts ciągnie go na samą górę.

Pamiętałem, że Wilts był obecny na konferencji prasowej Marksa, ale w ostatnich latach widywałem go na tyłu konferencjach, że przestałem rejestrować jego obecność. Nie miałem pojęcia, że tych dwóch łączy głębsza bądź też dłuższa zażyłość, toteż od razu poczułem dotkliwy skurcz żołądka.

W końcu ostatnim znaczącym wydarzeniem w życiu Debry

Repko była uroczysta kolacja na cześć Nobela Wiltsa.

- Od jakich kłopotów Wilts próbuje się wykręcić?

- Obecnie radny Wilts jest nałogowym pijakiem. A mnie chodzi o zaciemnienie. Przez lata sprytnie wykręcał się od konsekwencji stłuczek samochodowych. Tylko parę razy udało mu się potajemnie załatwić sprawę czekiem. Najczęściej po prostu dzwonił do Marksa i ten przejmował nad wszystkim kontrolę. To znana metoda działania czyścicieli.

- Ale musiał się jakoś odwdzięczać za te przysługi, prawda?

- Leverage nie byłoby zainteresowane promocją sztwylniaka w rodzaju Marksa, gdyby nie kryła się za tym chęć przejęcia władzy nad całą areną. Podejrzewam, że sam Wilts zaproponował Marksa na swoje stanowisko. Najwyraźniej już od pewnego czasu zastanawia się nad przejściem na emeryturę.

- Tylko tyle? Wilts miałby przekazać Leverage, że Marx jest jego ulubieńcem, i Leverage natychmiast wciągnęłoby go na listę załogi?

- No cóż, Leverage nie robi tego, bo zarządowi firmy podoba się uśmiech Wiltsa. Ich godzina pracy kosztuje naprawdę duże pieniądze.

- Więc kto płaci rachunki w tym wypadku? Wilts?

Dowling lekceważąco machnął ręką.

- Nie, on mógłby najwyżej skłonić kogoś ze swoich popleczników do wystawienia czeku. Wiadomo, dzisiejsze inwestycje mogą w przyszłości przynieść spore zyski. W polityce jest jak w krainie czarów, tylko nigdy nie widać magika, który kieruje danym przedstawieniem zza kurtyny.

- Można by się jednak dowiedzieć, kto nim jest?

Mój rozmówca zamyślił się na dłużej, w końcu spojrzął na zegarek.

- Muszę wracać do swoich zajęć. Coś jeszcze? Henry ma także wypełniony harmonogram.

Zamyśliłem się nad tym, co usłyszałem i co to oznaczało w szerszym kontekście. Przestałem postrzegać Marksa jak gliniarza, który próbuje zmącić prowadzone dochodzenie dla dobra swojego medialnego wizerunku, a zacząłem traktować jak gliniarza usiłującego zamaskować swoje wcześniejsze przestępstwa. Zaciekawilo mnie, ile tych przestępstw ma do ukrycia i czy tylko nad Wiltsem rozciąga parasol ochronny.

- Jeszcze jedno, panie Dowling. Od jak dawna ciągnie się bliska współpraca Marksa z Wiltsem?

- Co najmniej od piętnastu czy dwudziestu lat. W każdym razie od piętnastu na pewno. Mogę nawet powiedzieć dokładnie, co ich do siebie zbliżyło. Słyszałem to od kogoś, kto był wtedy z nimi. Pan zresztą działa podobnymi metodami, to znaczy nadstawia ucha na różne plotki i czerpie nauki z tego, co usłyszał. - Nie zdążyłem zadać następnego pytania, gdy podjął: - Wilts był jeszcze kierownikiem w swojej firmie, gdy pierwszy raz wystartował o elekcję do urzędu. Któregoś dnia zalał się w barze Lenny'ego Branigana, ale nie bacząc na nic, usiadł za kierownicą, żeby wracać do domu. Nie ujechał nawet kilometra. Zniosło go na szereg aut zaparkowanych przy krawężniku, porysował im drzwi i pourywał lusterka, zanim w końcu zatrzymał się na chodniku. Odzyskał przytomność, gdy Marx ścierał krew z jego twarzy. Była trzecia nad ranem. Tamtej nocy Marx nie był nawet na służbie, tylko przypadkiem znalazł się na miejscu, lecz od razu postanowił wykorzystać okazję. Odwiózł Wiltsa do domu, po czym odstawił jego wóz do zaufanego warsztatu w Glendale, w którym blacharz był mu winien pieniądze. Sam korzystałem z usług tego warsztatu. I pewnie już się domyślasz, jak do niego trafiłem.

Pokręciłem przecząco głową.

- Dzięki Wiltsowi. Powiedział mi: „Jak będziesz potrzebował zaufanego mechanika, zadzwoń do tego człowieka

Marksa”. I od tamtej pory trzyma się kurczowo Marksa. Chyba myśli nawet, że ja robię to samo?

- A robi pan?

Dowling uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Mam swoich blacharzy. - Ponownie spojrzął na zegarek.

- Coś jeszcze?

- Nie, proszę pana. Myślę, że to mi wystarczy.

- W porządku. Zadzwoń do Franka i przekaż mu, że Chip Dowling przesyła pozdrowienia.

- Tak, rozumiem. Na pewno przekażę.

Już przy drzwiach przyszło mi do głowy ostatnie pytanie.

- Jeszcze jedno...

Skinął głową.

- Jaka jest najbardziej paskudna rzecz, którą Marx zamaskował?

- Nie wiem, która jest najbardziej paskudna. Wszystko, co o nim wiem, da się określić mianem „paskudnego”.

Wyszedłem z gabinetu.

## 27.

Siedziałem w samochodzie na parkingu przed pawilonem handlowym, odprowadzając wzrokiem kobiety, które wchodziły i wychodziły z niego, ale nawet ich nie widziałem. Z nieba lał się nieznośny żar. Rozprażył asfaltowy plac i stojące na nim auta. Miałem wrażenie, że jestem przypiekany ze wszystkich stron, lecz mimo to się nie poddawałem i siedziałem dalej. Nie podołało mi się to, co usłyszałem od Dowlinga, a jeszcze mniej to, co z tego wynikało.

Obok, na drugim siedzeniu, leżała szara koperta z zebranymi

przeze mnie wycinkami prasowymi i dokumentami. . Otworzyłem ją, zacząłem przerzucać artykuły, aż znalazłem ten, o który mi chodziło.

Marx prowadził śledztwo w sprawie pierwszej ofiary, Sondry Frostokovich, prawie siedem lat temu. Była przedstawiana w prasie jako administrator miasta. Jej zwłoki odnaleźli robotnicy budowlani w opuszczonym budynku przy Tempie Street, cztery przecznice od gmachu, w którym pracowała. Miała dwadzieścia cztery lata i została uduszona przedłużaczem. Na krew skapującą właśnie z jej nosa zwrócił mi uwagę Lindo. Na zdjęciu z polaroida były to tylko trzy krople, podczas gdy na fotografii śledczego z biura koronera widać było dużą kałużę, co miało przesądzać, że zdjęcia do albumu były robione zaledwie w chwili po śmierci ofiary. Gdy tylko zamknąłem na chwilę oczy, statyczny obraz nagle ożył i ujrzałem szybko powiększającą się kałużę krwi na ziemi.

Krótką prasową notatką nie zawierała żadnych danych osobistych. Nawet nie wspomniano o członkach najbliższej rodziny, dalszych krewnych ani dzieciach, nie wymieniano daty i miejsca urodzenia, nie padała nazwa szkoły, którą kobieta ukończyła. Artykuł kończył się prośbą śledczego Marksa do wszystkich, którzy mogliby udzielić jakichkolwiek informacji o losach kobiety tuż przed śmiercią. Nie ulegało wątpliwości, że w dochodzeniu korzystał z pomocy partnera, lecz jedynym policjantem wymienionym w artykule był detektyw sierżant Thomas Marx z wydziału zabójstw komendy głównej policji.

Przeszedł długą drogę od stanowiska sierżanta dochodzeniówki do zastępcy głównego komendanta. Do tego przebył ją zaledwie w ciągu siedmiu lat.

Zadzwoiłem do informacji i poprosiłem o numery wszystkich abonentów o nazwisku Frostokovich. Trwało to parę



sekund, lecz zdobyłem pięć kontaktów z całego regionu pocztowego: dwóch mężczyzn, jednej kobiety i dwóch osób występujących tylko pod inicjałami. Mogłem jedynie dziękować Bogu, że Sondra nie miała na nazwisko Jones albo Hernandez.

Zadzwoiłem najpierw do Edwarda Frostokovicha, ale nikt nie odebrał, nie włączyła się nawet automatyczna sekretarka.

Drugi na mojej liście był Grady Frostokovich. Podniósł słuchawkę po czwartym sygnale i odezwał się miękko, łagodnym tonem. Przedstawiłem się i zapytałem, czy wie coś o Sondrze Frostokovich, z którą być może łączyło go jakieś pokrewieństwo.

- Chodzi panu o tę zamordowaną? - spytał.
- Tak. Przepraszam, że zakłócam panu spokój...
- Nic nie szkodzi. Ledwie ją znałem. Ale znaleźli tego faceta, który ją zamordował. Minęło sporo czasu, ale w końcu znaleźli. To nie wystarczy?
- Posuwam się tropem pierwotnego dochodzenia podjętego zaraz po zabójstwie. Czy mógłby mi pan jakoś pomóc?
- Gdybym mógł, chętnie bym pomógł. Ale nasze rodziny nie utrzymywały ze sobą bliższego kontaktu.
- Czy rodzina Sondry pochodzi stąd, z Los Angeles?
- Tak. Mieszka w Reseda.
- I z jej rodzicami bądź krewnymi można się nadal skontaktować?
- Ma pan pewnie na myśli moją ciotkę Idę. Wujek Ronnie nie żyje, lecz matką Sondry była ciotka Ida. Powinien pan z nią porozmawiać.

Natychmiast odszukałem na mojej liście I.L. Frostokovich.

- Figuruje w książce telefonicznej jako I.L. Frostokovich?
- Tak, to ona. Jest dość sympatyczna. Moja matka jej nie znosiła, ale ciotce naprawdę trudno cokolwiek zarzucić.

Grady miał rację. Ida okazała się miłą. Wyjaśniłem jej, że pracuję nad sprawą na zlecenie rodziców siódmej i ostatniej

ofiary seryjnego zabójcy, Debry Repko, i zapytałem, czy nie ze-  
chciałaby odpowiedzieć na kilka pytań związanych ze śmiercią  
jej córki. Już pięć minut później odjechałem, kierując się w  
stronę Reseda.

## 28.

Ida Frostokovich mieszkała w małym domku z prefabrykatów w samym sercu doliny San Fernando, na północ od rzeki Los Angeles, gdzie upał był o dobre dziesięć stopni większy niż w centralnej niecce miasta. W czasach jej dzieciństwa dokoła rozciągały się z pewnością wyłącznie gaje pomarańczowe sadzone tutaj w myśl doskonałej harmonii zen, a więc złożone z identycznych rzędów identycznie wyglądających drzewek, sadzonych w dokładnie identycznych odstępach między sobą - tysiące rzędów małych zielonych obłoczków listowia, obciążonych gigantycznymi pomarańczowymi kulami owoców pachnących słońcem. Na pewno doskonale pamiętała tamte czasy i często wspominała owe drzewka, które w epoce boomu budowlanego po zakończeniu drugiej wojny światowej buldożery zrównały z ziemią, a ich miejsce zajęły stawiane w podobnie identycznych rzędach i wyglądające jak spod sztancy małe i tanie domki jednorodzinne. Wszystkie, przynajmniej w głównej części doliny, były do siebie bardzo podobne rozmiarem i kształtem, jak wcześniej drzewka pomarańczowe, tyle że ani trochę nie pachniały słońcem.

Wyglądało na to, że Ida prawdopodobnie przestała dbać o dom i jego otoczenie po tym, jak straciła obie córki i męża. Mały stiukowy budynek z dachem krytym eternitem stanowczo domagał się malowania, a frontowe podwórze było zwyczajnie zapuszczone. Niemniej, na środku stało samotne drzewko pomarańczowe pochodzące zapewne z pierwotnej plantacji, żywy

relikt dawnych dobrych czasów. Dwa inne podobne drzewka rosły na tylnym podwórku, a ich spłaszczone korony były widoczne ponad szczytem dachu. Dwukrotnie okrążyłem cały kwartał, sprawdzając, czy dom nie jest pod obserwacją, ale nie zauważyłem niczego podejrzanego. Jak zwykle górę brała we mnie paranoja.

Szedłem podjazdem do wejścia, kiedy otworzyła drzwi. Z niecierpliwością czekała na mój przyjazd.

- Pan Cole?
- Tak, proszę pani.
- Proszę wejść, tu jest chłodno.

Ida Frostokovich okazała się przysadzistą kobietą o grubośćścistej budowie, nalanej twarzy i nerwowo rozedrganych dłoniach. Podobnie jak pani Repko stworzyła istną kapliczkę ku czci zamordowanej córki, dostrzegłem ją zaraz po wejściu do środka. Na ścianie nad telewizorem wisiał duży jak plakat portret Sondry, otaczały go pomniejsze wizerunki, a zdjęcia stały na sąsiednim kredensiku. Ukazywały życie Sondry od narodzin do śmierci i zdawały się dominować w wystroju pokoju. Często widywałem podobne namiastki ołtarzy, kiedy wróciłem z wojny i nawiązywałem kontakty z rodzicami poległych przyjaciół. Gdy ginął małżonek, przeważała nadzieja, że wkrótce się odnajdzie, ale śmierć dziecka powodowała tak wielką pustkę w sercach rodziców, że wszyscy jak najszybciej pragnęli ją wypełnić wspomnieniami.

- Mówi pan, że państwo Repko chcieliby znać wyniki pierwotnego śledztwa w sprawie śmierci mojej córki?
- Usiłują zrozumieć, czemu tak dużo czasu potrzeba było na zidentyfikowanie i odnalezienie mordercy.

Rozsiadła się na wąskiej kanapie, obejmując jedną dłonią drugą zaciśniętą w pięść, lecz nawet wtedy nie potrafiła utrzymać ich w spokoju, wciąż były w ruchu.

- Ach, tak, rozumiem. Proszę mi wierzyć, że wcale im się nie dziwię. Gdyby policja wcześniej zdołała ująć tego nawiedzonego wariata, ich córka pewnie żyłaby do dziś.

- Mniej więcej... Czy pani była zadowolona ze sposobu prowadzenia śledztwa w sprawie śmierci córki?

- Ba. Przez siedem lat nie potrafili złapać mordercy i nie znalazły go do dzisiaj, gdyby nie zechciał strzelić sobie w łeb. To powinno dać panu wyraźny pogląd na temat stopnia mojego zadowolenia ze śledztwa.

- Kto panią zawiadomił o odkryciu w Laurel Canyon?

- Detektyw Bastilla. Uprzedziła, że mogą się tu zjawić dziennikarze, ale ich nie było. Nikt nie przyjechał. Mam wrażenie, że upłynęło zbyt wiele lat, nie mówiąc już o innych czynnikach.

- Za minutę wrócę do tematu policji, proszę mi jednak pozwolić, że zapytam wpierw, czy zna pani firmę prawniczą o nazwie Leverage Associates?

- Chyba nie... A co ona ma z tym wspólnego?

- To śródmiejska spółka zajmująca się kreowaniem karier politycznych. Pracowała tam Debra Repko.

- Aha, rozumiem.

Sztynno pokiwała głową, zastanawiając się pewnie, co to może mieć wspólnego z jej sprawą.

- Sondra i Debra miały ze sobą wiele wspólnego, o wiele więcej niż z pięcioma pozostałymi ofiarami mordercy. Obie miały ukończone studia, obie pracowały w śródmiejskich firmach powiązanych z władzami. Czy Sondra interesowała się polityką?

- Na pewno nie moja Sondra. Była tylko jedną z kilku księgowych w biurze komisji planowania. Mówiła, że jest zwykłą liczykrupą.

- Czy kiedykolwiek uczestniczyła w spotkaniach politycznych, w zlotach albo uroczystych przyjęciach?

- Och, nie, skądże. Nienawidziła takich imprez. Córka państwa Repko brała w nich udział?
- Uczestniczyła w politycznym bankiecie tego wieczoru, kiedy została zamordowana.
- Sondie wołała się bawić w towarzystwie swoich przyjaciół. Przynajmniej czerpała z tego wiele radości.
- Pamięta pani, w jakim kierunku zdążyło pierwotne policyjne śledztwo w sprawie śmierci córki?
- Pamiętam każde słowo. Wieczorami, kiedy leżałam w łóżku i nie mogłam zasnąć, przypominałam sobie wcześniejsze rozmowy. Gdy tylko zamknę oczy, nadal widzę tych detektywów, jak tu siedzą, dokładnie w tym samym miejscu co pan teraz.
- Czy dochodzenia nie prowadził wówczas dzisiejszy komendant Marx?
- Prowadził na początku, ale potem się wycofał. Później rolę prowadzącego przejął detektyw... Petievich. Z pochodzenia Serb, jeśli dobrze pamiętam. Ronnie był bardzo zadowolony z tego, że on nie jest rodowitym Amerykaninem. W końcu Frostovich to nazwisko pochodzenia serbskiego.
- Jak długo Marx prowadził tę sprawę?
- Cztery czy pięć tygodni, potem zniknął jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki. Jak słyszałam, dostał awans.
- Po czterech lub pięciu tygodniach śledztwa?
- Ronnie przyjął to z wściekłością, ale szybko się opanował. Marx i ten drugi nie złapali zabójcy, pomyśleliśmy, że może uda się to następcom.
- Kto wówczas prowadził śledztwo razem z Marksem?
- Niech pomyślę... - Zapatrzyła się na sufit, wytyżając pamięć. - Detektyw Munson. Prawie wcale się nie odzywał. Ronnie mówił o nim: „zombi”. On zawsze przekręcał nazwiska albo dorabiał ludziom różne ksywki.

Staralem się nie okazywać po sobie emocji.

- Czy Munson pozostał w ekipie dochodzeniowej, gdy sprawę przejął Petievich?

- Na krótko, potem on także zniknął. Wszyscy się wycofali, wcześniej czy później.

- Ale na początku prowadzili Marx i Munson?

- Tego dnia, kiedy policja odnalazła jej zwłoki, obaj siedzieli tam gdzie teraz pan.

- Mieli już jakiegoś podejrzanego?

- Nie, skądże. Pierwszego dnia pytali tylko, czy nie wiemy, kto to zrobił. Nigdy tego nie zapomnę, zwłaszcza tych natarczywych pytań... Ronnie obraził się wtedy, wypiął się na nich i poszedł do swojej pracowni na poddaszu. Oznajmił, że gdyby wiedział, że ktoś chce zabić Sondie, toby go wcześniej ukatrupił, nie dając mu okazji do działania.

- Czy policja zaliczyła kogoś do grona podejrzanych?

- Skądże znowu. Czemu miałyby kogoś podejrzewać o zabójstwo?

- Może chodziło o coś, co Sondra wcześniej powiedziała?

Nerwowo klasnęła w dłonie i zatarła ręce. Był to żalosny gest, jak gdyby jej dłonie nie były w stanie dochować sobie nawzajem towarzystwa.

- Nic podobnego. Po prostu przeżyliśmy szok. Czuliśmy się tak, jakby nas porwała wysoka fala. Byliśmy przeświadczeni, że zaszła jakaś pomyłka.

- Policja miała dużo pytań?

- Wałkowali nas godzinami. Chcieli wiedzieć, czy Sondra z kimś się spotykała, czy skarżyła się na kogoś, tego typu rzeczy. Tamtego wieczoru wyszła na spotkanie ze znajomymi z pracy, więc policja chciała znać ich nazwiska, żeby spisać zeznania. Musieliśmy przejrzeć cały kalendarzyk córki i spisać numery telefonów. I tak to wyglądało, raz po raz, prawie bez końca.

Uśmiechnęła się nagle, a wyraz jej twarzy jak gdyby zyskał nową energię.

- Chciałby pan to zobaczyć?

- Co?

- Jej przyjaciół. Proszę za mną, zrobili sobie wspólne zdjęcie. Odkleiła się od regału i ruchem ręki wskazała sąsiedni kredens.

- Zostawiła to nam. Ronnie orzekł, że to współczesna *Ostatnia Wieczera*. Płakał jak dziecko, ilekroć to zdjęcie wpadło mu w oczy. Ale jak tylko kojarzył je z prawdziwą *Ostatnią Wieczera*z, wybuchał gromkim śmiechem.

Chwyliła oprawioną w ramki fotografię, wprawnie wyłowiwszy spośród wielu innych ustawionych na kredensie, i wetknęła mi w rękę.

- Zrobili ją w czasie dnia pracy. To jest Sondie, druga od prawej, a to Carrie, to Lisa i Ellen. To one wiodły prym w służbowych imprezach i dobrze się bawiły. Tamtego wieczoru po pracy także wyszły wszystkie razem.

Zapatrzyłem się na zdjęcie.

- Więc to były jej przyjaciółki?

- W każdym razie dziewczęta, a nie mężczyźni.

Na zdjęciu cztery młode kobiety stały ramię przy ramieniu i uśmiechały się szeroko, acz nieco sztywno, do obiektywu, niemalże jak na służbowym spotkaniu. Zostały uwiecznione chyba w śródmiejskim biurze, ale na zdjęciu nie były same. Na lewym skraju grupki stał Afroamerykanin w średnim wieku, a po jego prawej ręce pozował radny Nobel Wilts. Tuż obok niego stała Sondra, można było odnieść wrażenie, że stykają się ramionami.

Ida wskazała palcem ciemnoskórego.

- Ten tutaj, pan Owen, był szefem Sondie, a ten, radny Wilts, także był dla niej bardzo miły. Powiedział jej, że ma przed sobą świetlaną przyszłość.

Nie mogłem oderwać oczu od tego zdjęcia. Gapilem się na nie tak, jakbym lada chwila miał się znaleźć obok tej pozującej gromadki.

- Myślałem, że nie angażowała się w akcje polityczne.
- No cóż, to nie była akcja polityczna, tylko spotkanie w ramach budżetu firmy, rozumie pan. Radny zajrzał tam tylko na chwilę, zaproszony przez kogoś z szefostwa, ale znalazł czas, żeby powiedzieć wszystkim, jak dobrą robotę odwalają. Prawda, że to miło z jego strony?

Przytaknąłem ruchem głowy.

- Był pod wrażeniem ich dokonań, a zwłaszcza Sondie. Tamtego wieczoru nawet nie trzeba było mu jej przedstawiać po raz drugi.

Oddałem jej zdjęcie i popatrzyłem bez zainteresowania, jak odstawia je na kredens. Starannie ustawiła je na wcześniejszym miejscu, wyznaczonym ciemniejszą plamą na zakurzonej powierzchni.

- Czy spotkała się z nim jeszcze raz tamtego wieczoru?
- Tak, podczas kolacji.
- A więc Sondie i Wilts jedli razem kolację?
- Sondie jadła kolację z przyjaciółmi. Przypadkowo natknęli się na radnego w restauracji, ale to im tylko umiliło wieczór. Dowiedzieli się od niego, jak bardzo ceni ich pracę, no i wtedy wyszło na jaw, że pamięta imię Sondie. Od tamtej pory zawsze głosowałam na tego człowieka.

- Kiedy Carrie dała pani to zdjęcie?
- Mniej więcej rok po tamtym wieczorze. Znalazła je pewnego dnia, robiąc porządku, i pomyślała, że mi się spodoba.
- Czy widzieli je Marx i Munson?
- Wtedy już nie prowadzili śledztwa.

Zapatrzyłem się na zdjęcie stojące w gąszczu innych rozstawionych na kredensie i uzmysłowiłem sobie po ciemniejszych



smugach warstw kurzu, że ruszano je stamtąd.

- Czy detektyw Bastilla przyglądała się temu zdjęciu podczas swojej ostatniej wizyty?

Gospodyni uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Uznała nawet, że to najładniejsza fotografia Sondie. Zapytała, czy może ją zabrać, ale się nie zgodziłam.

Pożegnałem się z Idą, energicznie ściskając dłoń na pożegnanie, żeby dodać jej otuchy.

- Bardzo się cieszę, że się pani nie zgodziła. To wspaniałe zdjęcie. Niech pozostanie tu, w bezpiecznym miejscu.

## 29.

Tego dnia zmiana była o trzeciej. Umundurowani gliniarze ze służby patrolowej zaczęli się wysypywać z komendy mniej więcej o tej godzinie, ale detektywi z sekcji dochodzeniowej potrzebowali trochę więcej czasu. Świadkowie byli wzywani na rozmowy w dogodnych dla nich porach po zakończeniu pracy, transport dokumentów bądź dowodów rzeczowych organizowano tak, by uniknąć korków w godzinach szczytu, a ponadto każde dochodzenie wiązało się z koniecznością spisywania pod koniec zmiany dziesiątków sprawozdań, raportów czy notatek służbowych.

Umówiłem się na spotkanie ze Starkey przecnicę od komendy w Hollywood, zaraz po zakończeniu przez nią służby, a w oczekiwaniu na jej przyjazd połączyłem się z Alanem Le-vym. Ciekawiło mnie, czy dowiedział się czegoś o Marksie od swoich informatorów i czy Bastilla zdołała się skontaktować z Ivy Casik.

Słuchawkę podniósł asystent Levy'ego.

- Przykro mi, panie Cole - odparł - lecz Alan jest dzisiaj cały dzień poza biurem.

- Tak, wiem. Rozmawialiśmy dziś rano. Nie wie pan, czy rozmawiał z Ivy Casik?

- Nie, proszę pana, nie wiem. Chciałby pan zostawić wiadomość? Podejrzewam, że wieczorem zadzwoni do mnie.

- Owszem. Niech mu pan przekazuje, że proszę o telefon. I powie, że dowiedziałem się paru rzeczy na temat specjalnego zespołu dochodzeniowego.

Podyktowałem mu jeszcze numer mojej komórki, zanim się rozłączyłem.

Starkey wyszła z budynku komendy dokładnie dziesięć po czwartej i ruszyła na południe, rozglądając się za moim samochodem. Miała na sobie granatową garsonkę, oczy zasłaniały jej ciemne lustrzane okulary, jakby nie dość było gęstych obłoków dymu papierosowego. Przez ramię przewiesiła dużą czarną torebkę. Gdy tylko mnie zobaczyła, szybko uniosłem rękę. Pstryknęła niedopałek papierosa w kierunku ulicy, po czym otworzyła drzwi z prawej strony i wsiadła do samochodu.

- To ma być randka?

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Odbiłem od krawężnika, zawróciłem i włączyłem się do ruchu w przeciwnym kierunku.

- W takim razie na własny użytek nazwę to randką, żeby poprawić sobie samopoczucie. Skoro już przyjechałeś po mnie na koniec pracy, to powinienesz mnie zabrać do jakiegoś eleganckiego lokalu. Kapujesz?

Nie odpowiedziałem. Staralem się wykombinować, jak ją zapytać o to, co mnie interesowało. Zdawałem sobie sprawę, że w jednej chwili zepsuję jej nastrój, ale nie widziałem sposobu, jak można by tego uniknąć.

W zapadłej ciszy westchnęła teatralnie.

- Nie jest to najbardziej wciągająca rozmowa z facetem na randce, podejrzewam jednak, że będzie mi musiała wystarczyć.

- Dowiedziałem się od Lindo, że pokój z dowodami rzeczowymi specjalnego zespołu przy Spring Street nadal jest zamknięty. Na pewno dobrze znasz rozkład pomieszczeń w tym budynku.

- I co z tego?

- Wiesz, o którym pokoju mówię?

Spojrzała na mnie z miną wyrażającą niemal obrzydzenie.

- Skoro zwolnili zajmowane pomieszczenia, to pewnie przewieźli już akta i dowody rzeczowe do magazynu.

- Nie przewieźli. Bastilla i Munson nadal korzystają z tego pokoju. Lindo ich tam widział.

Znów popatrzyła na mnie uważnie, ale tym razem z niepokojem i podejrzliwością w oczach.

- O co ci dokładnie chodzi, Cole?

- Pytam tylko, czy wiesz, w którym pokoju zespół przechowywał akta i dowody rzeczowe.

- Każdy zespół specjalny korzysta w komendzie głównej z tych samych pomieszczeń. Ściślej biorąc, to nawet nie jest pokój, tylko klitka, Cole. Pieprzona klitka. Pewnie, że wiem, gdzie jest. Spędziłam tam trzy lata.

- I możesz mi powiedzieć, jak tam trafić?

- Do klitki?

- Tak. Chciałbym zerknąć na akta.

- Całkiem ci odbiło?

- Muszę się przekonać, co oni ukrywają.

Uniosła w górę obie ręce.

- Mówisz poważnie? Serio chcesz w komendzie głównej policji włamać się do pokoju, gdzie przechowywane są akta specjalnego zespołu dochodzeniowego? I naprawdę liczysz na to, że ci w tym pomogę?

- Nie znam nikogo innego, kogo mógłbym o to poprosić.
- Przecież tu chodzi o komendę główną policji, durniu.

Bez przerwy kręci się tam mnóstwo gliniarzy.

- To mnie nie odstrasza.
- Chyba faktycznie ci odbiło, Cole. Brakuje mi słów, żeby wyrazić, co o tobie myślę. Zapomnij o tym. Wystarczająco mnie wkurzyłeś...

Przejechałem skrzyżowanie i skręciłem na parking, gdzie grupka młodzieży tłoczyła się przy budce z falafelami. Zaparkowałem na jej tyłach, ale nie zgasilem silnika. Przez otwarte okno wpadł do środka intensywny zapach kminku i rozgrzanego oleju.

- Dobrze wiem, o co cię proszę, ale przez jakiś czas nie będę mógł korzystać z pomocy Lou, a Lindo w ogóle nie chcę w to wciągać. Jestem przekonany, że Marx, Bastilla i Munson wcale nie próbują zidentyfikować zabójcy siedmiu kobiet. Moim zdaniem, świetnie wiedzą, kim jest morderca, albo przynajmniej mają uzasadnione podejrzenia, ale starają się go chronić.

Starkey rozpogodziła się nieco, głęboka pionowa bruzda między jej zmarszczonymi brwiami spłynęła się i poszerzyła, gdy sens moich wyjaśnień do niej dotarł. Mimo to pokręciła głową.

- Nawet jeśli Marx jest ostatnim dupkiem, Elvis, to jednak zajmuje stanowisko zastępcy komendanta głównego policji. A Munson i Bastilla to najważniejsze po nim szczy w komendzie.

- Wydaje mi się, że osłaniają Nobela Wiltsa. Nerwowo przeciągnęła czubkiem języka po wargach.
- Radnego Wiltsa? - powtórzyła.
- Tak.
- Więc chcesz mi wmówić, że według ciebie członek rady miejskiej zamordował siedem kobiet? Tak mam to rozumieć? Czy nie powinnam być zaszokowana?

- Nie wiem. Nie twierdzę, że to Wilts jest zabójcą, bo nie mam żadnych dowodów. Sprawdzalem tylko Marksa, a nie Wiltsa, ale przeciez nie mozna go wykluczyc tylko dlatego, ze wyglada normalnie. Wiecezosc przestepcow takze wyglada normalnie.

- Dzięki, Cole. Juz się bałam, że mi coś umknęło. Może nie pamiętasz, ale analizowałam zachowania różnych porąbańców, kiedy jeszcze służyłam w brygadzie saperów. Wśród wysoko postawionych urzędników zdarzają się tacy sami porąbańcy jak w każdym innym środowisku, tyle że zazwyczaj lepiej się maskują. Co masz konkretnego?

Opisałem jej historię Marksa w roli naprawiacza wpadek Wiltsa, z których co najmniej dwie dotyczyły brutalnych czynów w stosunku do kobiet. Powtórzyłem jej wszystko, co Ida Frostovich mówiła mi o spotkaniu Wiltsa z jej córką tamtego wieczoru, kiedy Sondra została zamordowana, i opisałem, jak Marx i Munson prowadzili wówczas dochodzenie. Wyjaśniłem, w jaki sposób Marx zaingerował w zeznania pracowników Leverage Associates, kiedy Darcy i Maddux prowadzili śledztwo w sprawie zabójstwa Debry Repko i gdy Wilts był klientem firmy, która obecnie opracowuje strategię kampanii wyborczej Marksa do rady miejskiej. Zauważyłem, że Starkey stopniowo robiła się coraz bledsza, a kiedy skończyłem, tylko jęknęła:

- Jezu...

- Masz rację. Zareagowałem tak samo.

Potarła dłonią policzek, po czym odwróciła głowę i zapatrzyła się na młodzież stojącą w kolejce do budki z falafelami, jakby miała ochotę kogoś z niej wyciągnąć.

- Sądę, że twoje podejrzenia mogą się okazać słuszne. Ale na razie nie masz żadnych dowodów?

- Nie, nie mam niczego.

- I sądzisz, że Marx ze swoimi poplecznikami ukryli dowody rzeczowe?

- Na pewno kłamią. Rzeczy, które powinny być uznane za dowody, znikają bez śladu, a ludzie, których zeznania powinny być wzięte pod uwagę, są lekceważeni. Sama to oceń.

- Jeśli rzeczywiście osłaniają Wiltsa, to niczego nie znajdziesz w aktach zespołu specjalnego. Musieli zniszczyć bezdyskusyjne dowody rzeczowe albo je zmanipulowali.

- Możliwe, że tylko się łudzę, iż coś tam znajdę, sędzę jednak, że jeśli Marx zaliczył Wiltsa do grona najważniejszych świadków w sprawie zabójstwa Frostokovich, to zapewne się myślę co do wielkiej akcji zacierania śladów. Nie wykluczam też, że może chodzić o coś zupełnie innego.

Starkey zaśmiała się krótko, ale bez przekonania.

- Rozumiem. Bardzo ci zależy na tym, żebyś był w błędzie.

- Jak sama powiedziałaś, tu chodzi o zastępcę komendanta głównego policji. Niech sobie będzie politycznym dupkiem, ale nie mogę się zgodzić na to, żeby osłaniał zabójcę. Jedynym sposobem odkrycia prawdziwych motywów jego działania wydał mi się sprawdzenie, co robi z informacjami.

Pokiwała głową, ale wciąż rozmyślała nad tym, co jej powiedziałem.

- Zatem chcesz to sprawdzić na własne oczy.

- W założonych przez Marksa aktach ze sprawy zabójstwa Frostokovich powinny być zeznania dziewcząt, z którymi jadła kolację, zanim zginęła. Może jest tam również wzmianka o jej spotkaniu z Wiltsem, co powinno skłonić Marksa przynajmniej do tego, żeby wypytać radnego o przebieg wydarzeń tamtego wieczoru. Chciałbym także zobaczyć wyniki analiz laboratoryjnych ślepych prób i poznać losy zapisu wideo dotyczącego sprawy z zabójstwa Repko.

- W porządku. Posłuchaj, co zrobimy... To dosyć specyficzna sytuacja. Jak rozumiem, chcesz tylko zajrzeć do pewnych teczek, żeby sprawdzić, co w nich jest. Zgadza się?

- Tak. Nie zajmie mi to dużo czasu.

- W takim razie namówię Lindo, żeby ci pomógł. Będzie wściekły, ale nie odmówi. Zajrzy do pokoju z samego rana i rzuci okiem na zebrane tam papiery.

- Przecież pokój jest zamknięty na klucz.

- Oprzytomniej, Cole. Wydział udostępnia te same pomieszczenia, ilekroć komuś przyjdzie do łba, żeby powołać do życia specjalny zespół dochodzeniowy. A przecież nikt nie zmienia zamków. Znam co najmniej pięć różnych osób, które powinny mieć klucz do tamtej klitki. Sama parę razy z niej korzystałam.

- I tak nie chcę w to wciągać Lindo. Gdyby to on miał zająć do akt, musiałbym mu powiedzieć, czego ma szukać, a wtedy szybko by się połapał, o co mi chodzi. Im mniej osób będzie wiedziało, tym większa szansa, że Marx się o niczym nie dowie.

- Są inne sposoby na osiągnięcie tego celu, stary. Mogę porozmawiać ze swoimi znajomymi...

Starkey umilkła, jakby nie spodobały jej się skojarzenia z rzuconą propozycją, za co w żadnej mierze nie mogłem jej winić. Przekręciłem się na fotelu twarzą w jej stronę.

- Dobrze wiem, o co proszę. Jeśli mi powiesz, że nie chcesz się w to mieszać, nie będę miał najmniejszych pretensji. Poważnie.

- Och, cóż za ulga, Cole. To naprawdę wspinałomyślne z twojej strony. Jeśli odmówię ci pomocy w planowanym przestępstwie przeciwko mojemu pracodawcy, którym, tak się dziwnie składa, jest komendant główny policji w Los Angeles, a ja ślubowałam mu wierność dla dobra ojczyzny, ty nie będziesz miał do mnie żadnych pretensji. Nie sądzisz, że mogę się uważać za szczęściarę?

Poczułem, że tym razem to ja się czerwienię.

- Nie o to mi chodziło. Dobrze wiesz, że mam na celowniku miejskiego radnego, a zastępcą komendanta głównego policji

prawdopodobnie tuszuje jego udział w zabójstwach siedmiu kobiet. Nie mogę otwarcie wystąpić z oskarżeniem, dopóki nie będę miał tak niezbitych dowodów na powiązania Marksa z Wiltsem, że żaden z nich nie zdoła wykorzystać swoich wpływów, żeby zamknąć mi usta.

Starkey po raz kolejny potarła dłonią policzek.

- Boże, konam z głodu. Na zwykłej randce zostałam nakarmiona, a potem zaciągnięta do łóżka.

Wyprostowałam się za kierownicą auta, coraz bardziej skrępowany.

- Dobra, zapomnijmy o wszystkim. Nie powinienem był się z tym zwracać do ciebie.

- Owszem, nie powinienem był, na miłość boską.

- To moja rozgrywka i nie powinienem cię w nią wciągać.

Starkey popatrzyła na mnie, po czym spojrziała na zegarek. Sięgnęła do torebki, wyjęła z pudełka papierosa i zapaliła, chociaż dobrze wiedziała, że nikomu nie pozwalałam palić w moim aucie.

- Wychodzi na to, że jestem już wciągnięta w tę sprawę, czy ci się to podoba, czy nie. Sama się w to wpakowałam.

Pomachała ręką przed twarzą, jakby chciała rozwiać obłok papierosowego dymu.

- Nie gap się tak na mnie, Cole. Lepiej kup dwie porcje falafeli, zanim przystąpimy do działania. I pospiesz się, bo zaraz zaczną się robić korki.

### 30.

Pierwotnym celem powołania do życia Sekcji Spisków Przystępnych stały się śledztwa w sprawie zamachów bombowych.



Kiedy wzywano brygadę saperów do zbadania zawartości jakiegoś podejrzanego bagażu, okazywało się zazwyczaj, że jest to zgubiona przez kogoś paczka z bielizną do prania bądź pozostawiona przez nieuwagę walizka. Lecz jeśli brygada odnajdowała w porzuconym bagażu przemyślnie skonstruowaną bombę, do identyfikacji oraz śledzenia ewentualnych jej konstruktorów natychmiast angażowano policjantów właśnie z tej sekcji. A ponieważ do podobnego zdarzenia mogło dojść w dowolnej chwili, potrzebni byli oficerowie dochodzeniowi zdolni pracować na zmiany przez całą dobę.

Jak tylko przedarliśmy się przez rosnące błyskawicznie śródmiejskie korki, Starkey wyłożyła swój plan akcji.

- Wszyscy z sekcji zwijają się do domu koło czwartej, z wyjątkiem oficera dyżurnego. Ten zajmuje się najczęściej zaległą robotą papierkową, co powinno działać na naszą korzyść. A dopóki jest na stanowisku, nikt nie zamyka sali ogólnej. Będziemy więc musieli tylko poczekać, aż wszyscy z niej wyjdą.

- Jasne. Co dalej?

- Załatwię nam wejście do komendy. Później wskażę ci pokój dowodów rzeczowych i zajmę się oficerem dyżurnym, żeby nie przyszło mu do głowy sprawdzać, co robisz w ramach swojego dochodzenia. Pasuje ci to?

- Oczywiście. A co będzie, jeśli zdarzyło się coś nieprzewidzianego i policjanci z tego wydziału zostaną po godzinach?

Starkey uśmiechnęła się z politowaniem.

- Będziemy musieli przelożyć akcję na inny dzień, co nie?

- Chyba tak.

- Najważniejsze, żeby nikt się nie zainteresował, co ty tam robisz, jasne?

- Pewnie tak.

- Widzisz tamten sklep po prawej? Wjedź na parking przed nim i daj mi dwadzieścia dolców.

Wróciła po kilku minutach z półkilową paczką cukierków czekoladowych i paczką papierosów. Ruszyliśmy, niemal nie odzywając się do siebie.

Kiedy zajechaliśmy przed komendę przy Spring Street, Starkey wskazała mi parking dla klientów po przeciwnej stronie ulicy, gdzie musiałem z góry zapłacić za miejsce postojowe, chociaż chłopak z obsługi wyraził zgodę, bym zaparkował sam. Pod koniec dnia pracy było na nim już wiele pustych miejsc, nie wyłączając takich, z których rozciągał się doskonały widok na główne wyjście komendy. Obserwowaliśmy więc przez szybę, jak detektywi i cywilni pracownicy komendy wychodzą na ulicę. Po jakimś czasie Starkey zerknęła na zegarek i popatrzyła na mnie.

- Zostaw tu broń.
- Jest pod fotelem.
- Masz aparat fotograficzny?
- Mam.

Wcześniej schowałem do kieszeni miniaturowy aparat marki Sony, licząc się z tym, że znajdę w aktach coś, co chciałbym utrwalić na zdjęciu.

- Jego też zostaw - powiedziała Starkey. - Lepiej, żeby strażnicy przy wejściu nie mieli się do czego przyczepić. Zostaw też wszystkie drobne i inne rzeczy metalowe, które mogłyby wywołać alarm w bramce wykrywacza metali.

Opróżniłem kieszenie i ruszyliśmy razem przez ulicę do wejścia. Minęło nas jeszcze kilku ubranych po cywilnemu śledczych, ale większość już wcześniej skończyła pracę.

- Wygląda nieźle - mruknęła Starkey. - Bierzmy się do roboty.

Wzięła mnie za rękę, splatając swoje palce z moimi, i uśmiechnęła się promiennie.

- Zrób to dla mamusi, Cole. Postaraj się wyglądać na zadowolonego z siebie.

Wepchnęła mnie do lobby, po czym wbiła wzrok w barczy-  
stego gliniarza siedzącego za biurkiem na stanowisku ochrony.  
W przejściu obok niego znajdowała się bramka wykrywacza  
metali. Starkey śmiało przeszła przez nią i bez wahania ruszyła  
prosto do windy.

- Cześć, Manuel! Lepiej nie przysypiaj za tym biurkiem,  
bo jeszcze będziesz musiał szukać sobie innej pracy, żeby utrzy-  
mać rodzinę.

Odpowiedział jej niepewnym uśmiechem.

- Cześć, „Bombardierko”. Gdzieś ty się podziewała tyle  
czasu, dziewczyno?

Podniosła rękę, chcąc mu wskazać, że mamy splecione dło-  
nie.

- Lepiej zapytaj o to mojego faceta. Czy Beth już wróciła?

Beth Marzik była partnerką Starkey w brygadzie saperskiej.

- Nie mam pojęcia, skarbie. Możliwe, że wjechała windą z  
podziemnego parkingu.

Manuel zerknął na mnie, ale w jego spojrzeniu nie było ani  
cienia niepokoju.

Starkey pociągnęła mnie do windy, jak gdyby mieszkała w  
tym budynku, a do stanowiska ochrony podeszła wyłącznie z  
poczucia obowiązku. Machnęła strażnikowi przed nosem trzy-  
manym w drugiej ręce błyszczącym opakowaniem cukierków  
czekoladowych.

- W przyszłym tygodniu są jej urodziny. Nie zapomnij o  
tym, człowieku. Może i tobie coś kapnie z urodzinowych prezen-  
tów.

- Postaram się pamiętać, Starkey. Trzymaj się.

- Do końca życia.

Wepchnęła mnie w głąb windy, gdy tylko otworzyły się drzwi.  
A kiedy się zamknęły, przez kilka sekund staliśmy w milczeniu  
naprzeciwko siebie, łapiąc oddech.

- Niezły z ciebie numer - mruknąłem w końcu.
- Naprawdę?

Uzmysłowiłem sobie, że wciąż trzymamy się za ręce, toteż szybko rozplotłem palce.

- Przepraszam.

W milczeniu wjechaliśmy na czwarte piętro, gdzie Starkey ponownie wzięła mnie za rękę, jak tylko drzwi się otworzyły. Wyszliśmy do niewielkiego holu.

- Po prostu chodź za mną. Jeśli na kogoś trafimy, postaram się to załatwić, jakbyśmy mieli pełne prawo tu przebywać.
- Nie ma sprawy.
- Strasznie ci się pocą dłonie.
- To przejaw strachu.
- Więc lepiej go opanuj, kolego.

Jej dłoń była chłodna i sucha. Pomyślałem, że skoro zaczyna się karierę w policji od rozbrajania ładunków wybuchowych, włamanie do komendy głównej to już kaszka z mlekiem.

Posłusznie dałem się wprowadzić za szklane drzwi oznakowane napisem SEKCJA SPISKÓW PRZESTĘPCZYCH. Znaleźliśmy się w nowocześnie urządzonej sali ogólnej podzielonej przepierzeniami na poszczególne stanowiska. Wyglądało na to, że nikogo już nie ma. Starkey zawołała głośno:

- Puk, puk, puk! Wiem, że wszystko tu się zawaliło po moim odejściu!

Z przejścia na końcu sali wyrzwał starszy łysiejący mężczyzna. Był niski i przysadzisty, ubrany w koszulę z krótkimi rękawami i krawat. W rękę trzymał chyba papierową serwetkę.

- Carol?

Starkey uśmiechnęła się szeroko i pociągnęła mnie w jego kierunku.

- Witaj, Jorge. Co cię tu jeszcze trzyma po zakończeniu zmiany?

Robił wrażenie zmieszanego i zaskoczonego, choć pewnie zawsze reagował podobnie na widok Starkey. Nerwowo zatarł ręce, gdy się do niego zbliżyliśmy.

- Po prostu przyszła moja kolej na dyżur, to wszystko. Co cię tu sprowadza, Carol? Wszyscy już poszli.

Podetknęła mu pod nos torbę z czekoladowymi cukierkami.

- W przyszłym tygodniu są urodziny Marzik. Chcę jej to zostawić na biurku, żeby z rana miała niespodziankę. Zaraz... pozwól, że ci kogoś przedstawię. To mój przyjaciel, Axel. Ax, to Jorge Santos. Wszyscy go tu nazywają „Snajperem”.

Mogłem być i Axelem.

Uśmiechnąłem się przymilnie i uściśnąłem wyciągniętą dłoń Jorge'a. Posiłał się w przyległym pokoju przesłuchań, na stole stały dwa otwarte plastikowe pojemniki do kuchenki mikrofalowej i kubek z kawą. Przed nimi leżał rozpostarty egzemplarz „Wiadomości Policyjnych Los Angeles”. Starkey zerknęła w głąb pokoju.

- Nie, no, nie chcieliśmy ci przeszkadzać w obiedzie.

- Nic się nie stało. Słyszałem, że dostałaś się do wydziału zabójstw. Jak ci się tam podoba?

Wzruszyła ramionami i zerknęła na salę ogólną.

- Jest niezłe, jak sędzę. Mieliście dzisiaj coś wybuchowego?

- Nie, same stare dzieje. Wiesz, jak to jest. Tydzień za tygodniem koszmarnej nudy, a potem parę sekund przerażenia.

- Tak, wiem. Posłuchaj, Ax chciałby skorzystać z toalety, więc go zaprowadzę, dobra? Czy Beth nadal urzęduje przy tym samym biurku?

- Tak, jasne, tuż obok twojego dawnego stanowiska.

Starkey objęła mnie w pasie i przycisnęła do siebie.

- Będziesz miał okazję zobaczyć, skarbie, gdzie kiedyś pracowałam. Czy to nie jest ekscytujące?

- Nawet bardzo.

Po raz drugi wyciągnęła przed siebie torbę z cukierkami.

- Podrzucę jej to na biurko, idąc z Axem do kibelka. Chcesz, żebym w drodze powrotnej przyniosła ci gorącej kawy?

Rozpromienił się błyskawicznie.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny, Carol. Naprawdę bardzo wdzięczny.

- Zaraz będziemy z powrotem. Wracaj do obiadu, Hook, bo całkiem ci wystygnie.

Zatrzymała się tylko na chwilę przy biurku, do którego jakoby zmierzała, postawiła torbę z cukierkami przy telefonie i po cichu otworzyła ceramiczny pojemnik z wizerunkiem jednorożca na wieczku. Obejrzała się jeszcze, żeby sprawdzić, czy Santos wrócił do pokoju przesłuchań, po czym rzekła półgłosem:

- Marzik trzyma tu klucze od wielu lat.

Sięgnęła do środka i wyciągnęła dość okazały pęk kluczy na kółku, po czym pociągnęła mnie w głąb przyległego korytarza. Weszliśmy do drugiej sali ogólnej. Była nieco mniejsza od poprzedniej i mieściła najwyżej połowę stanowisk tamtej. Tu też nikogo już nie było. Światła jeszcze się paliły, co trochę mnie zaskoczyło, ale poruszaliśmy się za szybko, aby zawracać sobie tym głowę.

- Tutaj pracował specjalny zespół dochodzeniowy. Chodź, pokażę ci...

Obejrzała się jeszcze raz, żeby sprawdzić, czy Santos nie idzie za nami, po czym ruszyła na palcach truchtem przez salę, ciągnąc mnie za sobą. W przeciwieństwie do biurka w poprzedniej sekcji, na których panował mniejszy czy większy bałagan i stały rodzinne fotografie, tutejsze stanowiska zdawały się nieobsadzone. Ludzie, którzy jeszcze niedawno przy nich pracowali, pozabierali wszystkie swoje rzeczy po rozwiązaniu specjalnego zespołu dochodzeniowego i wrócili do rodzimych jednostek.

Starkey przekręciła klucz w drzwiach na końcu sali, otworzyła je przede mną i odsunęła się na bok.

- Odłożę klucze na miejsce i zajmę się „Snajperem” tak długo, jak się da, ale pospiesz się, dobra? Lepiej zwinąć się stąd, jak najszybciej.

Wszedłem do pokoju, a ona zawróciła.

Rzeczywiście był ciasny i zagracony, stały w nim trzy rzędy żelaznych piwnicznych regałów z Ikei, które zapewne detektywi z tutejszego wydziału sami poskręcali w wolnym czasie. Stały na nich kartonowe pudła z aktami, pokryta winylową folią tabliczka na brzegu każdego z regałów zawierała wykaz funkcjonariuszy, którzy dokładali do tych czy innych pudeł kolejne materiały. Zauważyłem, że pudła na środkowej półce są opisane nazwiskami kolejnych ofiar zabójcy, powinny więc zawierać wszystko, czego mi było potrzeba. Najpierw zajrzałem do pudła opisanego nazwiskiem Frostokovich, chociaż przeczucie mi podpowiedziało, że to mylny trop, jeszcze zanim zdjąłem pokrywę. Wewnątrz, w żółtych plastikowych obwolutach, znajdowała się zaledwie garść papierów, większość skoroszytów była pusta, nie znalazłem księgi postępowania dochodzeniowego. Wsunąłem pudło z powrotem na miejsce i otworzyłem sąsiednie, zawierające materiały ze śledztwa w sprawie Evansfield, głównie po to, żeby sprawdzić, czy i ono zostało skutecznie oczyszczone. Tu jednak skoroszyty były powypychane dokumentami, a przed nimi spoczywała opasła księga postępowania.

Zaglądałem do kolejnych pudeł, aż dotarłem do materiałów ze śledztwa w sprawie Repko, które, podobnie jak w wypadku Frostokovich, były wyjątkowo skąpe, no i brakowało księgi postępowania dochodzeniowego. Zacząłem przerzucać akta w poszukiwaniu jakiegokolwiek informacji dotyczącej dysku z zapisem wideo, lecz jeśli płyta w ogóle znajdowała się w tym zestawie, zniknęła bez śladu, podobnie jak wszelkie dokumenty związane

z pracą zamordowanej w Leverage Associates.

Sprawdzałem uważnie rejestr, kiedy z korytarza doleciał mnie głos Starkey:

- Hej, Ax! Zgubiłeś się, skarbie? Gdzie jesteś?

Pospiesznie wyrównałem pudła, zgasilem światło i wyszedłem z pokoju na chwilę przed tym, jak ona pojawiła się na końcu korytarza. Przywołała mnie energicznym ruchem ręki, a gdy podbiegłem na palcach, pociągnęła mnie w głąb korytarza i przekazała półgłosem:

- Munson nadchodzi. „Snajper” powiedział, że wyszedł tylko na krótko i właśnie wraca.

- Nie ma książek postępowania dochodzeniowego.

- Mniejsza z tym. Musimy zniknąć, Cole.

Upewniliśmy się, że w sali ogólnej nikogo nie ma, i przemierzaliśmy ją w pośpiechu do windy. Nacisnąłem guzik, lecz Starkey ruszyła dalej i pociągnęła mnie za sobą.

- Daruj sobie. Zejdziemy schodami.

Naparła ramieniem na ciężkie drzwi klatki schodowej i ruszyła na dół. Zbiegaliśmy w milczeniu. Na każdym podeście zakręcałem z obawą, że lada moment natkniemy się na Munsona wchodzącego na górę, ale dotarliśmy na sam dół, nie spotkawszy nikogo.

Przed wyjściem do lobby Starkey zatrzymała się i wzięła kilka głębszych oddechów, żeby się opanować. Położyłem jej dłoń na ramieniu.

- Wszystko w porządku. Już nic nam nie grozi.

- Ja się niczego nie boję, Cole. Po prostu... musiałam zapalić.

Zaczerpnęła jeszcze jeden oddech, po czym wzięła mnie za rękę i pchnęła drzwi. Przed windą stała jakaś para, Manuel za biurkiem na stanowisku ochrony spoglądał na kobietę ze znużoną miną. Trzymając się za rękę, przeszliśmy przez lobby do



wyjścia, jakby to było coś najbardziej naturalnego na świecie.

- Uważaj na siebie, „Bombardierko” - rzucił za nami Manuel. - I wpadaj tu od czasu do czasu.

- Ty też się trzymaj, Manny. Postaram się częściej was odwiedzać.

Dopiero po wyjściu na ulicę uzmysłowiłem sobie, że tym razem to jej dłoń jest śliska od potu.

### 31.

Ze spuszczoneymi głowami doszliśmy do skrzyżowania, zaczekaaliśmy na zielone światło i przeszliśmy na parking po drugiej stronie ulicy. Wsiadliśmy do samochodu, włożyłem kluczyk do stacyjki, lecz Starkey wzięła mnie za rękę.

- Mówisz, że brakuje ksiąg postępowania dochodzeniowego?

- W sprawach Repko i Frostokovich brakuje prawie wszystkich akt i dowodów. Materiały dotyczące Trinh też wydały mi się skąpe, ale o tej sprawie wiem za mało, żeby cokolwiek wyrokować. Według spisów inwentarzowych wszystko powinno być na miejscu, ale nie jest.

- „Snajper” powiedział, że Munson wychodził z jakimś kartonowym pudłem krótko przed naszym przyjazdem. A i Bastilla coś wczoraj wносиła.

- Ostatni wpis w książce inwentarzowej pochodzi z dnia, kiedy Marx oficjalnie zamknął sprawę. Od tamtej pory nikt się nie wpisywał.

- A więc ewidentnie ukrywają akta.

Przytaknąłem ruchem głowy, chociaż nie miałem pojęcia, co dalej robić. Ponownie sięgnąłem do kluczyka w stacyjce, ale Starkey znów mnie powstrzymała.

- Zaczekajmy.
  - Odwiozę cię pod dom.
  - Wcale nie chcę jeszcze wracać do domu. Jeśli te łobuzy naprawdę tuszują morderstwa, chcę mieć swój udział w skopaniu im tyłków. Sprawdźmy, dokąd Munson wywozi akta.
  - Pewnie do domu.
  - Pojedźmy za nim, potem zadecydujemy, co dalej robić.
- Na przykład będziemy mogli włamać się do jego samochodu.

- Mówisz poważnie?
- Opuść szybę, Cole. Naprawdę muszę zapalić.

Dwa papierosy później Munson odjechał sprzed komendy czerwonym mustangiem GT. Bez specjalnego pośpiechu minął wjazd na autostradę, kierując się w stronę dzielnic mieszkalnych. Ale jakieś dwa kilometry dalej włączył kierunkowskaz.

- Widzisz?
- Tak, widzę.

Mustang skręcił na parking przed Pacific Dining Car, jeden z najstarszych lokali w Los Angeles specjalizujący się w tradycyjnych stekach. Otwarty jeszcze w latach dwudziestych mieścił się w kolejowym wagonie restauracyjnym. Zatrzymałem wóz przy krawężniku w miejscu, skąd roztaczał się najlepszy widok.

Munson wysiadł z samochodu z kilkoma plastikowymi skoroszytami pochodzącymi zapewne z policyjnych akt. Przekazał kluczyki parkingowemu i wszedł do środka. Przed wejściem tłoczył się spory tłumek ludzi czekających na wolne miejsca, on jednak przecisnął się do drzwi, jak gdyby miał już wcześniej zarezerwowany stolik. Właściciele zachowali pierwotny wygląd

luksusowego wagonu restauracyjnego wyposażonego w wielkie panoramiczne okna, przez które podróżni mogli podziwiać piękne widoki, dzięki czemu teraz z ulicy można było śledzić drogę Munsona przez zatłoczony lokal. Doszedł prawie na sam koniec i tam zajął miejsce przy stoliku, przy którym czekały już dwie osoby. Marx i Bastilla.

Oboje ze Starkey wysiedliśmy z auta, żeby lepiej ich widzieć. Portier i parkingowy raz i drugi zerknęli w naszą stronę, ale doszli chyba do wniosku, że jeszcze się zastanawiamy.

Marx popatrzył na akta przyniesione przez Munsona. Ten coś powiedział i komendant pośpiesznie sięgnął pod stół po stojący na podłodze neser. Włożył teczkę do środka, odstawił neser i ruchem ręki przywołał kelnera.

Portier zaczął się nam bacznie przyglądać, jakby coś podejrzewał. Domyśliłem się, że lada chwila może powiadomić kogoś z personelu restauracji.

- Nie spuszczać ich z oka. Ja przestawię wóz i poszukam jakiegoś bezpieczniejszego punktu obserwacyjnego.

Skręciłem za róg i ustawiłem samochód w cieniu rozłożystej sykomory, po czym wysiadłem z aparatem fotograficznym w rękę. Wiedziałem, że w zapadającym stopniowo zmierzchu zdjęcia zrobione przez teleobiektyw będą mało wyraźne i ziarniste, liczyłem jednak na to, że na ich podstawie bez trudu da się zidentyfikować trzy osoby siedzące w restauracji. Portier się skrzywił, gdy zobaczył mnie z aparatem, ale nie mógł nic mi zrobić. Uznał chyba, że jestem zwykłym paparazzim.

Po pewnym czasie wróciliśmy ze Starkey do mojego samochodu, gapiąc się przez szybę, jak Marx ze swoimi zaufanymi z „wewnętrznego kręgu” przez godzinę i dziesięć minut opycha się stekami i raczy czerwonym winem. Wreszcie zapłacił rachunek. Parkingowy podstawił przed drzwiami najpierw mustanga Munsona, potem bezową toyotę, wreszcie ciemnego lexusa sedana.

Kiedy już trzy auta stały zderzak w zderzak, Marx wrzucił neseser na tylne siedzenie lexusa. Bastilla wyjęła ze swego auta wypchaną szarą kopertę i przekazała mu ją, a on rzucił ją na siedzenie obok neseseru. Wreszcie Munson wyciągnął z bagażnika mustanga kartonowe pudło i wstawił je przy neseserze na tylne siedzenie lexusa. Utrwaliłem na zdjęciach całą tę akcję. Tak więc to Marx zabierał wszystkie materiały.

- Jak sądzisz, co zamierza z tym zrobić? - zapytała Starkey.

- Nie wiem. Może nawet nie zamierza niczego robić. Nadal nie wiemy, co jest w tych teczkach.

Zmierzyła mnie ostrym spojrzeniem zza kłębow dymu tytoniowego.

- Pewnie będą nanosić poprawki. Trudno zniszczyć aż tyle akt. Można wykraść pojedyncze dokumenty, zasłaniając się tym, że gdzieś zaginęły. Trudno jednak udawać głupiego, gdy w materiałach pozostaną aż tak olbrzymie braki. Dlatego bezpieczniej jest nanieść poprawki. Część papierów zniszczyć, usunąć niepożądane notatki, inne nawet przepisać od nowa, gdyby zaszła taka potrzeba. Potem wystarczy podrzucić to wszystko do akt w magazynie i tylko się ludzić, że nikt niczego nie zauważył. - Spostrzegła, że bacznie się jej przyglądam, toteż obojętnie wzruszyła ramionami i mruknęła: - Tak tylko mówię.

Marx niewiele miał do powiedzenia swoim towarzyszom na pożegnanie. Wsiedli, każdy do swojego samochodu, i wyjechali z parkingu, włączając się do gęstniejącego ruchu. Pojechaliśmy za Marksem.

Wydostał się na Pasadena Freeway i skierował na północ. Jechał spokojnie, ściśle przestrzegając dozwolonej prędkości. Ruch był dosyć natężony, ale nie tworzyły się jeszcze korki. Po wszystkich pasach ciągnęły sznury pojazdów, którymi wracali do domów pracujący w śródmieściu ludzie, pokonujący tę samą

trasę o tej samej porze każdego powszedniego dnia w tygodniu. Minęliśmy rzekę i zagłębiliśmy się w pasmo wzgórz Montecito Heights, gdzie Pasadena Freeway oficjalnie stawała się częścią legendarnej szosy 66. Dotarł do końca autostrady w South Pasadena i pojechał głównymi ulicami miasta w kierunku zacisznych dzielnic mieszkalnych Altadeny. Znaleźliśmy się wśród eleganckich nowoczesnych domków jednorodzinnych porożrzucanych wśród rozległych trawników obsadzonych modnymi drzewkami pieprzowymi. Gdy tylko zobaczyłem migający kierunkowskaz lexusa, zjechałem do krawężnika i zatrzymałem samochód.

- Myślisz, że tutaj mieszka? - zapytała Starkey.
- Nie wiem. Na to wygląda.
- Może tylko zwozi tu papiery.
- Umiesz prowadzić?
- A co zamierzasz?
- Chcę się lepiej przyjrzeć. Jak odejdę, przesiądź się za kierownicę i bądź gotowa odjechać w każdej chwili.

Lexus skręcił z ulicy za wielkim krzewem kamelii, snopy świateł reflektorów przesunęły się po frontowym trawniku. Wsiadłem, podbiegłem na skraj podjazdu i ostrożnie wyjrzałem zza kamelii. Tuż przede mną, na skraju żywopłotu, stała tabliczka z napisem: TEREN CHRONIONY, GROŹBA UŻYCIA BRONI. Drzwi jasno oświetlonego garażu były otwarte. Na drugim miejscu stał duży srebrzysty minivan, także lexus. Marx wyciągał właśnie z tylnego siedzenia kartonowe pudło z aktami, gdy wyjrzałem zza kamelii. Otwarte były drzwi prowadzące z garażu do wnętrza domu i stała w nich kobieta w czarnych spodniach od dresu i luźnym T-shirtcie. Była mniej więcej w wieku Marksa, sądząc po zachowaniu, mogłem ją uznać za jego żonę.

Komendant postawił pudło na klapie bagażnika samochodu, obok nesesera, a na pudle położył wypchaną szarą kopertę.

Podniósł cały ten bagaż i ruszył z nim do środka. Kobieta odsunęła się na bok, żeby zrobić mu przejście, po czym wcisnęła kontakt na ścianie przy drzwiach. Ciekaw byłem, czy ma pojęcie, co jest w pudle wniesionym przez męża do domu. Jeszcze bardziej mnie zaciekawiło, czy w ogóle ją to obchodzi.

Światło w garażu zgasło.

Drzwi z cichym szumem zaczęły się opuszczać.

Gospodarz wrócił do domu.

Przywożąc ze sobą swoje sekrety.

Zadzwoiłem do Joego Pike'a.

## 32.

Przeskoczyłem w cień pod drzewkiem pieprzowym, po czym przekradłem się wzdłuż bocznej ściany budynku na tylne podwórze. Uważałem na każdy krok, obawiając się albo psa, albo systemu alarmowego z czujnikami ruchu, ale na nic takiego się nie natknąłem.

Rozległe tylne podwórze nappełniało poczuciem bezpieczeństwa nawet po zmroku. Na skraju patio rosło wysokie drzewko awokado. W trawie wały się opadłe przejrzałe owoce, powietrze wypełniał ich cierpki kwaśny aromat. Od strony garażu na tyłach znajdowała się kuchnia i sąsiadujący z nią pokój, chyba bawialnią. Kuchenne drzwi prowadziły na patio. Marx urządził tu sobie godną pozazdroszczenia letnią kuchnię z wielkim gazowym grillem oraz wędzarnią marki Big Green Egg. Kobieta, którą uznałem za jego żonę, była w kuchni. On natomiast zniknął w drzwiach saloniku znajdującego się po drugiej stronie domu. Ale nie niósł już kartonowego pudła ani neseseru. Poza tą parą nie dostrzegłem żadnego innego domownika.

Po przeciwnej stronie okna na parterze rozjaśniły się przytłumionym światłem, ruszyłem więc ostrożnie wzdłuż patio. Za pierwszymi dwoma oknami znajdowała się niewielka sypialnia, z wyglądu nieużywana od lat. Dalej było okienko łazienki, a następnie pokoju narożnego. Marx urządził sobie w nim gabinet. Światło było zapalone. Przesunąłem się jeszcze kawałek, żeby dojrzeć, czy właśnie tu zostawił pudło i neseser, ale wszedł akurat do pokoju, toteż musiałem się błyskawicznie cofnąć, nim zdołałem zajrzeć do środka. Podeszedł do biurka, spojrzął na coś leżącego na blacie, po czym szybko zawrócił do szafy. Nie byłem w stanie dostrzec, co jest w środku ani co on robi, bo szybko zamknął drzwi szafy i wyszedł z pokoju, gasząc światło.

Cofnąłem się na skraj patio i zauważyłem Marksa w kuchni, rozmawiającego z żoną. Ale już po chwili znowu wszedł do gabinetu. Wyjąłem ołówkową latarkę, zakryłem reflektorek dłonią, zapaliłem ją i między palcami przepuściłem cienki strumyk światła. W nim obejrzałem dokładnie oba okna gabinetu, wypatrując czujników systemu alarmowego. Wcześniej spostrzegłem, że przed większością domów na osiedlu stoją ostrzegawcze tabliczki agencji ochrony, przyszło mi więc do głowy, że nie wszędzie muszą być pozakładane systemy alarmowe. Wszystko wskazywało na to, że Marx również go nie zainstalował. Jak większość dobrze sytuowanych mieszkańców podobnych osiedli całkowicie polegał na patrolach agencji ochrony i nie wziął pod uwagę konieczności założenia indywidualnego systemu zabezpieczeń.

Zgasilem latarkę i poszedłem dalej wzdłuż budynku, aż wróciłem na ulicę. Kiedy zbliżyłem się do samochodu, Starkey przecisnęła się zza kierownicy na prawy fotel.

- Jezu... Co tak długo?
- Marx wniósł akta do środka. Postanowiłem się trochę rozejrzeć.

Uruchomiłem silnik i zawróciłem w kierunku wjazdu na autostradę.

- Cholera - syknęła Starkey. - Warto byłoby zobaczyć, co miał w tym kartonie.

Pokiwałem głową, ale nie odpowiedziałem.

- Co teraz zamierzasz? - spytała.

- Wracać do domu. Odwiozę cię na parking, gdzie zostawiłaś swój samochód.

- Tylko tyle?

- A czego się spodziewałaś? Że wywalę kopniakiem drzwi, wedrę się do jego domu i będę go katował, dopóki się nie przyzna? Najpierw muszę sobie ułożyć jakiś plan dalszych działań.

W drodze powrotnej do Hollywood rozmawialiśmy o drobiazgach, przy czym niemal każde moje zdanie było kłamstwem. Dokładnie wiedziałem, co dalej zrobię, tylko nie zamierzałem jej o tym mówić, bo nie chciałem, żeby miała z tym cokolwiek wspólnego. I tak wystarczająco nadstawiła karku. Podobnie jak z Pat Kyle, wzięła u mnie górę konieczność chronienia przyjaciół.

Podrzuciłem ją pod komendę policji w Hollywood, powtarzając jeszcze, że wracam prosto do domu, ale pojechałem z powrotem do Altadeny. Joe Pike dotarł na miejsce w samą porę. Czeakał na stacji benzynowej niedaleko domu Marksa, a jego wypucowany jak zwykle do połysku czerwony dziupółskiwał niczym klejnot w blasku jarzeniówek oświetlających stanowiska do tankowania.

Zatrzymałem wóz obok niego. Odczekałem, aż z przeciwnego zjecha samochód i przestanie nas oświetlać reflektorami, dopiero wtedy wysiadłem.

- Wiesz, co zamierzam?

- Jasne. Chcesz się włamać do jego domu. Mieszka tam ktoś oprócz niego?



- Żona. Zaczekamy do jutra, gdy dom będzie pusty, i wtedy się włamiemy. Co o tym myślisz?

Nie wahał się ani przez chwilę.

- Idę z tobą. Starkey wie o tym?

- Nie. Uznałem, że lepiej będzie jej w to nie wciągać.

- W porządku. Rozejrzyjmy się jeszcze po terenie, żebyśmy mogli ustalić, jak najlepiej tego dokonać.

Rozplanowaliśmy naszą akcję o trzeciej nad ranem, nisko pochyleni przy stoliku w całodobowej kawiarence nad kanapkami z białego chleba z serem topionym. Później wróciliśmy na stanowisko obserwacyjne, żeby zacząć na dogodny moment.

### 33.

Następnego ranka Marx wycofał wóz z garażu dziesięć po ósmej. Byłem wtedy po drugiej stronie ulicy, ukryty pod starannie przystrzyżonym figowcem na skraju sąsiedniej posesji. Zająłem to stanowisko, gdy tylko zaczęło szarzeć. Pike czuwał w wozie zaparkowanym dwie przecznice dalej, na wysokości domu, który właśnie remontowano. Marx musiał przejechać obok niego, kierując się w stronę autostrady. Wcisnąłem klawisz telefonu komórkowego.

- Właśnie wyjeżdża swoim lexusem. Jest w galowym mundurze, ale sam. Żona została w domu.

Przerwałem połączenie i podjąłem oczekiwanie. Pike zadzwonił dwadzieścia minut później.

- Jestem trzy samochody za nim, jedzie na południe. Wygląda na to, że zamierza wjechać na autostradę.

- W porządku.

Pike miał go śledzić tylko do wjazdu na autostradę, a potem zawrócić. Nie dało się wykluczyć, że Marx załadował akta z powrotem do bagażnika, lecz mogliśmy się o tym przekonać dopiero po wejściu do domu, dlatego spokojnie czekałem dalej, ukryty pod figowcem. Byłem prawie pewien, że Marx wyjechał na całą zmianę, martwiła mnie jednak żona. Nie mogłem się włamać do domu, dopóki ona tam była, a przecież mogła należeć do tych gospodyń, które na krok nie ruszają się ze swojego królestwa. Bałem się, że zaraz przyjedzie gosposia albo jakaś znajoma w odwiedzinie, i to wszystko jeszcze bardziej wprawiało mnie w zdenerwowanie.

Czekałem.

Po kilku minutach znów zadygotała moja komórka, jej wibracje odebrałem wyraźnie na prawym biodrze. Sądziłem, że to znowu Pike, lecz tym razem dzwonił Levy. Odniosłem wrażenie, że jest podniecony i zaganiany.

- Mam wrażenie, że nie mylisz się co do komendanta Marksa, Elvis. Przez cały ten tydzień był nieuchwytny w biurze. Przekazał swoje obowiązki zastępcom.

- Był bardzo zajęty. Bastilla i Munson wykradali akta specjalnego zespołu dochodzeniowego i przekazywali jemu, a on przewoził je do domu.

Levy nie odpowiadał przez dłuższy czas, wreszcie odchrząknął nerwowo.

- Jakie akta?

- Będę to wiedział, jak je zobaczę. Jestem właśnie przed jego domem.

- Przed domem komendanta Marksa?!

- Owszem, ukryty w cieniu figowca. Dlatego nie mogę mówić głośniej.

Levy ponownie odchrząknął.

- Chyba nie powinienes mi tego mówić. Jestem związany przysięgą mówienia prawdy przed sądem.

- Udało ci się porozmawiać z Ivy Casik?  
- Nie mogłem jej odnaleźć. Wczoraj dwukrotnie pukałem do mieszkania, ale jej nie zastałem. Nie wiesz, czy Marx i jego ludzie nie zdołali się z nią skontaktować wcześniej?

- Nie wiem. Może będę to wiedział, jak rzucę okiem na akta.

- No tak, dobra... Powodzenia.

Był wyraźnie skrzępowany.

Przerwałem połączenie i podjąłem oczekiwanie. Pike zadzwonił dopiero prawie dwie godziny później, pięć po dziesiątej.

- Chcesz się zamienić? Będiesz mógł rozprostować nogi.

- Nic mi nie jest. Nawet zaczyna mi się podobać pod tym drzewem.

- Jak sobie życzysz.

Czas upływał z gracją lodowca zsuwającego się z gór. Listonosz rozwiózł listy, przejeżdżały samochody, poczta kurierska dotarła z przesyłkami. Zacząłem już myśleć, że powinienem być nad ranem ukraść samochód Marksa, kiedy wreszcie, dwadzieścia sześć po drugiej, ponownie otworzyły się drzwi garażu i żona Marksa wyprowadziła minivana na podjazd. Wcisnąłem klawisz szybkiego połączenia w komórce, gdy tylko odjechała sprzed domu.

- Właśnie wyjechała.

Już poprzedniego wieczoru opisałem jej samochód, ale teraz mogłem jeszcze podyktować numer rejestracyjny. Minivan wyjechał tyłem na uliczkę, wykręcił, po czym oddalił się w tym samym kierunku co przed kilkoma godzinami zastępca komendanta policji.

- Jedzie w twoją stronę.

- Wchodzisz?

- Jak tylko zniknie mi z oczu.

Odczekałem, aż na przelotówce miną ją trzy inne samochody, zanim wynurzyłem się z cienia figowca i przeszedłem przez ulicę.

Nie miałem pojęcia, czy pani Marx wyjechała na resztę dnia, czy może udała się do pobliskiego sklepu po butelkę mleka, ale mimo to nie spieszyłem się zanadto. Przemierzyłem podjazd swobodnym krokiem, jakbym był wieloletnim przyjacielem rodziny, ale skręciłem wzdłuż bocznej ściany budynku i skierowałem się prosto do drzwi kuchennych. Otwarcie prostego zamka nie zajęło mi dużo czasu, uporałem się z nim najwyżej w ciągu sześciu minut. Kiedy otwarła się przede mną droga do kuchni, zadzwoniłem do Pike'a.

- Otworzyłem drzwi. Wchodzę do środka.

Wciągnąłem gumowe rękawiczki i uchyliłem otwarte drzwi. Przez chwilę nasłuchiwałem, zanim przekroczyłem próg. W domu panował ład i porządek, w powietrzu unosił się zapach płynu do zmywania, ale i tak czułem się tu nieswojo. Miałem ochotę jak najszybciej odnaleźć to, czego szukałem, i wynosić się stąd do diabła. Przeszedłem przez kuchnię, w drzwiach znów przystanąłem, nadstawiając ucha, po czym ruszyłem prosto do gabinetu.

Róg pokoju zajmowało obszerne mahoniowe biurko, z boku stał regał z licznymi zamykanymi szafkami i szufladami, dalej szafa ubraniowa oraz niewielki telewizor. Na środku biurka leżał gruby granatowy trójpierzścieniowy segregator, tego samego typu, w jakim sporządzano księgi postępowania dochodzeniowego. Nie widziałem go tu wczoraj wieczorem, ale teraz był, jak gdyby gospodarz jeszcze do niego zaglądał przed wyruszeniem rano do pracy. Nalepka na grzbiecie wypisana odręcznym charakterem głosiła: „Trinh”.

Przestrzeń wokół tej księgi i dookoła biurka pozostawała w nienagannym porządku. Sprzęt ograniczał się do domowego komputera i telefonu bezprzewodowego, przy klawiaturze piętrzył się niewielki stosik papierów. Przerzuciłem je pospiesznie, ale nie znalazłem niczego powiązanego ze sprawą. Teczki leżące

w szufladach biurka dotyczyły spraw osobistych i były opisane jako „polisy ubezpieczeniowe”, „bieżące rachunki” i temu podobne. Podszedłem do szafy i popatrzyłem z góry na resztę materiałów dochodzeniowych. Pudło przekazane przez Munsona stało na podłodze. Na nim leżało kilka plastikowych wypchniętych teczek ściśniętych dwiema grubymi gumkami, a obok niego spoczywały dwie inne książki postępowania dochodzeniowego. Dotyczące spraw Repko i Frostokovich. Zrobiło mi się smutno na ich widok.

- Witaj, Debra - szepnąłem.

Zrobiłem zdjęcia pudła i segregatorów leżących na dnie, po czym wykonałem kilka szerszych ujęć obejmujących całe wnętrze szafy. Następnie wyciągnąłem pudło na środek pokoju, ułożyłem na nim książki postępowania dochodzeniowego i zrobiłem kilka dalszych ujęć, obejmujących również biurko Marksa i jego rzeczy osobiste, jak też księgę z dochodzenia w sprawie Trinh leżącą na biurku. Chciałem mieć niezbite dowody, że brakujące akta znajdowały się w domu komendanta.

Kiedy uznałem, że starczy mi zdjęć, otworzyłem księgę postępowania ze sprawy Sondry Frostokovich. Czytałem jeszcze pierwszą stronę, gotów przekopać się przez komplety materiałów, kiedy odczułem wibracje komórki.

- Minęli mnie właśnie Marx i Munson w drodze do domu. Masz najwyżej pół minuty.

Nie tracił czasu na dalsze wyjaśnienia. Byłem w domu komendanta dopiero od ośmiu minut i ledwie zdążyłem się zorientować, nabrałem ochoty na zapoznanie się z wykradzionymi aktami, sfotografowanie ich i odłożenie na miejsce, żeby zyskać na czasie, okazało się jednak, że ten plan jest nierealny. Ilość papierów była dość pokaźna, ale plastikowe teuczki wypełniały pudło ledwie do połowy, dorzuciłem więc na wierzch pozostałe dokumenty i księgę postępowania, po czym wyniosłem wszystko do łazienki sąsiadującej z gabinetem Marksa.

Ledwie wycofałem się na korytarz, usłyszałem stuk otwieranych drzwi prowadzących z kuchni do garażu. Pospiesznie ustawiłem ciężkie pudło na sedesie i otworzyłem okno. Ledwie się na nie wdrapałem, trzasnęły frontowe drzwi. Marx powiedział coś, czego nie zrozumiałem. Pospiesznie sięgnąłem po wyładowane papierami karton.

Gdy tylko zdążyłem zamknąć okno i dać nura w krzaki odgradzające tylne podwórze posesji Marksa od sąsiedniej, panicznie wcisnąłem klawisz szybkiego połączenia z Pike'em. Odpowiedział krótko:

- Jestem.
- Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem.

Przecisnąłem się przez zwarty żywopłot na sąsiednie podwórze i ujrzałem czerwonego dżipa na ulicy przed domem. Pewnie powinienem ruszyć w jego stronę spokojnym krokiem, ale rzuciłem się sprintem, nie patrząc za siebie i nie dbając o to, czy ktoś mnie zobaczy.

Ledwo wskoczyłem na tylne siedzenie, trzymając wyładowane pudło kartonowe, Pike wcisnął gaz i ruszył z miejsca. Drzwi zatrzasnęły się z takim impetem, że boleśnie uderzyły mnie w ramię.

- Niewiele brakowało - rzekł Joe.

Aż popłakałem się ze śmiechu. Był to idiotyczny chichot, przypominający szczekanie psa, ale nie mogłem się powstrzymać, dopóki Pike nie ścisnął mnie mocno za ramię.

## 34.

Kanion za moim domem dawał wytchnienie w czasie południowych upałów, gdyż zawsze wiał od niego lekki wiatr, dzięki

któremu jastrzębie zapuszczały się aż tutaj w swoich łowach na myszy i króliki. Gdzieś z jego głębi doleciał teraz odgłos piły łańcuchowej wgryzającej się w pień drzewa, a towarzyszyły mu rytmiczne strzały pneumatycznego pistoletu do wbijania gwoździ. W tym rejonie zawsze ktoś coś budował, toteż podobne odgłosy były na porządku dziennym. Dla mnie były to odgłosy normalnego życia.

Postawiliśmy kartonowe pudło z aktami i księgami procedur dochodzeniowych na stole w saloniku i wypiliśmy po butelce wody mineralnej. Później zjedliśmy po dużym pączku nadziewanym marmoladą truskawkową, spoglądając na wykradzione papiery w takim napięciu, jakbyśmy chcieli zyskać na czasie przed zajrzeniem do skoroszytów.

Później podzieliliśmy się robotą. Ja zacząłem od księgi procedur ze sprawy Frostokovich i od razu spostrzegłem, że brakuje niektórych stron. Każda księga dotycząca morderstwa zaczyna się od wstępnego raportu detektywów obejmujących dochodzenie, gdzie umieszcza się opis ofiary oraz miejsca zbrodni. W tym segregatorze brakujący wstępny raport z miejsca przestępstwa podpisali Marx i Munson, tyle że nie było go w papierach. Dalej następowały sprawozdania z rozmów z robotnikami budowy, którzy natknęli się na zwłoki, oraz z najbliższą rodziną zamordowanej, to znaczy Ronem i Idą Frostokovichami. Jeśli Marx i Munson zamienili chociaż po parę słów z przyjaciółkami Sondry, z którymi jadła kolację tamtego wieczoru, to w księdze nie było na ten temat ani słowa. W numeracji stron po zeznaniach rodziców Sondry widniała dwunastostronicowa luka. Dalej zachował się nietknięty sześciostronicowy protokół z sekcji zwłok, ale za nim brakowało kolejnych trzech stron. Darowałem sobie przeglądanie reszty papierów w segregatorze.

- Tę księgę już zdążyli spreparować - powiedziałem. -  
Brakuje wielu stron.

Pike przerzucał teczki w kartonie. Mruknął tylko w odpowiedzi, po czym otworzył srebrzyste etui, w którym znajdowało się pudełko z płytą DVD. Widniało na niej wypisane mazakiem nazwisko Repko, widoczne doskonale nawet przez półprzejrysty mleczny plastik pudełka.

- Masz swój zaginiony zapis wideo - rzekł.

Do pudełka była przyklejona taśmą biała koperta. Joe odkleił ją, wyjął ze środka krótkie pismo i przebiegł je wzrokiem, zanim wyciągnął w moim kierunku.

- Wysłali ten zapis do laboratorium FBI. Nasi technicy się nie mylili. Federalni także nie byli w stanie uzyskać czytelnego obrazu z tego zapisu.

Było to pismo z laboratorium FBI w San Francisco zaadresowane do zastępcy komendanta policji, Thomasa Marksa. Potwierdzało to, co przed chwilą usłyszałem od Pike'a.

- Dlaczego w ogóle wysyłali tę płytę do laboratorium FBI? Skoro Marx podejrzewał, że ten zapis może oczyścić Byrda z zarzutów bądź pogрузić radnego Wiltsa, to dlaczego od razu jej nie zniszczył?

Pike mruknął po raz drugi i obaj wróciliśmy do przeglądania papierów.

Księga procedury w sprawie Trinh także była już spreparowana, brakowało niektórych stron, choć nie tak wielu, jak w aktach Frostokovich. Przy nich księga ze sprawy Repko wyglądała jak dokumentnie ograbiona. Brakowało większości notatek, jak również znacznej części policyjnych sprawozdań.

Odłożyłem księgi na bok i sięgnąłem po cienką teczkę opisaną jako BILINGI TELEFONICZNE REPKO. Jako pierwsze w teczce znajdowało się pismo od prezesa firmy będącej operatorem sieci komórkowej, zaadresowane do komendanta Marksa, a dotyczące brakujących pozycji w wykazach połączeń.



*Szanowny Komendancie Marx,  
na Pańskie osobiste żądanie, zgodnie z telefonicznym ustaleniem, że poniższa korespondencja będzie poufna do czasu uzyskania przez adwokatów obu stron stosownych nakazów sądowych, przedstawiam wykaz połączeń z ostatnich dwóch miesięcy dotyczących żądanego numeru abonenckiego, pozostającego własnością kancelarii Leverage Associates. Jak już nadmieniałam, liczę na Pańską dobrą wolę oraz dyskrecję co do zakresu naszej ścisłej współpracy.*

*Gdybym mogła jeszcze służyć pomocą w tej sprawie, proszę bez wahania dzwonić pod mój bezpośredni numer telefonu.*

*Z poważaniem,  
prezes firmy, Paulette Brennen.*

Data wskazywała, że Marx wystąpił o ujawnienie spisu połączeń prawie na tydzień przed odnalezieniem zwłok Byrda.

- Tylko spójrz na to - powiedziałem. - Marx zwrócił się do operatora o ujawnienie spisu połączeń w sieci komórkowej z palmtopa Debry Repko, podczas gdy Darcy i Maddux nie mieli nawet pojęcia, że miała takie urządzenie i wykorzystywała je do połączeń służbowych.

- Nie pytałeś o to Bastilli?

- To starsze pismo. Nawet nie wiem, czy Bastilla była już wtedy zaangażowana w sprawę.

Pike zajrzał mi przez ramię i po chwili obrócił kartkę.

Następnych pięć zawierało wydruk połączeń przychodzących i wychodzących z palmtopa Debry z okresu dwóch miesięcy poprzedzających jej śmierć. Ręczne dopiski na marginesie, robione albo niebieskim, albo czarnym długopisem, identyfikowały większość numerów jako należących do innych pracowników Leverage. Przy kilku widniał prosty dopisek „rodzina”, ale sześć było zaznaczonych żółtym odblaskowym markerem. Tych sześć

połączeń zostało wykonanych w ciągu dziesięciu dni poprzedzających śmierć właścicielki palmtopa. Zaznaczone na żółto numery nie były zidentyfikowane. Przerzuciłem kartkę.

Dalej znajdowała się kserokopia fotografii prostego telefonu komórkowego wyprodukowanego przez Kyoto Electronics. Był to tani model, niewyposażony ani w aparat fotograficzny, ani w odtwarzacz skompresowanych plików muzycznych. Do zdjęcia była dołączona specyfikacja danych technicznych urządzenia oraz krótki list:

*Pani detektyw C. Bastilla,  
interesujący Panią aparat komórkowy (model AKL-1500, produkowany przez Kyoto Electronics - widoczny na dołączonej odbitce) był sprzedawany w ramach akcji promocyjnych poszczególnych operatorów sieci komórkowych. Telefon o podanym numerze wraz z dodatkową pulą bezpłatnych minut na rozmowy został sprzedany za gotówkę. Z tego też powodu nie jesteśmy w stanie udzielić żadnych dalszych informacji na temat jego nabywcy.*

*Ze względów prawnych i proceduralnych nie możemy też dostarczyć wykazu połączeń z wymienionego wyżej telefonu bez stosownego nakazu sądowego. Po otrzymaniu takiego nakazu z przyjemnością podejmiemy współpracę z wymiarem sprawiedliwości.*

*Z poważaniem,  
Michael Toman,  
Kierownik Sekcji Operacyjnej*

- Aż dwa razy dzwoniła pod numer podkreślony na żółto tego dnia, kiedy została zamordowana - zauważył Pike.
- Joe, Bastilla próbowała zidentyfikować właściciela tego telefonu.
- Na to wygląda. I wygląda też na to, że próbowali zidentyfikować jeszcze kogoś innego.

Podsunał mi całą teczkę wypchaną dokumentami dotyczącymi Wiltsa, ale nie były to sprawozdania i raporty, jakich się spodziewałem. Cały zestaw był oznakowany nalepką z napisem „FBI” i zaczynał się od listu skierowanego przez Marksa do dyrektora FBI w Waszyngtonie, oznakowanego jako „osobisty i poufny”. Był do niego dołączony krótki spis numerów telefonicznych zawierający również numer podkreślony na żółto na poprzednich dokumentach.

*Proszę potraktować ten list jak osobistą prosty, aby Pańska agencja wystąpiła o stosowne sądowe nakazy, mające być wstępem i podstawą do wszczęcia dochodzenia, w sprawie bilingów połączeń telefonicznych z obszaru Los Angeles obejmujących wyszczególnione numery, prowadzonego niezależnie i bez żadnych powiązań z moją agencją, to znaczy komendą główną policji w Los Angeles czy jakimkolwiek innymi terenowymi agencjami bądź urzędami, nie wyłączając przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości. Podejrzany radny Nobel Wilts może dysponować wiedzą bądź też być zamieszany w sprawę wielokrotnego mordercy działającego w ciągu ostatnich siedmiu lat, stąd też wynika moja prośba o zachowanie jak najdalej posuniętej dyskrecji w rzeczonyj kwestii.*

Zapatrzyłem się na kopię tego listu, jakbym nie mógł uwierzyć własnym oczom. W końcu uwolniłem się od poczucia narastającej frustracji i spojrzałem na datę. Marx przesłał to pismo faksem do centrali FBI zaledwie osiem dni temu, a więc na dwa dni przed tym, jak cały świat się dowiedział, że to Lionel Byrd popełnił wszystkie rzeczony zbrodnie.

- Joe - jęknąłem, podsuwając mu tę kartkę.
- A więc wcale nie ochraniają Wiltsa - rzekł, przebiegłszy wzrokiem tekst faksu. - Prowadzą śledztwo, traktując go jak podejrzanego. I jest to otwarte, nadal trwające śledztwo.

Zdążyliśmy zapoznać się z resztą dokumentów, zanim podjechał pierwszy samochód. Nie był to wóz patrolowy na sygnale

z włączonym kogutem, nie było też desantu brygady antyterrorystycznej przybyłej helikopterem. Złowiłem tylko chrzest żwiru na podjeździe przed domem i cichy pisk hamulców.

Pike podszedł do okna.

- To Marx.

Przybywał do nas „wewnętrzny krąg” wtajemniczonych.

## 35.

Z lexusa wysiedli Marx i Munson. Bastilla nadjechała z przeciwnej strony z podążającym za nią czarno-białym wozem patrolowym policji miejskiej. Spostrzegli mnie z grubsza w tym samym momencie, ale nikt nie krzyknął, nikt też nie rzucił się w moją stronę, żeby mnie obezwładnić.

Marx zachował spokojną minę, ale wydawał mi się większy, jak gdyby napięcie nerwowe przyprawiło go o opuchliznę.

- Ty bezduszny sukinsynu - burknąłem. - Oznajmiłeś publicznie, że to koniec brutalnych zabójstw.

Munson strzelił palcami, nakazując mi bez słowa, żebym odsunął się od drzwi.

- Wejdźmy do środka, Cole. Musimy wyjaśnić sobie parę spraw.

- Macie nakaz sądowy?

- Przestań się wygłupiać - wtrąciła Bastilla. - Zachowuj się jak dorosły, poważny człowiek.

Umundurowani gliniarze z patrolu pozostali w radiowozie, ale reszta wkroczyła do domu. Marx spojrzał podejrzliwie na Pike'a, po czym zmarszczył brwi na widok teczek z aktami i ksiąg postępowania dochodzeniowego rozłożonych na stole.

Kazał Bastilli pozbierać wszystkie papiery i popatrzył na mnie, marszcząc czoło.

- Zapoznałeś się z tymi dokumentami?
- Wystarczająco dokładnie, żeby zrozumieć, czym się zajmujecie. Zgarnąłem to wszystko, bo podejrzewałem, że osłaniacie zabójcę.

- Zatem już wiesz, że byłeś w błędzie. Powinieneś był sobie odpuścić, ale ty musiałeś podążać na oślep własnym torem rozumowania.

- Mój tor rozumowania wyznaczyła sprawa Yvonne Bennett, Marx. A teraz dołożyły się rodziny Debry Repko oraz Idy Frostokovich i pozostałych ofiar zabójcy. Wmówiłeś tym ludziom, że sprawa jest zakończona. Pochowali swoje zamordowane córki, ale będą musieli je teraz wykopać z grobów. Co ty sobie myślałeś, do jasnej cholery?

Wskazał palcem Pike'a.

- Ile osób poza nim wie, czym się naprawdę zajmujemy?
- Kilka.
- Zapewne wszechstronnej pomocy udziela ci Poitras, prawda?
- Poitras o niczym nie ma pojęcia.
- Więc podaj inne nazwiska.
- Daj sobie spokój, Marx. Nie usłyszysz żadnego, żeby nie wiem co.

Munson wysunął się na pierwszą linię natarcia.

- Kochasiu, możesz stawiać na swoją nietykalność osobistą, możesz bronić swoich praw, ale nie wytłumaczysz, jak wszedłeś w posiadanie zaginionych akt policyjnych. Mało kogo byłoby stać na to, żeby się włamać do domu zastępcy komendanta głównego policji,

- Musieliście mnie pomylić z kimś innym.

Munson zaśmiał się krótko. Pomyślałem, że byłby z niego nawet całkiem równy facet, którego mógłbym polubić, gdyby piastował inne stanowisko.

- Daj spokój, Cole. Nie żartuj. Kto inny mógłby dokonać tego włamania, biorąc pod uwagę, jak nas ostatnio śledziłeś? Zatem skup się lepiej na kłopotach, jakie masz przed sobą.

Pike, stojący w przejściu z kuchni do pokoju, odparł:

- My nie mamy żadnych kłopotów.

Munson teatralnie wyszczerzył do niego zęby.

- Tylko popatrzcie na Pike'a. Ma taką minę, jakby chciał sięgnąć po broń. Co pan na to, szefie? Moglibyśmy go zastrzelić pod pretekstem stawiania czynnego oporu podczas aresztowania.

Bastilla uniosła głowę znad akt.

- Przestań się wygłupiać.

- To miał być żart. Oni wiedzą, że tylko żartowałem.

Marx obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem człowieka, który dokładnie rozważył zaistniałą sytuację i bynajmniej nie jest w nastroju do żartów.

- Mogliśmy błyskawicznie załatwić nakazy aresztowania i od razu przyjechać tu z chłopcami z komendy miejskiej, ale tego, nie zrobiliśmy. Nie mogę was zmusić do współpracy, ale trochę się pohamujcie. Gdyby Wilts się dowiedział, nigdy nie zdołalibyśmy postawić go w stan oskarżenia. Musieliśmy publicznie kłamać w sprawie tego dochodzenia. Ale teraz jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, a wy jesteście tu z nami.

- Jesteście więc przekonani, że to Wilts zamordował te kobiety?

- Tak.

- Więc dlaczego zamknęliście śledztwo w sprawie Byrda? Dlaczego wmówiliście rodzinom zabitych, że wszystko jest jasne?

- Bo właśnie na takim rozwiązaniu zależało Wiltowski.

Munson odsunął krzesło spod stołu i oparł na nim stopę, jakby zamierzał dosiąść konia.

- Uważamy, że zaaranżował samobójstwo Byrda, żeby

zamknąć sprawę Repko, pewnie dlatego, że się przestraszył, iż zobaczymy go wyraźnie na zapisie wideo z systemu bezpieczeństwa. Niejako wymusił na nas konkretne działania tym cholerym albumem ze zdjęciami. Kiedy uświadomiliśmy sobie, na czym mu zależy, złożyliśmy mu w ofierze Byrda, żeby zyskać na czasie.

- Czemu właśnie Byrda? - zaciekawiał się Pike.

Munson wzruszył ramionami.

- Bo był już powiązany z zabójstwem jednej z kobiet, Yvonne Bennett. Na pewno wykombinował sobie, że jeśli znajdziemy trupa Byrda ze zdjęciem zamordowanej Bennett w albumie, uznamy, że musiał też popełnić pozostałe zbrodnie. A jeśli chcesz wiedzieć, co łączyło Wiltsa z Byrdem, to tego jeszcze nie wiemy. Wilts mógł go wybrać w ciemno tylko ze względu na związek ze sprawą Bennett, niewykluczone jednak, że naprawdę się znali.

- Podjął ogromne ryzyko, zakładając, że o wszystkim zapomnicie tylko dlatego, że znaleźliście Byrda i jego album - powiedziałem.

Marx zacisnął wargi w wąską linię.

- No cóż, Cole, myślę, że uznał, że cel jest wart podjęcia takiego ryzyka. Repko nie była dziewczyną z ulicy, sam nadstawił karku, zabijając dziewczynę, którą znał. A nie popełnił tak poważnego błędu od czasu zabójstwa Frostokovich.

Poczulem, jak narasta we mnie wściekłość.

- Czyżbyście już od siedmiu lat wiedzieli, łobuzy, że to on zabija kobiety?

Munson zarechotał gardłowo, przez co Bastilla znów podniosła wzrok znad papierów, a Marx wyraźnie się rozpozogdził.

- Oczywiście, że nie wiedzieliśmy. Nabraliśmy podejrzeń dopiero po odkryciu albumu Byrda.

- Przecież sam mówiłeś, że pierwszy błąd popełnił, zabijając Frostokovich.

- Do cholery, to fakt, że blisko z nim współpracowałem, ale nigdy bym się nie posunął do zatuszowania morderstwa.

Zgadza się, już wtedy był z niego kawał łajdaka, ale przecież uwzględniłem go w dochodzeniu, mimo że był moim przyjacielem. Nikt nie wierzy na słowo, że jego przyjaciel jest zdolny do popełnienia takiej zbrodni.

- I dlatego go puściłeś? Zatarłeś jego ślady?

- Odpieprz się, Cole. Składał zeznania tylko dlatego, że znajomy dziewczyny zeznał, że natknął się na niego podczas tamtej uroczystej kolacji. Zeznał, że z przyjęcia pojechał do swojej garsoniery w Chinatown, ale sam. Musieliśmy więc uznać, że to spotkanie na przyjęciu było czysto przypadkowe. Nawet jeśli uważaliśmy go za wrednego kutasa, po prostu nie mieliśmy innego wyjścia. Nie mogliśmy zacierać po nim śladów, bo nie mieliśmy przeciwko niemu żadnych dowodów. A przecież nie tworzy się spraw karnych tylko na podstawie przypadkowego spotkania dwóch osób. Musieliśmy przejść nad tym do porządku dziennego. Po jakimś czasie wmówiłem sobie, że głupotą było podejrzewanie go o zabójstwo. W końcu był moim przyjacielem, a na tamtym przyjęciu tylko przypadkiem widział się z ofiarą.

- Sytuację odmieniła śmierć Repko - wtrącił Pike.

- Owszem, jej śmierć dała nam wiele do myślenia, ale szalę przeważył dopiero album ze zdjęciami. Widok zamordowanej Frostokovich przywołał dawne podejrzania. Wilts znał niektóre z ofiar, był podstawowym czynnikiem łączącym zabójstwa.

Munson wszedł mu w słowo i wyjaśnił, że dodatkowym elementem stało się odkrycie powiązania Wiltsa z czwartą w kolejności ofiarą ukazaną w albumie, dwudziestopięcioletnią prostytutką, Marshą Trinh. Sprawdzenie rejestru jej zatrzymań ujawniło, że była wśród pięciu prostytutek, które Wilts najął do obsługi prywatnego przyjęcia dla wpływowych prominentów na



miesiąc przed jej śmiercią. To była już trzecia z siedmiu zamordowanych kobiet, którą Wilts znał osobiście. A to już kierowało na niego uzasadnione podejrzenia.

- Przed nami i tak jeszcze daleka droga, Cole - podsumował Munson. - Dlatego też nie możemy dopuścić, żebyś przyciągnął uwagę opinii publicznej do tej sprawy. Ten facet musi być przekonany, że nic mu nie zagraża.

- Jak blisko jesteście?

- Już byśmy go aresztowali, gdybyśmy coś na niego mieli. Ale nie mamy.

- Nie boicie się, że wam zwieje?

- Nigdy nic nie wiadomo, ale raczej nie powinien. Ludzie uwielbiają świadomość, że zdołali innych przechytrzyć. Wielką satysfakcję daje im poczucie wyższości. Jemu zależało na przekonaniu nas, że zabójcą był Byrd, i na razie głęboko wierzy, że przyjęliśmy tę wersję. Właśnie dlatego postanowiliśmy tańczyć tak, jak nam zagrał. Dopóki jest przekonany, że nic mu nie grozi, możemy potajemnie zbierać dowody przeciwko niemu. Nie wziął tylko pod uwagę, że nie da się popelnąć siedmiu morderstw, nie robiąc przy tym żadnego błędu. To po prostu niewykonalne.

Munson pokiwał głową, jakby chciał zaakcentować, że sam w to wierzy, po czym spojrzął na mnie.

- Musisz więc zrozumieć, że mocno się gimnastykujemy, żeby zamknąć tę sprawę, lecz na razie to ty nam przysparzasz najwięcej problemów, rozpytując pracowników Leverage, płosząc tę Casik czy wciągając w to wszystko Alana Levy'ego...

Uniosłem obie ręce, żeby go powstrzymać.

- Zaraz, chwileczkę. Niby w jaki sposób spłoszyłem Ivy Casik?

Marx zrobił kwaśną minę.

- Właśnie dlatego nie lubię takich wolnych strzelców jak ty. Nigdy nie wiesz, jak należy się zachować...

Obejrzałem się na Bastille.

- Co to za bzdury, Bastilla? Odnaleźliście ją?

- Nawet nie musieliśmy jej szukać. Sama się zgłosiła. Chciała złożyć na ciebie skargę.

- Za co?

- Powiedziała, że oskarżyłeś ją o rozprowadzanie narkotyków.

- Zapytałem tylko, czy nie kupowała oxycodonu dla Byrda.

- Ale ona potraktowała to jak pogrożkę.

- Co mówiła o tym tajemniczym reporterze?

- Nie było żadnego reportera, palancie. Wymyśliła tę historijkę, żeby się od ciebie uwolnić. Dopiero potem nabrała obaw, że może mieć przez to kłopoty, dlatego zgłosiła się do nas, żeby wszystko wyprostować.

Zanotowałem to sobie w pamięci. Ciekaw byłem, czy Levy odszukał Ivy Casik i czy usłyszał od niej to samo co ja. Bastilla zaczęła wkładać teczki z aktami do kartonowego pudła, na wierzchu umieściła księgi postępowania dochodzeniowego.

- To wszystko, szefie.

Marx skinął głową i utkwił we mnie wzrok. Tak silnie marszczył przy tym brwi, że głęboka bruzda na jego czole wyglądała jak ślad po przejściu pługa na polu pod zasiew kukurydzy.

- I co teraz będzie? Możemy liczyć na współpracę z waszej strony?

Zerknąłem na Pike'a, a ten szybko przytaknął ruchem głowy.

- Nie podoba mi się to wszystko, ale rozumiem, do czego zmierzacie. Nie będę siedział z założonymi rękami, Marx, ale nie chcę też wchodzić wam w paradę. Nie jestem aż takim durniem.

- To się jeszcze okaże.

Wyciągnął rękę. Tak mnie zaskoczył, że pewnie zbyt długo się wahałem, ale w końcu uściśnałem mu dłoń. Odwrócił się i

wyszedł. Munson wziął ze stołu karton i ruszył za nim. Bastilla też chciała wyjść, ale zatrzymałem ją przed drzwiami.

- Kiedy przyskrzynicie Wiltsa, wszystkie wcześniejsze konszachty komendanta z radnym będą musiały wyjść na jaw. Jestem w pełni świadom, że on doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Uniosła wysoko brwi, ale w jej wykonaniu był to jedynie przejaw tak stoickiego spokoju, z jakim się jeszcze dotąd nie zetknąłem.

- Jak to miło z twojej strony, Cole.

Zostałem jeszcze przy drzwiach, zaszuchany w odgłosy oddalających się aut, po czym podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do Alana Levy'ego. Po raz kolejny odebrał Jacob.

- Przykro mi, panie Cole, ale nie ma go. Chciałby pan zostawić jeszcze jedną wiadomość?

- Byłoby o wiele prościej, gdybyś mi podał numer jego komórki.

Oczywiście nie zrobił tego, ale obiecał, że zaraz powiadomi adwokata o moim telefonie.

Odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się do Pike'a.

- Jadę na spotkanie z Ivy. Jeśli naprawdę ją tak wystraszyłem, to chciałbym zobaczyć, jak zareaguje na twój widok.

- Nie sądzisz, że mogła kłamać?

- Kogoś na pewno okłamała. Pozostaje pytanie, kogo.

Byliśmy już przy drzwiach, kiedy zadzwonił Alan Levy.

Przynajmniej Jacob dotrzymał danego słowa.

## 36.

Rozmowa z Levym przyprawiła mnie o rozterki. Alan bardzo chciał pomóc, dałem jednak Marksowi słowo, doskonale rozumiejąc konieczność dochowania tajemnicy, nie powiedziałem

więc adwokatowi, że Wilts jest pierwszym podejrzanym. Powiedziałem mu za to o Ivy Casik.

- Rozmawiałem ponownie z Bastilla. Dowiedziałem się od niej, że Ivy zmyśliła całą tę bajeczkę o reporterze.

- A gdzie Bastilla ją znalazła?

- Nie szukała. Podobno Ivy sama się zgłosiła ze skargą na mnie.

Przekazałem mu to, czego się niedawno dowiedziałem. Alan pomrukiwał rytmicznie, słuchając moich wyjaśnień, po czym zapytał z niedowierzaniem:

- Naprawdę utrzymywała, że jej groziłeś?

- Była zaskoczona tym, że ją odnalazłem, ale oczywiście ani jej nie groziłem, ani nie zrobiłem niczego, żeby ją przestraszyć. Powiedziała Bastilli, że zmyśliła tę bajeczkę o reporterze, aby się ode mnie uwolnić.

- I Bastilla w to uwierzyła?

- Na to wygląda. W każdym razie podobno to Ivy dzwoniła do Bastilli, a nie odwrotnie. I chciała złożyć skargę.

- Nie powiedziała przy tym niczego nowego na temat Byrda?

- Nie sądzę. W każdym razie Bastilla nic o tym nie wspomniała.

Alan nie odzywał się przez chwilę.

- Powinniśmy porozmawiać z tą dziewczyną. Dzisiaj znów do niej pukałem, ale nie było jej w domu.

- Mieliśmy z Pike'em właśnie jechać do niej, kiedy zadzwoniłeś.

- Dobrze. Gdybyście ją odnaleźli, daj mi znać. Mam wrażenie, że ta dziewczyna wie więcej, niż jest skłonna powiedzieć.

- Też mi się tak zdaje.

- Zapisz sobie numer mojej komórki, żebyś nie musiał znowu zostawiać wiadomości u Jacoba.

Podyktował mi numer. Wyszliśmy z Pike'em, zamknawszy wszystkie okna i drzwi. Pojechaliśmy dwoma samochodami na wypadek, gdybyśmy musieli się rozdzielić, i skierowaliśmy się od wylotu kanionu na wschód, w stronę osiedla, gdzie mieszkała Ivy Casik.

Budynek otaczała taka sama cisza jak podczas mojej poprzedniej wizyty, miało się wrażenie, że wszyscy mieszkańcy i sam budynek byli pogrążeni w głębokim śnie. W stojącym popołudniowym powietrzu unosił się zapach gardenii rosnących na podwórzu, który kojarzył mi się z ponurą atmosferą eleganckiego domu pogrzebowego.

Gdy stanęliśmy przed drzwiami mieszkania Ivy, zapukałem, lecz tak jak poprzednio nikt nie odpowiedział.

- Paskudne miejsce - mruknął Pike.
- Mieszkają tu specyficzni ludzie.
- Może ona jest w pracy.
- Zajmuje się projektowaniem stron internetowych i pracuje w domu.

Pike sięgnął ponad moim ramieniem i zapukał głośniejsze. Dużo głośniejsze.

Przytknąłem ucho do drzwi, w nadziei, że złowię jakieś odgłosy dobiegające z mieszkania. Po lewej stronie drzwi znajdowało się duże okno, lecz Ivy szczelnie je zasłoniła. Zbliżyłem twarz do szyby, osłoniłem oczy dłońmi i usiłowałem dojrzeć cokolwiek przez wąską szparę między zasłonkami, ale nic mi to nie dało. Światła były pogaszone, w polu widzenia miałem tylko wąziutki wycinek lokalu. Nagle z mej pamięci wypłynął widok zabitego Angela Tomaso i w jednej chwili nabrałem obaw, że mogę znaleźć Ivy w takim samym stanie.

- Znowu się pan dobija?

Obróciliśmy się obaj jak na komendę. Przed nami stał gruszkogłowy dozorca domu. Zamrugał szybko, po czym przeniósł wzrok na Pike'a i zamrugał jeszcze szybciej.

- O rety... - jęknął.

Mały rudy kundel przecisnął się między jego nogami, zawrócił i stanął przy nim, zerkając na nas z ciekawością.

- Przepraszam - bąknąłem. - Na tym podwórku jakoś dziwnie głośnym echem odbijają się wszelkie hałasy.

- Wam znowu chodzi o kontakt z policją?

Miał na sobie tę samą bawełnianą koszulę i te same workowate szorty, jak poprzednio, a w rękę wciąż trzymał szklaneczkę do koktajli, może również tę samą. Odznaczał się pomarszczonymi, obwisłymi, naznaczonymi cellulitem i nadzwyczaj białymi nogami.

- Zgadza się - odparłem. - Pilnie musimy się z nią zobaczyć.

- Nie tylko wy. Jeszcze ktoś był tu wcześniej i tak samo się dobijał do drzwi.

Pewnie mówił o Levym.

- Nie pojawiała się w domu?

- Powinniście wiedzieć, że dużo podróżuje. Podejrzewam, że nawet nie wyjęła ze skrzynki tej kartki z wiadomością, którą jej pan zostawił.

Zagrzechotał kostkami lodu w szklance, najwyraźniej niezadowolony, że zostawiłem tę wiadomość w skrzynce na listy, a nie u niego. Popatrzył na psa i rzucił ze złością:

- No, idź się odlać.

Pies jak gdyby uśmiechnął się do niego szeroko, zawrócił i zniknął w głębi mieszkania.

- Nie opowiada mi się, kiedy wychodzi i kiedy wróci. Jeśli zechcecie zostawić u mnie wiadomość dla niej, na pewno przekażę.

Zerknąłem z powrotem na drzwi mieszkania Ivy, coraz bardziej zaciekawiony, co się za nimi kryje.

Pike szerokim gestem wskazał inne lokale na tej samej klatce schodowej.

- Nie wie pan, czy przyjaźniła się z kimś z sąsiedztwa? Może ktoś wie, gdzie jej szukać.

Zmierzył Pike'a od stóp do głowy uważnym spojrzeniem i znowu zagrzechotał kostkami lodu. Niespodziewanie wyciągnął rękę i rzekł:

- Nazywam się Darbin Langer. A pan?

- Pike.

O mnie dozorca jak gdyby zapomniał.

Pokręcił głową w odpowiedzi na wcześniejsze pytanie Joego.

- Wątpię. Nie należy do osób szczególnie otwartych i przyjacielskich, poza tym wszyscy cenimy tu sobie prywatność. Każdemu zależy na ciszy i spokoju, bez żadnych hałasów i łomotów. W każdym razie o tej porze większość mieszkańców jest w pracy, toteż muszę was prosić, żebyście do nikogo więcej się nie dobijali.

- Pozwoli pan, że wsunę jej kartkę z wiadomością pod drzwiami? Może to przyniesie lepszy rezultat niż zostawianie kartek w skrzynce na listy.

Zmarszczył brwi, jeszcze bardziej rozżłoszczony, po czym obejrzał się w głąb swego mieszkania.

- Mnie tam wszystko jedno. Byłście przestali hałasować.

Obaj z Pike'em obróciliśmy się z powrotem do drzwi mieszkania Casik, chociaż nie miałem najmniejszego zamiaru zostawiać kolejnej wiadomości. Dałem Joemu znak, żeby został przed drzwiami, a sam poszedłem na tyły budynku, żeby zajrzeć przez okno do środka.

Tylna ściana była obrośnięta dzikimi różami pnącymi się po ażurowej drabince przymocowanej do muru, między nią a ogrodzeniem posesji ciągnął się tylko wąski mroczny tunel. Posplatanie różane pędy muskały mnie po twarzy niczym palce jakiejś zjawy. Dotarłem ścieżynką do okien lokalu Ivy, skradając się jak zboczeniec, pchany dokuczliwym przecuciem, że lada moment ujrzę coś, czego nie mam najmniejszej ochoty oglądać, na

przykład mieszkankę lokalu leżącą na podłodze z poderżniętym gardłem.

Jako pierwsze były dwa okna sypialni, także zasłonięte, choć nie tak szczelnie jak od strony klatki. Przez pierwsze nic się nie dało zobaczyć, ale w drugim między zasłonkami znajdowała się szczelina szerokości dłoni. Pokój za oknem tonął w półmroku, zdołałem jednak dojrzeć duże podwójne łóżko i otwarte drzwi prowadzące na korytarzyk wychodzący do frontowego saloniku. Poza łóżkiem w pokoju nie było niczego więcej, żadnych mebli, ale nie było też zwłok na podłodze. Przemknęło mi przez myśl, że Ivy mogła się ukrywać pod łóżkiem, było to jednak bardzo mało prawdopodobne.

Następne było okienko łazienki, maleńkie i umieszczone wysoko, żeby nikt nie mógł zajrzeć, co się w środku dzieje. Sprawdziłem wytrzymałość drabinki i wspiąłem się na metr w górę. W takim okienku zasłonki nie były potrzebne, toteż nic nie przesłaniało mi widoku. Ale w łazience Ivy także nie było. Zeskoczyłem na ziemię, zerknąłem przez następne okno do drugiego pokoju, ale zaraz cofnąłem się do okienka łazienkowego, jeszcze raz wszedłem ostrożnie na drabinki i zajrzałem do środka. Łazienka wyglądała na równą wiekiem pozostałym pomieszczeniom budynku, stała w niej żeliwna wanna na nóżkach, a fugi między popękаныmi kafelkami były poczerniałe. Na podłodze leżała wyblakła winylowa wykładzina, która żółkła tu systematycznie chyba jeszcze od lat sześćdziesiątych. Coś mnie zastanowiło w tym widoku, chociaż musiało upłynąć parę sekund, zanim sobie przypomniałem.

Zeskoczyłem na ziemię i wróciłem szybko na podwórze.

- Czysto? - zapytał Pike.
- Mówiła mi, że była zmuszona wynająć pokój przy Anson Lane, ponieważ w jej mieszkaniu trwa remont łazienki, w której pojawił się grzyb, tymczasem łazienka wygląda tak, jakby nikt w niej niczego nie ruszał od lat.



Zapukaliśmy do drzwi mieszkania Langer. Otworzył je szeroko, wciąż trzymając w dłoni szklaneczkę, uśmiechnął się kwaśno i bąknął:

- Tak szybko wróciliście?
- Czy miał pan jakiś problem z grzybem na ścianach łazienki w mieszkaniu Ivy?

Zmrużył oczy, jakby podejrzewał, że chcemy go w coś wrobić.

- Z grzybem?
- Nie trzeba było remontować łazienki w jej lokalu, żeby pozbyć się grzyba ze ścian?

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Ivy twierdziła, że kilka miesięcy temu pojawił się w jej mieszkaniu grzyb na ścianach, dlatego musiała się wyprowadzić na parę tygodni, żeby umożliwić remont łazienki.

- Nigdy tu nie mieliśmy grzyba na ścianach. Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi.

- Widział pan, jak się wyprowadzała?

- Cóż, wyjeżdżała na jakiś czas, niekiedy na dłużej, ale było to związane z jej pracą.

- Przecież podobno pracowała w domu.

Poruszył nerwowo szklaneczką, tyle że lód zdążył się roztopić i nie rozległ się grzechot.

- Z tego, co wiem, to pracowała w którejś wytwórni filmowej. Zajmowała się bodajże makijażem czy fryzurami aktorów. To dlatego tak dużo podróżowała. Przenosiła się z jednego planu zdjęciowego na drugi.

Pike jęknął gardłowo.

- Strony internetowe, już to widzę...

Obejrzałem się po raz kolejny na drzwi mieszkania Ivy. Skwar na ciasnym podwórku wydawał się większy niż w rzeczywistości, kwitnące w nim gardenie pachniały jak śmiertelna trucizna.

- Panie Langer, jak długo Ivy tu mieszkała?

Przeniósł wzrok na Pike'a, ale zaraz znowu popatrzył na mnie, marszcząc czoło. Najwyraźniej był coraz bardziej zdenerwowany.

- Od jakichś czterech miesięcy. A dlaczego pan pyta?
- Chcielibyśmy obejrzeć jej mieszkanie, jeśli łaska - rzekł Joe.

Langer znowu spojrział na niego i tym razem nerwowo przystąpił z nogi na nogę.

- Chcecie, żebym was wpuścił? To niezgodne z prawem. Poza tym nie wolno mi tego robić...

Znów nerwowo poruszył szklaneczką z trunkiem.

- Zarówno policja, jak i ja chcieliśmy rozmawiać z Ivy na temat mężczyzny podejrzanego o wielokrotne zabójstwa - wyjaśniłem.

- Mordercy? - zapytał szybko ze zdziwieniem.
- Właśnie dlatego przewija się tu tak dużo ludzi, gdyż chodzi na to, że Ivy kłamała w niektórych swoich zeznaniach. Wszyscy się palą, żeby porozmawiać z nią po raz drugi. - Ponownie zerknąłem przez ramię na drzwi jej mieszkania. - Zresztą niewykluczone, że już wróciła i teraz siedzi w środku, tylko nie chce nikomu otworzyć.

On także popatrzył na drzwi mieszkania dziewczyny. Pike przysunął się do niego i powtórzył cicho:

- Niech nam pan otworzy, panie Langer.

Dozorca błyskawicznie cofnął się do swego lokalu po klucze.

## 37.

Tego dnia, kiedy rozmawiałem z Ivy Casik na temat Lionela Byrda, jej mieszkanie sprawiało wrażenie urządzonego bardziej niż skromnie, po spartańsku, ale teraz wyglądało po prostu na opuszczone, jakby od dawna nikt tu nie mieszkał. Kanapa, fotel i

stojący na stoliku tani zestaw obiadowy robiły wrażenie wyposażenia przeznaczonego na krótkoterminowy wynajem dla urlopowiczów. W szufladzie kuchennej były tylko trzy widelce, trzy łyżki i otwieracz do konserw. Pościel na szerokim małżeńskim łóżu wyglądała na wyblakłą, jak gdyby zdjętą ze sklepowej wystawy, a w szafie nie było żadnych ubrań. Jeśli w mieszkaniu znajdował się aparat telefoniczny, Ivy musiała go zabrać ze sobą.

Langer chodził za nami z pokoju do pokoju, nerwowo wyłamując palce.

- Na pewno wyjechała - oznajmił w końcu Pike. - Nawet nie miałyby tu po co wracać.

Nie ulegało wątpliwości, że Ivy Casik okłamała nie tylko mnie, ale także sprzedawcę ze sklepu, Langerę, jak również Bastille. A skoro tak gładko kłamała wszystkim dokoła, przyszło mi do głowy, że równie dobrze mogła występować pod przybranym nazwiskiem.

Zapytałem Langerę, czy opłacała czynsz czekami, mając nadzieję, że został mu jeden z nich, by na tej podstawie dało się odtworzyć informacje dotyczące konta bankowego, lecz energicznie pokręcił głową.

- Zapłaciła gotówką. Wszystko, co do centa, włącznie z zastawem hipotecznym. Za pół roku z góry.

- A co z umową najmu?

Obaj z Pike'em rozglądaliśmy się jeszcze po mieszkaniu, gdy Langer wrócił biegiem z umową. Był już tak zdenerwowany, że ręce mu się trzęsły.

- Tu mam numer jej telefonu komórkowego, ale gdy zadzwoniłem pod niego, odezwał się ktoś inny, niejaki Rami.

- Podała do umowy fałszywy numer - rzekł Pike. - Pewnie resztę danych też zmyśliła.

Langer podetknęła mi pod nos umowę najmu, jakby się spodziewała, że wszystko zrozumiemy przez sam fakt zobaczenia tej umowy.

Był to standardowy dokument, którego wzorzec można kupić w każdym sklepie papierniczym, zobowiązujący najemcę do płacenia co miesiąc określonej sumy czynszu i odpowiedzialności za wszelkie szkody wynikłe z użytkowania lokalu. Liczne puste rubryki zostawiały miejsce na wyszczególnienie dodatkowych informacji, na przykład ostatniego adresu stałego zamieszkania czy też referencji.

- To pańskie odręczne pismo czy jej?
- Jej. Jest dużo łatwiej, jak się zostawi formularz klientowi, żeby wypisał go w spokoju. Siedzieliśmy wtedy przy stole, rozmawialiśmy...

Zwróciłem uwagę, że posługiwała się niebieskim długopisem, a jej pismo było dość silnie pochylone w prawo. Jako ostatnie miejsce stałego zameldowania wyszczególniła tylko adres w Silver Lake i tak zapewne fałszywy. Były wypełnione rubryki zawierające numery prawa jazdy oraz ubezpieczenia społecznego, podejrzewałem jednak, że podobnie jak numer komórki i one są fałszywe. Mimo to przepisałem je do notatnika. Miałem ochotę zadzwonić do Bastilli, żeby jeszcze więcej ludzi zaczęło wypełniać ukochane podwórko Langerera echem dobijania się do zamkniętych drzwi.

Rubryka dotycząca konta bankowego pozostała pusta.

- Nie domagał się pan tak ważnej informacji?
- Skoro płaciła gotówką z góry i sprawiała wrażenie takiej sympatycznej...

Rudy kundel znowu wykradł się z jego mieszkania i zaczął krążyć między naszymi nogami. Pike czule poklepał go po łebku, a pies polizał jego rękę.

Cały formularz był wypełniony tym samym niebieskim długopisem, z wyjątkiem typu i numeru rejestracyjnego samochodu. Te dane zostały wpisane czarnym długopisem i odmiennym charakterem pisma.

- Pan to dopisał?
- Aha... Tak, ja. Ludzie często zapominają numerów rejestracyjnych własnych samochodów. Kiedy następnego dnia zobaczyłem, do którego samochodu wsiada, uzupełniłem te informacje w umowie.

Zgodnie z tym wpisem jeździła białym fordem neonem z rejestracją kalifornijską i wyglądało na to, że są to jedyne prawdziwe dane w całym formularzu, chyba że korzystała ze skradzionego auta. Przypomniałem sobie jednak, że widziałem tego białego neona tamtego dnia, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy.

- Znowu zjawi się tu policja?
- Tak, na pewno.
- Ale przecież nie zrobiłem nic złego, prawda?
- Został pan okłamany tak samo jak my wszyscy.

Podziękowaliśmy mu za pomoc, po czym wróciliśmy do samochodu, żeby powiadomić Bastille. Nie wydawała się szczególnie podniecona naszym odkryciem.

- Przecież rozmawialiśmy z tobą nie dalej jak pół godziny temu, a ty znowu drążysz tę sprawę?

- Upredzałem, że nie będę siedział spokojnie na tyłku. Jesteś tym zainteresowana czy nie?

- A więc wszystkich nas okłamała, Cole. I co z tego? Ludzie kłamią bez przerwy.

- To przecież jedyna osoba, która utrzymywała bliższy kontakt z Byrdem, a skoro kłamała w tak wielu sprawach, mogła też kłamać co do swojej znajomości z nim. To naprawdę ani trochę cię nie martwi?

- Owszem, martwi mnie, ale na razie nie ma większego znaczenia w takim czy innym kontekście. Czy ten facet, z którym rozmawialiście, gospodarz budynku, mieszka na terenie tej nieruchomości?

- Tak, ma tam mieszkanie.
- W porządku. Przekażcie mu, żeby nigdzie się nie ruszał.

Sprawdzę, czy nie mamy w kartotece czegoś na temat tego auta, nim zaczniemy go wałkować.

Rozłączyłem się i popatrzyłem na Pike'a.

- Przyjadą tu, żeby porozmawiać z Langerem.
- Jasne. W takim razie wracajmy, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie.

Skwitowałem to śmiechem. Otworzyłem ponownie telefon i połączyłem się ze znajomym z wydziału komunikacji. Podykto-  
wałem mu numer rejestracyjny neona i już po minucie uzyska-  
łem żadaną informację. Biały ford był zarejestrowany na niejaką  
Sarę Hill mieszkającą w niewielkim miasteczku o nazwie Syl-  
mar, położonym u wylotu doliny San Fernando.

- Zgłaszano kradzież tego auta?
- Nie. Brak też innych zastrzeżeń, opcji bankowych czy chociażby rejestru niezapłaconych mandatów. Dane rejestracyj-  
ne nie budzą zastrzeżeń i wyglądają na aktualne.

Odłożyłem telefon i popatrzyłem na Pike'a.

- Może to właśnie jest jej prawdziwe nazwisko - rzekł.

Sara Hill figurowała w miejskiej informacji miasteczka Syl-  
mar. Przepisałem numer jej telefonu i zadzwoniłem. Po szóstym  
sygnale rozległ się lekko zachrypnięty głos kobiety, z pozoru  
dużo starszej.

- Czy mógłbym rozmawiać z Ivy?
- Pomyłka. Przerwała połączenie.

Po raz drugi wybrałem ten sam numer i teraz odebrała już po  
drugim sygnale.

- To jeszcze raz ja. Czy rozmawiam z Sarą Hill?
- Tak.
- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale próbuję się  
skontaktować z Ivy Casik.

- No to życzę powodzenia, bo ja nie znam nikogo takiego. Sprawiała wrażenie poirytowanej.
- Wcale nie jestem tego pewien. Chodzi o kobietę, która jeździ samochodem zarejestrowanym na panią.  
Tym razem odezwała się łagodniejszym tonem:
- Jest pan z biura obsługi kart kredytowych?
- Nie, proszę pani. Nie mam nic wspólnego z kartami kredytowymi.  
W jej głosie nadal pobrzmiwało niedowierzanie.
- Więc z kim chciał pan rozmawiać?
- Z wysoką i szczupłą dziewczyną o prostych włosach, dwudziestoparoletnią...
- Nie znam nikogo takiego! - odezwała się znowu ostro. -  
I proszę tu więcej nie dzwonić!

Połączenie zostało przerwane. Nie miałem ochoty dzwonić więcej pod ten numer, toteż Pike poszedł do swojego dżipa, a ja wsiadłem do mego wozu i ruszyliśmy przez przełęcz Cahuenga do Sylmar.

## 38.

Sylmar to małe rolnicze miasteczko leżące u podnóża gór, u wylotu Newhall Pass, na samym końcu doliny San Fernando. Wzdłuż głównych ulic ciągną się niemal zabytkowe pawilony handlowe poprzetykane budkami z fast foodami, ale pozostałości dawnych warsztatów samochodowych i zakładów naprawczych rozrzuconych wokół miasteczka ocalały nietknięte zębem czasu głównie dzięki bliskiemu sąsiedztwu autostrad, linii kolejowych i elektrowni. Przy drogach dominowały koślawe tablice z napisami JADŁO albo SPANIE.

Pike podjechał za mną pod skromny dom w nieco zapuszczonej okolicy między Golden State Freeway a linią kolejową. Podwórka były tu duże, w stylu udającym prawdziwe farmerskie posiadłości, jednak wypalone dotkliwym upałem niemal do gołej ziemi. Na wielu z nich rozsypywały się zardzewiałe wraki samochodów, a siatkowe ogrodzenia zdawały się chylić ku ziemi pod samym ciężarem powietrza. Nawet w takim sąsiedztwie dom Sary Hill sprawiał wrażenie nadzwyczaj zmęczonego życiem i do cna przeżartego smutkiem.

Na podjeździe przed garażem nie było białego forda neona, objechaliśmy więc cały kwartał, żeby sprawdzić, czy nie jest zaparkowany gdzieś nieopodal bądź ukryty na sąsiednim podwórku. Kiedy wróciliśmy przed dom, ustawiliśmy auta po obu stronach ulicy, po czym Pike ruszył truchtem na tyły domu, żeby zabezpieczyć tamtą stronę. W skrzynce leżały trzy listy, nie licząc kilku reklamówek. Wszystkie były zaadresowane do Sary Hill. Trafiliśmy pod właściwy adres.

Z pocztą w ręku podszedłem do drzwi i nacisnąłem dzwonek, a po chwili zapukałem. Kilka sekund później gdzieś z głębi domu doleciał głos Sary Hill:

- Kto tam?
- Dzwoniłem w sprawie Ivy Casik.
- Proszę odejść. Nic nie wiem o zaciągniętym kredycie i nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie.
- Przyniosłem pani pocztę.
- Proszę ją położyć! - odparła jeszcze głośniej. - Kradzież czyjejs korespondencji jest przestępstwem federalnym. Wezwę policję.
- Ja jestem z policji. Proszę otworzyć, żebym mógł się wylegitymować.

Kłamstwo jest najczęściej najprostszą drogą do celu. Sara Hill otworzyła drzwi. Była dużą kobietą o piorunującym spojrzeniu i opuchniętych stawach. Jej sylwetka niemal szalenie



wypełniła prześwit we framudze drzwi. Miała na sobie cienką letnią sukienkę wystrzępioną na szwach i opierała się na lasce. Spróbowałem ponad jej ramieniem zajrzeć w głąb domu, ale było to niewykonalne.

- Naprawdę nie jest pan z banku kredytowego?
- Nic mi nie wiadomo na temat jakiegokolwiek kredytu.

Proszę spojrzeć.

Podetknąłem jej pod nos swoją licencję. W niczym nie przypominała policyjnej odznaki, ale podejrzewałem, że kobieta nie ma zielonego pojęcia, na co patrzy.

- Niech mi pan da tę pocztę. Źle panu z oczu patrzy. Wygląda pan tak samo odrażająco, jak brzmi pański głos.

Uniosłem w górę trzymane listy, ale nie wyciągnąłem ich w jej kierunku.

- Biały neon.
- Nie jest pan z banku kredytowego?
- Nie jestem pracownikiem żadnego banku. Próbuję tylko odnaleźć kobietę, która jeździ samochodem zarejestrowanym na panią. Prawdopodobnie dysponuje pewnymi informacjami w sprawie zabójstwa i z tego powodu może być w niebezpieczeństwie.

W jej świdrującym spojrzeniu pojawiły się błyski lęku, jak gdyby przywykła już do złych wieści i obawiała się, że usłyszy jedynie takie.

- Ale nie miała żadnego wypadku, prawda? Chybabym tego nie zniosła w takiej chwili.

- Więc zna pani kobietę przedstawiającą się jako Ivy Casik?

- Nie znam żadnej Ivy Casik. Moja córka nazywa się Jonna Hill. To ona jeździ tym samochodem i podejrzewam, że przestała spłacać za niego raty. Co się stało?

Po raz kolejny podjąłem próbę spojrzenia ponad jej ramieniem, unosząc rękę mniej więcej na wysokość Ivy.

- Tego wzrostu, mocno zbudowana, atletycznej budowy ciała, o prostych włosach, z sercem wytatuowanym na ramieniu.

Zatrzepotała powiekami, jakby w obawie przed okazaniem strachu, po czym zawróciła na pięcie i opierając się ręką o ścianę dla zachowania równowagi, ruszyła w głąb domu. Laską wskazała coś znajdującego się na końcu saloniku, czego nie dostrzegłem, idąc za nią.

Ciasny pokój wydawał się tak samo zapuszczony, jak frontowe podwórko, od meblowej tapicerki zalatywało surowym mięsem i octową marynatą. Pod oknem stał archaiczny czarno-biały telewizor, który zapewne nie działał od wielu lat. Wykorzystywała go jako podwyższenie stolika, gdyż na nim stał mały turystyczny odbiornik marki Hitachi obstawiony zdjęciami w ramach. Laską postukała w obudowę telewizora przed jednym z nich i powiedziała:

- To właśnie Jonna. Tylko niech mi pan nie mówi nic złego na jej temat.

Był to klasyczny portret maturalny, jaki robią sobie wszyscy Amerykanie w ostatniej klasie szkoły średniej, wykonany z wielkoformatowego negatywu, z którego dało się zrobić odbitki niemal każdego formatu. Oczywiście Jonna to była Ivy, tyle że nieco młodsza, z naturalnymi ciemnymi włosami. W ciągu ostatniego tygodnia widziałem mnóstwo takich fotografii, ale podobizna Jonny Hill nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia. Bo obok stało zdjęcie Yvonne Bennett.

Zapatrzyłem się na nie, zanim przeniosłem spojrzenie na Sarę Hill. Wykrój oczu stanowił jedyny element, w którym córka była do niej podobna. A w jej źrenicach paliły się ogniki wściekłości.

Joe Pike wyszedł z kuchni swoim kocim chodem, niemal bezszelestnie.

- Nie ma jej tu.

Pani Hill aż się zachwiała, wsparła mocniej na lasce i zrobiła krok w bok.

- Matko Boska! A to co znowu? Kim pan jest?

Uśmiechnąłem się do niej przyjaźnie.

- Wszystko w porządku, pani Hill. To mój kolega, także z policji. Chcieliśmy się tylko upewnić, że jest pani bezpieczna.

Spojrzałem na Pike'a.

- Sprawdź, czy czegoś nie zostawiła.

Gospodyni groźnie machnęła za nim laską, gdy Pike się odwrócił i zniknął w głębi domu.

- Dokąd on idzie? Co będzie tam robił?

- Tylko się rozejrzy. To rutynowe zadanie policyjne. Zawsze najpierw się rozglądamy.

Znowu wskazała palcem zdjęcie i rzuciła groźnie:

- Lepiej, żebyście nie byli z banku kredytowego i nie kłamali, żeby tu pomyszkować. Jonna ostrzegła, że ci od kredytów mogą tu przysłać człowieka, który będzie jej szukał.

Zachowując łagodny ton, jak i przyjazny uśmiech zapytałem:

- Czy Jonna mówiła pani, że ukrywa się przed windykatorem z banku kredytowego?

- Tylko trochę zalega ze spłatą rat, nic więcej. Wie pan, jak teraz dzieciaki traktują plastikowe pieniądze. Powiedziała, że zaczynają się odgrażać i że gdyby ktokolwiek się tu zjawił, mam mówić, że nie wiem, gdzie ona jest, i nie mam z nią żadnego kontaktu. - Nagle oczy jej się rozszerzyły, jakby uprzytomniła sobie, co powiedziała. - Ale to nie wy jej szukacie, prawda? Jeśli mnie okłamaliście, zaraz sięgam po telefon i dzwonię na policję.

- Nie, naprawdę nie jesteśmy z banku kredytowego.

- Więc dlaczego szukacie Jonny? Chyba nie wpadła w żadne kłopoty, prawda?

- Niestety, obawiam się, że wpadła.

Kobieta cofnęła się do kanapy i usiadła z wysiłkiem.

- Boże, niech pan wypluje te słowa. Mówiła mi, że ma tylko drobne kłopoty ze spłatą kredytu, a teraz jeszcze coś?

Podniosłem fotografię Yvonne. Musiała być pięć czy sześć lat starsza od Jonny i chociaż istniało między nimi pewne podobieństwo, na pierwszy rzut oka trudno się było domyślić pokrewieństwa. Nawet na zdjęciu z klasy maturalnej dziewczyna znana mi jako Ivy Casik wyglądała na zasepioną i ponurą. Tymczasem na wargach Yvonne błąkał się tajemniczy uśmiezek niemający wiele wspólnego z dziewczęcą niewinnością.

- Czy to siostra Jonny?

- O niej w ogóle nie chcę mówić. To ta zła. Zawsze była zła i te złe nawyki doprowadziły ją do zguby. Nawet nie trzymałabym tutaj tego zdjęcia, gdyby nie Jonna. Zezłościła się, kiedy je schowałam.

- Miała na imię Yvonne?

Sara Hill zrobiła zdziwioną minę.

- A skąd pan wie?

- Pracowałem nad jej sprawą.

- Bez przerwy się włóczyła. Już za młodu nie była lepsza od kotki w rui.

Zaczęła mi drgać prawa powieka, próbowałem opanować ten tik. Odstawiłem fotografię na miejsce.

- Miały innych ojców i dlatego noszą inne nazwiska?

- Tak, jedna dobrego, druga złego. Zresztą ten dobry też okazał się niewiele lepszy. Odszedł od nas tak jak i jego koledzy, żeby się zadawać z włóczęgami. Jonnie odszukała chyba połowę z nich, kręcąc się po okolicy i udając włóczęgę.

Pike pojawił się w korytarzyku i pokręcił głową. Znaczyło to, że niczego nie znalazł. Przysiadłem na kanapie obok pani Hill.

- Musimy odnaleźć Jonnę. Wpakowała się w dużo poważniejsze kłopoty niż tylko zaległości ze spłatą kredytu.

- Niech mi pan nie mówi, że i ona została dziwką. Jonna zawsze była dobrą dziewczyną, niepodobną do Yvonne. Więc proszę mi tego nie mówić.

- Pamięta pani Lionela Byrda?

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- To on został oskarżony o zabicie Yvonne. Nie wiedziała pani o tym?

Nerwowo pokręciła laską, jakby chciała dać do zrozumienia, że nie zamierza o tym słuchać.

- Umyłam od tego wszystkiego ręce. Zawsze była zła i te złe nawyki doprowadziły ją do zguby. Rozstałyśmy się na długo przedtem, zanim spotkała ją zasłużona kara.

Nie bardzo wiedziałem, jak mam zareagować.

- Umyła pani ręce?

- Kiedy zadzwonili z policji, powiedziałam im, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Tylko Jonna z tego powodu się naciępiła. Mój Boże, nie mogła tego znieść, powtarzała w kółko, że ten morderca ujdzie bezkarnie, tyle że ja nie chciałam o tym słuchać, nie chciałam się nurzać w tych brudach i dlatego powiedziałam: „Dosyć, Jonna, Yvonne nie była tego warta. Zawsze zachowywała się nieprzyzwoicie i w końcu dostała to, na co zasłużyła”.

- Zaczekam przed domem - rzekł Pike.

Pani Hill ze zmarszczonymi brwiami odprowadziła go wzrokiem.

- Czy Jonna mówiła, że chciałaby wymierzyć karę człowiekowi, który zamordował Yvonne? - zapytałem.

Ponownie machnęła laską.

- Niech pan nie żartuje. W końcu się otrząsnęła, znalazła sobie dobrą pracę i dzięki Bogu całkiem nieźle jej się powodzi. To moja ukochana córeczka. W ogóle nie rozmawiamy o Yvonne. Ona wie, że ja bym tego nie zniosła.

- Gdzie ona jest?

- Pewnie w domu.
- Przyjechaliśmy tu prosto z jej mieszkania, które wygląda tak, jakby się stamtąd wyprowadziła.

Pani Hill zrobiła zdziwioną minę.

- Może pomyślała, że jesteście z banku kredytowego. Była tu nie tak dawno i gdy wychodziła, powiedziała, że jedzie do domu.

Jej dość swobodny ton nasunął mi podejrzenie, że prawdopodobnie mówimy o dwóch zupełnie różnych rzeczach. - I wróciła do Hollywood?

- A po co miałyby jechać do Hollywood?
- Do swojego mieszkania.
- Przecież ona nie mieszka w Hollywood, tylko tutaj, niedaleko, nad sztucznym jeziorem.

Mogłem się przekonać po wyrazie jej oczu, że mówi prawdę, a w każdym razie to, co uznaje za prawdę. Jej córka skutecznie wyprowadziła wszystkich w pole.

Nagle źrenice jej się zwęziły i zamrugnęła szybko.

- Ale nie jesteście z banku kredytowego, prawda? Tak bardzo się bała, że ktoś będzie jej szukał, że zastanawiała się nawet, czy gdzieś się nie ukryć.

Uśmiechnąłem się szerzej, pełen obaw, że mój uśmiech wygląda fałszywie.

- Zapewniam, że nie jesteśmy z banku kredytowego. Proszę nam powiedzieć, gdzie mieszka Jonna. Postaram się sprawdzić, czego tak bardzo się boi.

## 39.

Jonna Hill wynajmowała niewielki bungalow, niewiele większy od garażu Angela Tomaso, nie dalej niż kilometr od rodzinnego domu. Pike został z Sarą, by uniemożliwić jej ostrzeżenie córki

przez telefon, a ja pojechałem sam. Nie miałem pojęcia, czego oczekiwać, ale zastałem ją w trakcie przygotowań do wyjazdu.

Biały ford neon, który stał przy domu z otwartym bagażnikiem, przypominał potwora z szeroko rozwartą paszczą. Kobieta, którą znałem jako Ivy Casik, wkładała właśnie do tej paszczy naręcze ubrań, kiedy skręciłem na podjazd. Nie rozpoznała mnie w pierwszej chwili, może dlatego, że mało co widziała zza sterty ciuchów. Wsiadłem i powiedziałem:

- Cześć, Jonna. Pamiętasz mnie?

Rzuciła ubrania i skoczyła do drzwi. Dopadłem ją w paru sekundach, ale z niewiadomych przyczyn zeskoczyła ze schodów, zawróciła i pognąła w kierunku ulicy. Być może była do tego stopnia przestraszona, że myślała wyłącznie o tym, by uciekać, gnać przed siebie na oślep.

Dopadłem ją na frontowym trawniku, złapałem wpół i oboje zwałiliśmy się na próchniczną ziemię usłaną suchymi liśćmi. Zaczęła wierzgać i wywijać na oślep pięściami, dopóki nie przycisnąłem jej łokci do boków i nie zawołałem:

- Dosyć, Jonna! Przestań!

- Opowiedziałam o tobie policji! Zaraz znowu ich wezwę!

- Nie musisz. Już wiem, że jesteś siostrą Yvonne. Uspokój się.

Przestała się wreszcie miotać i znieruchomiała, oddychając gwałtownie z takim świstem, jak gdyby szlochała.

Postawiłem ją na nogi i poprowadziłem do domu, gdzie usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Na ścianie wisiało kilka zdjęć Yvonne Bennett, w większości przedstawiających je obie z czasów dzieciństwa, na których Jonna była sporo mniejsza od starszej siostry, ale już wtedy zasepiona i ponura, nawet gdy Yvonne z uśmiechem obejmowała ją i tuliła do siebie. Zauważyłem po śladach, że zdążyła już zdjąć kilka fotografii, choć niemało ich jeszcze zostało na ścianie.

- Kto ci pomagał?
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- Kto ci pomagał go zabić?

Pokręciła głową.

- Znałam go jako Lonniego Jonesa. Poznałam jego prawdziwą tożsamość dopiero z artykułów w gazetach.

- Mam uwierzyć, że siostra zamordowanej Yvonne Bennett tylko przypadkiem wynajęła pokój naprzeciwko domu człowieka, który był oskarżony o popełnienie tej zbrodni?

- Różne rzeczy się zdarzają.
- Skąd wzięłaś fotografie?
- O niczym nie wiem. Dzwonię na policję.

Ktoś musiał jej dać zdjęcia do albumu. Ktoś musiał jej powiedzieć, gdzie znajdzie Lionela Byrda, podsunął jej gotowy plan działania i przekonał ją, żeby w końcu wyrównała rachunki z człowiekiem, który zamordował jej siostrę. Ktoś ją zwyczajnie wykorzystał i pierwszą osobą, jaka przychodziła mi na myśl, był Wilts. Tylko on mógł pragnąć wystawić Byrda, żeby powstrzymać śledztwo w sprawie śmierci Repko. Wciąż jednak nie miałem żadnego dowodu na poparcie tej hipotezy.

- To był Wilts? - zapytałem wprost.
- Nie rozumiem, o czym pan mówi.
- Wilts dał ci fotografie?
- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

W jej spojrzeniu nie było nawet cienia lęku, domyśliłem się więc, że nie wyduszę z niej przyznania się do czegokolwiek. Z aparatu komórkowego zadzwoniłem do Pike'a.

- Mam ją. Była w domu.
- Już tam jadę.

Schowałem komórkę do kieszeni i zacząłem się ciekawie rozglądać dokoła. Przede wszystkim wypatrywałem pistoletu albo noża, jakiegokolwiek broni, której mogłaby użyć przeciwko mnie.



Lecz wzrok mój padł na kserokopię policyjnego raportu z aresztowania Lionela Byrda i leżące pod nią sądowe akta dotyczące wycofania zarzutów wobec oskarżonego. Uniosłem je.

- To się nazywa kluczowym dowodem przestępstwa.

Szybko wyciągnęła przed siebie rękę z wyprostowanym środkowym palcem.

- A to się nazywa: „pieprz się”. Nic na mnie nie macie.

Na blacie kuchennym leżał jej portfelik, kluczyki od samochodu, ciemne okulary i dwa telefony komórkowe. W pierwszej chwili nie zwróciłem na nie uwagi, ale jeden z nich wydał mi się znajomy. Był duży i kanciasty, z pozoru tani i pospolity, ale dokładnie taki sam aparat widziałem na zdjęciu specyfikacji technicznej w aktach Marksa.

Kiedy sięgnąłem po niego, Jonna poruszyła się niespokojnie.

- Nie wiem, dlaczego pan się na mnie aż tak wziął, ale przysięgam, że wpakuję pana do aresztu. Wcale nie żartuję.

Przytknąłem palec do warg.

- Ciii...

- To nie mój telefon! Znalazłam go!

- Ciii...

Im dłużej mu się przyglądałem, tym bardziej nabierałem pewności. Jej drugim telefonem była smukła mała motorola, ale aparat marki Kyoto był bez wątpienia identyczny z tym, którego opis znajdował się w policyjnych aktach. Debra Repko odebrała sześć połączeń z takiego samego modelu kupionego na wyprzedży z przypisanym na stałe numerem. I łączyła się z tymże numerem podobnej komórki za pośrednictwem swojego palmtopa.

Pike wjechał na podjazd i ustawił wóz tuż za fordem neonem. Po chwili zjawił się w drzwiach. Bez słowa skinął mi głową. Na jego widok oczy Jonny się rozszerzyły, jakby zobaczyła jadowitą kobrę. Pokazałem mu telefon.

- Poznajesz?

- To ten tani, z akcji promocyjnej.
- Zgadza się.

Włączyłem aparat i zapatrzyłem się na ekranik, czekając, aż urządzenie odnajdzie sygnał i zarejestruje się w sieci. Dobrą minutę zajęło mi odkrycie sposobu na przejrzenie spisu ostatnich połączeń, a gdy się w końcu wyświetliły, szybko przewinąłem listę, po czym wyświetliłem spis połączeń przychodzących. Nie jestem pewien, czy się nie uśmiechnąłem. Wszystkie rozmowy wychodzące były łączone z tym samym numerem, który już znałem.

- I co? - zaciekał się Pike.

- Dzwoniła pod ten sam numer co Debra Repko. I wszystkie rozmowy przychodzące były łączone z tego samego aparatu.

- To numer Wiltsa?
- Zaraz się przekonamy.

Jonna poderwała się z krzesła i skoczyła do drzwi, ale Pike wprawnie złapał ją wpół. Zaczęła wierzgać i szarpać się w jego objęciach, lecz błyskawicznie ją unieruchomił i drugą ręką zakrył usta. Ścisnął ją na tyle, żeby przestała się szamotać, po czym dał mi znak ruchem głowy.

Wybrałem połączenie z wyszczególnionym numerem i uniosłem aparat do ucha. Nie czekałem długo. Po dwóch sygnałach rozległ się męski głos:

- Jonna? Jonna, gdzieś ty była?! Dzwoniłem...

Wstrzymałem oddech, pełen obaw, że na drugim końcu linii i tak słyhać mój puls łomoczący w skroni.

- Halo?! Słyszysz mnie? - odezwał się podniesionym głosem. - To jakaś pomyłka?

Wyłączyłem telefon, wypuściłem wstrzymywany oddech i zaczerpnąłem głęboko powietrza. Miałem ochotę roztrzaskać kómkę o ścianę, żeby się uwolnić od wszystkich czarnych myśli,

ale i to było ponad moje siły. Nie byłem w stanie się nawet poru-  
szyć.

- Odebrał Wilts? - zaciekawiał się Pike.

Pokręciłem głową.

- Nie. Alan Levy.

Część czwarta

## WZAJEMNOŚĆ

## 40.

Pike związał jej ręce w nadgarstkach przedłużaczem. Ja wrzuciłem oba telefony komórkowe do szarej papierowej torby po zakupach, którą znalazłem w kuchni, ale poza tym niczego nie ruszaliśmy. Nie wątpiłem, że Marx chciałby zachować miejsce przestępstwa w stanie możliwie nienaruszonym na użytek swoich detektywów i techników kryminalistyki. W końcu to była jego rozgrywka i jemu powinienem był zostawić nawet to zadanie, ale nie zdołałem się opanować.

Kiedy Pike umieścił Jonnę na tylnym siedzeniu swojego dżipa, zadzwoniłem do Bastilli. Dysponowałem wyłącznie numerem jej komórki, ale nie odebrała. Być może nadal była na mnie wściekła, choć nie mogłem wykluczyć, że wyłączyła aparat, przystępując do pracy. Tak czy inaczej, nawet się ucieszyłem, że nie odebrała. Zostawiłem jej wiadomość:

- Ivy Casik w rzeczywistości nazywa się Jonna Hill i jest przyrodnią siostrą Yvonne Bennett. Dzwon do Pike'a, on się nią zajmie.

Podyktowałem jeszcze numer Joego, po czym zamknąłem dom Jonny na klucz, wsiadłem do dżipa i przekazałem Pike owi klucze.

- Policja będzie ich potrzebowała. Zostawiłem Bastilli wiadomość i podałem numer twojej komórki. Na pewno będzie dzwoniła.

Pike miał zaopiekować się Jonną i jej matką w jakimś bezpiecznym miejscu, dopóki nie pojawi się Marx.

- Na pewno nie chcesz, żebymjechał z tobą? - zapytał.
- Nic mi nie będzie. Zobaczymy się niedługo.

Odprowadziłem wzrokiem odjeżdżającego dżipa, po czym obejrzałem się na dom wynajmowany przez Jonnę. Przyjrzałem mu się dokładnie, a następnie popatrzyłem w niebo. Rozciągał się nad nim błękit nieba niezmacony ani przez chmury, ani przez stada ptaków. Żałowałem, że jest aż tak jednostajny, ale nic nie mogłem poradzić na ten widok mleczno-błękitnej pustyni. Wsiadłem do swojego auta i popatrzyłem na numer komórki, jaki podyktował mi Alan Levy, ale nie chciałem rozmawiać z nim przez telefon. Zadzwoiłem więc do jego biura.

- Cześć, Jacob. Zastałem Alana?
- Przykro mi, ale go nie ma. Nie dzwonił wczoraj wieczorem? Przekazałem mu zostawione przez ciebie wiadomości.
- Owszem, dzwonił, ale znowu muszę z nim rozmawiać. Chyba nie jest dzisiaj w sądzie, prawda?
- Och, nie. Odwołał wszystkie swoje spotkania, gdy tylko nabrała rozgłosu sprawa pana Byrda. Nie zaglądał do kancelarii przez parę dni.
- Rozumiem.
- Mogę mu przesłać kolejną wiadomość.
- Nie ma takiej potrzeby. Jak sądzisz, pracuje w domu?
- Tego nie wiem, panie Cole. Zna pan Alana, równie dobrze może być pochłonięty pisaniem krótkiego wystąpienia, jak też zbieraniem materiałów do kolejnej sprawy. Trudno za nim nadążyć.

Przerwałem połączenie i zadzwoniłem do znajomej agentki handlu nieruchomościami, która miała dostęp do bazy danych wpłat hipotecznych urzędu podatkowego. Po sześciu minutach dysponowałem już domowym adresem Alana Levy'ego i jechałem w kierunku Santa Monica. Było już popołudnie, gdy dotarłem na miejsce. Nie powinienem był tu przyjeżdżać, a jednak

to zrobiłem. No i powinienem był zaczekać na policję, ale tego akurat nie zrobiłem.

Pod uzyskanym adresem w uroczej dzielnicy mieszkalnej stał duży piętrowy dom w stylu Cape Cod, oddalony zaledwie o trzy przecznice od plaży. Starannie utrzymane uliczki dojazdowe i chodniki, obecność dzieciaków na deskorolkach oraz dwumiejscowych garaży niemal przed każdym domem nasilały wrażenie, że w takiej bliskości Santa Monica mieszkają wyłącznie ludzie bogaci. Zaparkowałem przy krawężniku po drugiej stronie ulicy. Zaraz przejechało obok mnie dwóch chłopaków na łyżworolkach, a chwilę później zwróciłem uwagę na kobietę, zapewne gosposię, stojącą przed następnym domem przy skrzyżowaniu. Na kilku posesjach pracowali ogrodnicy, ale przed domem Levy'ego panował spokój. Brama na końcu podjazdu zasłaniała wjazd do garażu, nie mogłem więc dostrzec, czy wóz Alana stoi przed nim, czy nie. O tej porze roku jego dzieci zapewne nie chodziły już do szkoły, ale na pierwszy rzut oka trudno było ocenić, czy ktoś jest w domu. Nie mogłem wykluczyć, że chłopcy są na jakimś letnim obozie, lecz równie dobrze mogli się teraz pluskać w basenie kąpielowym, a Alan razem z nimi. Albo też krył się gdzieś w głębi domu i obserwował ulicę przez szparę między zasłonkami.

Wyciągnąłem rewolwer spod fotela, wetknąłem go pod połą koszuli, wysiadłem i ruszyłem chodnikiem. Moja komórka zaczęła wibrować, ledwie stanąłem na chodniku. Spojrzałem na ekran. Dzwoniła Bastilla, ale ją zignorowałem.

Frontowe drzwi były masywne i ciężkie jak wieko trumny. Zapukałem delikatnie, później nacisnąłem dzwonek, ale nikt nie odpowiedział, toteż przeskoczyłem bramę przegradzającą drogę na podjazd i po kilku sekundach znalazłem się na obszernym tylnym podwórzu z wielkim basenem kąpielowym obrzeżonym

patio z czerwonej cegły oraz zachwycającym różanym ogrodem. W basenie nie pluskały się dzieci rozchlapujące wodę. Rodzina gospodarza nie siedziała łukiem, ciesząc się wspaniałym letnim popołudniem. Na powierzchni basenu dryfował tylko samotny żółty liść. Poza tym woda była tak przejrzysta, że na jej powierzchni widać byłoby nawet lekki podmuch powietrza.

Przeszedłem wzdłuż tylnej ściany budynku, bębniąc palcami o szklane płyty w drzwiach sypialni.

- Cześć, Alan, tu Elvis Cole. Jest ktoś w domu?

Nie było nawet ogrodnika.

Obejrzałem garaż. Jego drzwi były opuszczone, a boczne zamknięte na klucz. Nie chciałem tracić czasu na otwieranie ich wytrychem, toteż cofnąłem się do szklanych drzwi wychodzących na patio. Wybiłem szybę łokciem, sięgnąłem do środka i przekręciłem gałkę zamka. Powinienem być to robić z bronią gotową do strzału, ale nawet nie sięgnąłem po rewolwer, nie chcąc nikogo przestraszyć. Podejrzywałem, że w środku mogą spać dzieci. A może razem z nimi także inni domownicy.

- Jest tu ktoś?!

Przystanąłem tuż za drzwiami, nastawiwszy ucha, ale w domu panowała martwa cisza. Zawołałem głośniejszym głosem:

- Pani Levy?! Współpracuję z Alanem. Jacob powiedział mi, że mogę zastać pani męża w domu!

Mój głos odbił się z wielokrotnionym echem jak w jaskini. Na stoliku w salonie nie leżały żadne czasopisma ani płyty DVD, na podłodze nie wały się zabawki czy kasety z dziecięcymi gramami wideo. Obszerny pokój był elegancko umeblowany, ale pozbawiony życia do tego stopnia, że aż ciarki przeszły mi po plecach.

- Halo?!



Minąłem bawialnię, wkroczyłem do jadalni, zimnej i obcej jak wnętrze mauzoleum. Długi stół aż zachęcał, by przy nim usiąść, lecz stojące przy nim krzesła były tak idealnie wyrównane, jakby nikt ich nie używał od lat.

Przejsie z jadalni prowadziło do kuchni, dalej znajdowała się pralnia. Kiedy ma się dzieci, trzeba im zapewnić odpowiednie pożywienie, ale w tutejszej kuchni nie zauważyłem żadnych pudełek z płatkami śniadaniowymi, żadnych opakowań z chrupkami czy batonikami. Na półkach stały jedynie szeregiem puszki z wieprzowym gulaszem. Nie było niczego poza nimi. Za to na podłodze stały puste butelki po wódce. Zarówno puszki na półce, jak i butelki na podłodze stały w wyrównanych szeregach, nalepkami do przodu. Poczulem nagle, że robi mi się gorąco.

Lodówka była wypakowana pojemnikami z barów sprzedających dania na wynos, puszkami napojów gazowanych i dalszymi butelkami wódki, nie było jednak soku ani mleka, masła orzechowego czy jajek. Wyciągnąłem rewolwer i trzymając go przy nodze, lufą do ziemi, ruszyłem dalej, chociaż miałem przeczucie, że nikogo tu nie znajdę. Ani Alana, ani kogokolwiek innego. W domu nie było żywej duszy.

Kiedy mój telefon ponownie zadzwonił, jego sygnał odebrałem niczym brzęczenie roju os. Nawet nie spojrzałem na ekran. Osłoniłem tylko mikrofon dłonią, jakbym chciał poprzez brzęczenie tego roju usłyszeć głosy dobiegające z drugiego końca domu. Zdawałem sobie sprawę, że oddycham szybko i chrapliwie, bo walczyłem z przemożną ochotą rzucenia się sprintem do drzwi bądź skoczenia szczupakiem przez okno na dwór. Niczego bardziej nie pragnąłem, niż wynieść się z tego domu jak najszybciej, wyskoczyć na otwartą przestrzeń zalaną światłem słonecznym, jak mały chłopiec pragnący uciec od ciemności zalegającej piwnicę, ale nie zrobiłem tego.

Za to przebiegłem truchtem do frontowego salonu. Wcześniej przekradałem się na palcach, ale teraz mi się spieszyło, toteż do każdych drzwi dopadałem z bronią gotową do strzału. Zajrzałem do głównej małżeńskiej sypialni, potem do gabinetu Alana, gdzie ściany aż połyskiwały od oprawionych za szkłem dyplomów i pism dziękczynnych. Gwałtownie otwierałem wszystkie drzwi, zaglądając do szaf i łazienek, po czym pognałem na piętro, przeskakując po trzy stopnie naraz. Przeraziła mnie wizja tego, co mogę tam zastać, ale jednocześnie pchała nadzieja na wyjaśnienie całej sprawy.

Na pierwszym piętrze znajdowały się dziecięce sypialnie. Wszędzie panował idealny ład i porządek, ale tutaj jakimś sposobem bardziej przerażający niż w pozostałej części domu. Na ścianach wisiały plakaty przemijających gwiazd filmowych i zapomnianych zespołów muzycznych. Na biurkach stały komputery o kilka pokoleń starsze od współczesnych modeli. Szczoteczki do zębów stojące w łazience nie były używane od lat.

Omaliem nie spadłem ze schodów, pędząc z powrotem na dół do sypialni małżeńskiej. W sąsiadującej z nią łazience wszystko wyglądało podobnie. Męskie przybory toaletowe były niedawno używane, ale kobiece stały zakurzone, z dawno minionymi datami przydatności do użycia. W koszu na brudną bieliznę nie było żadnych elementów damskiej garderoby.

Serce łomotało mi w piersi coraz szybciej, a otaczająca mnie cisza zdawała się szumieć niczym fale na środku oceanu. Szumiała coraz głośniej z każdym moim krokiem. Pognałem z powrotem do drzwi balkonowych, wyskoczyłem na patio i ruszyłem pędem do samochodu. Tak pochłaniał mnie ten narastający szum w uszach, że dopiero po jakimś czasie uzmysłowiłem sobie, że wibruje mój telefon komórkowy w kieszeni. Bastilla próbowała się ze mną połączyć po raz kolejny. I teraz już odebrałem.

## 41.

Jonna Hill siedziała w przyjemnym, urządzonym na beżowo pokoju na posterunku policji okręgu Mission na samym końcu doliny San Fernando. Marx ukrył ją tak daleko od wścibskich śródmiejskich oczu i uszu, jak tylko było to możliwe. Pokój ten, przytulny, z tłoczoną tapetą na ścianach, był wykorzystywany do rozmów z ofiarami gwałtów i przemocy rodzinnej. Typowo kobiece otoczenie prawdopodobnie wpływało pozytywnie na stan psychiczny przebywających tu ludzi. Przyglądaliśmy się Jonnie przez półprzepuszczalne lustro. Obecnie była sama, w zamyśleniu obracała w palcach nakrętkę od butelki z wodą. Wiedziała, że jest obserwowana. Bastilla i Munson wypytywali ją prawie przez dwie godziny, lecz w tym wypadku przytulne otoczenie nie pomogło. Jonna do niczego się nie przyznała, odmówiła nawet potwierdzenia swojej znajomości z Levym.

Munson potarł oczy, oparł się ramieniem o ścianę i popatrzył na mnie, marszcząc brwi.

- Jesteś pewien, że to był Levy?
- Tak.
- Może miał tylko podobny głos.
- To był Levy, Munson - rzekłem z naciskiem. - Dobrze znam jego głos.

Po tej stronie lustro nie było ani tapet na ścianach, ani przytulnego wystroju wnętrza. Stalowoszary pokój obserwacyjny przypominał kajutę na okręcie bojowym, pod oknem stało pobijane biurko, na nim magnetofon, przed nim żelazne krzeselka. Zostałem z Pike'em i Munsonem, podczas gdy Bastilla pojechała po oryginalny album Byrda ze zdjęciami. Marx wchodził i wychodził, rozmawiając telefonicznie ze swoim znajomym z kancelarii Barshop & Barshop. Nie wciągali nikogo innego w to dochodzenie, nie chcąc, by wyszło na jaw.

Marx wrócił kilka minut później, trzymając przed sobą telefon komórkowy dwoma palcami, jakby był gorący. Spojrzał od drzwi na Munsona i zapytał:

- Zaczęła mówić?
- Nie, milczy jak grób.
- Pewnie ciągle mu wierzy - wtrącił Joe.

Munson uniósł wzrok do nieba.

- Daj spokój, Pike. Jest zwyczajnie stuknięta.
- Może i jest stuknięta - powiedziałem - ale przy tym wierzy, że Levy pomógł jej ukarać człowieka, który zamordował jej siostrę. Uważa, że są po tej samej stronie barykady.

Na biurku leżały porozkładane akta z dochodzenia w sprawie śmierci Yvonne Bennett. Ocena psychiatryczna sporządzona w trakcie pierwszego pobytu dziewczyny w areszcie opisywała całą gamę przemocy seksualnej, jakiej padła ofiarą ze strony mężczyzn, których jej matka sprowadzała do domu. Skoro ci mężczyźni mogli swobodnie napastować Yvonne, zapewne przynajmniej usiłowali podobnie wykorzystywać jej młodszą siostrę. Zastanawiałem się, czy Yvonne nie próbowała chronić Jonny, oddając się im dobrowolnie. Patrzyłem na pęknięte serce wytatuowane na ramieniu dziewczyny i rozmyślałem, że może to być bardzo prawdziwy symbol.

*Zawsze była zła i złe nawyki doprowadziły ją do zguby. Już za młodu nie była lepsza od kotki w rui. Nawet nie trzymałabym tutaj tego zdjęcia, gdyby nie Jonna. Zezłościła się, kiedy je schowałam.*

Munson traktował to sceptycznie.

- No cóż, byłoby miło z jej strony, gdyby zechciała złożyć oficjalne zeznania. Bez tego nadal nie wierzę w tę historyjkę. Powinniśmy trzymać na celowniku Wiltsa.

Marx nerwowo obrócił w palcach telefon komórkowy i skrzyżował ręce na piersi.

- Niekoniecznie. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy zginęła Frostokovich, wspólnicy z kancelarii Barshopa zbierali pieniądze na kampanię wyborczą Wiltsa. To po pierwsze. Po drugie, na tym przyjęciu z dziwkami, które parę lat później Wilts wydał dla zaufanych przyjaciół, także było kilku wspólników z tej kancelarii. Człowiek, z którym właśnie rozmawiałem, był przekonany, że Levy w nim uczestniczył. Wygląda więc na to, że Levy mógł poznać zamordowane kobiety za pośrednictwem swojej kancelarii.

- Czy uczestniczył też w uroczystym bankiecie na cześć Wiltsa, kiedy została zamordowana Repko?

- Jeszcze to sprawdzamy. Powinienem wkrótce dostać tę wiadomość telefonicznie.

Munson rozłożył szeroko ręce, a że w pokoju było ciasno, omal nie uderzył przy tym Pike'a.

- I co z tego wynika? Myliliśmy się co do Wiltsa czy też nadal uważamy go za podejrzanego?

- Podejmiemy decyzję, kiedy ona zacznie mówić.

- Jezu... Czyżby Levy pełnił rolę naganiacza ofiar dla Wiltsa?

Pokręciłem głową.

- Do takiej roboty nie angażuje się wspólników, wszystko przeprowadza się samemu. Jeśli to Levy dostarczył zdjęcia do albumu, będzie to świadczyło jednoznacznie, że musiał sam je zrobić.

Marx popatrzył na Jonnę, wciąż bezmyślnie obracającą w palcach nakrętkę od plastikowej butelki.

- Kiedy po raz ostatni miałeś z nim kontakt?

- Rozmawialiśmy wczesnym popołudniem. Nalegał, że-  
bym ją odszukał.

- Jasne. A wcześniej?

- Wczoraj był u mnie. Twierdził, że było mu przykro, że tak mnie potraktowaliście, i też pytał o dziewczynę.

Munson jęknął gardłowo.

- A więc cię wykorzystał.
- Masz rację, tylko co z tego?
- To nie był przytyk.

Obróciłem się do Marksa.

- Według mnie, zamierzał ją zabić. Nie odpowiadała na jego telefony, więc może też nabrała takich obaw. Nie wiem, czy właśnie nie z tego powodu wróciła do Sylmar.

Munson westchnął ciężko.

- Powinniśmy przyskrzynić tego faceta, Tommy. Trzeba go usunąć z widoku publicznego.

- Jak? Przecież może już być w połowie drogi do Chin.

Pike przestąpił z nogi na nogę.

- Nie wyjechał. Za bardzo chce ją dopaść. Jest dla niego zagrożeniem.

Marx nie wyglądał na przekonanego.

- Jeśli zaczniemy na niego polować, zanim ona zacznie mówić, tylko go ostrzeżemy. Wciąż nic na niego nie mamy.

A nawet jeśli ta dziewczyna powie szczerze wszystko, co wie, to i tak będziemy potrzebowali niezbitych dowodów, żeby nie przeciwstawiać samych zeznań. Wiecie, jak Alan Levy rozprawia się z takimi oskarżeniami.

Munson także skrzyżował ręce i zrobił smutną minę.

- Powie, że ona próbuje się na nim mścić za to, że bronił człowieka podejrzanego o zamordowanie jej siostry.

- Zgadza się.

- Trudno wykluczyć, że właśnie na tym się skończy. Na razie zatrzymaliśmy ją na czterdzieści osiem godzin, potem trzeba będzie albo sformułować przeciwko niej zarzuty, albo ją wypuścić. Tak czy inaczej Levy pewnie już będzie o wszystkim wiedział. Jeśli zgarniemy go teraz, przynajmniej będziemy mieli za sobą element zaskoczenia.

- Gdzie chciałbyś go zgarnąć? Bo przecież nie w kancelarii. Cole twierdzi, że w domu go nie ma. Myślisz, że grzecznie przyjdzie na komendę, jeśli go o to poprosimy?

- Trzeba nakłonić Barshopa, żeby się z nim skontaktował. Może to zrobić ktoś inny z kancelarii...

- Domyśli się - rzekł Pike. - Wyłączy telefon i już nigdy nikt z nas go nie zobaczy.

Patrzyłem na Jonnę. Po drugiej stronie lustra wciąż obracała na stole plastikową nakrętkę. Butelka po wodzie mineralnej była pusta, co pozwalało wnioskować, że dziewczyna niedługo będzie musiała skorzystać z łazienki, ale na razie jeszcze zajmowała się tylko tą nakrętką. Patrzyłem na nią, gdy nagle podniosła głowę, jakby poczuła na sobie moje spojrzenie. Uśmiechnęła się do mnie lekko, a ja odpowiedziałem takim samym uśmiechem.

- Levy myśli, że nadal jej szukam - powiedziałem. - Bardzo mu zależy na tym, żebym ją odnalazł, i zapewne czeka na mój telefon. Pozwólcie mi do niego zadzwonić.

- Co nam to da?

- Powiem mu, że ją znalazłem. Podam jej adres, a on na pewno się tam zjawi.

- Więc będziemy mogli go zapuszkować, lecz nadal nie będziemy mieć przeciwko niemu żadnych dowodów.

- Gdyby ona poszła na współpracę, moglibyśmy go zmusić, żeby sam się zdradził. Wystarczyłoby go nagrać, a wtedy mielibyście swoje niezbite dowody.

Munson zaśmiał się krótko i znowu szeroko rozłożył ręce. Pike zdążył się odsunąć o krok.

- Ocknij się, Cole. Tylko spójrz na nią. Ma wszystko gdzieś.

- Bo na razie jest przekonana, że to Byrd zabił jej siostrę. Gdyby udało się ją przekonać, że zabójcą jest Levy, mogłaby zmienić zdanie.

Marx zamyślił się na chwilę, w końcu też popatrzył na Jonnę, która pstryknęła mocno nakrętkę i ta, wirując jak szalona, pomknęła do krawędzi stołu i szerokim łukiem spadła na podłogę.

Wtedy komendant odwrócił się do mnie.

- Spróbujmy.

## 42.

Czekałem w samotności przed pokojem przesłuchań, popijając drobnymi łyżkami kawę, którą kupiłem za trzydzieści pięć centów w automacie na końcu korytarza. Była cierpka i tak gorąca, że poparzyłem sobie język. Ale i tak ją popijałem. Nawet ból języka był ciekawym urozmaicheniem tego czekania.

Moją uwagę przyciągnął brzęk monet wrzucanych do automatu. Marx wcisnął klawisz i czekał na napełnienie kubka. Za uważył mnie i podszedł z kawą. Pociągnął łyk i się skrzywił.

- Coś strasznego.
- Rzeczywiście, dość kiepska.
- Nie rozumiem tego. W komendzie głównej mamy taką samą maszynę, która zaparza najlepszą kawę na świecie. To dokładnie ten sam model, w którym kubeczek kawy kosztuje trzydzieści pięć centów. Tamta jest znakomita, ta okropna.

Podobnie jak mnie, nie chodziło mu tylko o kawę. Wszyscy potrzebowaliśmy chwili wytchnienia.

- Byliśmy w jego domu. Jak mówiłeś, nigdzie ani śladu, ale rozstawiliśmy chłopców na obserwacji. Jej matka spędzi noc na posterunku w Foothill, ale jutro będziemy musieli ją gdzieś przewieźć, zapewne do któregoś motelu. Dorwiemy jednak łobuza.

Mówił bez przerwy, ale mnie to za bardzo nie przeszkadzało. Pewnie wyczuł, dlaczego i ja postanowiłem sparzyć język w kawie, gdyż nagle dodał ściszym głosem:

- Nie tylko tobie się oberwało. Wyobraź sobie tylko, jak będą się czuć te wszystkie ważniaki z kancelarii Barshopa.



Zaśmiałem się cicho, a i on uśmiechnął się szerzej. Chyba jeszcze nigdy dotąd nie widziałem uśmiechu na jego ustach i byłem niemal gotów się założyć, że w ogóle nie ma poczucia humoru.

- Wiesz, co mnie najbardziej trafiło?
- Domyślam się.
- To, że Levy wykorzystał mnie jak pionka w swojej rozgrywce. Niemalże zrobił ze mnie współnika.
- Można patrzeć na to pod tym kątem, podobnego zdania był sędzia, Crimmens i jeszcze paru innych, ale to bzdura. Po prostu robiłeś swoje. Levy dostrzegł okazję i ją wykorzystał. To jeden z najsprytniejszych sukinsynów, z jakimi kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Mógłbym się założyć, że planował takie zakończenie już wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszał, że ktoś został aresztowany pod zarzutem zamordowania Yvonne Bennett.

- Mam nadzieję, że będziemy mieli okazję go o to zapytać.

Marx prawdopodobnie miał rację. Yvonne Bennett była piątą ofiarą. Alan Levy wcześniej popełnił cztery zbrodnie, i to w okolicznościach, kiedy nie można było nikogo aresztować, nikomu nie postawiono zarzutów, a on sam nie był nawet podejrzany. Musiał być z siebie cholernie dumny. Prawie na pewno niecierpliwie wyczekiwał wszelkich wiadomości na temat popełnionej przez siebie zbrodni, może potajemnie zasięgał też języka co do aktualnego stanu toczącego się dochodzenia. Wszystko układało się w logiczną całość. Jako znany obrońca miał przecież wielu znajomych w wymiarze sprawiedliwości. Pewnie był zaskoczony, gdy się dowiedział, że niejaki Lionel Byrd został aresztowany. Ciekaw byłem, czy bardziej go bawiło, że ktoś inny dostał za niego, czy raczej był wściekły, że komuś innemu przypisuje się jego zasługi. Liczyłem, że nadarzy się okazja, by i o to go

zapytać. Później szybko się zorientował, że Byrda łatwo da się uniewinnić, gdyż akt oskarżenia przygotowany przez Crimmena jest bardzo wątpliwy. Wiedział jednak, że nawet po odzyskaniu wolności Byrd pozostanie domniemanym seryjnym zabójcą, mającym na koncie wycofane zarzuty w sprawie śmierci Yvonne Bennett. Uznał go więc za swojego asa w rękawie. Ostatecznie Byrd, raz podejrzany o morderstwo, mógł znowu stać się o to podejrzany.

Mnie uznał prawdopodobnie za dodatkowy smaczek w całej tej sprawie, a wciągnął mnie do gry tylko dlatego, że to zrobiło dobre wrażenie i pasowało do całości.

- Z jakiego powodu się tak uśmiechasz? - zapytał Marx.
- Zastanawia mnie, co Levy by zrobił, gdybym odkrył prawdę już wtedy, prowadząc śledztwo w sprawie zabójstwa Bennett.

- Pewnie by cię zabił. Myślę, że był przygotowany na taki obrót rzeczy.

Pokiwałem głową, rozmyślając, że gdyby tak się właśnie stało przed trzema laty, zarówno Lupe Escondido, jak i Debra Repko żyłyby do dziś. Najwyżej ja bym zginął.

- Była techniczką w brygadzie saperów, zgadza się? - zagadnął komendant.

Popatrzyłem mu w oczy.

- Techniczką saperów? Chodzi ci o Starkey?
- Tak. To ona ci pomagała, prawda?
- Nie wiem, o czym mówisz. Starkey nie miała z tym nic wspólnego. Podobnie jak Poitras. Rzeczywiście, korzystałem z pomocy kogoś ze specjalnego zespołu dochodzeniowego, ale nie było to żadne z nich.

- Starkey była wściekła, że nie wzięliśmy jej pod uwagę, dlatego zaproponowała ci pomoc. Ja też nadstawiam ucha na pewne plotki, Cole. To nie jest wyłącznie twoja specjalność.

- Myśl sobie, co chcesz, ale Starkey naprawdę nie miała nic wspólnego z tym śledztwem.

Otworzył usta, chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale zadzwonił jego telefon komórkowy. Spojrzał na numer rozmówcy i ostrzegawczo uniósł palec, żebym był cicho.

- To mój kontakt z kancelarii Barshopa...

Ich rozmowa trwała niecałą minutę. Kiedy Marx chował aparat, w mętным blasku jarzeniówek wydawał się błądy.

- Levy był na tamtej kolacji?

- Tak. Nikt się go nie spodziewał, ale zjawił się bardzo wcześniej. Spędził na bankiecie piętnaście albo dwadzieścia minut, po czym wyszedł, jeszcze zanim przyjęcie się na dobre zaczęło. Sprawiał wrażenie nadzwyczaj podnieconego.

- Chciał się zobaczyć z Debrą.

- To już trzecia, Cole. Powoli wszystko zaczyna się układać.

Levy zapewne szykował się do tego, żeby ją zabić, ale o tym już tylko on sam mógł nam opowiedzieć. Dlaczego wybrał właśnie Debrę Repko? Co zadecydowało w wypadku poprzednich ofiar? I co go skłoniło, żeby popełnić zbrodnię właśnie tamtej nocy, trzy miesiące wcześniej niż w wypracowanym dotąd harmonogramie, skoro w przeszłości trzymał się go tak kurczowo? Bardzo chciałem to wiedzieć. Ale zdawałem sobie sprawę, że akt oskarżenia Levy'ego ujrzy światło dzienne tylko wtedy, gdy Jonna Hill zacznie zeznawać.

Zza rogu wyłoniła się Bastilla, przeglądając po drodze zdjęcia z albumu. Pike i Munson mieli obserwować reakcję dziewczyny przez półprzepuszczalne lustro.

Bastilla omal nie stanęła w pół kroku, ujrzawszy mnie i Marksa razem, ale zaraz się opanowała i rzekła:

- Możemy zaczynać, szefie.

- Do roboty.

Jako pierwsza ruszyła energicznie do pokoju przesłuchań. Marx ruszył za nią, ale po dwóch krokach przystanął, obejrzał się i powiedział:

- Bez względu na wszystko, bardzo się cieszę, Cole, że nie wycofałeś się z tego śledztwa.

- Dzięki, szefie. Ja też się cieszę.

- Dotyczy to także Starkey. Przekaż jej, co powiedziałem.

Przytaknąłem ruchem głowy. Komendant zniknął za drzwiami.

## 43.

Jonna odchyliła się na oparcie krzesła, kiedy weszliśmy we troje, i splótła palce na krawędzi stołu. Sprawiała wrażenie zupełnie wyluzowanej - może nie tak zrelaksowanej, jakby nie miała nic na sumieniu i brała udział tylko w luźnej rozmowie, ale spokojnej niczym doświadczony sportowiec przed niezbyt trudną dla niego próbą. Marx i Bastilla wcześniej uzgodnili, że Bastilla poprowadzi przesłuchanie, będzie rozmawiać jak kobieta z kobietą. A ja byłem im potrzebny w pokoju dlatego, że z Jonną łączył nas ważny wspólny element: jej zamordowana siostra.

Bastilla i ja usiedliśmy przy stole, Marx stanął w rogu pokoju. Śledcza położyła przed sobą szarą kopertę, lecz na razie jeszcze jej nie otwierała.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności.

- W porządku. Znasz pana Cole'a?

- Tak. To przez niego się to wszystko zaczęło.

- A komendanta Marksa?

Skinęła głową.

- I wiesz, że nasza rozmowa jest nagrywana?
- Nie obchodzi mnie to. Nie miałam nic wspólnego z tą sprawą. W ogóle nie wiem, czego ode mnie chcecie.

Bastilla ułożyła obie dłonie na kopercie.

- Znalazłaś się tu, bo jesteś siostrą Yvonne Bennett i podobno przypadkiem nawiązałaś bliższą znajomość z mężczyzną, który był oskarżony o jej zamordowanie, tyle że posługiwał się fałszywym nazwiskiem, a w dodatku przypadkiem stało się to zaledwie na kilka dni przed jego śmiercią. Więc jak ci się zdaje, co mamy o tym sądzić?

- Nic na to nie poradzę, że znałam tego faceta, ale myślałam, że nazywa się Lonnie Jones.

Marx poruszył się w kącie.

- Wiedziałaś, że to Lionel Byrd, gdyż powiedział ci to Alan Levy.

- Nieprawda.

- Nienawidziłaś Levy'ego. Twoja matka zeznała, że dzwoniłaś do jego biura z pogrózkami i wysyłałaś mu nienawistne mejle.

- Ona już jest stara.

- Więc pewnie byłaś zaskoczona, kiedy Levy się z tobą skontaktował. Bo sądzę, że tak to się właśnie odbyło, Jonna. Pewnie ci powiedział, że dręczy go poczucie winy, że jest mu strasznie przykro i temu podobne bzdury...

Dziewczyna zachmurzyła się, ale była to jej jedyna reakcja.

- Powiedział, jak to Byrd go oszukał przed laty i kiedy odzyskał wolność, znów zaczął mordować ludzi, a on jest przekonany, że trzeba coś z tym zrobić. Tak to mniej więcej wyglądało? Trafiłem w dziesiątkę? Albo przynajmniej w ósemkę?

- Tylko spokojnie, szefie - odezwała się Bastilla. - To niepotrzebne.

Dobry glina kontra zły glina.

Bastilla wyjęła z koperty zdjęcia, z których każde znajdowało się w foliowej koszulce. Były to autentyczne zdjęcia z albumu Byrda, wciąż ciemniały na nich smugi po proszku do zbierania odcisków palców. Zaczęła układać je w kolejności, najpierw Sondra Frostokovich, potem Janice Evansfield. Wyłożyła wszystkie poza fotografią Yvonne Bennett.

Jonna ledwie przelotnie rzuciła na nie okiem.

- Wiesz, że to nie Byrd zrobił te zdjęcia, ponieważ sama mu je dałaś. A zdjęcia te mogła zrobić jedynie osoba, która popełniła morderstwa. Nikt inny nie byłby w stanie tego zrobić.

- A skąd ta pewność? Mogła je zrobić policja. Przecież fotografujecie wszystkie ofiary na miejscu przestępstwa.

- Tak ci powiedział Levy? W ten sposób tłumaczył, skąd je wziął?

Bastilla wyjęła z koperty kilka spiętych stron wydruku i położyła je przed dziewczyną.

- To jest sprawozdanie patologa, który analizował te zdjęcia. Wyjaśnia w nim dokładnie szacunkowy czas ich wykonania. Możesz się zapoznać z całym tym raportem, jeśli chcesz. Mogę też ściągnąć techników z dochodzeniówki, żeby ci wyjaśnili wszelkie wątpliwości. Nie kłamiemy w kwestii ich pochodzenia.

Wskazała zdjęcie Janice Evansfield, tłumacząc pochodzenie rozmazanych smug tryskającej krwi. Zwróciła uwagę na pojedyncze krople krwi skapującej z nosa Sondry Frostokovich, po czym odnalazła w stosiku analogiczną fotografię śledczego z biura koronera, na której widać było o wiele większą kałużę. Jeszcze zanim skończyła wyjaśniać te szczegóły, ja, czekając na swoją kolej, odnalazłem wśród zdjęć fotografię Yvonne Bennett zrobioną przez śledczego z biura koronera.

Kiedy Bastilla umilkła, zgarnąłem wszystkie arkusiki z polaroidea sprzed Jonny i podsunąłem jej zdjęcie Yvonne. Aż pochyliła się nieco na krześle, ujrawszy twarz siostry.

- Przyjrzyj się temu - powiedziałem, wskazując bańkę powietrza we krwi zabitej. Następnie położyłem obok zdjęcie śledczego, żeby lepiej mogła je porównać, i rzekłem: - To jest nieduży bąbel powietrza, jaki utworzył się we krwi Yvonne w chwili jej śmierci. Po paru sekundach pękł.

Jonna zapatrzyła się na obie fotografie, chociaż coś mi podpowiadało, że ma przed oczyma zupełnie inny widok.

- Wiesz, że pracowałem na zlecenie Levy'ego podczas procesu Lionela Byrda?

Uniosła na mnie wzrok, lecz jej oczy wydawały się tak puste, jakby widziała przed sobą bezgraniczną pustkę.

- Aha - mruknęła.

Bastilla delikatnie trąciła mnie pod stołem, a Marx lekko się uśmiechnął.

- Dowiedziałas się o tym od Levy'ego, prawda?

Bez przekonania pokręciła głową, spuszczać wzrok z powrotem na zdjęcia.

- O udziale Cole'a w śledztwie ani nie mówiono w telewizji, ani nie pisano w gazetach - wtrąciła Bastilla. - On sam też ci o tym nie wspominał, a i my nie rozmawialiśmy na ten temat w twojej obecności. Zatem o jego roli nie mogłaś się dowiedzieć inaczej jak od Alana Levy'ego.

- Jonna, spójrz na mnie - podjąłem.

Znowu podniosła na mnie wzrok, lecz tym razem jej oczy były nieprzeniknione, jak gdyby przesłonięte mgłą.

- Levy wykorzystał mnie tak samo jak ciebie. I ja też się niczego nie domyślałem. Wykonywałem jego zlecenia, rozmawiałem z nim prawie codziennie, a mimo to dałem się tak wyprowadzić w pole. Jest w tym bardzo dobry. Lionel Byrd nie zabił twojej siostry. Wiem, że jesteś przekonana o jego winie, ale to nie on ją zabił. Jeśli to Levy dał ci te zdjęcia, tylko on mógł zabić te wszystkie kobiety, a my teraz musimy to udowodnić.

- Levy... - bąknęła.
- Wykorzystał mnie także do tego, żeby być na bieżąco z tym, co wie policja. Jednocześnie zlecił mi, abym cię odnalazł. Moim zdaniem, zamierza cię zabić. Wiemy z bilingu połączeń twojego telefonu komórkowego, że bardzo często do ciebie dzwonił. Wiemy też, że nie odbierałaś telefonów od niego i sama też nie dzwoniłaś. To pozwala nam podejrzewać, że sama wy-czuwasz, że z tym facetem jest coś nie tak.

Marx podszedł do stolika.

- Dlatego pod pewnymi względami traktujemy cię jak kolejną ofiarę. I taki też chcemy ci nadać formalny status. Nie mogę obiecać, że to cię całkowicie uwolni od odpowiedzialności karnej, ale chcemy ci zaproponować układ na korzystnych warunkach. Dostaniesz zmniejszoną karę z możliwością wczesnego warunkowego powrotu na wolność, jeśli zgodzisz się zeznawać.

Jeszcze raz zapatrzyła się na zdjęcie swojej siostry, a raczej na dobrze widoczny czerwonawy bąbelek powietrza we krwi. Po chwili musnęła zdjęcie palcami, a na jej twarzy zagościł ten sam ponury zapiekły wyraz, jaki widziałem na jej portrecie maturalnym. Podniosła zdjęcie ze stołu, pocałowała je, po czym rzuciła na stosik pozostałych, jak gdyby znów poczuła się całkiem swobodnie.

- Czego chcecie?
- Utrwalonego na taśmie przyznania się do winy.
- W porządku. Nie ma sprawy.

Bastilla pokręciła głową.

- Ale nie twojego, tylko Levy'ego. Twoje zeznania nie wystarczą. On sam musi się przyznać, że dał ci te zdjęcia i pomógł zaplanować zabójstwo. Niepotrzebne nam szczegóły, wystarczy nawet sugestia, że on o tym wie.

- Chcecie, żebym do niego zadzwoniła?



- Levy jest za sprytny, by nawiązać do tych rzeczy w rozmowie telefonicznej. Sądzymy jednak, że Cole zdoła go zwabić w pułapkę.

- Kazał mi cię odnaleźć i czeka pod telefonem na wiadomość, czy mi się udało - rzekłem.

- Po to, żeby i mnie zabić?

- Tak podejrzewamy. Zapewne będzie próbował zabić także mnie.

- Znajdziemy jakieś bezpieczne miejsce - dodała Bastilla.

- Zapewnimy ci ochronę na różne sposoby i...

- Nie dbam o to - ucięła Jonna. - Chcę go dorwać.

Powiedziała to bez śladu wahania czy żalu w głosie. Munson miał rację. Była zimna jak lód.

## 44.

Marx natychmiast zajął salę konferencyjną, do której wezwał całe dowództwo taktyczne brygady antyterrorystycznej wraz z dowódcami jednostek snajperów, żeby ustalić plan działania. Mnie także poprosił o uczestnictwo ze względu na ważną rolę, jaką miałem odegrać w tej akcji, w której nie chodziło tylko o schwytanie Alana Levy'ego, ale także o uzyskanie jego przyznania się do winy. Szybko powstał szczegółowy plan, przesądzony został wybór lokalizacji, rozdzielono zadania między poszczególne oddziały, jeszcze nim zdążyłem zadzwonić. Nie wiedzieliśmy nawet, czy adwokat zgodzi się na spotkanie, jednakże ludzie z brygady antyterrorystycznej woleli mieć wszystko przesądzone z góry. Byli także gotowi na każdą zmianę planu działania. Ostatecznie mieliśmy do czynienia z fachowcami.

Technik łączności, niejaki Frank Kilane, zajrzał do pokoju i dał znak kciukiem uniesionym do góry. Marx poklepał mnie po

plecach.

- Jesteś gotów, żeby zadzwonić?

Uśmiechnąłem się, ale zdecydowanie za szeroko, by wyglądało to naturalnie.

- Na tym polega moja praca.
- Może chcesz jeszcze trochę kawy?
- Postanowiłeś mnie otruć?

Marx odpowiedział uśmiechem, równie szerokim i tak samo wymuszonym.

- Dopiero wtedy, jak dorwiemy tego łobuza.

Wisielczy humor.

Pike i Munson czekali w pokoju przesłuchań, gdyż Bastilla przeniosła się z Jonną gdzie indziej, żeby kontynuować jej zeznania. Frank Kilane podłączył moją komórkę kabelkiem do magnetofonu. Musieliśmy korzystać z tego aparatu, żeby Levy odczytał z ekraniku znany sobie numer rozmówcy.

Wziąłem telefon do ręki.

- Nie musisz nic specjalnie robić, dzwoń tak samo jak zawsze. I nie przejmuj się ewentualnym zanikiem sygnału. Łączność tu jest bez zarzutu, ale podłączyłem specjalny program, który w razie potrzeby wytłumi sygnał.

Marx energicznie pomachał rękami.

- Dobra, wszyscy wynocha stąd. Przyglądać się można stamtąd. - Wskazał półprzepuszczalne lustro.

Chwilę później zamknął za sobą drzwi i zostałem w pokoju sam. W ten sposób unikaliśmy jakichkolwiek podejrzanych odgłosów w tle.

Zająłem miejsce Jonny. Przedemną leżał notatnik z wypisanym numerem komórki Levy'ego oraz adresem miejsca spotkania. Ucieszyło mnie, że ktoś o tym pomyślał.

Z ukrytego głośnika doleciało polecenie Marksa:

- Zaczynaj, jak tylko będziesz gotów.

Bez zwłoki wybrałem numer i zasłuchałem się w sygnał wywołania. Cisza rozdzielająca kolejne tony wydawała mi się nieco dłuższa niż zazwyczaj, ale po siódmym sygnale Levy odebrał. Mówił tak samo swobodnym głosem jak zwykle.

- Cześć, Alan. Nadal chcesz rozmawiać z Ivy Casik?

- Fantastycznie. Odnalazłeś ją?

- Czyż nie jestem Największym Detektywem Świata?

- Jesteś przede wszystkim kpiarzem. - Zachichotał, jakby chciał udowodnić, że i jemu kpiny nie są obojętne. - A ty już z nią rozmawiałeś?

- Nie. Pomyślałem, że lepiej będzie poczekać na ciebie. Nie chciałem jej spłoszyć.

Szybko podałem mu adres, nie czekając, aż o to zapyta. Znajdowała się pod nim stara opuszczona stacja meteorologiczna w dzielnicy mieszkalnej. Dowódcy brygady antyterrorystycznej wybrali ją ze względu na łatwość rozmieszczenia posterunków obserwacyjnych i snajperskich. Słaby ruch uliczny umożliwił identyfikację nadjeżdżającego Levy'ego z daleka, więc gdyby nabrał podejrzeń i w ostatniej chwili skręcił w innym kierunku, łatwo byłoby także podjąć jego obserwację. W takim wypadku miał pozostać na wolności. Nie mógł się dowiedzieć, że policja jest nim zainteresowana, dopóki nie nadarzy się okazja do tego, by się zdradził. Tak więc sieć została zarzucona.

- To nieduże opuszczone zabudowanie na końcu Runyon Canyon. Prawdę mówiąc, straszna ruina. Wygląda na to, że dziewczyna jest sama.

Po raz pierwszy wyraźnie się zawahał.

- No cóż, znakomicie się spisałeś, Elvis, jak zawsze. Nie musisz na mnie czekać. Podjadę tam później.

- Twój wybór, Alan - powiedziałem tonem pełnym rozczarowania. - Ale wiedz, że zdrowo się nagimnastykowałem,

żeby ją odnaleźć. Nawet nie rozpakowała swoich rzeczy z samochodu. Nie wiem, jak długo będzie się tu ukrywała.

- No tak, rozumiem, ale mam teraz ważne spotkanie z ludźmi z Leverage. Wygląda na to, że będą mogli mi powiedzieć o zamierzeniach Marksa dużo więcej niż ta dziewczyna.

- Nie mogę jej pilnować cały dzień, Alan. Mam inną robotę.

- Nic nie szkodzi, Elvis. Mówię poważnie. Zapisalem adres, lecz wcześniej chcę porozmawiać z ludźmi z Leverage. Nie czekaj. Jak się już z nią rozmówię, zawiadomię cię telefonicznie o efektach.

- Jak sobie życzysz.

Przerwałem połączenie i niemal w tej samej chwili Marx jak bomba wpadł do pokoju.

- Ten łobuz przyjedzie prosto na spotkanie z dziewczyną. Ruszamy.

## 45.

Jonna Hill zeznała, że to nie ona zastrzeliła Lionela Byrda i nie była obecna w jego domu w chwili śmierci. Trudno było wykluczyć, że kłamie. W każdym razie potwierdziła, że to Alan Levy dostarczył jej siedem zdjęć z polaroida, udostępnił niezbędne informacje na temat Byrda i wyłożył gotówkę na wynajem obu mieszkań, zarówno tego przy Hollywood Bowl, jak też naprzeciwko domu Byrda przy Anson Lane. Skontaktował się z nią krótko po zabójstwie Debry Repko, tłumacząc, że nie daje mu spokoju poczucie winy z powodu roli, jaką odegrał w uwolnieniu człowieka, który następnie okazał się odpowiedzialny za liczne zabójstwa.

Jonna nie miała podstaw, żeby mu nie wierzyć. Wydał jej się

bardzo elokwentny i nadzwyczaj przekonujący. Dlatego też z ochotą i zapałem przystała na jego propozycję. Levy nauczył ją, jak maskować linie papilarne na palcach klejem do modeli z tworzywa sztucznego, jak na gładko upinać włosy z tyłu głowy i ukrywać je pod czapką. To on także dostarczył jej aparat, zapasowe papiery oraz album do zdjęć z wytłoczonym na okładce tytułem *Moje cudowne wspomnienia*. Wyznaczył jej prostą rolę. W ciągu następnych trzech tygodni zaprzyjaźniła się z Lionelem Byrdem, podając się za początkującą pisarkę, co także było pomysłem adwokata. Zadbala o to, żeby mężczyzna zostawił swoje odciski palców na wszystkich elementach do sporządzenia albumu, na aparacie i pudełkach z papierem samowywołującym, po czym w dniu jego śmierci zatrula mu whisky w butelce oxicodonom, również dostarczonym przez Levy'ego. Oświadczyła pod przysięgą, że nie była uczestniczką ani świadkiem tego, co wydarzyło się później tamtego wieczoru.

Błyskawicznie zajechaliśmy na wytypowany parking. Marx zajął się koordynacją przygotowań, później zostawił wszystko w rękach antyterrorystów, a sam zajął się zorganizowaniem posterunku obserwacyjnego na skrzyni furgonetki wymalowanej jako wóz dostawczy taco. Dowódca snajperów, barczysty osiłek o blond włosach przystrzyżonych na jeża, wydając rozkazy swoim ludziom, co rusz zerkał na Pike'a.

- Nazywasz się Joe Pike? - zapytał w końcu.

Ten przytaknął ruchem głowy.

- Idziesz z nami?

Pike znowu skinął głową.

- To dobrze. Podziwiam twoją pracę.

Ale gdy podeszliśmy do furgonetki, Munson zatrzymał Pike'a.

- Ty dalej nie idziesz.

- On także uczestniczy w tej akcji - zaprotestowałem.

Marx obejrzał się na nas i pokręcił głową.

- Nie potrzeba nam więcej cywilów. Przykro mi, Pike, ale ty zostajesz.

Dowódca snajperów był rozczarowany.

- Szkoda - mruknął.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie przejmuj się, stary - rzekłem do Pike'a. - Spotkamy się po tamtej stronie.

Joe zapatrzył się na mnie przez chwilę, po czym jeden kącik ust zadrgał mu ledwie zauważalnie.

- Będę miał cię na oku.

Zawrócił do swojego dżipa, a Marx pociągnął mnie do furgonetki.

- Musimy ci założyć mikrofon z nadajnikiem. Wskakuj do środka.

Cała skrzynia auta była zastawiona regałami ze sprzętem podsłuchowym i obserwacyjnym, skrzynkami narzędziowymi i plastikowymi pojemnikami, tak starymi, że tworzywo na pokrywach zaczynało się łuszczyć. Jonna i Bastilla były już w środku. Kiedy i my wsiedliśmy, w środku zrobiło się tak ciasno, aż Kilane zaprotestował:

- Matko Boska! Może zaczniemy sprzedawać bilety?

Jonna zamrugała szybko na mój widok.

- Pojedziemy razem?

- Na to wygląda.

- Dobrze. To mi się podoba.

Marx przecisnął się na prawy fotel w szoferce i ruszyliśmy, jak tylko drzwi się zamknęły.

Kilane przykleił miniaturowy mikrofon pod bluzką Jonny, podczas gdy Bastilla ją przepytowała, czy Levy kiedykolwiek szukał u niej podsłuchu, czy ją sprawdzał bądź tylko obmacywał. Na wszystkie pytania Jonna odpowiadała przecząco, jakby

rzeczywiście nigdy jej nie dotykał, i sprawiała wrażenie mało zainteresowanej poczynaniami Kilanea.

- Boisz się? - zapytałem.

Bastilla rzuciła mi przez ramię poirytowane spojrzenie.

- Lepiej powiedziałbyś coś dodającego otuchy.

Nie zwracając na nią uwagi, dziewczyna wzruszyła ramionami i odparła:

- Zawsze się boję.

- A więc dobrze się maskujesz.

- Wiem. Po prostu taka już jestem.

- Podnieś ręce, Jonna.

Posłusznie wykonała rozkaz, nie spuszczając ze mnie wzroku.

- Zastanawiałam się nad tym, co powiedziałeś, że dałeś się wyprowadzić w pole. Jak się wtedy czuleś?

Nagle zrozumiałem, dlaczego przyglądała mi się tak badawczo w pokoju przesłuchań i dlaczego się ucieszyła, że pojedziemy razem tą furgonetką. Dobrze wiedziała, co wtedy czułem, bo sama czuła się zapewne podobnie.

- Miałem wrażenie, że stałem się zabawką w jego rękach.

- Yvonne była prostytutką.

Pokiwałem głową, nie wiedząc, jak inaczej na to zareagować.

- Masz rodzeństwo?

- Nie, jestem jedynakiem.

- Aha. To kiepsko.

Zamilkła, kiedy Kilane skończył przyklejać nadajnik, i opuściła bluzkę. Technik usiadł na swoim stanowisku i założył słuchawki.

- Jak się z tym czujesz?

- W porządku.

Dał znak kciukiem uniesionym ku górze. Mikrofon wychwytywał jej słowa. Kilane ściągnął z głowy słuchawki i zaczął szykować drugi identyczny zestaw podsłuchowy dla mnie.

Jonna rozejrzała się ciekawie po zagraconym wnętrzu furgonetki.

- Mogę sprawdzić, czy nadal mam pełną swobodę ruchów?

- Jasne.

Zaczęła się wyginać na boki, w końcu ruszyła tyłem w stronę drzwi auta. Kilane, dowódca saperów i ja odsunęliśmy jej się z drogi. Zrobiła jeszcze parę wymachów ramionami, w końcu wspięła się na palce, sięgając czubkiem głowy dachu furgonetki.

- Chyba w porządku.

Zrobiła dwa kroki do przodu, ale potknęła się, straciła równowagę i poleciała na regał ze sprzętem radiowym. Jęknęła głucho, osunęła się na skrzynkę z narzędziami, ale wstała szybko i poprawiła ubranie.

- Nic mi nie jest. Nadajnik za bardzo nie wypycha mi bluzki?

Kilane zachichotał.

- Dziewczyno, twoja rodzona matka by go nie zauważyła.

Marx schował telefon do kieszeni i wygramolił się z fotela w szoferce, żeby do nas dołączyć. Przelotnie spojrzał na mnie i utknął wzrok w Jonnie.

- Mamy tylko dziesięć minut. Pamiętasz, co ci tłumaczyliśmy?

- Pewnie.

- Nie zapominaj, żeby cały czas pozostawać na widoku. Jeśli Levy cię zobaczy i nabierze przekonania, że jesteś sama, wtedy prawdopodobnie się zatrzyma i wysiądzie. A kiedy tak się stanie, zmykaj zaraz do środka. Cole przejmie pałeczkę.

- Tak, wiem.

Komendant wskazał aparaturę na stelażu.

- Będziemy tu słyszeli każde twoje słowo. Jeśli spróbujesz go ostrzec, cała nasza akcja spali na panewce.

- Nie zamierzam go ostrzegać.



- Wiesz, na czym stoimy. Mamy już nagrane twoje zeznania. Nie wystarczą, żeby postawić Levy'ego przed sądem, ale z pewnością wystarczą, żeby zapuszkować ciebie. Dlatego od razu uciekaj do domu. W środku będzie czekał policjant, który się tobą zajmie.

- Gdybym zamierzała go ostrzec, w ogóle bym się nie zgodziła na udział w tej akcji. Spokojnie.

Dowódca snajperów zachichotał, ale Marx udał, że tego nie słyszy.

- Musisz jeszcze coś wiedzieć. Twoje bezpieczeństwo to teraz nasze największe zmartwienie. Jeśli nawet nikogo nie zauważysz, to jednak będziesz stale w zasięgu snajperów śledzących każdy krok Levy'ego. Będziemy go pilnie obserwować. Gdyby się okazało, że jest uzbrojony, albo w jakikolwiek inny sposób spróbuje zrobić ci krzywdę, natychmiast go zdejmujemy. Nie damy mu okazji do tego, by się do ciebie zbliżył.

- Wszyscy będą go obserwować?

- Właśnie. Możesz na to liczyć.

- I liczę.

Poklepałem ją po udzie. Możliwe, że ta dziewczyna z zimną krwią popełniła morderstwo, kierując się tak skrajną obsesją, że prędzej należałoby ją zamknąć w zakładzie psychiatrycznym, tymczasem ja dodaję jej odwagi, poklepując po udzie. Gdy sobie to uświadomiłem, cofnąłem rękę.

Wysiedliśmy z furgonetki na parkingu przed ośrodkiem pomocy społecznej w Hollywood, niedaleko La Brea. Dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn, zapewne gliniarzy ze specjalnej jednostki operacji taktycznych, czekało przy drzwiach zielonego chevroleta trailblazera.

- To wasz samochód - powiedział Marx. - Spotkamy się na miejscu.

Szybko przejechaliśmy La Brea i zagłębiliśmy się między rozrzucone osiedla domków jednorodzinnych w Runyon Canyon.

Jonna wcale nie wyglądała na zdenerwowaną. Cichutko, pod nosem podśpiewywała: da-da-da, da-da-da. Spoglądała gdzieś w dal przed siebie i nuciła monotonną melodię, póki nie dotarliśmy na miejsce spotkania.

## 46.

Dowódcy brygady antyterrorystycznej dobrze wybrali miejsce. Dom stał w pewnym oddaleniu od innych, tuż za zakrętem ulicy. Prawdopodobnie zbudowany jeszcze w latach dwudziestych jako domek myśliwski, później został rozbudowany, ale już od lat popadał w ruinę. Biały ford neon Jonny już stał przy ścianie. Policjant, który go tu przyprowadził, był zapewne w środku, gdzie Jonny powinna zaczekać do chwili, aż obserwatorzy zauważą samochód Levy'ego. Ci, po uzyskaniu potwierdzenia identyfikacji, mieli powiadomić policjantkę przez radio. Wtedy zaczynała się rola dziewczyny. Miała tylko wyjść i pokręcić się przy samochodzie, żeby adwokat ją zobaczył, po czym zniknąć z powrotem w środku, zostawiając mi pole do popisu.

Gliniarze podrzucili nas pod budynek i odjechali w pośpiechu.

- Tylko się nie rozglądaj w poszukiwaniu snajperów - uprzedziłem ją. - I tak ich nie namierzysz, ale ktoś może spostrzec, że się rozglądasz.

- Co będzie, jak on nie przyjedzie?

- Wynudzimy się śmiertelnie. Lepiej idź już do środka. Gdyby mnie zobaczył tu z tobą, bylibyśmy skończeni.

Zaczekałem, aż Jonna wejdzie do domu, po czym ruszyłem w kierunku gęstej kępy dzikich odrostów karłowatego dębu stojącego naprzeciwko jej auta. Liczyliśmy na to, że Levy podjedzie

pod wejście do budynku, gdzie mógłbym się do niego zbliżyć niepostrzeżenie. Chciałem go zaskoczyć.

Przykucnąłem w krzakach. Nie było żadnej pewności, czy adwokat tu przyjedzie i czy zrobi to rzeczywiście za dziesięć minut. Z rzadka ulicą przejeżdżał jakiś samochód, nawet nie zwalnając. To byli tutejsi mieszkańcy albo robotnicy budowlani czy też obcy ludzie szukający miejsca do zaparkowania albo do zawrócenia, gdy skręcili w złą ulicę. W żadnym z tych aut nie nadjechał Levy. Zasłuchałem się w śpiewy drozdów i przedrzeźniaczy. Ale ich wrzaski także nie towarzyszyły pojawieniu się adwokata.

Z szelestu listowia za moimi plecami wypłynął niewiele głośniejszy od niego szept:

- Dobre miejsce.

Popatrzyłem na Pike'a, który usiadł na ziemi obok mnie.

- Mam założony podsłuch - ostrzegłem. - Marx jest już pewnie wściekły jak cholera.

- Myślisz, że zaufałbym komukolwiek w kwestii osłaniania twoich tyłów?

Umilkliśmy. Wyobrażałem sobie, jak komendant klnie pod nosem. Musiał być wściekły, za to dowódca snajperów zapewne ledwie się powstrzymywał, żeby nie wybuchnąć gromkim śmiechem.

Jonna Hill wyszła z budynku osiem minut później. Podeszła do neona. Był to jednocześnie sygnał dla mnie, żeby szykować pułapkę. Chwilę później zza zakrętu wyłonił się brązowy dodge sedan i wyraźnie zwolnił. Zza kierownicy wyteżał wzrok Alan Levy. Jeszcze bardziej zahamował, ujrawszy Jonnę, aż w końcu zatrzymał wóz na środku jezdni. Wykręcił głowę, rozglądając się na wszystkie strony.

Jonna odwróciła się tyłem do swego auta. Miała nie wchodzić do środka, dopóki on nie wysiądzie z samochodu, i odważnie

pozostawała na widoku. Zwróciłem uwagę, że dostrzegłszy kątem oka brązowego dodge'a, poruszyła ustami. Znowu nuciała pod nosem: da-da-da, da-da-da.

Wyobraziłem sobie, że adwokat jest już na skrzyżowaniu nitek celowników optycznych rozstawionych dookoła snajperów, gotowych otworzyć ogień, gdyby sięgnął po broń. Wyobraziłem sobie też, jak niewiele brakuje, żeby został trafiony miękkim pociskiem kalibru 7.62 milimetra, poruszającym się z prędkością 860 metrów na sekundę. Tyle że nie zależało nam na jego śmierci. Chcieliśmy go dopaść żywego. Ale ocierał się o śmierć, która tylko czyhała na jego jedno złe posunięcie.

Dodge zakręcił szerokim łukiem i zatrzymał się dokładnie między mną a Jonną. Levy wysiadł, będąc nie dalej niż pięć metrów od niej i dziesięć ode mnie. Marynarkę i spodnie miał wygniecione, jakby spał w garniturze.

Pike szepnęła:

- Idealnie.

Tylko Jonna nie rzuciła się biegiem do środka domu. Powinna była to zrobić, ale nie zrobiła.

- Jak mnie odnalazłeś? - zapytała.

Levy odpowiedział spokojnie, jak gdyby było to najbardziej naturalne spotkanie na świecie:

- Martwiłem się o ciebie. Dlaczego nie odbierałaś telefonów?

Wyśliznąłem się z kępy dziczek, podkradłem się na palcach i stanąłem tuż za nim.

- Czym się tak martwiłeś, Alan?

Odskoczył w bok tak gwałtownie, że naszły mnie obawy, iż straci równowagę i runie jak długi. Odwrócił się do mnie, spanikowany. Pospiesznie uniosłem w górę obie ręce i cofnąłem się o krok.

- Uważaj, bo jeszcze dostaniesz zawału. Nic się nie dzieje. Jak poszła narada w Leverage?

Kiedy uprzytomnił sobie, że nadal żyje, wyprostował się szybko i popatrzył ponad moim ramieniem, sprawdzając, czy jestem sam, później popatrzył na Jonnę i jeszcze raz rzucił nerwowe spojrzenie na ulicę. Był wyraźnie przestraszony.

- Spotkanie zostało odwołane.
- To dobrze. Bo musimy pogadać. Jonna, może byś weszła do środka i zostawiła nas samych?
- Nie - odpowiedziała stanowczo.

Levy zwrócił na nią wybałuszone oczy. Dziewczyna zbliżyła się o krok. Świdrowała go spojrzeniem, które w najmniejszym stopniu mi się nie podobało. Marksowi też by się nie spodobało. Poważnie utrudniała snajperom zadania swoją obecnością na dworze.

- Wolałbym sam z nią pogadać - odezwał się Levy. - Nie musiałeś na mnie czekać.

Zrobiłem krok w stronę Jonny, mając nadzieję, że uda mi się zająć pozycję między nią i adwokatem, ale on cofnął się szybko. Ostentacyjnie wetknął kciuki za pasek spodni na brzuchu, między rozpiętymi połami marynarki. Nie zdołałem jednak zauważyć, żeby miał broń, niemniej snajperzy musieli zacisnąć palce na spustach.

- Owszem, musiałem, Alan. Zdążyłem już wcześniej porozmawiać z obecną tu moją nową serdeczną przyjaciółką Jonną i wiem, co się wydarzyło.

Levy zerknął na nią podejrzliwie i cofnął się jeszcze o krok.

- Nie rozumiem...
- Oczywiście, że rozumiesz. Mam na myśli zabójstwo Lionela Byrda.
- Nie wiem, o czym mówisz.
- Daj spokój, Alan. Przyłapałem cię już na kłamstwie, jak tylko tu przyjechałeś. Mówiłeś, że nigdy wcześniej nie spotkałeś tej dziewczyny, a mimo to zapytałeś, czemu nie odbierała twoich telefonów, kiedy ty się o nią martwiłeś.

- Niczego takiego nie powiedziałem. Musiałeś się przesłyszeć.

- Owszem, powiedziałeś - wtrąciła Jonna.

Zrobiłem krok w jego kierunku, starając się utrzymać presję psychiczną. Woląłem, żeby Levy koncentrował się na mnie, a nie na niej. I wciąż miałem nadzieję, że uda mi się stanąć między nimi.

- Pewnie już wiesz, co cię czeka. Zapłacisz mi za przemilczenie twoich brudnych sekretów, w przeciwnym razie zgłoszę to na policję. Myślę o dwóch milionach dolarów, po jednym dla niej i dla mnie. Co o tym sądzisz?

Jeszcze raz zerknął na ulicę, jak gdyby już się domyślał, że jest obserwowany przez policję, a ta rozmowa jest nagrywana.

- Nie wiem, o czym mówisz. Nie rozumiem, dlaczego próbujesz mnie szantażować. Dlatego zostawiam was...

Odwrócił się na pięcie w stronę swego dodge'a, kiedy nagle Jonna powiedziała coś, co nas obu osadziło na miejscu:

- Nagrałam cię, Alan.

Znowu obrócił ku niej oczy wytrzeszczone ze strachu.

- Tego dnia, kiedy przywozłeś mi zdjęcia zabitych dziewcząt, miałam pod bluzką miniaturowy dyktafon. Oddałam mu to nagranie i pozwoliłam przesłuchać.

Wskazała przy tym na mnie. Wcześniej nie wspomniała ani o nagraniu, ani o możliwości przekazania go mnie, a i policja nie odnalazła w jej rzeczach żadnego dyktafonu. Ciekaw byłem, czy faktycznie dysponowała jakimś nagraniem, czy tylko łągała jak z nut.

- Wejdz do środka, Jonna. Załatwię tę sprawę z Alanem na osobności.

Nie zawróciła jednak, tylko zrobiła jeszcze krok w jego stronę.

- Dwa miliony dolarów to za mało.

Levy nerwowo oblizwał wargi. Zerkał to na mnie, to na

dziewczynę, a po chwili znowu wetknął kciuki za pasek spodni.

- Więc ile chcecie? - zapytał.

To wystarczyło. Tym jednym pytaniem i chęcią negocjowania z nami zdradził, że wie o przekazanych dziewczynie zdjęciach. Domyśliłem się, że Marx już wydaje rozkazy wkroczenia do akcji i aresztowania podejrzanego. Nagle Jonna powtórzyła głośniej:

- To za mało.

Przykłęknęła szybko, jakby chciała poprawić wiązanie buta, po czym zerwała się jak sprinterka startująca z bloków do biegu, trzymając w ręku coś, co dopiero później udało się zidentyfikować jako szpikuliec pochodzący ze skrzynki narzędziowej w furgonetce. Musiała go wykraść niepostrzeżenie, kiedy udała, że się potknęła przed pulpitem ze sprzętem podsłuchowym. Z tym narzędziem wymierzonym w szyję adwokata wpadła na niego z takim impetem, że poleciał do tyłu, uderzył plecami o karoserię i osunął się po niej na ziemię.

Wszyscy byli tak skoncentrowani na tym, że Levy będzie chciał zabić Jonnę, iż nikomu nie przyszło do głowy, że to ona postanowi zabić jego.

Snajperzy nagle wyskoczyli ze swoich kryjówek, lecz znajdowali się na tyle daleko, że nie było mowy o otwarciu ognia, dopóki nas troje pozostawało blisko siebie. Pike także wyskoczył z kępy zarośli. Złapałem Jonnę od tyłu, ale kurczowo trzymała się adwokata, raz za razem dźgając go szpikulcem po szyi i twarzy. Nim zdołałem unieruchomić jej ramię, usłyszałem już złowieszcze stłumione odgłosy wystrzałów.

- On ma broń! - wykrzyknął Joe.

Levy jakimś cudem zdołał przytknąć lufę małego czarnego pistoletu do brzucha dziewczyny i wyjął niczym ranione dzikie zwierzę, raz po raz naciskał spust tak szybko, jak tylko mógł.

Jonna gwałtownie odskoczyła do tyłu. Odciągnąłem ją w bok i rzuciłem się na uzbrojoną rękę adwokata, ale on już zdążył

rzucić pistolet na ziemię. Przyciskał obie dłonie do krwawej miazgi na krtani i z boku szyi, kiedy Pike z impetem wpadł na niego od tyłu.

Jonna zachwiała się i klapnęła ciężko na ziemię, a z jej brzucha zaczęła strumieniami tryskać krew. Zerwałem z siebie koszulę i przycisnąłem do jej brzucha, gdy dookoła aż się zaroilo od gliniarzy z oddziałów specjalnych.

- Trzymaj się, Jonna. Trzymaj się. Oddychaj.

Ale chyba nawet mnie już nie widziała. Zaciśnęła wargi w wąską linię, a wyraz jej oczu wreszcie zmienił się diametralnie. Całkowicie zniknęły z nich błyski wściekłości. Nie byłem o tym do końca przekonany, ale do dziś mi się wydaje, że zniknęły. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Zmarła jeszcze przed przyjazdem karetki.



Część piąta

## OGRÓD RÓŻANY

## 47.

Niebo nad Santa Monica zdawało się rozjarzone przez lekką mgłę płynącą znad oceanu, przez co tylne podwórko posiadłości Alana Levy'ego było tak jasno oświetlone, że aż migotała powierzchnia wody w basenie. Stałem wraz z komendantem Marksem i radnym Nobelem Wiltsem na skraju ogrodu różanego. Trzydzieści dwa krzewy rozmaitych odmian róż zostały starannie wykopane i zgromadzone na stosie w przeciwległym końcu ogrodu. Nikt nie zamierzał ich sadzić z powrotem. Po zakończeniu przez służby miejskie wszystkich prac krzewy miały zostać wywiezione na wysypisko.

Marx ruchem ręki przywołał Sharon Stivic, która jako główna śledcza z biura koronera nadzorowała wydobywanie szczątków.

- Ile to jeszcze potrwa?
- To bardzo głęboki dół. Musimy uważać na osypującą się ziemię. Nie chcemy przeoczyć niczego istotnego.

Zwłoki zostały odnalezione dzięki zastosowaniu wykrywacza gazu, który pozwolił określić rejony o podwyższonym stężeniu w powietrzu metanu pochodzącego z rozkładu ludzkich ciał. Następnie użyto sonaru do ustalenia dokładnej lokalizacji, zanim w końcu technicy z zakładu medycyny sądowej przystąpili do rozkopywania ogrodu.

- To pewnie jego żona i dzieci, zgadza się? - zagadną Wilts.

Marx przytaknął ruchem głowy. Już pomiary sonarowe pozwoliły na określenie ułożenia i wielkości zwłok.

- Będzie można to stwierdzić z całą pewnością dopiero po przeprowadzeniu identyfikacji, ale tak, według wstępnych szacunków mamy tu jedną osobę dorosłą i dwójkę dzieci.

- Jezus Maria! Spotkałem kiedyś tę kobietę. Jestem prawie pewien, że się poznaliśmy. Ale od tamtej pory minęło parę lat.

Wilts zmarszczył brwi, wysilając pamięć, jakby wciąż nie mógł sobie przypomnieć, czy miał okazję poznać żonę Alana Levy'ego, ale po chwili się poddał. Otarł chusteczką pot z czoła i krzywiąc się, popatrzył w niebo.

- Pieprzyć to. Muszę zejść ze słońca.

Popatrzyliśmy, jak wchodzi do domu, w którym aż się roiło od techników kryminalistyki, detektywów, dziennikarzy i reporterów. Cała uliczka, przy której mieszkał adwokat, była tak zastawiona furgonetkami, wozami reporterskimi i radiowozami, że musiałem zostawić samochód trzy przecznice dalej. Po śmierci Yvonne Bennett w jej domu nie pojawił się żaden przedstawiciel mediów, ale Yvonne nie była znanym adwokatem z doskonale prosperującej kancelarii, który wymordował całą swoją rodzinę. Była nikim, zwykłą dziewczyną próbującą chronić młodszą siostrę.

Marx zadzwonił do mnie z samego rana i powiedział, że poprzedniego dnia wieczorem bezspornie ustalono miejsce zakopania zwłok. Poprosił, bym przyjechał na ekshumację, tak więc zrobiłem, choć na jakiś czas miałem dość widoku trupów. Liczyłem jednak na uzyskanie przynajmniej częściowych odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

Wskazałem dużą stertę przysypanego ziemią kompostu:

- Być może znajdzie się tam palmtop Debry Repko.
- Niewykluczone.
- Albo wała się gdzieś w domu.
- Znajdziemy go przy odrobinie szczęścia.
- Z kolejnymi zdjęciami.

- Lepiej wypłuj te słowa, do cholery.
- Autopsja Levy'ego coś wykazała?
- Nic. Mózg był czysty. Żadnych nowotworów, torbieli czy krwiaków. We krwi nie wykryto narkotyków. W ogóle wyniki analiz były w normie. I co ty na to?

- A jak zareagowali jego współpracownicy z kancelarii?
- Oczywiście są porażeni. Levy powiedział wszystkim, że żona odeszła od niego, zabrała dzieci i wyjechała gdzieś na wschód. Ale to było osiem lat temu, na krótko przed zabójstwem Frostokovich.

- Sąsiedzi niczego nie zauważyli?
- Większość z nich nigdy go nie widziała. Będziemy rekonstruować jego poczynania przez wiele miesięcy.

Nie było już nic więcej do powiedzenia. Płonne okazały się moje nadzieje na znalezienie wyjaśnień, dlaczego to zrobił albo czy zamordował tylko siedem kobiet, czy może było ich więcej. Do tego dokładały się jeszcze pytania, na które z pewnością nigdy nie uzyskam odpowiedzi. Na przykład dlaczego Jonna Hill zrobiła to, co zrobiła?

Z wnętrza domu doleciał gromki śmiech. Obaj z Marksem obejrzeliliśmy się jak na komendę. Przy drzwiach balkonowych stał radny Wilts, który szczypał po tyłku śliczną reporterkę jednej z lokalnych stacji telewizyjnych.

- On wie, że traktowaliście go jak głównego podejrzanego? - zapytałem.

- Nie. I pewnie nigdy się nie dowie.

Marx poprzedniego dnia odwiedził państwa Repko i pozostałe rodziny zamordowanych kobiet, żeby osobiście wyjaśnić, dlaczego publicznie kłamał w sprawie zamknięcia dochodzenia. Nikomu jednak nie zdradził, że do ostatniej chwili podejrzewał Wiltsa. I pewnie ze względów czysto politycznych nadal wolał tego nie zdradzać. Niemniej należało z szacunkiem przyjąć to, że odważył się na spotkanie z rodzinami zabitych.

Dwóch mężczyzn z łopatami pracowało bez pośpiechu w dole o wymiarach trzy na półtora metra, w którym znikali już prawie do pasa. Mozolnie i ostrożnie zdejmowali jedną po drugiej cienkie warstwy ziemi. Nagle obaj przestali kopać równocześnie, a po chwili jeden z nich się pochylił, żeby dokładniej się czemuś przyjrzeć. Byli w gumowych rękawiczkach.

- Chyba zostawię pana samego, szefie. Nie mam ochoty tego oglądać.

Marx w napięciu wbijał spojrzenie w wykopany dół.

- Myślisz, że naprawdę nagrała przebieg rozmowy, jak mu powiedziała? Tamtego wieczoru, kiedy przekazała jej zdjęcia?

- Nie, zmyśliła to. Wiele rzeczy zmyślała. Pod tym względem niewiele różniła się od siostry.

- Jeśli to nagranie istnieje, bardzo bym chciał je odnaleźć.

- Przecież ma pan zarejestrowane jej zeznania.

- Ale zapoznanie się z takim nagraniem wiele by nam dało. Nie chodzi nawet o to, co powiedział, ale jak. Aż trudno mi sobie wyobrazić, jak ten sukinsyn potrafił owijać sobie innych wokół palca. Sądzę więc, że to nagranie by sporo wyjaśniło, pozwoliło znaleźć odpowiedzi na wiele pytań.

- Gdybyście je odnaleźli, proszę dać mi znać.

Miałem cichą nadzieję, że naprawdę je odnajdzie.

Zostawiłem go nad tym masowym grobem na tylnym podwórku za domem Alana Levy'ego i przecisnąłem się przez tłum gapiów na ulicy. Niebo przybrało odcień krystalicznie czystego błękitu, jak rzadko, tyle że przesłaniała mi je smuga ciemności, dostrzegalna nawet w pełnym świetle dnia.

Ciemność zagościła w duszy Alana Levy'ego. Wcześniej muśnęła Jonnę Hill, i to na długo przedtem, nim jej siostra została zamordowana. Bliżej zapoznała się z nią Debra Repko, która nie przeżyła tego spotkania. Dlaczego zgodziła się pójść z nim na spacer w środku nocy? I dlaczego on ją wtedy zabił, dlaczego

nie wybrał innej ofiary? Takie pytania już na zawsze musiały pozostać bez odpowiedzi.

Owa ciemność mnie przerażała, ale jeszcze bardziej przerażały mnie skutki jej oddziaływania na ludzką duszę. Może właśnie dlatego robię to, co robię. Tropię tę ciemność, by czynić więcej miejsca dla światła.

## Podziękowania

Publikacja książki to efekt pracy wielu osób. Swoje podziękowania, jak zwykle, składam:

- mojej redaktorce, Marysue Rucci, oraz wydawcom, Davidowi Rosenthalowi i Louise Burke;
- mojej korektorce, Patricii Crais. Na szczęście choć jedno z nas dobrze zna ortografię;
- Aaronowi Priestowi, Lisie Vane'e i Lucy Childs za ich cenne rady i żarliwe orędownictwo, jak również
- Carol Topping i Clay Fourrier za tworzenie wspaniałych wizji naszej strony internetowej oraz prowadzenie korespondencji pod adresem RobertCrais.com. Rodzina naszych czytelników rozciąga się już na cały świat, a jej liczebność idzie w miliony.